U.I.C.C.
NOV 30 19
LIBRA

twórczość

MARZEC 1959

i Słonimski · Ta-
Różewicz · Anna
ńska · Leon Szwed ·
gomołow · Paweł Ja-
· Julian Przyboś ·
ew Bieńkowski ·
erzy Kwiatkowski

twórczość

MARZEC 1959 ROK

3

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/tworczosc_1959-03_15_3

twórczość

ROK XV MARZEC 1959 NR 3

SPIS TREŚCI

Antoni Słonimski
SEKRET
str. 5

Tadeusz Różewicz
TOLERANCJA
str. 6

Anna Kamieńska
WSPOMNIENIE POCAŁUNKU KORZENIE * * * (DRZEWO JEST RUCHOME...)
TWARZE W RUINACH
str. 16

Leon Szwed
UCIECZKA
str. 18

Leopold Lewin
TATRZAŃSKI TRYPTYK
str. 42

W. Bogomołow
IWAN
str. 44

Andrzej Kuśniewicz
JULIETTA I JUSTYNA PRZYGODA
str. 89

Paweł Jasienica
PIERWSZY KRÓL
str. 91

Jakub Zonszajn
OSTATNIE SŁOWO * * * (JESTEŚ DNIEM...) MOŻE TY
(*przełożył* Tymoteusz Karpowicz)
str. 103

Julian Przyboś
O METAFORZE
str. 105

Zbigniew Bieńkowski
MODELUNEK POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ
str. 117

Jerzy Kwiatkowski
WILDE, GŁOSKI, SCHOPENHAUER
str. 126

Książka miesiąca

Michał Głowiński
TRZY POETYKI „NIECIERPLIWYCH"
str. 141

Wśród książek

RĄBEK WŁOCH — *Julian Stryjkowski*
str. 149

HISTERIA — *Jan Józef Lipski*
str. 151

OŚWIĘCIM, ŻYCIE, IDEOLOGIA — *Włodzimierz Maciąg*
str. 154

KRÓLESTWO SPRAWIEDLIWOŚCI — *Henryk Bereza*
str. 157

SPRAWA NIEPOKOJU — *Wojciech Natanson*
str. 161

Z CYKLU EMIGRACYJNYCH ROZRACHUNKÓW — *Janusz Stawiński*
str. 164

POZORY AUTENTYKU — *Michał Głowiński*
str. 167

MIASTO BEZ ANTENATÓW — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 169

PROWINCJONALNY PAMIĘTNIK — *Jan Wyka*
str. 171

Na widnokręgu

ŻYCIE POETY — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 174

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 175

STANISŁAW MŁODOŻENIEC — *jj*
str. 178

CZECHOW I KATARZYNA MANSFIELD — *René Śliwowski*
str. 179

FILOZOFIA MIGUELA DE UNAMUNO — *Krzysztof Pomian*
str. 183

PREZENTACJA FILOZOFII AMERYKAŃSKIEJ — *Zdzisław Najder*
str. 188

NIEMIECKA LITERATURA W POLSCE — *rk*
str. 191

Noty
str. 194

Korespondencja
str. 203

Książki nadesłane
str. 204

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Antoni Słonimski

SEKRET

— Ja tobie mówię, dzieweczko, wstań!
— Jakże mi wstać? I dokąd iść z mogiły?
Zimny mój całun, czecheł, gzło,
Grobowy strój przegniły.
Któż mnie zechce wziąć w ramiona,
Gdym już była pogrzebiona?
Cóż mi z mocy twej i łaski,
Łaska trwoży, moc zasmuca.
Nie cieszy blask, co cień rzuca,
Gdy wiem, jakie cień rzuca blaski;
I z tą prawdą żywot długi,
Jakże przetrwać, aby w końcu
Znów umierać po raz drugi?
— Ja tobie mówię, dzieweczko, wstań!
— Jakże możesz kogoś, panie,
Skazywać na zmartwychwstanie,
Kogoś, kto już poznał sekret,
Ten, o którym tylko wie kret,
Ziemny gad, szczur, pająk, korzeń,
Co czerpie sok z martwych stworzeń,
Kogoś, kto z otwartym okiem,
Tak jak ja na dnie głębokiem
Widział, widział...
Pozwól skryć się w ciszę ciemną,
Gdym znalazła już tę przystań.
Albo zejdź tu, umrzyj ze mną
I zmartwychwstań!

Antoni Słonimski

Tadeusz Różewicz

TOLERANCJA

Dnia 4 maja 1958 roku siedziałem w wagonie restauracyjnym pociągu pośpiesznego. Trochę słońca leżało na polach i przez szybę ogrzewało mi twarz. W marcu i kwietniu tego roku mrozy zniszczyły pąki na drzewach, zabijały ptaki w lasach. Przez radio nadawano apele do rolników i harcerzy, aby odgarniali śnieg i dokarmiali kuropatwy. Ozimina na polach była wątła, jakby zmęczona walką z ciężką zimą.

Przyszły dwie młode dziewczyny i usiadły przy sąsiednim stoliku. Ich głosy miały w sobie coś ze śpiewu ptaków. Może jednak lepiej jest słuchać samego dźwięku, nie odbierać sensu słów; prawdopodobnie mówią jakieś idiotyzmy. Przejrzałem kartę i wybrałem obiad.

Do stolika podeszła siwa kobieta.

— Czy wolne jest to miejsce?

— Wolne.

Powiesiła nieprzemakalny, przeźroczysty płaszcz na wieszaku, potem zdjęła jeszcze jesionkę i została w swetrze. Była tęga, szeroka w ramionach. Mogła mieć przeszło sześćdziesiąt lat. Twarz owalna, różowa. Nos krótki, oczy szare, może niebieskie. Brwi jasne. Poczułem niechęć do zbyt zdrowego wyglądu kobiety. Oczy bez wyrazu budziły podejrzenia. Zbyt zadowolona z życia.

Przyszedł kelner z półmiskiem.

— Niech pan da to jajko.

Kelner postawił przed nią chleb, masło, jajko w majonezie. Jadła szybko. Po chwili podszedł drugi kelner.

— Komu z państwa sałatka?

Kobieta spojrzała na półmisek.

— Jaka to sałatka?

— Śledziowa.

— Niech pan da porcję tej śledziowej sałatki. A dobra?

— Dobra, proszę pani.

— To niech pan da porcję.

Jedna z dziewcząt zerknęła w naszą stronę i uśmiechnęła się jakby drwiąco. Spojrzałem na zaróżowioną mocniej twarz mojej sąsiadki. „Jak ona żre — pomyślałem — to jest ten typ, który od pewnego wieku już tylko przeżuwa i trawi. Straszni. Te senne oczy, oczy bez światła, nieruchome jak ziarna. To są oczy gadów. Takie oczy mają żółwie, krokodyle. Nieruchome, z okrutnym

okiem z innej epoki. Epoki, która nie znała Jezusa, Gandhiego, Szekspira. Tu siedzi żarłoczny stary okaz."

Przejrzałem jeszcze raz jadłospis.

— Proszę obiad.

— Z nerkówką cielęcą czy z kotletem?

— Tańszy, za osiemnaście złotych.

— Proszę bardzo. — Kelner odszedł.

Kobieta zjadła już swoją sałatkę.

— Najadłam się — powiedziała — byłam okropnie głodna. Nie mogłam vytrzymać. Jak jestem głodna, to nie wiem, co z sobą zrobić. Teraz mi dobrze.

— To przyjemnie.

— Już mam takie usposobienie, jak zjem, to mi dobrze.

— To świetnie się składa, że pani siedzi w wagonie restauracyjnym. Ale aka natura nie jest dobra, czasem można się znaleźć w takiej sytuacji, że rzeba się przegłodzić.

— Te sałatki oni mają znakomite, zupełnie świeżutkie. Nawet trzeba powiedzieć, że się starają.

— Hem...

— Zaraz zobaczę, co oni mają na obiad.

„Będzie jadła dalej."

— Co tam macie na obiad? — zatrzymała kelnera.

— Nerkóweczkę z jarzynką i kartofelkami, zupę szczawiową, kompot. Lub biad ze sznyclem...

— Ciekawe, co to jest ta ich nerkóweczka.

— To pieczeń cielęca, cielęcinka, proszę pani.

— Zobaczę, co to za cielęcinka. A jarzynka do tego jaka?

— Fasolka.

— I jeszcze jaka?

— Tylko fasolka.

— Niech pan da ten obiad z nerkóweczką, zobaczymy. Tylko proszę bez kartofli. Może buraczki.

Kelner odszedł, ale kobieta mówiła dalej do niego:

— Nie mogę jeść kartofli. Muszę jarzynkę.

— Szkodzą pani?

— I szkodzą, i nie lubię.

— Pewnie skrobia pani szkodzi. Na ciśnienie.

— Tak, tak.

Młode dziewczyny szczebiotały. W ich głosach, które docierały do mnie rzytłumione, dźwięczały głosy ptaków. Czyste. Same w sobie zawierające adość istnienia.

Przyglądałem się kobiecie.

„Kartofle jej szkodzą. Jak te stwory dbają o siebie. Czuwają nad starymi ielskami jak wierne i złe psy. To pewnie jakaś przekupa. Oczywiście drze ludzi skórę. Dostaje pewnie paczki z zagranicy. Wyzywa na rząd. Będzie adła bez przerwy, przez kilka godzin."

— Jestem teraz zadowolona. Jak napełnię żołądek, to mi jest dobrze.

Uśmiechnąłem się przyjaźnie, jak do dużego zwierzęcia.

Kelner postawił przed nami filiżanki z zupą.

— Proszę kawałek chleba — zawołałem za odchodzącym.

Jedna z dziewczyn uśmiechając się podała mi swój chleb.

— Dziękuję, oddam pani, jak mi przyniosą.

Dziewczyna spojrzała. Na jej skórze leżało spokojne światło. Była tak doskonale płaska, bez brzucha, że pomyślałem: „wnętrzności ma chyba sprasowane".

— Zjadłam pana chleb. Przepraszam, ale byłam głodna. Cały stos chleba zjadłam. — Stara uśmiechnęła się do mnie.

— Nie szkodzi.

— W tym wagonie dbają. Nawet szyby są czyste. Niech pan pamięta, tylko bez kartofli. Nie! Kawę proszę po obiedzie.

— Pierwszy raz słońce przygrzało. Ale wiosna i tak opóźniona. O pół miesiąca.

— Cóż to za porcyjka! Jak dla dziecka. Takie kawałątko cielęciny, dwa razy ugryźć i koniec. Zjem chyba dwie porcje. A mówiłam im: bez kartofli. Dali kartofle. Co to ich obchodzi! Dobrze, że dali trochę tej fasolki. Nawet smacznie ugotowane. Świeżutkie.

— Komu torcik? Panu?

— Nie, dziękuję.

— Pani?

— Co to za torcik?

— Orzechowy, proszę pani.

— Niech pan da kawałek tego tortu. I kawę. Właściwie nie powinnam pić kawy. Na serce. Ale wypiję sobie, niech tam.

— Wygląda pani na osobę zdrową.

— Jestem cała w sobie chora. Cała. O! Bocian! Bociek stoi przy gnieździe. Bocian. Wie pan, bardzo się ucieszyłam, że zobaczyłam tego bociana. Jak zobaczysz w podróży bociana przy gnieździe, to wrócisz w rodzinne strony, do domu. Nic cię w drodze złego nie spotka. Nie zachorujesz ani nie umrzesz. To starzy ludzie takie mieli przepowiednie. Pan się z tego śmieje. No, już się najadłam. Ależ tej cielęcinki odrobina.

— Ptaków w tym roku dużo wyginęło. Kuropatw na polach. Wprawdzie wzywali rolników, żeby odgarniali śnieg, ale kto tego słucha. W ogródkach też jeszcze czarno. Pokazały się kiełki, ale znów jakoś wszystko się pochowało. Nie mam ziemi, ale...

— U mnie w ogrodzie narcyzy i żonkile jeszcze nie rozkwitły, choć w inne lata już od dwóch tygodni by kwitły.

— To pani ma ogród?

— Tak, mam ogród. Pod Warszawą.

— Teraz to wiem, dlaczego pani tak zdrowo wygląda. Praca na powietrzu. To jest przyjemna robota. Zdrowa i rentowna.

Kobieta spojrzała na mnie ironicznie.

— Akurat, przyjemna... Mam dosyć tej przyjemnej pracy. Uszami mi się wylewa. Nie ma jak urzędnikom. Co ich ziemia obchodzi. Przepracują osiem godzin, a potem idą do kawiarni, do teatru. Zawsze czyściutko ubrani, rączki ładne. Siedzą na karku państwa i dobrze. Urodzaj, nieurodzaj, ciepło, zimno,

swoją pensję biorą. Niech pan spojrzy na moje ręce. Pewno się pan dziwi, że takie zaniedbane. Nie robię sobie „manikir", twarz mam czerwoną od wiatru i deszczu...

— Trochę pani przesadza... Urzędnicy też mają różnie. Wie pani, za tysiąc złotych nie łatwo żyć z rodziną.

— A ja nawet tego z ziemi nie wyciągnę. Dokładać trzeba do ziemi. I podatki płacić. Mnie nie dadzą i tysiąca.

— Ile pani zapłaciła podatków? Tak przez ciekawość pytam?

— Już nie pamiętam. Z głowy mi wyleciało.

„Wyleciało jej z głowy. Pewno jakaś drobna suma, ale i z tym kręci, chce oszukać państwo. Zazdrości urzędnikom. Ma ogród pod Warszawą, ziemię. To przecież kopalnia pieniędzy. Badylarze warszawscy siedzą na pieniądzach. To bogacze. Ta tutaj na moich oczach żre bez przerwy i mówi, że ciężko. Ciekawe, czego ona jeszcze chce. Nie ma »manikir«. Ta krowa musi mieć »manikir«. Oczywiście ma pretensje do wszystkich ludzi i do rządu, że »nie ma manikir«. Ciekawe, co z niej jest za pożytek. Ile ona zje co dzień. Jaki w tym jest sens. Odżywia się organizm, który produkuje nawóz i złość..."

— Ja myślę, że to lepsza praca niż w urzędzie. Siedzieć na stołku między papierami. Pani tutaj w wagonie najlepiej wygląda ze wszystkich kobiet. Zdrowo. To wszystko takie blade, wymięte, niech pani popatrzy.

— Ja, zdrowa? Panie, tak wyglądam, bo od tego wiatru skóra się robi czerwona i twarda jak u dzikusa. Byłam na komisji lekarskiej, to też tak było. Bo widzi pan, ja jestem rencistką. Rentę biorę.

„Rentę bierze. Jak oni okradają to państwo. Jakie „państwo"? Jedni okradają drugich. I wszyscy stękają. Ciekawe, jak ona wykręciła z tą rentą."

— Jak weszłam na komisję, to wszyscy wybuchnęli śmiechem. „A pani co tu robi? Taki okaz zdrowia!" Dopiero jak zaczęli badać... Zaraz inne miny zrobili. I nerki chore, i wątroba, i serce. Wszystko we mnie chore.

„Przy pomocy chorób ludzie dodają sobie ważności. Jeśli »ich choroba« ma takie znaczenie, to cóż dopiero cała osoba."

— Wie pani, zazdroszczę tym, co pracują na ziemi, w lesie, w ogrodzie. Miałem znajomą młodą dziewczynę. Radziła się, na jaki wydział uniwersytetu ma wstąpić... polonistykę, prawo, historię sztuki? Doradziłem jej, żeby wstąpiła na ogrodownictwo. Jest teraz na ogrodownictwie. Byłem bardzo zadowolony, że udało mi się komuś coś sensownego doradzić.

— Ach, panie, to się tak mówi. Ale praca w ziemi jest bardzo niewdzięczna. W ogrodzie nie opłaca się pracować.

— Teraz, proszę pani, każdy chętnie kupi ziemię.

— Niech kupują. Ja od rana do nocy w tym pracuję i nic pięknego nie widzę. Jak ktoś sobie tam idzie do ogródka z łopatą, tak dla rozrywki, to coś innego. Ja muszę patrzeć, czy łobuzy nie rozwalają płotów, nie kradną. Muszę wypędzać psy, dzieci. A znaleźć kogoś do pracy teraz trudno. I ile biorą! Sama teraz nie mogę wszystkiego robić, bo na to serce jestem chora.

„Ale nie myśli o tym, że z przejedzenia."

— Teraz powiedziałam koniec. Niech inni robią. Tacy kupują, co nie wiedzą, jaka to praca. Mam ziemię pod Warszawą. Sprzedałam teraz morgę za osiemdziesiąt tysięcy. Pieniążki do banku i biorę, ile mi potrzeba. Jeszcze mam więcej ziemi. Będę sprzedawała po kawałku, pieniążki do banku i żyję

jak mi się podoba. Przez tyle lat od rana do nocy pracowałam. Myśli pan, że wiedziałam, co to jest fryzura? Do fryzjera chodziłam? Eleganckiej sukienki nie włożysz, po podrzesz, upaprzesz. Taka to robota.

„Pewnie dogaduje tym dziewczynom, co siedzą przy sąsiednim stoliku. Rzeczywiście mają białe ręce, są umalowane i dosyć ładnie ubrane. Choć skromnie. Tak głośno gada, żeby ją słyszały."

— Albo czy to można się wybrać do kina, do teatru przy takiej robocie?

— Urzędnicy też tak ciągle nie przesiadują w kawiarniach i teatrach.

— Ach, niech pan da spokój. Co ich obchodzi grad, deszcz, susza. Swoją pensję biorą. Siedzą w ładnych garniturkach, po pracy, i piją kawę.

— Może. Ale pani też nie ma takich wielkich powodów do narzekania.

— Sprzedam po kawałku wszystko i wszystko przejem. A jak mi co zostanie, to zapiszę na skarb państwa.

„Nie czuję do niej wstrętu. Jest dla mnie jak ta serweta, wykałaczka, filiżanka. Czy między ludźmi jest jakaś więź, jeśli nie łączą ich interesy, pokrewieństwo? Ma szary, gruby sweter, palto z kołnierzem. Jedzie gdzieś za interesami albo do rodziny. Mówi, że wszystko przepije i przeje. Ile ona jeszcze lat będzie żyła?"

— To mówi pani, że w ogrodzie wszystko opóźnione? Co to za pogody! Pierwszy ciepły dzień. Te eksperymenty z bombami wodorowymi zrobiły swoje. Zamieszanie w atmosferze.

— Jak oni mogli dać Niemcom do ręki bomby atomowe?

— Zdaje mi się, że Niemcy jeszcze nie mają bomb atomowych.

— Na pewno mają, proszę pana, już aby oni mają. Ale czy nasz rząd nic nie mógł na to poradzić? Sprzeciwić się?

— Nasz rząd znów tak wiele nie może, jak się pani zdaje. Teraz wszystko na świecie zależy od Ameryki i Rosji.

— Co, pan mówi, że ja tak zdrowo wyglądam? Ale ja jestem bardzo zniszczona. Ciekawa jestem, czy pan zgadnie, ile mam lat.

„Doskonale się trzyma. Ma dobrze po sześćdziesiątce."

— Może pięćdziesiąt osiem.

— Mam dopiero pięćdziesiąt cztery lata. Tak, proszę pana, pięćdziesiąt cztery. A wyglądam jak staruszka. Ale to wszystko przez ten obóz.

„Teraz zaczną się wspomnienia. Wszyscy byli w obozie. Naród był w obozie. U nas wszyscy wspominają."

— Byłam trzy lata w obozie. Może przeżyłam dlatego, że od małego fizycznie pracowałam, na powietrzu. Ale wszystko we mnie odbili. Wie pan, zawsze byłyśmy głodne. Inne oglądały się za chlebem. A ja szukałam zawsze na śmietniku przy kuchni. Szukałam w odpadkach jarzynki. Rozumie pan, w tym była witamina. Czasem znalazłam liść kapusty albo buraka, marchewkę. To już było zepsute, ale zawsze się wybrało odrobinkę. Raz mnie złapali, jak szukałam tej jarzynki, i tak mnie zbili, skopali całą, że właściwie nie wiem, jak przeżyłam. Leżał tam stos umarłych i uratowałam się tylko dzięki temu, że mnie u stóp tego stosu rzucili. Jakby rzucili na stos, to inne ciała zadusiłyby mnie. A tak leżałam przy tym stosie. Koleżanki mnie wyciągnęły i schowały. Po kilku dniach przyszłam do siebie. Ale wszystko jest we mnie chore i poobijane.

— Tak. Każdy przeżył swoje. Jedni w obozach, inni w lasach, na robotach...

— Dwóch synów zginęło w powstaniu. Mąż też nie żyje.
— Pani sama?
— Owszem, mam dalszą rodzinę. Ile ja w nich włożyłam pieniędzy. Ale teraz koniec. Wiedzą, że ziemię sprzedaję, i czekają. Ale to już się skończyło. Niech każdy myśli o sobie. Przyjdą i zaraz zaczynają płakać, że bieda, że są bez grosza. Ale żeby które spytało „jak się ciocia czuje na serce"? Gdzie tam. Chcesz, żyj, chcesz, umieraj. „Nie ma pieniążków" — powiedziałam. Każdy sobie. Wie pan, kupiłam sobie teraz piękny pomnik, z czarnego marmuru. Wielki. Zapłaciłam pięćdziesiąt tysięcy. Niech czeka. Jak się dowiedzieli o pomniku, opowiadają, że jestem wariatka. Dobrze. Niech sobie mówią. To, że ziemię sprzedaję i dobrze żyję, też wariactwo, ale jakbym im dawała — to nie byłoby wariactwo. Miałam zawał, to nie wiadomo, jak długo się pożyje. Może do jutra. Albo dłużej. Oni mi potem nie postawią. Dałam majstrowi osobno kilkaset złotych, żeby dopilnował roboty. Wszystko, co zostanie, dam na skarb państwa.
— Pani nie ma złudzeń.
— Jeśli chodzi o ludzi. Wiem, co o tym myśleć.
— My też jesteśmy ludźmi.
— Jeszcze obcych lepiej znoszę. Tak się rozgadałam, bo pan obcy. Obcemu łatwiej serce otworzyć. Czy to nie Koluszki?
— Zdaje się Koluszki.
„Ciekaw jestem, czy jakbym ją poprosił o kilka tysięcy... może by dała. W tym nastroju. Rodzi się u nas tyle dzieci. Ludzie potrzebują mieszkań. Ale ona ma mieszkanie, pieniądze i pomnik. Czeka na swoją śmierć. Właściwie ma rację, że kupiła sobie ten pomnik. Może po jej śmierci — nikt tego by nie zrobił dla niej. Nie jestem jednak znawcą ludzi. Po zdrowym, czerstwym pysku, po tym żarciu, po oczkach osądziłem, że ten stary stwór jest jakimś krokodylem, płuskwą. Widzisz, znawco. Ile przecierpiała. Tak jest często z ludźmi. Obijają się o siebie, klną, popychają, jak psy poszczekują. Widzi się tylko te gęby i łokcie. Zapijaczone mordy starych pawianów. A w środku Hamlet i Antygona. No, nie przesadzaj. Czasem i w środku kupa łajna. Na samym środku pustego wnętrza leży zeschłe łajno. Zresztą z tymi cierpieniami jest różnie..."
— Przepraszam, że tak panu opowiadam. Ale to może panu nie przeszkadza.
— Niech pani opowiada, ostatecznie człowiek z człowiekiem może porozmawiać.

Pociąg zostawił za sobą drewniane baraki dworca kolejowego i znów szedł przez pola i jeszcze nie przebudzone lasy. Te dziewczęta mają sobie tyle do powiedzenia. Pochylone do siebie stykają się prawie dziobkami.
Stara zabrała się do jedzenia tortu. Trochę milczała. Potem serwetką wycierała usta. To wycieranie ust było nieprzyzwoite.
— Wyglądam nienormalnie, prawda, proszę pana?
— Raczej przeciwnie.
— Gdybym panu powiedziała... — Kobieta pochyliła się w moją stronę. Mówiła teraz półgłosem. — Ja pochowałam mamusię. Dwa tygodnie temu.
Spojrzałem w jej wyblakłe, małe oczy. Sztuczne niezapominajki.

— Pochowałam mamusię, ale teraz już nikt nie wie gdzie. Jak to dobrze, że pan jest obcym człowiekiem. Że pan tak grzecznie słucha. Nie mogłabym tego opowiadać nikomu z rodziny ani znajomym. Pękłoby mi serce. Zresztą już pękło. Teraz pochowałam trzeci raz moją mamusię. Bo ona umarła jeszcze w październiku zeszłego roku. Od października trzeci raz ją chowam. Ale teraz nikt nie wie gdzie.

„Ta dziewczyna już wysiada. Jakie giętkie jest jej ciało. Nie ma brzucha. Jaka elastyczna. Przyrząd gimnastyczny."

— Od października dwa razy mamusię ekshumowałam. Musiałam ją z mogiły wykopać. Chodzi mi o ten wstyd przed ludźmi, o ambicję. Co ja przeżyłam. Ach, panie. Jak ja go prosiłam. Ja, stara, siwa kobieta, uklękłam przed nim i całowałam go po rękach. Niech nie każe tego robić publicznie, jeśli już musi. Niech mi ksiądz oszczędzi. Klęczałam: po rękach go całowałam, a on się odwrócił i tak burknął: „Nie". Widocznie, proszę pana, jest rozporządzenie Piusa. A przecież mu dobrze zapłaciłam za pogrzeb. Pieniądze wziął. Dlaczego nic nie mówił? Dałam tysiąc złotych. I grabarzowi. Tak, żeby wszystko odbyło się ładnie i porządnie. Klęczałam i po rękach go całowałam. A on: „Nie". I pan Mikowski go prosił. Mój taki dobry znajomy. Ma zakład naprzeciwko kościoła Św. Pawła. Niechże ksiądz tego nie robi — prosił — niech już ksiądz to ciało w ziemi zostawi. Leży tak długo, niech ksiądz dla tej córki to zrobi. „Nie." Na cmentarzu prosiłam, żeby delikatnie wyjmowali trumnę. Trumna była z mocnego drzewa, ale to już rok minął. Drewno to drewno. Więc stałam przy tym dole i widzę, że ten robotnik wskakuje do dołu. Przecież jak skoczy, to wszystko się zawali, rozsypie i co wezmę. Więc krzyknęłam i proszę, żeby stanął z boku. Powiedziałam, że im dobrze zapłacę. Zakładają sznury i widzę, że to wszystko się przechyla i głową leci na dół. Wreszcie na moje prośby wyciągnęli w porządku. Miałam już na trzy dni przedtem wykupione miejsce na innym cmentarzu. W innej parafii. I tam pojechałam z trumną.

Gdyby pan wiedział, jaka to była dobra kobieta. Jaka cicha, jaka dobra. Tak mnie chowała. Tak mi zawsze mówiła, że wszyscy ludzie są jednakowi, są ludźmi, że trzeba ludziom pomagać. Na całej ziemi ją najbardziej kochałam.

— Przepraszam, nie mogę... — Zacięła wargi. Ale po chwili otwarła je i szybko chwyciła kilka łyków powietrza. Jej sztuczne oczy stały się wilgotne, zamglone.

— Krzyż też przewiozłam. Wszystko furmanką. Przyjechałam tam rano. Grób już był wykopany. Ale tam przy grobie byli jacyś mężczyźni. Stali przy grobie i powiedzieli, że tu chować nie można.

Furmanka z trumną stała w alejce. Wtedy ja mówię: „Panie mecenasie, czy pan słyszy?".

Przepraszam, że tak nieporządnie mówię. Niech mi pan wybaczy. Ten adwokat to naprawdę porządny człowiek.

Wszystko mi się miesza z tego bólu. Gdyby to o mnie chodziło, mogłabym leżeć na śmietniku. Ale ona taka kochana. W okupację tyle paczek więźniom nanosiła, ludzi ukrywała, taka była dobra. Ten mecenas to porządny człowiek. Powiedział do mnie, jak go prosiłam o wytoczenie rozprawy: „Niech pani zamknie ból w sercu". Ale ja nie mogę się już modlić, nie mogę chodzić na mszę ani do kościoła. Nie mogę. Powiedziałam to adwokatowi. A on na to,

żeby właśnie chodzić, nic po sobie nie pokazywać. Trzeba poczekać — powiedział — teraz lepiej nie rozdrażniać. Czasy są i tak niespokojne. Tak mi tłumaczył, aż skargę wycofałam.

Chodzę do spowiedzi. Ale na spowiedzi mówię im wszystko. Jedni mi tłumaczą, mówią, żeby przebaczyć, inni proszą. Mówię panu, ale ja wszystko opowiadam im na spowiedzi, niech słuchają. Tyle jest mojego.

Chciałabym, żeby oni doczekali jeszcze takich czasów, żeby musieli się zabrać do roboty, żeby pracowali na życie jak wszyscy ludzie. Żeby poznali prawdziwą nędzę, tego im życzę. Kiedy to, proszę pana, nastąpi, że już nie będzie żadnych religii? Żeby ludzie byli ludźmi. Albo jedna religia, albo żadnej. Ale jaka to religia? Taka? Lepiej niech nic nie będzie. I oni mówią o miłości bliźniego. Nauczyli mnie. Wie pan, jak mama umierała, to mi mówiła, żeby dać pieniądze na siostry zakonne, bo one mają różne potrzeby. I prosiła, żeby siostry były na pogrzebie. Bo ją bardzo szanowały. „Tyle nieniędzy! — wołał. — Siostrom dawać, siostry nie potrzebują." „Niech pani patrzy — wyciągnął jakiś ornat czy kapę i pokazywał mi — niech pani patrzy, tu się wszystko drze, pieniądze są potrzebne. A pani tam daje?" Prawie latał po tej zakrystii i krzyczał na mnie o te pieniądze. Jakby się wściekł albo zgłupiał. I to nawet niestary człowiek, tak po czterdziestce.

— No, „oni" też się zmienili, nie są tacy jak dawniej. Wiele rzeczy zrozumieli. Dano im trochę w skórę, więc stali się bardziej wyrozumiali, lepsi.

— Proszę pana. Oni się prawie nie zmienili. Modlę się, żeby ten ustrój pozostał u nas jak najdłużej. To ich jeszcze powstrzymuje. Trochę się boją. Ale gdyby się zmieniło, to żyć by nie można. Oni już teraz... Pan wie, jak to wszystko jest zorganizowane? Niby nikt nikogo nie zna, nikt nie wie. Ale oni mają wszędzie swoich ludzi. I na cmentarzach. Mnie straszyli, żeby lepiej nie zaczynać, bo... No, straszyli. Jestem stara i chora na serce. Mogę gdzie w ciemności dostać kamieniem. Sama już nie wiem. Nic nie wiem. Boję się wszystkiego więcej jak w okupację. Wtedy wiedziałam, że gestapo to jest wróg. A teraz nic nie wiem, a boję się. Ale ja teraz dopiero, w roku 1958, przeżyłam wszystko najgorsze w moim życiu. Taki straszny ból. Może zresztą on mnie przeprosi, bo już jakoś tak zagaduje czasem. Ale co we mnie się działo. Co się działo...

Zachorowałam po tym wszystkim na zawał serca, kilka tygodni bez ruchu przeleżałam już jak umarła. Pan myśli, że wtedy rodzina przychodziła? Obcy się zaopiekowali. Ale ja rodziny teraz nie chcę znać. Nie zostawię im nic, nic.

Więc ja, wiedząc, że oni wszędzie mają swoich ludzi, wzięłam od razu ze sobą mecenasa na cmentarz.

— Pan miał...? — Płatniczy stanął obok stolika.

— Obiad za osiemnaście. Kawę.

— Ja miałam ten sam obiad. Z nerkówką. Nawet smaczna. Ale prosiłam bez kartofli, a daliście kartofle. Miałam dwa razy te sałatki, całą górę chleba. Wszystek chleb. I masło też. Tort, kawa. I te pierniczki czy herbatniki.

— Dziękuję. — Płatniczy poszedł dalej ze swoją blaszaną skrzyneczką na pieniądze.

— Robotnicy, których zapłaciłam, zabrali się do pracy. Ale tamci mężczyźni ich zatrzymali. Wtedy ja podeszłam do nich i pytam, o co im chodzi. Oni mówią, że do tego grobu nie wolno złożyć trumny i muszę ją stąd zabrać.

Zaczęli nogami ziemię zgarniać do dołu. Przy tym wywrócili krzyż, co ja przywiozłam. Wtedy ja zaczęłam krzyczeć: „Pan mecenas widzi, co się dzieje". Jak oni usłyszeli słowo „mecenas", to się tak zmieszali i odstąpili, zaczęli ze sobą rozmawiać. Wtedy zwróciłam się do kierownika cmentarza, z którym wszystko było formalnie załatwione. Jak ci mężczyźni odstąpili, po jakimś czasie zbliżyło się kilka kobiet, które robiły coś na cmentarzu. Te kobiety zaczęły mnie wyzywać. Najgorszymi wyrazami. Ja chciałam im tłumaczyć, o co tu chodzi, ale one wyzywały, a potem rzuciły się do mnie. Trumna była już zdjęta z furmanki i stała przy tym wykopanym grobie. Chwyciły mnie za ręce i tak rozkrzyżowaną wlokły z cmentarza. Jedna mnie z tyłu za włosy złapała. Ale mi się dostało. Poczułam, że ta jedna mi chce zegarek z ręki ściągnąć. Wyrwałam się i złapałam leżącą butelkę, trzasłam jedną w łeb tą butelką... Dopiero kierownik cmentarza i mecenas zaczęli nas rozdzielać i prosić o spokój. Tamci mężczyźni stali z boku i tylko się przyglądali. Powiedzieli, że trumna zostanie wykopana z grobu i wyrzucona z cmentarza. Wtedy ja poprosiłam, żeby się wylegitymowali. Co się wtedy we mnie działo, jak widziałam tę trumnę z ciałem mojej matki. Co się działo, to świat się nigdy nie dowie.

— Tak. To rzeczywiście nie do wiary. Barbarzyństwo. I my mówimy o ludożercach, o Murzynach, że trzeba ich cywilizować.

— Tu są ludożercy. Wszyscy, w tym wagonie też. Co tu mówić o Murzynach. Ja Niemców nienawidzę, ale nawet Niemcy mi takiej krzywdy nie zrobili. Wiedziałam: gestapo. Wiem: wróg. Ale tak, kto jest wrogiem? Wszyscy i nikt. I to po jakiej wojnie. Wszyscy i nikt. Pobita i zwyzywana na tym cmentarzu, z matką w trumnie, co ja mam robić? Taka straszna rozpacz była w moim sercu, że nikt się nie dowie. Przepraszam pana, że ja płaczę. Musiałam się wynieść. Dostałam państwowy samochód i robotników. To wszystko opłaciłam. Wzięłam trumnę na samochód i pojechałam. Zaraz latali pytać szofera, gdzie pojechał. Ale ja szoferowi dałam tysiąc złotych, robotnikom po dwieście, i nikt nic wie. Kazałam nawet jechać inną drogą, żeby zmylić, i dopiero na trzy kilometry przed tą miejscowością powiedziałam, gdzie samochód ma jechać. Z ładowaniem też były trudności, bo szofer nie chciał jechać wcale. Dopiero jak mu dałam pieniądze, wszystko składnie załatwił. Teraz ma mamusia spokój. Nikt nie wie, gdzie ją pochowałam. Nikt.

Kobieta spojrzała na mnie z radością i dumą. — Ja tylko wiem. Pan jest obcy i bardzo przepraszam, że to opowiadam, ale wie pan, teraz mi jakoś lżej, że to wszystko tak ze serca zrzuciłam. Do obcego łatwiej.

Pociąg mijał pola i łąki, na których stała woda. Laski. Na rowach kwitły złocieńce i stokrotki.

— Czy nielepiej było ją schować od razu w polu albo w lesie. Żeby nikt nie wiedział, gdzie ona leży. Nie robiłabym grobu. Wszystko wyrównane. Tylko ja wiedziałabym, gdzie to miejsce jest. Miałaby tam mamusia dużo drzew i nieba nad sobą. Jak ja żałuję, że tak nie zrobiłam. Ale teraz już wszystko się stało i teraz cały ból jest we mnie. Mogła sobie w takim lasku leżeć. Niech się pan ze mnie nie śmieje. Bo to może wyglądać na wariactwo.

— Niech pani będzie spokojna. Niech pani mówi.

Ale kobiecie znów zaczęły drżeć wargi i oczy napełniły się łzami. Odwróciła czerwoną twarz do okna i jej szerokie ramiona zaczęły drgać.

— Bo ze mną stało się coś dziwnego. Ja, wie pan, często do mamusi mówię. Rozmawiam z nią. A nawet, może to grzech, ale modlę się do niej. Tak samo jak do świętych. Czuję ją zawsze obecną przy sobie. Za co ją to wszystko spotkało? Gdyby pan wiedział, jaki to był dobry człowiek. Była nie wierząca, nie praktykowała, owszem. Ale jak pracowała, jak starała się pomagać wszystkim.

— Już kilka było takich wypadków na cmentarzach. W gazetach pisali.

— Właśnie, proszę pana, ja też czytałam i nawet powiem, że mi się lżej zrobiło. Bo pomyślałam, że więcej jest takich, nie ja jedna. Przepraszam, jaka to stacja? Już muszę wysiadać. Lepiej mi jest, że to wszystko wypowiedziałam. Pan jest obcy. Nie znamy swoich nazwisk. To lepiej. Zapomni pan. Dziękuję, że pan mnie wysłuchał. Czy czasem nie przejechałam swojej stacji?

— Za co mi pani dziękuje? Do widzenia. Życzę pani trochę szczęścia... nie szczęścia... trochę pogody i spokoju.

Kobieta spojrzała na mnie.

— We mnie już to wszystko zostanie. Nigdy dla mnie nie będzie pogody.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę.

— Czy nie znać, że płakałam?

— Nie. Tyle, jakby pani miała katar.

Pociąg zatrzymał się na stacji w R.

Maj — sierpień 1958 r.

Tadeusz Różewicz

Anna Kamieńska

WSPOMNIENIE POCAŁUNKU

Ten pryzm powietrza był pocałunkiem przerąbany.
Nie ma w powietrzu blizny ani rany.
Może tu kwiaty rozpaczliwiej przekwitają?
Może tu ptaki tracąc dech — padają?

KORZENIE

My — żywe instrumenty, świdry sondujące,
nieustrudzeni badacze, teleskopy mroku.

Czułym zmysłem dotyku oplatamy kamień,
schodzimy coraz głębiej po stopniach pokarmów.

Wy, których cieszą skrzydła, i źrenice czułe na światło,
bezradny jest wasz trzepot, oczy — oślepłe od blasku.

My — widzimy prawdziwie źrenicami ciemności,
my — znamy smak przestrzeni odwalając skrzydło po skrzydle
gleby.

Niżej, niżej.
Aż tam, gdzie śpiewa wapno, fosfór, azot i siarka.
Aż tam, gdzie struny strumieni gorącymi tętnią nerwami.

Z nabrzmiałych ogrodów śmierci, gdzie wszystkie łączą się ręce,
my drapieżnym pazurem ciskamy wam zieleń i życie.

*

* *

Drzewo jest ruchome.
Ale wyobraźcie sobie listek, jeśli nie drgnie,
korę, jeśli pod nią zastygną źródła.

Woda jest ruchoma.
Ale wyobraźcie sobie wodospad
okuty w locie, wzdęty, martwy welon.

Niebo jest ruchome.
Ale zwiędły obłoki
i opadają płatami suchych róż na ziemię.

Zakrzepło drzewo, woda, niebo.
Nagle
stanęły w biegu radość i pragnienie.

I bezszelestny, nieruchomy
wyjrzał na otchłań obcą — obcy
mieszkaniec naszych ócz.

TWARZE W RUINACH

To straszne. Widzieć ruinę własnej twarzy.
Dzień po dniu patrzeć, jak obsuwa się w gruz.
Skręca się z sykiem,
Spływa zakrzepłymi fałdami parafiny.

Widzieć własną twarz, twarze pokolenia
Kruszące się, wyżłobione erozją wiar,
Płaczące głazami spod bolesnych powiek,
Milczące gardzielą rozdartą do krzyku.

Iść w krajobrazie rozpękłych czerepów
Ukazujących obnażony mechanizm ukrwionych żądz
i kojarzeń,
Wśród tych mogił zasklepionych darnią pozorów,
Pod grożącymi urwiskami uszu, oczu, nosów, czół.

Anna Kamieńska

Leon Szwed

UCIECZKA

Sosnowy las, na którego skraju karczowaliśmy pnie, był oddalony od obozu o przeszło pięć kilometrów. Droga prowadziła tu przez nadmorskie piaszczyste wzgórza i dolinę zarośniętą zagajnikiem.

Było nas czterech. Od godziny mordowaliśmy się nad wydobyciem dużego pnia, ale wciąż nie mogliśmy go ruszyć z miejsca. Jan, wysoki drab, pracujący siekierą w wykopie, krzyknął, że pod pniem jest jeszcze nie odrąbany korzeń. Mówił zawsze głośno, gdyż miał przytępiony słuch. My również krzyczeliśmy chcąc z nim się porozumieć. Odrzuciłem spod pnia kilka łopat ziemi i obnażyłem korzeń. Jan go odrąbał, mimo to nie mogliśmy pnia podważyć. Wówczas rozwścieczony wrzasnął, że na dole jeszcze coś trzyma, i ze zdwojoną siłą zaczął rąbać pod pniem.

Słyszałem wyraźnie, jak ostrze siekiery odbija się o kamień. Gdy Jan zrozumiał nasze ostrzegawcze krzyki, było już za poźno. Połowa pękniętego ostrza odskoczyła i upadła na bok.

Strażnik stojący opodal słyszał uderzenie ostrza o kamień i nasze głosy. Wiedział, że Jan jest głuchy, ale zachowywał się tak, jakby o tym nie wiedział. Kazał nam usunąć się od pnia, zeskoczył z nasypu świeżej ziemi i oczyścił butem kamień, na którym ukazały się ślady uderzeń siekiery. Zapanowała cisza. Powietrze stało się nagle tak przejrzyste i dźwięczne, że krakanie wron siedzących na wierzchołkach drzew rozsadzało głowę. Strażnik z niemałą satysfakcją oglądał kamień. Gdy wyprostował się, milczał chwilę, jakby usiłował wywołać w sobie gniew. Złościło go widocznie to, że nie może się rozgniewać. I wtedy gniew przyszedł większy od spodziewanego. Zdjął karabin z ramienia i zaczął tłuc Jana wściekle w pierś, w brzuch i rozkrocze. Najpierw walił kolbą, później kłuł lufą. Bił, jak biją młodzi: zajadle i z moralnym oburzeniem. Starzy strażnicy bili krótko i prawie obojętnie. Często powierzali tę czynność więźniom.

Stałem w pobliżu. Byłem spokojny wiedząc, że strażnik nie zbije z nóg Jana, który był o całą głowę od niego wyższy. Po kilku ciosach odwrócił lufę do siebie i wyrżnął kolbą Jana w pierś. Gdy zamachnął się znowu, kolba zawadziła o moje ramię — w tym momencie padł strzał, pogłos gruchnął po lesie, rozprysnął się na drobne echa i zamarł między gałęziami. Wrony z wrzaskiem poderwały się z drzew.

„Po co ta komedia?" — pomyślałem, kiedy strażnik wyprężył się, zachwiał

i wyrzucając ręce do przodu padł twarzą do ziemi. — „Po co to udawanie, skoro i tak każdy jego czyn jest usprawiedliwiony i nie kwestionowany? Czyżby udawał ranionego, by później, gdy wstanie, zemścić się ze zdwojoną pasją?" Ale strażnik po kilku niezdarnych szarpnięciach zastygł w bezruchu. Dopiero po chwili, gdy leżał nadal z wyciągniętymi rękami, zrozumiałem, że już nie żyje, a jego wina stała się nieodwołalnie naszą winą.

Mieliśmy tylko jedno wyjście, które nam ten trup dyktował. Usprawiedliwić nas mógł tylko on, lecz teraz on także nie miał wyboru. Trzymał nas w rękach nawet po śmierci. Za kilka godzin ręce te rozrosną się w setki rąk przetrząsających całą okolicę.

Ziemia było pokryta śniegiem, który w wielu miejscach już tajał. Ślady można było ukryć obchodząc śnieg. Na ziemi wokół twarzy strażnika powstała ciemnoczerwona plama. Podniosłem go nieco i odpiąłem rewolwer. Jan chciał zabrać również karabin. Wyjaśniłem mu, że to zbyt niebezpieczne, więc go zostawił. Co prawda mogliśmy iść lasem w kierunku morza, gdzie nikt by nas nie zauważył z karabinem. Lecz ja myślałem o czym innym. Lepiej, gdy jeden z nas będzie miał broń. Tak, będzie bezpieczniej.

Wsunąłem rewolwer do kieszeni. Nim rzuciłem karabin na ziemię, spojrzałem na zamek. Nie był zabezpieczony. Wszystkiemu winien był ten bezpiecznik. Drobne wykroczenie przeciwko regulaminowi wojskowemu, zapomnienie, które kosztowałoby najwyżej godzinę karnej służby. Lecz teraz nie było kogo karać. Strażnik leżał cichy, nieruchomy, bezsilny. Jaki twardy był i pewny siebie, gdy tłukł kolbą Jana. Mundur dawał mu przywilej; istniał po to, by podkreślić nierówność i usprawiedliwić przemoc. Mundur był wymagający. Nawet ciało padające na ziemię zobowiązywał do zachowania pewnej symetrii i porządku.

Teraz ciało było zagubione w nieładzie śniegu i błota, który panował na wiosennym karczowisku, było zrównane i stopione z ziemią, nieprzenikliwe i zamknięte. Między trupem a kępkami traw znikła różnica.

Małe wykroczenie przeciwko regulaminowi. Nie my spowodowaliśmy je, lecz strażnik.Ale czy też nie było obowiązkiem naszym pamiętać o zabezpieczeniu karabinu? Czy nie czaił się w nim nasz los? Czy nie powinniśmy byli skłonić strażnika do większej czujności i ostrożności? Czy nie było rozsądne naprowadzić w jakiś sposób jego myśl na zamek karabinu narażając nawet siebie na niebezpieczeństwo? Któż bowiem mógł zapewnić, że nie weźmie naszej przestrogi za kpiny i nie wystrzeli do przestrzegającego? Wtedy jednak strzał zostałby oddany zgodnie z przepisami, mundur nie byłby pohańbiony. Naraziłby się jeden, a nie wszyscy.

Wiedziałem, że Jan o tym myśli stojąc przy trupie strażnika. Trzeba było podjąć decyzję: przede wszystkim należało sprzątnąć trupa.

Niebezpieczeństwo spadło na nas i chwyciło każdego z osobna. Jan spode łba rozglądał się dokoła. Ponieważ sytuacja była rozpaczliwa, wiedziałem, że do końca nie zdradzi swoich zamiarów. Wytrząsał piasek z butów. Nasza obecność niepokoiła go. W oczach czaiło się pytanie: czego tu stoicie? Czemu wlepiacie ślepia we mnie? Widocznie chciał odejść sam.

Karol zachowywał się tak, jakby wypadek go wcale nie dotyczył. Stał najdalej od nas, gdy karabin wystrzelił. Dobrze wiedział, co spowodowało wystrzał. Zapewne sądził, że uda mu się wykręcić swymi zeznaniami. Kopał na-

dal, jakby strażnik stał nad nim i rozkaz w dalszym ciągu obowiązywał. „Jestem niewinny" — wyczytałem z jego zimnej twarzy. Chwilami rzucał w moim kierunku podejrzliwe spojrzenia. Widział, jak karabin zawadził o moje ramię. Udawał spokój lekceważąc wspólną odpowiedzialność. Swoim bezmyślnym zachowaniem próbował mi narzucić poczucie bezpieczeństwa.

Henryk płakał zbierając narzędzia do torby. Chciał widocznie wracać do obozu i donieść jak najszybciej o wypadku. Był bardzo młody: nie pojmował, że wina stała się nieuchwytna. Nikt właściwie nie był winien, a jednocześnie wszyscy. Nie przyjęto by od nas żadnego usprawiedliwienia.

Chwyciłem strażnika za nogi, wepchnąłem do dołu razem z karabinem i wziąwszy łopatę od Karola zakopałem. Rzuciłem jeszcze kilka łopat ziemi na czerwone plamy krwi. Nikt mi w tym nie przeszkadzał, lecz i nie pomagał. Rewolwer był w mojej kieszeni. Śledzili więc z uwagą moje ruchy, jakby od tego zależało ich bezpieczeństwo. Gdy chciałem wyrównać ziemię wokół pnia, Karol, już zdecydowany, wydarł mi z rąk łopatę i zaczął automatycznie kopać dalej. Krew mi uderzyła do głowy.

— Oddaj łopatę! — wrzasnąłem.

— Zbawiciel idzie — zasyczał Karol.

Spojrzałem w kierunku wzgórza. Z daleka od strony morza nadchodził Szwed, na szczęście nikt mu nie towarzyszył. Był to wysoki, otyły mężczyzna, przedstawiciel Czerwonego Krzyża, który już od kilku miesięcy na podstawie porozumienia wybierał najsłabszych więźniów na leczenie do Szwecji. Gdy przechodził cementowym chodnikiem obozu z aktami pod pachą, miałem nieodpartą chęć oddać swój los w jego tłuste ręce, pragnąłem mieć jeszcze bardziej wyczerpane ciało, oczy podkrążone sińcami i szklany wzrok dogorywającego „muzułmanina". Nieraz chciałem rzucić mu się pod nogi i błagać jak inni więźniowie: „Proszę mnie wciągnąć na listę. Jestem zupełnie wykończony". Pamiętam, jak nieczuły już na prośby i błagania prześlizgiwał się wzrokiem po więźniu: „Masz jeszcze krzepę w kościach, możesz pracować". Był pewny siebie, gdy tak mówił. Satysfakcję dawała mu świadomość, że od nikogo nie możemy oczekiwać ratunku prócz niego. Nie było nikogo, kto by z nim współzawodniczył w niesieniu nam pomocy i zmuszał go do większej odpowiedzialności wobec mas. Miał monopol miłosierdzia. Toteż z wygodnictwa pozwalał sobie zaniedbywać nasze sprawy.

Spojrzałem na Karola. Ogarnęła mnie wściekłość — o czym ten kretyn myśli? Nie miałem prawa załagodzić sporu o łopatę. Gdybym teraz nie uparł się przy swoim, okazałbym słabość i uległość wobec Karola i Jana, a nie należało na samym początku ustępować. Poza tym nie mogłem się przyznać, że przegapiłem nadejście Szweda. Zdawałem sobie sprawę, że jestem odpowiedzialny nie tylko za swój los, ale i Henryka, który był jeszcze szczeniakiem. Nie, w żadnym wypadku nie mogłem przyznać się do gapiostwa.

— No dawajże, kurwa mać — wrzasnąłem powtórnie do Karola i wydarłem łopatę z rąk. Nie oczekiwał tego, był tak zaskoczony moją stanowczością, że łatwo wypuścił rękojeść łopaty. Wskoczyłem do wykopu z drugiej strony pnia i udawałem, że pracuję. Szwed już zboczył z drogi zbliżając się do karczowiska. Podszedł do pnia, stał teraz na tym miejscu, gdzie zakopałem strażnika, stał i nie wiedział o tym. Z przyjemnością zauważyłem, że ręce Karola drżały. Na razie ja i Henryk byliśmy górą.

— Gdzie wasz strażnik? — zapytał Szwed.

Wskazałem głową w kierunku krzaków. Teraz dopiero, gdy się poruszył, zauważyłem, że trzyma w ręku nie zapalonego papierosa. Wiedział, że nie mamy zapałek, i chciał widocznie zaczekać na strażnika.

— Dobry kawał roboty odwaliliście — rzekł. W jego ustach znaczyło to, że jesteśmy jeszcze zdolni do ciężkiej pracy. Wyciągnął z kieszeni cztery paczki herbatników z etykietką Czerwonego Krzyża i rzucił je do wykopu. Znalazł czas na demonstrowanie swojej dobroci. Cisza stawała się coraz bardziej nieznośna. Paczki upadły do mych nóg. Nachyliłem się po nie. Szwed zdziwiony zauważył, że nikt nie rzucił się na mnie. W obozie nie był do tego przyzwyczajony. Tam nacierali, tłukli pięściami, kopali jeden drugiego w kostki, pchali się, szturchali, kto by dopadł pierwszy, przydepnąłby butem zdobycz do ziemi, następny już waliłby łokciami w żebra, a tu nikt się nie ruszył z miejsca, stali w jakimś niezrozumiałym odrętwieniu. Nie mógł tego pojąć. Widział tylko swe herbatniki i usprawiedliwiał się.

— Więcej nie mam.

— Podzielimy się — odrzekłem.

— Chcę widzieć, jak podzielisz.

Wepchnąłem po paczce każdemu do kieszeni. Nikt nie wyciągnął nawet ręki. Szwed był niezadowolony, że nie okazaliśmy chciwości.

— Czy nie jesteście głodni? — wymamrotał.

— Jesteśmy wykończeni. Ledwo stoimy na nogach.

— Ale wyglądacie zdrowo. Tam — wskazał ręką w kierunku morza — musielibyście także pracować.

— Chcielibyśmy tam pracować — warknąłem niedorzecznie.

— Przywiozę wam żywności. Zgłoście się do mnie, gdy wrócę.

— Kiedy?

— Za cztery dni. Teraz nie mogę was zabrać... Lista zamknięta. Będę pamiętał następnym razem...

Wszystko, co mówił, było usprawiedliwianiem się za papierosy, które palił, za ubranie z angielskiej wełny, które nosił, za wygodę, sytość i wolność, która była jego własnością. Widziałem, że chciał już odejść, lecz zwlekał szukając pięknych słów. Czy nie widział złości na naszych twarzach? Trwonił nasz czas i płacił za to wygodnymi frazesami.

— Nie traćcie nadziei. Cały ten koszmar minie.

Czy nie spostrzegał gniewu w naszych oczach?

— Wojna wkrótce się skończy, nastanie pokój.

Czy nie widzi naszych zaciśniętych pięści?

— Pomoc Czerwonego Krzyża, w którym pracuję, jest pierwszym krokiem do tego pokoju.

Z jakim zadowoleniem zdarłbym z jego utuczonego ciała tę nienagannie uszytą marynarkę, wepchnąłbym do rowu i zatłukłbym kolbą karabinu jak kurę. Obrzydliwszy był od strażnika. Strażnik nie myślał o braterstwie, lecz o rozkazach. Przekleństwa, groźby, wykrzykiwane polecenia, bezpieczeństwo, które odczuwał za rozkazem, i zapominanie się w gniewie — wszystko to było wyraźne, niepodzielone, było strażnikiem.

Strażnik wypełniał naszą rzeczywistość od rana do nocy. Odczuwaliśmy go na własnej skórze. Im większym był bydlakiem, tym bardziej czuliśmy się

związani z nim. Ze Szwedem była inna sprawa. Pochodził z innego świata. Nie przeszedł próby, był neutralny. Stał na miejscu, gdzie zakopałem strażnika, i zwlekał, plótł jeszcze o zarobkach w swoim kraju i potrawach w restauracjach. Przestrzeń między nim a nami stała się twarda jak ze szkła. Tam, za tą szklaną ścianą, wypełniał swój rytuał dobroci, który wzmacniał jego dobre samopoczucie. Gdyby nie rozpływał się w dobroci, może zauważyłby nareszcie nasze napięte karki i drżące ręce. Wolał jednak tę dobroć i namiastkę miłosierdzia, które go zaślepiały i zdawały się być niewyczerpane.

— Wszędzie trzeba pracować... Tu oczywiście trudno wytrzymać... ale miejmy nadzieję, że niedługo to potrwa.

Nagle wyrosły przede mną czarne, rozrzucone plamy: baraki obozu przylepione do ziemi jak padlina z rozbabranym brzuchem. Wkrótce zakotłuje się ten cały śmietnik: zbliżała się kolacja. Za godzinę jakaś umundurowana świadomość przypomni sobie naszą nieobecność i krzyknie: „Z karczowiska nie wrócili". Sprawdzą. Policzą. Wyślą patrol. Widziałem ich na motocyklach, później idących polami. Słyszałem nagłe ujadanie psów. Ruszą w pościg, gdy zobaczą nas w biegu. Psy, wściekle warcząc, wczepią się w nasze nogi. Zechcą wziąć nas żywcem. Będę myślał: nie powinienem istnieć. Lecz czy będę mógł myśleć za Jana, Karola i Henryka: nie powinni istnieć? Będę powtarzał: nie powinni istnieć. Ale to nie to samo. Nigdy nie będzie to samo. Gdybym wiedział, że załamią się przy torturach i przyznają do wszystkiego, czego nie popełnili, jeszcze teraz mógłbym ich ocalić. Nie zdążą wydrzeć mi rewolweru, nim wystrzelę cztery razy. Wmawiałem sobie, że to uczynię. Widziałem już Karola padającego na ziemię, Jana, który w ostatniej chwili usiłuje wybić mi z ręki rewolwer. Muszę ich zapytać, co będzie, jeśli nas złapią. Nagle ujrzałem Szweda, tak jakbym go widział po raz pierwszy.

— Zamknij mordę! — wrzasnąłem. — Spierdalaj stąd.

— Gdybym był świnią — wymamrotał — zaczekałbym na strażnika...

Słodki uśmiech znikł z jego twarzy. Był porządnym człowiekiem, obojętnym wobec innych; stał niewyraźny między dwiema sosnami, zagubiony w ciemniejącym wieczorze, lecz natrętnie broniący swego istnienia: „mogę was obdzielić paczkami — jestem wam potrzebny, nie mogę was zabrać — nie jestem wam potrzebny, aczkolwiek tylko ja, nikt inny, mogę was uratować — jestem wam potrzebny". Widzieliśmy jego sylwetkę znikającą w kierunku przystanku autobusowego, szedł najkrótszą drogą.

Teraz Jan odciągnął Karola na bok i gestykulując rękami począł mu szeptać coś na ucho. Gdy wrócili do nas, wiedziałem, że plan jest ułożony.

— Będą nas szukać na drogach i kolejach, prowadzących w głąb kraju — rzekł Jan — dlatego pójdziemy przez las w kierunku morza.

Przypuszczałem, że miał na myśli kuter. Za pół godziny Szwed będzie w swoim baraku nad morzem. Za półtorej godziny my również będziemy tam. Za dwie godziny moglibyśmy odbić od brzegu.

Jan z Karolem ruszyli w głąb lasu. Za nimi poszedł niezdecydowany Henryk, za Henrykiem ja. Światło powoli gasło wpadając w pułapki rozłożystych gałęzi i krzaków. Nagły, chłodny szum, przebiegający wierzchołkami sosen, ocucił nas i wzmógł czujność i trzeźwość.

Drogę do baraku Szweda znał tylko Jan. Wiedział, że jest to nasza ostatnia szansa. Byłem pewny, że Karol już dostroił się do niego: błyskawicznie przy-

swajał sobie spryt życiowy Jana. Wiedza pierwszego natychmiast stawała się własnością drugiego. Obserwując ich przekonałem się, że we dwóch o wiele lżej żyć. W obozie mogłem to zrozumieć, lecz teraz uciekaliśmy od śmierci — sądziłem, że obaj się zmienią. Oni natomiast trzymali się nadal razem.

Henryk nie wiedział, w jakim celu idziemy nad morze. My trzej wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy również, że kuter, na który liczymy, przepuszczał wodę i że w drodze możemy być zmuszeni wyrzucić motor i wszystkie rzeczy. Mogliśmy zabrać tylko kuter stojący na północ od baraku Szweda, gdyż był przeznaczony do remontu i nie strzeżony. Jan, który kilkakrotnie pracował na wybrzeżu, wiedział o tym najlepiej. Powinien był więc powiedzieć nam: musimy sterroryzować Szweda i zabrać kuter. Lecz tego nie zrobił. Szliśmy od pół godziny, a on wciąż milczał. Byłem przekonany, że już nie powie.

Po upływie pół godziny zatrzymaliśmy się pod sosną, by przeczekać chwilę, gdyż nie mogliśmy pokazać się nad morzem przed nocą. Podejrzewałem, że Jan i Karol zechcą od nas uciec. Na razie jeszcze ciągnęli nas za sobą. Później spróbują zwiać. Uważali widocznie, że załatwią się ze Szwedem bez mojej pomocy — nie doceniali mego rewolweru. Mogło to im zresztą się udać, gdyby zaskoczyli Szweda znienacka. Zrozumiałem teraz, że kuter był w bardzo złym stanie.

Stojąc pod sosną i zwracając się do Jana, powiedziałem głośno i dobitnie, tak żeby wszyscy mnie słyszeli:

— Musimy sterroryzować Szweda i ukraść kuter.

Później do Jana, który zagryzł wargi i przymrużył oczy:

— Skąd wiesz, że Szwed ma benzynę?

— Na pewno ma. Wybierał się przecież w podróż — rzucił przez zęby.

Wiedziałem teraz, że Szwed ma benzynę. Henryk dowiedział się, dokąd i w jakim celu idziemy. Na razie był bezpieczny. Zabezpieczało to także i nas. Gdybyśmy go zostawili, o świcie byłby złapany. Jutro wiedziano by o nas wszystko. Mieliby dość czasu, aby nas ująć.

Jan usiadł opierając się plecami o sosnę i utkwił wzrok w moich butach. Odsunąłem nogi, lecz zauważyłem, że wzrok jego znów zatrzymał się na nich. Nie wiedział, co o mnie sądzić. Kiedyś uważał, że można mi ufać. Teraz, gdy zdradziłem jego zamiary Henrykowi, obawiał się, że jestem durniem lub tchórzem. Litość w naszym położeniu uważał za głupotę, a oszczędzanie kogoś narażając własną skórę — za tchórzostwo. Usiłował odgadnąć, czy pomagałem Henrykowi z litości, czy z uporu.

— Jest twoim krewniakiem? — zapytał wskazując głową w stronę Henryka.

— Nie — odparłem.

— Kuter nie utrzyma pięciu ludzi.

— Nie wiem — odrzekłem.

— Lecz ja wiem. Poza tym, kto powiedział, że wszyscy zechcą popłynąć?

— Teraz będziemy musieli — rzekłem stanowczo.

— Rób, jak chcesz.

Przyznał mi rację, gdyż miałem rewolwer w kieszeni.

Jan był człowiekiem, który sądził, że wie, co mówi i czyni. Zachowywał się zbyt pewnie i zbyt polegał na swych siłach, abym mógł w jego racje uwierzyć. Miał zawsze usprawiedliwienie dla siebie. Jeśli czasami odczuwał niezadowolenie, zawsze znajdował wystarczające powody, żeby siebie wytłuma-

czyć. Wierzył, że jego życie musi być ocalone. Stworzy rodzinę i najlepiej ją utrzyma. Będzie miał kochankę i najlepiej ją zadowoli. Wstąpi gdziekolwiek do partii i będzie jej potrzebny. Zawsze potrzebny, zawsze niezastąpiony, zawsze na swoim miejscu. Posiadał życiowe doświadczenie i nosił je w sobie zapewne od urodzenia. Przed pół rokiem przywieziono go z innego obozu. Jaką miał tam przeszłość — nie wiedziałem. Może wlokła się ona za nim jak oskarżenie, które chciał ukryć. Miał teraz możność zerwać z nią a zarazem pozbyć się nas. Pogłoski krążyły o nim mętne i podejrzane. Można było im wierzyć: konkretność i bezwzględność Jana mogły usprawiedliwiać wszelkie podejrzenie. Znając jednak stosunki obozowe, zdawałem sobie również sprawę, że plotki krążyły o każdym bardziej sprytnym i zaradnym. Nieraz byłem świadkiem, jak spiskował przeciwko strażnikom, lecz gdy spisek wykrywano, starał się wybielić w ich oczach, a równocześnie udawać prześladowanego wobec kolegów. Siedział teraz pod sosną i kombinował, jak wyjść cało ze spisku. Myślał za siebie i Karola, który był mu potrzebny.

Wyobrażałem sobie życie Jana jak nudną równinę. Nic na niej się nie zmieniało. Nudna była od wieków. Szara ziemia i ciała wykantowanych przeciwników. Wiedziałem, że i ja mam podobną równinę przed sobą. Lecz ja nie chciałem usiąść jak on przed jej szarą nicością i obliczać z przymrużonymi oczami. Jakże podła wydawała mi się ta gra. Odczuwałem wstręt biorąc w niej udział. Miałem broń, mogłem ustanowić swój porządek, mogłem w ciągu kilku sekund zostać sam, ale przeszkadzały mi ich spojrzenia wlepione we mnie — widziano mnie. Właściwie nie było jeszcze żadnych powodów do użycia broni. Gdy będzie powód, wtedy reguły gry staną się bardziej surowe. Wszyscy zobaczą, że gra się zmieniła. Skoczą na mnie nagle, znienacka, i, jeśli się nie zorientuję, przegram.

Gdybym chciał zgodzić się na ich grę, nie powinienem był odsłonić kart, a ja je odsłoniłem. Lekceważyłem Jana i jego doświadczenie życiowe, które mogło być nawet korzystne dla mnie. Wiedziałem równocześnie, że każde doświadczenie może wziąć w łeb. Wtedy będzie jak robak ślepo podążający do celu i znienacka zmiażdżony nogą.

Z zadowoleniem odczuwałem rosnący we mnie gniew, który z kolei skierował się na potężne cielsko Karola i jego fachowo owinięte onucami nogi. To obsługiwanie siebie i walka o przedmioty, ta niechęć poddania się losowi budziły we mnie niesmak i złość. Podobnie jak Jan miał świadomość, którą przyniósł do obozu stamtąd — od troskliwych matek, ojców i praojców. Świadomość ta przetrwała nieludzkie warunki obozu. Poznałem ją dobrze i dokładnie — była moim wrogiem. Na wolności jak i w obozie panowała okrutna, bezwzględna, uznająca wyłącznie rzeczy użyteczne. W skrupulatnie owiniętych nogach, w rękawicach zmyślnie uszytych ze szmat, w drewniakach powiązanych drutami tworzyła swoje istnienie.

W obozie mogła rozwijać się tylko kosztem mniej zaradnych, słabych, nędzarzy i wszystkich tych, którzy na wolności mieli swoje zasady i przekonania i dlatego stracili tu resztę codziennego sprytu, który był konieczny, aby jakoś przetrwać.

Zarówno Jan jak i Karol nie lubili mnie, czuli, że przejrzałem ich i byłem inny. Wiedzieli też, że nie umiem dobrze posługiwać się piłą, siekierą czy kilofem. Nieraz w obozie, gdy usiłowałem dostać się do brygady Jana i Karola,

która za specjalną pracę otrzymywała dodatkowe racje chleba, nabijali się ze mnie. Ulegałem im wiedząc, że jestem słabszy. Nie chciałem stracić dodatkowych porcji i starałem się pilnością nadrobić swoją nieumiejętność. Zdawałem sobie sprawę, że na terenie obozu nie będę mógł okazać swych zdolności. Musiałem być pochlebcą, lizusem, tchórzem. Ileż to razy ulegałem, aby nie dostać w pysk, wycofywałem się tłamsząc w sobie gniew, ileż to razy w ostrym, obnażającym świetle żarówek przed nierówną, sękatą deską baraku przyłapywałem siebie na marzeniu o dodatkowym talerzu zupy. Myśl o niej była schronieniem przed przewagą i umiejętnościami kolegów.

Jeśli nie można przystosować się do otoczenia, które dokładnie odgaduje intruzów i zdziera maskę z twarzy, wtedy należy rządzić albo poddać się. Zatrzymałem się w połowie drogi.

Henryk, oparty plecami o sosnę, nie rozumiał gry, która nas wiązała. Gdy usłyszał to, co powiedziałem o kutrze i Szwedzie, został mimo woli w nią wciągnięty, nie zdając sobie z tego sprawy. Młodość, o której nie myślał, zwodziła go stale na manowce. Nie pozwalała mu zgodzić się na grę ani w nią uwierzyć. Siedziała w nim odpychając każdą realność, zbliżającą się ku niemu. Czyniła go samotnym. Zanurzał się w niej jak w ciepłym, przyjemnym nurcie. Nie było tu miejsca dla mnie, Jana, Karola z naszymi celami i szaloną wolą ocalenia życia.

Nie mogliśmy zmienić tego losu. Młodość zapewniała mu dłuższą przyszłość. Sądził, że mamy szacunek dla niej. Wbrew rzeczywistości widział w nas przyjaciół.

To był nonsens. Chciałem, żeby to zrozumiał. A może należało go zostawić łasce Jana i Karola? Może niepotrzebnie wspomniałem mu o kutrze?

Nie — myślałem dalej — nawet gdybyśmy uciekli od niego, nie czułby chyba urazy do nas, a ja chciałem odsłonić mu rozgrywkę, która toczyła się między nami, udowodnić, że wszystko, co myśli, jest absurdem, przekonać go, że przyszłość jest złudzeniem jego młodości i zasłania przed nim teraźniejszość.

Zmuszę go do wejścia na kuter, niech wie, co się święci między nami. Wtedy mój cel będzie osiągnięty, wygram z Janem. Zemszczę się za doznane upokorzenia, pozbędę się marzeń.

Zrozumiałem, że Henryka los jest moim losem i trzeba go ocalić. Nie dla życia, nie, lecz dla jednej chwili, chwili porozumienia.

Warto było dla niej uratować drugiego nawet za cenę swego życia. Błędy, omyłki i upadki mojej młodości byłyby odkupione. Dobrze więc zrobiłem, że powiedziałem mu o kutrze.

— Słuchaj, Henryku — zwróciłem się do niego — czy popłyniesz z nami?

Jan drgnął, na twarzy jego pojawił się grymas.

— Nie chcę wracać do obozu — powiedział Henryk.

— Kuter jest w złym stanie, Henryku, nie wiadomo, czy nam się uda przepłynąć. Ze Szwedem będzie nas pięciu. Benzyny może zabraknąć.

— Weźmiemy wiosła. Będziemy wiosłować — wyjąkał niedorzecznie.

— Wiem, Henryku, że będziesz wiosłował, lecz nas jest pięciu. Możemy się znaleźć w sytuacji bez wyjścia. Szwed będzie również wiosłował, lecz nikt go nie zmusi do opuszczenia kutra na środku morza. On zostanie ostatni.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. — Znów odpowiedź wymijająca.

Wciąż myślał o tym „my". Czuł bezpieczeństwo w liczbie mnogiej. Nie mogłem go przekonać. Wierzył w to „my", które było fikcją.

— Słuchaj, Henryku, nikt z nas nie może być pewny, że przepłyniemy.

— Skończcie to gadanie, do cholery — krzyknął Jan. Spostrzegłem, jak zacisnął pięści.

Henryk spojrzał na mnie odpychająco. W przekleństwie Jana szukał teraz ukrycia, lecz ukrycia tam nie było. Tylko ja jeden o tym wiedziałem. Własną niewiedzę uzupełniał gniewem Jana. Przyjmował moje słowa z niechęcią, gdy wyczuł, że go odstraszam wysuwając szereg przeszkód. Sądził, że za moimi słowami ukrywa się słabość. Jan natomiast wydawał mu się silnym, gdyż z nim się nie liczył.

Henryk nie myślał o zbliżającym się końcu. Marzył nadal o swojej wartości dla innych. Dlatego wybrał sobie najokrutniejszego kata, który robi swoją robotę w milczeniu. Nic nie mogłem tu zmienić. Przeciwko mnie był spisek silnych. Silniejsi byli tamci dwaj, niewiedza usprawiedliwiała ich czyny; zamknięci w sobie nie liczyli się z innymi.

Jakież to było śmieszne. Z pewnością przyjdzie chwila, kiedy cichy spisek przeciwko mnie upadnie i Henryk dostrzeże rzeczywistość. Wówczas będzie szukał mojej pomocy, aby spiskować przeciwko rzeczywistości. To będzie początek. Później, gdy zrozumie, że ja się nie wdaję w spiski, zostanie sam przed rzeczywistością, przed swoim końcem, a jedynym jego wrogiem zostanę znowu ja, gdyż będę świadkiem jego upadku. Jaki nonsens, jaka niedorzeczność — myślałem.

— Ruszajmy dalej — ciężko podnosząc się rzekł Jan.

Zmrok powoli przechodził w noc. Ciemność lasu zakrywała zupełnie oczy. Szliśmy potykając się co chwila, trudno było nogami odgadnąć ukryty nierówny grunt. Wiatr już przynosił wierzchołkami sosen szum morza. Za pół godziny wyszliśmy na skraj lasu. Tu było już znacznie widniej. Za wydmami szerokim oddechem szumiało morze, jakby ktoś ogromne, mokre płachty rzucał na brzeg. O sto metrów od nas stał barak Szweda. Przez małe okno padała w ciemność smuga światła. Jan zbliżył się do niej pozostając w ciemności.

Szwed rozbierał się, stał przy łóżku usiłując przez głowę ściągnąć sweter. Zdawało się, że był sam. Jan zapukał do okna, widocznie, by upewnić się, czy nie ma tam jeszcze kogoś innego. Do okna podszedł Szwed. Z rozmierzwionymi włosami wyglądał jak zwierzę wywabione z nory. Na znak Jana weszliśmy do środka.

Szwed był wyraźnie zaskoczony, prześliznął się wzrokiem kolejno po naszych twarzach, jakby oczekiwał strażnika. Gdy Henryk ostatni zamknął za sobą drzwi, Szwed nagle zrozumiał.

— Nie mogę was ukrywać. To niemożliwe. To zupełnie wykluczone — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Nie szukamy ukrycia. Chcemy przedostać się przez morze.

— Co to wszystko znaczy? Czy was zwolniono z obozu? Kto was wypuścił?

Wyciągnąłem z kieszeni rewolwer i podsunąłem mu pod nos.

— Nie dam kutra, jest nieszczelny. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za wasze życie.

— Nie obawiaj się. Popłyniesz razem z nami. Nie ponosisz za nas żadnej odpowiedzialności, skrupuły twoje zbyteczne.

— Powiedziałem, że nie wejdę z wami na kuter. To wykluczone. Władze obozu stracą zaufanie do nas i zerwą stosunki z nami... Uratowałem setki chorych więźniów. Pomyślcie o innych, którym mógłbym pomóc. Skazujecie ich na śmierć. Od was zależy ich los.

— A od ciebie zależy nasz los. Znam tę gadkę. W ten sposób nie zamydlisz nam oczu — odparłem.

Co nas obchodzą więźniowie, z którymi byliśmy razem? Zresztą mamy usprawiedliwienie: nie z naszej ręki wówczas padł strzał. Więźniowie dla mnie nie istnieli, Szwed udawał, że się o nich troszczy. Mówił o nich z tym samym wyrazem twarzy, jaki miał, gdy rozczochrany zbliżył się do okna. Chciałbym wiedzieć, czy wtenczas również myślał o więźniach. Jeżeli tak, to warto zastanowić się nad ich losem. Lecz byłem przekonany, że wtedy o nich nie myślał.

— Zbieraj manatki i żarcie — warknął Jan do niego.

Szwed podszedł do ściennej szafy i zaczął grzebać na półce. Zbliżyłem się obserwując jego ruchy. Na ścianie przy łóżku wisiał obraz wycięty z ilustrowanej gazety, przedstawiający zgrabną kobietę w kostiumie kąpielowym. Wyzywający zadek, miękka linia bioder i opięte obfite piersi. Usiłowałem przypomnieć sobie zapach kobiety, lecz nie mogłem go przywołać. Wszystko było zbyt podobne do zapachu czegoś jadalnego. W ciągu trzech lat w obozie można zapomnieć — pomyślałem — to chyba normalne. Gdy tylko wyjdę na ląd — postanowiłem — zaraz znajdę sobie babę.

Z drugiego końca baraku doszło do mnie mlaskanie i zadowolony pomruk. Odwróciłem się — Jan trzymał nad stołem pudełko konserw, do którego Karol i Henryk sięgali rękami.

— Co tam macie?

— Bierz. Żryj. — Jan podsunął mi konserwy. Wyciągnąłem swoją część i zatopiłem zęby w pachnącej wieprzowinie. Przełknąłem prawie nie żując, gdy nagle za plecami poczułem szmer, lecz zanim zdążyłem odwrócić się, otrzymałem cios w tył głowy. W oczach zakołowały żółte plamy, zachwiałem się na nogach, lecz przytomności nie straciłem. Z trudnością odwróciłem się i ujrzałem Szweda, którego mocno trzymał Jan wykręcając mu rękę do tyłu.

— Czekaj, ścierwo — wył, ciężko sapiąc.

— Puść go... — jęknąłem.

— Co ty, z byka spadłeś? Rąbnę go na miejscu.

— Mnie uderzył, nie ciebie — powiedziałem stanowczo.

— Czy nie rozumiesz, że skurwysyn chciał uciec od nas? Celował butelką w żarówkę.

— Pilnuj go — rzekł do Karola i skoczył do otwartej szafy. Tam przerzucał, grzebał, wywracał. „Pewnie szuka broni" — przemknęło mi przez myśl. Obserwowałem go kątem oka. Klął, ciskał się, ale nie znalazł, wyciągnął tylko mosiężną busolę. Po upływie kilku minut byliśmy gotowi: mieliśmy całą żywność i wódkę w torbach. Benzyny znaleźliśmy stanowczo za mało. Ze stołu zabrałem płaską latarkę i pudełko zapałek. Na ławce stał obficie nasmarowany motor, który Karol wziął na plecy.

— Jazda teraz — rzekł Jan do Szweda — idziemy. I uważaj, żeby ci się nie zechciało krakać po drodze. Jedno słowo, a zgniotę jak wesz.

W baraku czuliśmy zapach suchego drzewa i smoły. Heblowane deski, kanciaste, prymitywne meble, żelazny piecyk — wszystko obnażone, zamknięte w ostrych, wyraźnych liniach — przytłaczały nas przypominając obóz i niebezpieczeństwo. Opieraliśmy się przeciwko temu pewnością czynu. Szum morza natomiast, podmuch wiatru niosący zapach trawy i soli, szara mgła rozpraszały niebezpieczeństwo zupełnie. Nie chciało nam się wierzyć, żeby w tej nieskończoności, w nieforemnej, rozpływającej się mgle, między niewyraźnymi ciemnymi plamami, w szerokim oddechu wody mogło istnieć jakiekolwiek ograniczenie naszych praw. Mgła, woda, wiatr nie mają nic wspólnego z człowiekiem — nie mogą stać się jego wrogiem. Przeciwko nim nie powstaje się, aby zdobyć pewność siebie. Ściskałem w kieszeni rewolwer, lecz on był również zbyt nieznaczny w tej nieskończoności, w której gubiła się nasza ostrożność. Gdyby nagle żołnierz czy strażnik wyrósł przed nami, nie bylibyśmy gotowi do walki.

Trzeba było z wysiłkiem skupiać uwagę — iść powoli i ostrożnie, co chwila przystając i nadsłuchując. Przede mną Jan prowadził Szweda. Po cichym postękiwaniu poznałem, że Jan mu coraz mocniej wykręca rękę. Właściwie należało okazać trochę litości Szwedowi — w końcu robił to, co mu kazano.

— Puść go już, po co męczysz? — szepnąłem do Jana.

Ale Jan czuł w tym przyjemność. Był bardziej wściekły niż w baraku. Bez przerwy klął na Szweda. Znęcanie się dawało mu siłę i decyzję. Chciałem go powstrzymać, lecz zaniechałem, gdyż jego złość w tej chwili była bardziej konkretna i niezbędna niż moja litość.

— Dlaczego Jan nie chce usłuchać? Szwed przecież nic nie winien — powiedział ze współczuciem Henryk.

— A myśmy winni, ciamajdo? — zasyczał Karol. — Wszystkim im należałoby wygarbować skórę. Gdyby chcieli, mogliby nas zabrać. Powiedzieliby tylko, że dają nam chleb, pracę i ściągnęliby do swego kraju. Ale gówno ich to obchodzi.

Głupie gadanie: nie rozumiał, że byliśmy w mocy państwa podobnego do maszyny tortur, stale poszukującego męczenników, ażeby zastraszyć resztę, w której jeszcze tli iskra wolności. Tyrani uspokajają się dopiero wtedy, gdy wszyscy są zastraszeni. W przeciwnym wypadku nie byliby pewni własnej skóry. Nie mogliby spokojnie spać. Myślałem o tym tysiące razy. W końcu to nie miało już żadnego znaczenia, gdyż zostawało w myślach. Dla Jana i Karola było to zbyt dalekie i nieuchwytne. Woleli zrzucać swoją nienawiść na znajdującego się pod ręką. To przynosiło im ulgę i korzyści. Gdyby byli szczerzy, przyznaliby mi rację. Lecz oni przyzwyczaili się działać, nie mówić. Nie mogłem im tego wyjaśnić — odrzuciliby to z pogardą. Milczałem więc jak zwykle. Jednocześnie przejrzałem ich zupełnie dochodząc do wniosku, że nienawiść w rozgrywce jest koniecznie potrzebna.

Wyszliśmy za wydmy, tu łoskot morza był potężny, grzmiący, fale uderzały o brzeg i odgłos ponuro brzmiał w uszach. Wciągałem nozdrzami dziki zapach piany.

Nad brzegiem stał kuter. Jan pchnął do niego Szweda, który potknął się i upadł na burtę. Przeciągnął ręką po twarzy. Był pewnie zadowolony, że nie czuje bólu w ręce. Ból znika w jego ręce — myślałem. Oczy spoglądają wzdłuż brzegu, zerkają w lewo, w prawo, w tył. Od baraku szedł dobrych dziesięć

minut. Przez ten czas był zajęty bólem. Nadzieja na spotkanie patrolu była nikła. Patrol nie istniał i nadzieja również. A może: nadzieja istniała, lecz patrol był daleko. Teraz nadzieja wróciła i patrol z nią. Przesunięcie ręką po czole i otarcie słonej wody z oczu — przyniosło również ulgę.

Jan chwycił go za kołnierz i wrzucił do kutra. Wpierając się nogami w brzeg zaczęliśmy pchać kuter do wody. Dno z trudem posuwało się po mokrym piasku. Ciężko sapiąc napinaliśmy się resztkami sił, aż trzeszczało w lędźwiach i kolanach. Gdy staliśmy w wodzie, zrozumiałem, że dotąd wszystko zrobione było diabelnie dobrze. Wsiedliśmy już na kuter i braliśmy się do wiosłowania. Jan pierwszy zauważył, że nie ma Henryka. Ujrzeliśmy na brzegu jego nieruchomą sylwetkę. Wtedy Jan wyskoczył przez burtę i rozbryzgując wodę pobiegł na brzeg. Widziałem we mgle dwa mocujące się ciała, po chwili Jan, zadyszany i wściekły, wracał niosąc przerzuconego przez plecy Henryka. Wrzucił go do kutra jak worek i wlazł za nim.

Ciężko i ostrożnie wiosłując oddaliliśmy się od brzegu i dopiero, gdy poczuliśmy otwarte morze, Jan kazał Szwedowi zapuścić motor. Usłyszałem fukanie i warkot i uświadomiłem sobie, że to wynik naszego wysiłku. „Cholernie dobra robota" — pomyślałem.

Kuter, zanurzony prawie po burtę, nabierając wodę przez szpary górnych desek, posuwał się jednak dość szybko naprzód. Karol zaczął pompować wodę. Morze nikło na horyzoncie, lecz pod nami, jak żywe ruszające się ciało, podnosiło kuter na grzbiet i rzucało znowu w otwierające się zagłębienia. Gdy Jan puścił motor na pełny gaz, poczułem, że fale ze zdwojoną siłą uderzają o dziób kutra i szybko ślizgając się po bokach znikają we mgle. Ich równy połysk przypominał ruszającą się elastyczną taflę lodu. Czułem ogromne zadowolenie, gdy powiedziałem: „Cholernie dobra robota". Zadowolenie to jednak stopniowo zanikało. Musiałem czymkolwiek się zająć, aby je utrzymać. Odepchnąłem Karola od pompy, gdy poczułem, że woda szybko sączy się do środka, i zacząłem pompować.

Henryk leżał na ławie wioślarskiej: prawą ręką trzymał się za burtę, lewą zasłaniał oczy. Gdy minęła chyba godzina, a on nie zmienił pozycji, upewniłem się w przekonaniu, że Jan musiał go mocno stłuc na brzegu.

— Odsłoń oczy — rzekłem nachylając się do niego i świecąc latarką w twarz.

— Nie mogę patrzyć na wodę — krzyczał płaczliwym głosem — zbiera mnie na wymioty.

— Nie płacz, zrozum, że musieliśmy ciebie zabrać. Nie mogliśmy zostawiać za sobą świadków... Sam przecież w lesie mówiłeś, że pójdziesz z nami... Zresztą to dla twego dobra. Pojutrze będziesz wolny, nałożysz nowy garnitur i zapomnisz o strachu, głodzie i wszach.

— Daj mi spokój... Boję się wody... — wrzeszczał przez warkot motoru.

Miał lęk przed wodą. Pomyślałem wtedy, że w strachu lżej utonąć. Strach odbiera siłę. Ciało łatwiej ulega. Zgon następuje szybciej. Nędzny zgon.

Bezradność Henryka działała mi na nerwy. Czuł się skrzywdzony i winił za to nas. Lecz czy to nasza wina, że on znalazł się tu?

Minął znów jakiś kwadrans pompowania, gdy nagle zrobiło mi się słabo, mgła przesłoniła oczy. Szybko nachyliłem się, chlusnąłem sobie wodą w twarz. Słabość powoli ustąpiła, lecz czułem się strasznie wyczerpany. To samo pewnie odczuwała reszta.

Zawołałem Henryka, aby mnie zastąpił. Milczał i nie ruszał się z miejsca. Chwyciłem go wtedy za kark, postawiłem na nogi i wepchnąłem do rąk pompę. We mgle, rozrzedzonej nieco poświatą niewidocznych gwiazd, był podobny do mechanicznie ruszającego się wahadła zegarowego. Nie jęczał już jak przedtem i nie zasłaniał oczu. „Z pewnością czuje się lepiej" — myślałem.

W kutrze było wody prawie po kolana. Oglądałem się za jakimś przedmiotem do czerpania. Na rufie stał rozkraczony Karol trzymając rękojeść steru. Mieliśmy tylko jedno wiadro. Widziałem, jak Szwed na przedzie czerpał nim wodę. Pracował od początku bez przerwy, a jednak poziom wody stale się podnosił. Nasz ciężar razem z wodą powodował nadmierne zanurzenie się kutra niemal po samą burtę. Czasami mocniej uderzająca fala przechylała go na bok i zanim odzyskiwał równowagę, druga prawie przykrywała go całkowicie. Niepokój mnie ogarnął. Jan stał na przedzie i nie mówił ani słowa. Podszedłem do Szweda i wziąłem od niego wiadro. Po półgodzinnym czerpaniu zauważyłem, że poziom wody obniżył się o szerokość deski. Gdy przez następny kwadrans odpoczywałem, woda znów dosięgła dawnego miejsca.

— Cholerne szpary w tej trumnie — krzyknął Jan do Szweda.

— Mówiłem, że jest nieszczelny i przeznaczony do remontu — odciął się Szwed. — Jeśli wzmoże się wiatr, będzie jeszcze gorzej.

— Przydałoby się drugie wiadro.

— Więcej nie miałem.

— Odejdź od pompy, ciamajdo — wrzasnął Jan do Henryka — pompujesz a gówno z tego.

Henryk padł na ławę i znowu zasłonił oczy. Jan podnosząc głowę przy pompowaniu przypatrywał mu się zaniepokojony i zły. Widać było, że złość jego rosła. Na pewno myślał: niedobrze, że Henryk robi wrażenie skrzywdzonego i budzi litość. Ja natomiast myślałem: niedobrze, że Jan o tym myśli, i później: niedobrze, że myślę, iż jest niedobrze, że Jan o tym myśli. Niech Henryk sobie leży, byle tylko oczu nie zasłaniał, bo to sprzyjałoby zamierzeniom Jana.

— Nad ranem motor stanie, wtedy woda będzie więcej przeciekać — wrzeszczał Jan.

— Żeby zmniejszyć zanurzenie, wyrzucimy motor — odrzekłem.

— Pewnie, że najprzód wyrzucimy motor.

Powiedział „najprzód". Wiedziałem, że oprócz motoru w kutrze nie było nic Ponieważ jednak wyraźnie tego nie powiedział, milczałem. Nigdy bym na to nie poszedł. Gdy zrozumiałem, co planuje, nie mogłem oprzeć się myśli o jego podejrzanej przeszłości. Jeśli to było prawdą, może chciałby przybyć na obcy ląd, czysty, nie obciążony przeszłością, bez niepotrzebnych świadków.

— Jak daleko jeszcze do Szwecji? — zapytałem.

— Jakieś osiemdziesiąt kilometrów — wrzasnął.

— Jeśli ujrzymy teraz komin lub dym statku, będą to Szwedzi — powiedziałem.

— Do jutra mgła nie zniknie. Widoczność będzie marna — rzekł Jan bezlitośnie. I zaraz przyszło to, czego oczekiwałem, co było całkiem jasne, lecz dotąd nie wypowiedziane. Gdy zapytałem:

— Czy utrzymamy się na wodzie do rana?

— W pięciu utrzymamy się do rana, we trzech do wieczora — powiedział Jan.

— Więc do rana — rzekłem szorstko — zostało nam parę godzin.
— We trzech utrzymamy się do wieczora — upierał się Jan.
— Ten numer nie przejdzie — rzekłem stanowczo.
— Dlaczego?
— Bo nikt tego nie chce. Mamy wolny wybór.
— W lecie moglibyśmy wszyscy moczyć się przez cały dzień — ciągnął Jan — w tej wodzie długo nie wytrzymasz: przez godzinę zdrętwiejesz jak kłoda. Nie ma wyboru — mówił głośno i dobitnie. — Kto ma szczęście — zostanie.
— Nie rozumiem, co masz na myśli — wrzasnąłem na cały głos.
— Będziemy ciągnąć losy — powiedział.
Było nas dwóch przeciwko dwom. Jan liczył, że Szwed stanie po ich stronie i był pewny swego — przekonany, że ja z Henrykiem ustąpię. Musiałem porozmawiać ze Szwedem, który w tej chwili czerpał wodę na dziobie kutra. Wyprostowywał się z trudem wylewając za każdym razem pół wiadra. Wysiłek jego był daremny — woda sięgała prawie do kolan.
— Nie poprzesz chyba losowania? — zwróciłem się do niego. — Nie zrobisz wstydu swojej ojczyźnie — dodałem podstępnie. — Słyszałem o Szwecji wiele pochlebnych słów. Porty bez strażników, więzienia z białymi chorągwiami, wolność, porządek i sprawiedliwość.
— Czy jesteś przeciw losowaniu? — zapytałem spojrzawszy mu nagle w oczy.
Szwed wiedział dokładnie, o co mi chodzi, z pewnością zastanawiał się nad tym wcześniej. Odpowiedział wymijająco:
— My, Szwedzi, przede wszystkim szanujemy wolność, nie znamy przymusu.
— Zmusiliśmy cię płynąć z nami — powiedziałem — wtedy zmuszeni byliśmy użyć przymusu, teraz masz wolną rękę. Czy jesteś za przymusem, pytam, za losowaniem?
— Nie.
— Dobrze.
— Źle mnie zrozumiałeś. Jestem po twojej stronie, lecz mam obowiązki wobec Czerwonego Krzyża. Jestem w służbie miłosierdzia i muszę myśleć o waszych nieszczęsnych kolegach w obozie. Wiem, że jedyna ich nadzieja jest we mnie — nie mogę o tym zapominać. Nie mam prawa poddać się nastrojom chwili.
Teraz światło niebiańskie nie otaczało go aureolą. Lawirował na skraju przepaści i w następnej chwili mogło mu zabraknąć odwagi do kłamstwa. Szwecja, kraj porządku i sprawiedliwości, stała się twarzą tego łajdaka, który planował świństwo pod płaszczykiem wielkoduszności. Wiedziałem teraz, że jest nas dwóch przeciwko trzem. Ja z Henrykiem przegrałem. Koniec.
Jan obserwował mnie, gdy rozmawiałem ze Szwedem. Ślizgając się po deskach i chlapiąc w wodzie podszedł do nas. W porannym brzasku widziałem go już całkiem wyraźnie.
— Dawaj zapałki — powiedział.
— Skąd miałbym je mieć? — odparłem. Z pewnością widział, jak wziąłem w baraku.
— Dawaj, dawaj. Już świta, czas na losowanie, trzeba ustalić kolejność, kto ma zostać w kutrze.

— Wolę zapalić papierosa, niż wziąć zimną kąpiel.

Wiedziałem, że za nic w świecie nie zechce zrezygnować ze swego planu, lecz widocznie uznał za wskazane zapytać o moje zdanie:

— A co ma decydować? — rzekł szorstko.

— Wiek — odpowiedziałem. — Najmłodsi muszą zostać na ostatku. Mają przed sobą najwięcej życia, a za sobą najmniej przyjemności.

Wiedziałem, co mówię. Jan był najstarszy. Mógł mieć koło czterdziestki, ja byłem drugi wiekiem po nim, Karol trzeci, a Henryk najmłodszy.

Jan stał milcząc przez chwilę i rozważał. Zauważyłem, że ogarnia go jakaś niepewność, i on spostrzegł, że to zauważyłem, i upór jego wzrósł. Domagał się zapałek, którymi chciał podeprzeć swój los. Z czterech zapałek usiłował zbudować most, żeby przekroczyć przepaść.

— To odpada — rzekł nareszcie — nie mamy metryk. Nie można wierzyć na słowo.

— Proszę — Szwed podał Janowi pudełko zapałek — to dobry pomysł.

Jan wziął cztery zapałki, ułamał łebki trzech tak, żeby były one teraz różnej długości, i oświadczył, że kto wyciągnie najkrótszą, pierwszy pójdzie za burtę. Następnie wszystkie cztery ukrył w prawej i zawołał Karola, który stał na rufie. Podsunął mu zapałki pod nos. Jedna z nich wystawała nieco więcej. Karol z zadowoleniem, jakby się częstował papierosem, wyciągnął ją i ukrył w garści. Teraz Jan zawołał Henryka, który rzucił wiadro i zbliżał się z wylękłą twarzą. Ręka mu się trzęsła. Wyciągnął zapałkę do połowy, rozmyślił się, chciał zostawić i chwycić inną, lecz Jan wziął dotkniętą i wcisnął mu do dłoni. To nie zabawa, lecz losowanie. Reguły musiały być zachowane.

Przez chwilę Jan wahał się i zwlekał. Nadeszła moja kolej, a on nie był pewien, co zrobię. Wiedział, że jeśli odmówię, całą rozgrywkę diabli wezmą. Ale on znalazł wyjście, powiedział, że będzie ciągnął sam. Zdjął czapkę z głowy, wrzucił w nią dwie pozostałe zapałki, potrząsnął i przykrył je na ławie.

— Z prawej strony moja — powiedział nie zastanawiając się. Podniósł czapkę — z prawej strony leżała długa zapałka.

— Pokażcie swoje — rzekł. Gdy wyciągnęliśmy ręce, kolejność była ustalona. Henryk miał najkrótszą, musiał opuścić nas pierwszy, ja byłem drugi, Karol trzeci, a Jan ostatni.

Nad ranem wzmógł się wiatr, morze się rozkołysało pryskając pianą na dziób kutra. Mgła, nieco rzadsza, zmieniła barwę — stała się teraz mleczno-szara. Widziałem jej rozdarte pasma sunące po obu stronach kutra. Zimno przenikało do szpiku kości. Wieczorem mogliśmy jeszcze wytrzymać, teraz trzęśliśmy się dzwoniąc zębami. Jan i Karol pili wódkę na rufie. Nie chciałem prosić, pomyśleliby, że się z nimi solidaryzuję.

Motor pracował już słabo, benzyna się kończyła. Spostrzegłem, że fale teraz mimo wiatru rzadziej uderzały o dziób kutra. Minął dobry kwadrans i znów byliśmy zajęci przy wiadrze, sterze i pompie. Jan i Karol naradzali się odkręcając śruby motoru.

Henryk dygotał na całym ciele. Wczepił się ręką w burtę łodzi i wbił ślepia tępo i rozpaczliwie w mgłę.

— Gdy mgła opadnie, zauważą nas na pewno — bełkotał.

Musiałem rozwiać jego nadzieje:

— Jeśli ktoś byłby w pobliżu, usłyszałby warkot motoru. Nikt się jednak nie zjawia.

— Nie wiedzą, że toniemy — załkał rozpaczliwie.

Widziałem jego twarz — zmarznięta i wymoczona w słonej wodzie, podobna była do pyska śniętej ryby. Usiłował coś mówić, ruszał ustami i językiem. Miał przy tym grymas, jakby nie rozumiał własnych słów i starał się usilnie je wymawiać. Nie mógł zapanować nad sobą.

Nie słuchałem już, co bełkotał. Pracowałem za dwóch, lecz gdyby nawet czterech nas pracowało, nie moglibyśmy zmniejszyć przyboru wody. Jan z Karolem odkręcili bezużyteczny już motor i wyrzucili go do morza. Gdy motor ucichł, Henryk zamilkł, tak jakby mowa jego była zależna od warkotu. Miał w sobie coś z lepkości błota i śliskości meduzy. Nie mógł sam siebie uchwycić. Ruchy naszych ciał hipnotyzowały go — był od nich uzależniony. Patrzył i patrzył, jakby chciał myśleć o własnym spojrzeniu, pozostawał jednak tylko fotoobiektywem, który rejestrował nasz wygląd zewnętrzny, to, czym nie byliśmy. Nie miał już do kogo się zwrócić. Poddawał się mechanicznemu spojrzeniu, był nim sam, odczuwał to jako ostatnią kryjówkę. Widzi, jak biorę wiadro za uchwyt i dno. Mówi sobie: bierzemy wiadro, czerpiemy wodę, wylewamy za burtę. Mija kwadrans, potem drugi, a on wciąż nie może siebie uchwycić. Wmawia sobie, że go nie ma. Dlaczegożby miał być dla siebie? On jest w podniesieniu ręki, w nachyleniu się, w tym „wylewamy wodę za burtę". Po cóż ma być w sobie, jeśli to tak straszne? Po cóż własną wolą zmuszać się do wysiłku i ryzyka? Rzuciłem mu wiadro pod nogi i zabrałem się do pompowania, lecz on wiadra nie podniósł.

Jan obserwował go stojąc przy sterze i pewnie myślał: za pięć, za dziesięć czy piętnaście minut będzie czas. Widzi, że Henryk nie rusza się i nie czerpie wody. To będzie dobry pretekst. Trzeba przecież mieć pretekst do zaczepki. Na razie daje mu spokój. To jego ludzki obowiązek — zaczekać. Dobrze, że Henryk nie czerpie, lżej będzie go oskarżyć i wsiąść na niego. Ale jeszcze chwilę zaczeka.

Mija dwadzieścia minut, pół godziny. Jest około dziesiątej, poranek, ale na morzu wciąż mgła i słońce jakby wieczorne. Wyobrażam sobie wieczór w Szwecji: słońce siada za pagórkiem, dom z sosnowego drzewa, ściany pachnące świeżością, cienie kobiet jak ciepłe rośliny w zmierzchu i ja niosący wodę do domu. Zawsze o tym myślałem sądząc, że starczy mi tego na zawsze. I zawsze to było w przyszłości.

A oto szorstkie, zmierzwione włosy, sól na bladych wargach, rybia twarz Henryka. I trochę wyżej nad oczami, nad tymi symetrycznie ułożonymi kółkami, które biegają w prawo i lewo jakby pociągane sznurkiem, za tą bladą cerą czający się marzyciel, który przyswoił ruchy naszych ciał i na chwilę zagubił się nazywając siebie „my".

Lecz leżąca przede mną przyszłość, ostatnia czułość do nicości, każe mi być twardym i nie wierzyć w solidarność.

— Czego gapisz się na mnie, do cholery! — wrzasnąłem. — Ruszaj się.

— Gdy szedłem nad ranem do pracy — chrapliwym głosem wyjąkał — czekały na mnie narzędzia, wózki, buraki pokryte szronem. Wszystko lśniło w słońcu... Więźniowie uśmiechali się do mnie... Nawet najbardziej ponurzy nabierali otuchy, gdy patrzyłem na nich...

— Przestań deklamować. Weź się w kupę — rzekłem twardo.

— Dlaczego zabraliście mnie? Nie chcę utonąć... nie chcę!... — wrzeszczał. — Miałem tam słońce i przyjaciół... oszukaliście mnie... oszukaliście z zazdrości, że byłem szczęśliwy i miałem przed sobą życia więcej od was. Nie widzieliście szczęścia wokół siebie. Wszystko wam jednakowe. Nienawidzę was, nienawidzę...

— Zamknij mordę, nicponiu! — wrzasnął Jan. — Czerpiesz wodę czy nie?

— Zmusiliście mnie do tej jazdy, oszuści. Nie chciałem i nie chcę z wami płynąć. Zmusiliście mnie...

Gdyby go wieszano w obozie — pomyślałem — żałowałby pewnie pod szubienicą, że nie uciekał, jak teraz żałuje, że nie został. Biegnij do obozu, aby przekonać się, czy nie powieszą, a gdy powieszą, wsiadaj z nami do kutra, aby przekonać się, czy przepłyniesz. Masz tylko jeden wybór...

— Mówię ci, gnoju, byś czerpał wodę! — krzyczał Jan.

— Nie chciałem z wami płynąć... nie chciałem... zmusiliście mnie.

— Ja ci pokażę, łajzo, jak trzymać mordę na kłódkę. Czy po to zdzieraliśmy skórę z rąk, byś nam prawił kazanie? Dlaczego nie wsiadłeś sam? Powiem ci dlaczego. Chciałeś, żeby ciebie wniesiono na rękach, mazgaju.

— Przestań. Zostaw go w spokoju! — wrzasnąłem.

— Ty go bronisz? Nie znasz go. To taki, co to łazi koło ustępu czekając na okazję. Ja ci pomogę ją znaleźć, łajdaku.

— Nie rusz go! — krzyknąłem znowu.

— Patrzcie, opiekun się znalazł. Teraz już wiemy, o co chodzi.

Henryk milczał blady, zastraszony, wczepił się obiema rękami w burtę patrząc na Jana szeroko rozwartymi oczami, śledząc każde jego poruszenie. Był bezsilny, bezradny, zdruzgotany. Nie wiem, czy zastanawiał się nad tym, co mówił przed chwilą. Wiedziałem tylko, że Jan go nie rozumiał. I nie zrozumiałby, gdyby nawet zechciał poświęcić na to całe życie. Był człowiekiem, który nie zna młodości. Ja natomiast Henryka rozumiałem wiedząc jednocześnie, że to, o czym mówił, nie ma żadnego znaczenia dla innych. Wspomnienia jego pomogły mu wejść w siebie. Miał przed sobą obraz wagoników, słońca i przyjaciół. Chciał, abyśmy się solidaryzowali z nim, zapomnieli o kutrze i o przeciekającej wodzie. Żadna jednak siła nie mogła nas zmusić do tego.

Henryk stał się naszym wrogiem. Patrzył na nas z wyżyn swojej przeszłości i przyszłości i to go zmuszało gardzić obecną chwilą. Pogarda była jego ostatnią szansą. Mogłem krzyknąć do niego: „Jestem z tobą". Ale czy byłbym w stanie odebrać mu ostatnią szansę? Zresztą czy łączyłem się z nim naprawdę? Widziałem jego przeszłość, która już nie istniała i nie była moją przeszłością. Dzieliła je odległość dwudziestu lat.

Ażeby pojąć to wszystko, musiał stać się naszym wrogiem i uwierzyć, że nim jest. I teraz uwierzył. Czy miałem więc prawo odbierać mu wiarę? Czy mogłem powiedzieć, że znam jego słońce, szyny i przyjaciół?

Zmusiłem siebie znów do myśli o rozgrywce, która toczyła się ukrycie między nami. Obserwowałem spisek Jana i Karola wiedząc, że gdy przyjdzie czas, przeciwstawię się im. Lecz to była wyłącznie moja możliwość. Tylko to się liczyło.

Wiatr dął teraz dość silnie i gwiżdżąc nad burtą siekł wymęczone, mokre, szare twarze. Szumiące fale załamywały się coraz ostrzej podrzucając nas do

góry, nagle jedna trzasnęła o kuter z hukiem, pluskiem, wstrząsem, tak że tracąc równowagę omal nie wleciałem do morza z brzęczącym wiadrem.

Ogłuchliśmy od wiatru i szumu fal, skurczyliśmy się w wyczerpanych, zbolałych od zimna, zdrętwiałych ciałach, na dnie tej skorupy, nad kołyszącą szarostalową wodą, nad którą ciążyło niebo niewzruszone, nieprzenikliwe i obce.

Jan był już zdecydowany, zbliżał się milcząc ku Henrykowi z posiniałą twarzą i zaciśniętymi pięściami, ślizgając się i chwiejąc na mokrych deskach kutra. Gdy był już o krok od Henryka, chwycił go nagle z tyłu za pas i poderwał od desek, ale ten zdążył wsunąć nogę pod żebro kutra, wczepił się kurczowo w burtę sinymi rękami i wydawało się, że żadna siła go nie oderwie. Mocowali się tak, ciężko dysząc, pomagając sobie krzykiem i przekleństwami. Jan, aczkolwiek silniejszy, musiał uważać, żeby nie wylecieć do morza przy osuwaniu się kutra z grzbietu fali. Gdy po kilku gwałtownych szarpnięciach nie mógł oderwać Henryka, chwycił prawą ręką za jego dłoń chcąc odłamać kurczowo zaciśnięte palce. Henryk w mig nachylił się i wgryzł zębami w jego rękę.

— Puść, szczeniaku! — zawył Jan i rozluźnił ucisk odciągając ręce i klnąc zachrypłym głosem.

Kuter przeskakiwał z fali na falę, gdy Jan odwrócił się do mnie.

— Dawaj rewolwer — ten gnój nas wykończy.

Ktoś poruszył się za moimi plecami — to Karol podchodził z tyłu. Byłem osaczony. Powoli wyciągnąłem rewolwer z kieszeni — w tej chwili fala uderzyła w kuter wynosząc go na swoim grzbiecie — rzuciłem rewolwer za burtę. Jan poderwał się, skoczył, chwycił go w powietrzu. Nagle kuter przechylił się i uciekająca fala pchnęła go gwałtownie na dół. Jan stracił równowagę i runął do morza. Usłyszałem nikłe pluśnięcie wody w nieskończonym szumie. Za chwilę wynurzył się krzycząc rozpaczliwie, parskając i młócąc rękami. Pływać nie umiał.

— Karol... — krzyczał zachłystując się. Był jeszcze tuż za burtą. Karol bez namysłu skoczył do wody, zawiesił się jedną ręką przy kutrze, a drugą wyciągnął w kierunku tonącego. Fale nacierały wysokie, pieniące się, uparte, brały nas na grzbiet, po czym pchały w dół, gdzie następna podrzucała znowu w górę. Karolowi udało się uchwycić rękę Jana, ale ten wczepił się kurczowo w niego i gdy nowa fala szarpnęła kuter, Karol puścił deskę i obaj zanurzyli się w wodzie. Wypłynęli znów, krzyczeli coś, czego nie mogłem zrozumieć. Wiatr chwycił ich głos i poniósł ze sobą. Byli wciąż jeszcze blisko, a głos zdawał się brzmieć jakby z wielkiego oddalenia. Nikt z nas nie zrobił ruchu, żeby skierować kuter w stronę kłębiących się, sczepionych ciał.

Widzę jeszcze, jak fala ich podrzuca do góry, odprowadzam wzrokiem, oto jeden z trudem szarpiący się odpycha gwałtownie kolanami drugiego, a ten jakiś nieruchliwy, powolny, rozdarty jak tobół rozlazłych starych szmat, słyszę jeszcze krzyk bulgocący wodą w gardle, później fala ich rzuca w dół.

„Byliście twardzi, łotry... między wami warto... co było warto?... warto było żyć..." — Nagle jestem tak wyczerpany, że myśl się nie wiąże z myślą, i tak zmarznięty do szpiku kości, że już prawie nie czuję ciała.

I jeszcze raz następna fala ich podrzuca, jeszcze raz udziela im pozorów samodzielnego ruchu, zezwala na chwilę odczucia ciała — chociaż są już pod

wodą niewyraźnym, rozdartym kształtem — i strąca ich na dół, a następna już zalewa całkowicie — ogromna, szumiąca i nieubłagana.

„Czekajcie, łajdacy — podejmuję jeszcze raz — nie myślcie, że byłem ślepcem... dotąd nie użyłem siły; rewolwer był groźny tylko w waszej wyobraźni do chwili, w której zażądaliście go ode mnie..."

I znów zapadłem w odrętwienie patrząc tępo w wodę. Nie zdawałem sobie sprawy, ile czasu tak upłynęło. Gdy rozejrzałem się dokoła, stwierdziłem, że mgła nieznacznie się rozrzedziła, co wskazywało na pogodę. Pod wieczór morze się uspokoi. Wtedy kuter zanurzony po burty z daleka już nie będzie widoczny. Tylko parę czarnych owadów, mokrych much będzie pełzać na nim jak na tonącym jabłku.

Zostało nas trzech. Szwed wiosłował resztkami sił. Pomagałem mu, choć nie miałem już żadnej ochoty: po kilku godzinach rozgrywka mogła się rozpocząć na nowo. Wykonywałem obowiązek, który nie miał już żadnych podstaw oprócz iskry nadziei spotkania jakiegoś okrętu. Była to nieuzasadniona nadzieja — w mgle zauważylibyśmy okręt wtedy dopiero, gdyby na nas wprost najechał. Nie widziałem potrzeby wiosłowania, lecz nie było również przyczyny, żeby nie wiosłować.

Gdy ocknąłem się i przemyślałem jeszcze raz wszystko, co na kutrze zaszło, zrozumiałem, że nie byłem wystarczająco przezorny. Gdyby Jan z rewolwerem uratował się, wtedy nie wiadomo, jakby się wszystko skończyło. O tym niebezpieczeństwie wówczas nie pomyślałem, choć należało się z nim liczyć. Wtedy byłbym zmuszony do otwartej gry.

Wstałem i powlokłem się do rufy patrząc, co by tu jeszcze wyrzucić do morza. Kuter mniej obciążony wynurzał się teraz o dwie deski z wody. W budce na rufie zostały ślady po Janie i Karolu: na półce klucze, którymi odkręcali śruby, deski porysowane ostrymi kantami motoru, pod wręgiem kutra scyzoryk Jana, zabrany z baraku nad morzem. Ostatnie rzeczy, których dotykali. Można by je zachować — zwrócić krewnym, jak się zwraca pierścionki czy zegarki, i powiedzieć: to ich rzeczy, oni je mieli w rękach. Ale nikt by się zbytnio tym nie przejął, rzeczy te nie miałyby wartości relikwii, tak jak pierścionki czy zegarki, które można przy sobie nosić. Znalezione za parę tysięcy lat dopiero przedstawiałyby jakąś wartość, świadczyłyby o człowieku, ale już nie o Janie i Karolu. Wrogie rzeczy. Zebrałem je i wrzuciłem za burtę.

Idąc na dziób kutra potknąłem się i gdybym nie chwycił za ławkę, upadłbym jak długi. Woda sięgała do połowy łydek. Byłem u kresu sił, nogi czułem jak dwa kawały drewna, zmarznięte i zdrętwiałe.

Szwed czerpał wodę na dziobie. Henryk wciąż trzymał się rękami za burtę. Trwał w tej pozycji od kilku godzin.

— Co sądzisz o tym wszystkim? — zwróciłem się do Szweda.

— Biedni chłopcy — rzekł współczująco.

— Teraz przynajmniej uniknęli sądu za twoją śmierć.

— Dlaczego? Miał przecież tylko cztery zapałki. Ja byłem poza losowaniem.

— Czwarta była przeznaczona dla ciebie, kretynie, nie dla niego — odciąłem szorstko — ty byś musiał wyskoczyć przed nim.

Znów fala przechyliła kuter na bok i w miejscu, w którym stałem, ukazały się wręgi. Byłem mokry od stóp do pasa. Wiatr wciąż jeszcze dął przenikliwy i nieustępujący. Przykucnąłem obok budki, która mnie nieco zasłaniała. Od-

rzuciłem deskę leżącą między budką a boczną burtą. Zrozumiałem bezsensowność swego ruchu, lecz miałem chęć ukryć się i o czymkolwiek myśleć. Do końca trzeba dbać o wygodę. Ktoś jest skazany na śmierć i jedzie karetką więzienną na miejsce egzekucji, po raz ostatni myśli o sobie i swoich najbliższych i czuje, że przez zakratowane okienko wieje, więc odsuwa się na bok i podejmuje przerwaną myśl. Nie miałem bliskich ani krewnych. Gdybym nawet miał, nie mógłbym o nich wspominać. A chciałem koniecznie zmusić siebie do myślenia.

W tym zakątku poczułem się jakby między ścianami. Mogłem zamknąć oczy, lecz widziałem białe ściany dokoła siebie. Wyraźnie czułem szczelne zamknięcie przestrzeni, tak wyraźnie, że skojarzyło się ono nawet z zapachem wapiennej ściany i szorstkim tynkiem obozowym baraków. Poczułem ściśnięte gardło i brak tchu w piersi: był to lęk, że będę tak wieki siedział przed tą bielą i nic nie odczuwał oprócz zapachu wapna i szorstkości piasku. Zapach ten przesiąkł moją skórę, czuję go już, gdy wciągam powietrze ustami, chropowata obcość piasku powoli wciska się w ręce.

Lecz istniały jeszcze pasiaste szmaty Henryka, przyklejone do burty, był jeszcze Szwed pełzający na przedzie kutra jak mokry robak. Po raz pierwszy począłem myśleć o Janie z wielką czułością: jaki pewny i żywy był jego wzrok przygważdżający Henryka. Wzrok drapieżnego ptaka, z wysokości śledzący niedołężną ofiarę, dokładne spojrzenie myśliwca, ostatni zryw żołnierza przed atakiem. Od samego początku szedł za swoimi możliwościami, usiłował je urzeczywistnić, czepiał się ich do końca. Utonął z rewolwerem w ręku.

Nie wiem, co bym dał, żeby zamiast Szweda i Henryka znalazł się na kutrze Jan. Skończylibyśmy wtenczas rozgrywkę według wszystkich reguł. Byłem szubrawcem — odrzuciłem ją i znalazłem się teraz przed białą ścianą w pozornym schronieniu. Jak bardzo chciałbym rozpocząć to wszystko od nowa: skrzyżować spojrzenia i przyjąć ślepą konieczność walki. Zdecydować się na rozgrywkę, być twardym do końca. Ale czyż mógłbym w Henryku znaleźć wroga?

— Ruszaj się, niedołęgo! — wrzasnąłem do niego.

Henryk odwrócił się, chciał wstać, lecz nogi ugięły się pod nim. Oparł plecy o burtę trzymając się rękami za ławkę. Grymas strachu wykrzywił mu twarz. Może jego mętne oczy widziały we mnie Jana? A może odczuwał lęk przed każdym? Paniczny lęk przed ludźmi? Nie mógł być wrogiem dla mnie. Nie był również rzeczą, którą można by wyrzucić za burtę. Ubranie jego cuchnęło strachem. Gdybym go dotknął, do końca miałbym ten smród na rękach. Był zdechłą rybą płynącą brzuchem do góry, mokrą muchą pełzającą na rozrzedzonym gnoju w ustępie.

Stałem przy budce słaniając się z wycieńczenia. Do wieczora było chyba niedaleko. Tych kilka godzin trzeba było wytrzymać. Wszedłem do budki myśląc: ktoś wszedł do budki. Przywarłem głową do ściany zapierając się nogami w podłogę. Teraz bez wielkiego wysiłku przeciwstawiłem się rzucaniu fal.

Budka była ciasna, ledwie się w niej mieściłem. Przed moimi oczyma wisiał wielki żelazny hak tak blisko, że przy większym przechyleniu kutra dotykałem go czołem. Nie będę mógł powiedzieć: tu siedział ktoś, kto widział ten hak. Zbyt wielka była różnica, zbyt rażąca sprzeczność między mną a hakiem, którego właściwością było trwanie. Po spiskach, mocowaniu się i zdradzie — hak

przyciągający oczy, hak wiszący nad moim życiem, hak nad losem wszystkich. Istniał na przekór wszystkiemu. Mogłem nim zamknąć drzwi, nazwać go hakiem, lecz nie przyswoibym go, nie wszedłbym w jego spokój, nie nakłoniłbym go do współudziału w cierpieniu. Mogłem go zgiąć, zniekształcić, wszystko jedno zostanie żelazem: trwać będzie i nie wypowie nic o moim istnieniu, poświadczy tylko to, że świat rzeczy jest trwalszy i bardziej doskonały od mego istnienia.

Wparłem się jeszcze mocniej nogami w deski kutra, a głowę wcisnąłem w kąt aż do bólu. Jak często, natrętnie, do śmiertelnego znudzenia wysłuchiwałem w szkole, iż rzeczy są szlachetnymi uczestnikami naszego istnienia. Nauczyciele mieli przy tym słodką, ckliwą twarz, jakby łaska z innego świata spływała na nich. To nie była wiara, nawet nie kłamstwo, to był nonsens. Istniał obok nas świat karabinów, motorów, haków. Zamknięty w sobie, nieodgadnięty, nieobliczalny w następstwach i grożący. Nie mogliśmy oczekiwać żadnej łaski od rzeczy, tylko potępienia. Były złośliwymi świadkami naszej klęski. W każdej chwili trwały w swym zamkniętym istnieniu jak za stołem prokuratora stojącego ponad czasem, trwały i świadczyły o bezsensowności naszego istnienia. W ostateczności zamieniały się z kutra, budki i haka w ciasną trumnę i gwóźdź.

Ze wstrętem założyłem hak zamykając drzwi. Oparłem się plecami i nogami o deski, ogarnęła mnie chęć, by zostać tak zamkniętym na zawsze.

W budce czuć było olejem i naftą. Zamierający zapach, który żył jeszcze w deskach, lecz w powietrzu ustępował już miejsca zapachom wody i soli. Przed kilkoma godzinami jeszcze wdychaliśmy go jak naszą nadzieję.

Dwie górne deski budki były wyłamane. Przez otwór przeświecało niebo, po którym sunęły obłoki. Kuter przechylił się na bok i ujrzałem skrawek ciemnej, stalowej wody. Chwilami wiatr wciskał się przez szczeliny budki zawodząc przeciągłym gwizdem. Strzępy obłoków zgromadziły się nad kutrem, po czym stopniowo rozwierały się ukazując żywe pasma błękitu. Ten soczysty, głęboki błękit przywodził mi na myśl młodość. Przypominał krajobraz nadmorski, w którym wzrastałem. Czas przestał istnieć. Wszystko się zatrzymało.

Nagle dotarł do mnie krzyk, lecz nie mógł mnie wyrwać z tego odrętwienia i bezruchu. Trwało to sekundę, lecz tej sekundy starczyło, by czas na nowo zaczął płynąć.

Strząsnąłem z siebie przeszłość. Nic nie może już stać się moim wspomnieniem. Czy nie byłoby beznadziejną głupotą jeszcze teraz wypełniać archiwum wspomnień? Zrozumiałem, że wpadłem w pułapkę. Gdybym był odwrócił głowę w drugą stronę, uniknąłbym tego. Otwór w ścianie był pułapką. Wpuścił do budki wiatr i niebo, które niegdyś, w młodości, dawały mi schronienie, wchłaniając moją niepewność, lęk i bezradność, gdy chodziłem brzegiem morza powolnym krokiem z podniesioną głową i w tył założonymi rękami. Przybierając tę imponującą pozę usiłowałem przezwyciężyć to, co było we mnie niepewne, podatne, lepkie i miękkie. Sądziłem, że zdobędę się na coś trwałego, na jakąś moc, zdolność, która pozwoli mi powziąć we wszystkim wyraźną i właściwą decyzję. A stało się zgoła inaczej: cała ta bolesna przeszłość, te dumne przechadzki utwierdzały tylko skłonność do wzniosłych, niekonkretnych nastrojów, podobnych do tego, który dopiero co przeżyłem. Zrozumiałem, że

dawne wzniosłe chwile dzisiaj tym bardziej były mi przeszkodą. Złościło mnie, że tak łatwo im uległem. Jak to się stało?

Najpierw był hak, od którego odwróciłem się ze wstrętem. Potem uciekłem do obłoków i to było jak zwykle klęską. Powinienem był utkwić wzrok w rzeczy i otoczenie i przetrwać, póki nie stracą swej pozornej stałości. Gdybym zdawał sobie z tego sprawę, nie zszedłbym na manowce, które odebrały mi czas i pozbawiły decyzji. A decyzję musiałem podjąć.

Byłem osaczony, zmarznięty do szpiku kości, skurczony w bezruchu, samotny od wczoraj, od wieków, musiałem się mieć na baczności. Rzeczy i całe otoczenie czatowały, by uśpić moją czujność. Należało wyzwolić się od nich. Narzucone przez nie wspomnienia również nie miały żadnego sensu. Wobec decyzji były bez wartości. Mogłem nazwać przechadzki nad morzem moimi wspomnieniami, moim życiem, którego nikt mi nie jest w stanie odebrać. Lecz cóż z tego? To były wspomnienia i życie obcego już człowieka. Wtedy nad morzem sądziłem, że jestem panem życia, teraz stojąc przed wyłamanymi deskami myślałem o tym dawnym przekonaniu. Powiedziałem sobie głośno: myślę, że myślałem, iż posiadam życie. I była to jeszcze jedna próba ucieczki od przyszłości.

Iluż to miałem przyjaciół opowiadających o sobie. Jak bardzo byli przywiązani do wspomnień. Nawet w czasie rozmowy już mieli niepewność w spojrzeniu, jakby to, co widzieli, nie było tym, co powinno być widziane. W każdej chwili szukali rzeczy, słów, wrażeń, czegokolwiek, co mogłoby w przyszłości stanowić wartościowe wspomnienie, na zapas gromadzili już przeszłość dla przyszłości po to tylko, żeby kiedyś na wyznaczonym spotkaniu między piątą a siódmą wyciągnąć z siebie te łachy wspomnień jak ze spróchniałego kufra.

Co prawda byli i inni, wyzwoleni i konkretni: Jan, który uciekając od śmierci z taką nieomylną pewnością zaprowadził nas na kuter. Potem zaplanował powyrzucać. Gdyby ktoś sprawiedliwy wtedy przypomniał mu o sumieniu, Jan z całą pewnością odpowiedziałby: „Moje życie należy do mnie. Nie mam przed kim pokutować. Straciłem pamięć o swoich grzechach. Jeśli czegokolwiek żałuję, to tylko, że nie mogę tego wszystkiego przeżyć jeszcze raz". Nie załamał się i taki pozostał do końca.

I znów byłem ja, wycieńczony, zmarznięty, skurczony w ciasnej budce, przed którym otoczenie odsłoniło się w całej nagości. Wspomnienia stały się wspomnieniami o ludziach z przeszłości i ludziach z innego świata. Przeszłość i przyszłość stopiły się w jedną chwilę, w której powstała decyzja. Oprócz niej nie widziałem wokół siebie nic, sam stałem się tą decyzją. Jeszcze godzinę temu miałem przed sobą ludzi, lecz w chwili, w której zdecydowałem się, wokół mnie nie pozostał nikt. Odtąd nie zwlekałem ani sekundy. Każde odwrócenie głowy, podniesienie ręki miały wyraźny cel. Wiedziałem, co mam czynić, i byłem pewny siebie. Patrzyłem na chwile spędzone w budce z wysokości decyzji — wszystkie rzeczy znalazły swoje usprawiedliwienie: woda na dnie kutra, otwór w ścianie, niebo i morze. Wszystkie wydarzenia od przedwczoraj nagle powiązały się — od oszukania Henryka do tej chwili. Moja decyzja nadawała wszystkiemu określony porządek, kierowała wydarzeniami i rzeczami. Przypadek przestał istnieć. Aż tu musiałem się znaleźć, żeby w końcu zrozumieć to, o czym niegdyś wieczorami z wielkim wysiłkiem myślałem: jestem panem życia. Gdybym dwadzieścia lat temu doszedł do tej

samej decyzji, czyżbym mógł cokolwiek stracić? Te dwadzieścia lat nie miały dla mnie żadnego znaczenia — stopiły się w jedną chwilę.

Spojrzałem znów przez otwór w budce — niebo i morze były teraz ciemnoczerwone. Pod wieczór się rozpogodziło, słońce ogromne, ociężałe wisiało na horyzoncie. Mogła być piąta po południu. Przypomniały mi się słowa Jana: z trzema ludźmi kuter utrzyma się do wieczora. Tymczasem ku memu zdziwieniu wody w kutrze nie było więcej niż w chwili, gdy wszedłem do budki. Wspomniałem krzyk słyszany przed godziną. Kopnąłem nogą drzwi, które z trzaskiem wyleciały.

Dwa dni bez przerwy mgła i nagle słońce. Przez chwilę napawało to otuchą budząc niepotrzebne nadzieje.

Na dziobie kutra siedział tamten i czerpał wodę. Henryka nie było.

— Kanalio! — krzyknąłem z wściekłością. — Gdzie Henryk?

Szwed milcząc wskazał ręką za burtę. Miał rozdarty rękaw i poszarpane poły, przez które przeświecał sweter. Nie było żadnych wątpliwości — Henryk bał się wody bardziej niż śmierci. Bronił się zajadle i rozpaczliwie. A ten zrobił swoją robotę, aby w przyszłości założywszy nogę na nogę mógł opowiadać znajomym: „Kiedy byłem delegowany przez Czerwony Krzyż do obozu, pewnego razu czterech więźniów uciekło machnąwszy ręką na konsekwencje, które wynikły z tego dla innych. W dodatku chcieli mnie zrobić na szaro, ale ja...". Nie, tego on nigdy nie opowie. Siedział bezpieczny na dziobie kutra i rachował Na początku szło gładko, póki nas było pięciu. Gdy zostało trzech, ogarnęły go wątpliwości. W końcu przekonał się, że ma prawo. Miał spokojną twarz kata, który czuje bezpieczeństwo za ustawą. Gdyby kuter utrzymał się na wodzie nawet jeszcze tydzień, bilet tego typa straciłby ważność.

— Przestań czerpać! — krzyknąłem do niego. — Jazda do wody.

Wyciągnął ręce pokrwawione od czerpania i drżące konwulsyjnie. Rzuciłem się na niego, ale on sam pochylił się ku mnie w jakimś otępiałym wyrazie błagania. Oczy miał szeroko otwarte, na twarzy łzy, z gardła wydobywał się ochrypły bełkot. Chciałem go pchnąć za burtę, lecz on jakby nagle oprzytomniał, skoczył na mnie, ścisnął rękami szyję krzycząc jak szalony: „Bracia... bracia... bracia..."

To mnie wzięło i poniosło jak wir. Gniew przeszedł w jakieś słodkie wyzwolenie, w burzliwą przyjemność. Odepchnąłem go kolanem od siebie i wyrżnąłem w podbródek, aż mi w ręce trzasnęło — omal że nie przewróciłem się z rozmachu. Zrobiło mi się słabo, tak słabo, jakbym miał lada chwila stracić przytomność. Zatrzymałem wzrok na leżącym. Był prawie cały w wodzie. Resztkami sił chwyciłem go za pas i podnosząc jak najwyżej, pchnąłem za burtę. Kuter oddalał się kołysząc, a on tonął z rozmierzwionymi włosami powoli i nieodwołalnie.

Gdy odwróciłem się — ogromny kadłub okrętu zbliżał się prosto na mnie. Na bugszprycie łopotała błękitna flaga z żółtym krzyżem. Natychmiast zrozumiałem wszystko: łzy w oczach Szweda, przeraźliwy krzyk i to, że byłem zgubiony. Przez reling wychylali się marynarze, kilku z nich już stało na opuszczonej sznurowej drabince tuż nad wodą. Z pewnością widzieli dokładnie przez lornetki, kogo wyrzuciłem. Mundur, opaska Czerwonego Krzyża na rękawie wyjaśniły im wszystko.

Okręt, wysoki, długi, nie ulegający kołysaniom fali, zbliżał się tracąc szyb-

kość. Marynarze tłoczyli się na pokładzie, ktoś krzyknął wskazując ręką na mnie, krzyk podchwycili inni otaczając oficera i, o ile zrozumiałem, domagali się, by wyrzucono mnie do wody. Byli już przy kutrze, okręt wyłączył maszyny i trącił bokiem o kuter, uczepiłem się ławki, by nie wypaść, kilku marynarzy w mig wskoczyło do kutra patrząc na mnie nieprzytomnymi oczami, tępo, okrutnie, z wyrazem gniewu i dzikiego przerażenia. Popychali mnie w kierunku drabiny. Zebrałem resztę sił i powoli wdrapałem się na pokład okrętu. Szedłem w tłumie ziejących nienawiścią głów: wykrzywione usta mruczały, klęły, wrzeszczały. Fala rozwścieczonych ciał okrążyła mnie, oczy świdrowały na wskroś, skazując na śmierć. Patrzyłem prosto — nie spuszczałem z nich wzroku. Nie czułem skrupułów. Nie żałowałem niczego.

Podnieceni moim uporem szturchali mnie łokciami, pchali kolanami, tłukli z tyłu po plecach i gdyby nie oficer, byliby prawdopodobnie zatłukli. Odprowadzono mnie do małej, ciemnej kajuty i zamknięto na klucz. Usiadłem na podłodze opierając się plecami o ścianę. To był koniec. Śmierć była pewna. Jutro, za tydzień, za rok, ale pewna. Straciłem resztki pozorów wieczności i stałem się śmiertelny. Chociaż oszałamiało mnie bicie własnego serca, czułem się tak zmęczony i obojętny, że nie mogłem nawet litować się nad sobą. Myśli, rozbite, tępe, gorączkowe, przeskakiwały z ciał na twarze, mundury, czapki, okręt, morze, tonący kuter, nie mogłem ich pozbierać. Roześmiałem się chrapliwie, żeby opędzić się śmiechem od tego wszystkiego. Usiłowałem przemyśleć swoje położenie. Ludzie, którzy mnie wcale nie znali, nie wiedzieli, co się działo na kutrze i na karczowisku, stali się świadkami oskarżenia. Widziałem już sąd w ich kraju, sędziów, świadków, tłum. Nie mogłem do nikogo zwracać się o zrozumienie. Gdybym nawet nie wyrzucił Szweda za burtę, on sam, wiedząc, że opowiem sądowi prawdę, z pewnością świadczyłby fałszywie, zwalając całą winę za utopienie Henryka na mnie. I jemu by uwierzono, nie mnie.

Nic nie można było przewidzieć. Nieporozumienie leżało w samym zarodku decyzji. Zanim powziąłem decyzję ucieczki przez morze, musiałem wynik tej ucieczki zlekceważyć jako coś, co wówczas było jeszcze niewiadome, jednocześnie zignorować realną sytuację na karczowisku, gdyż przeżywałem ją tylko pod kątem widzenia ucieczki, której jeszcze nie było. I mimo wszystko należało tę niepewność przełamać.

Świństwem jest, jeśli najpierw człowiek zostaje schwytany w sidła, a później daje mu się wolne ręce do decydowania. To było świństwem, lecz usprawiedliwiało wszystkich we wszystkim. Dlaczegożby miało nie usprawiedliwiać wyrzucenia człowieka za burtę?

Jeśli na mnie czeka sąd w obcym kraju, mogę być powieszony albo skazany na dożywocie. Jeśli oddadzą mnie z powrotem do obozu chcąc ratować sytuację Czerwonego Krzyża — będą mnie tam bić, kopać, wyrywać paznokcie, skakać na żebra, później poprowadzą pod szubienicę i powieszą dla przykładu wszystkim więźniom, gdyż wina przecież nie może pozostać nieustalona. Porządek musi być.

Ale zanim to się stanie, będę mógł chyba wybrać drogę do tych, którzy razem ze mną uciekali i leżą teraz na dnie morza.

Leon Szwed

Leopold Lewin

TATRZAŃSKI TRYPTYK

Janowi Ekierowi i Witoldowi Rowickiemu

KOZICA

Sprężona gibkość, lekkość baletnicy,
Gdy się odrywa od brzegu urwiska —
Z piętra na piętro, w poprzek usypiska
Śledzimy skoki samotnej kozicy.

Nie przeczuwając, że ją podglądamy,
Z wdziękiem opada na miękkie upłazy,
I znów ją głazom przekazują głazy
Aż do lazuru u szczytowej bramy.

Zniknęła. W błękit wstąpiła przezroczy?
Skryła się w skał rumowisku na grani?
Siądźmy na chwilę — a może z otchłani
Znowu na ścieżkę ruchomą wyskoczy.

ORZEŁ

Czy to fontanny plusk, czy lot płomienia
Pustynne głazów obszary zamienia
W zamku podwórze!?

Czemu samotnie lecisz, bez orszaku?
Może pozostał na urwistym szlaku
Wśród mgieł na górze?

Zaraz przyfrunie za tobą ze skały
I wnet ogarnie zamek oniemiały
Gwarem łopotu.

Majestatycznie żeglujesz, bez trwogi —
Czemu się nigdy nie skrzyżują drogi
Kroków i lotu?!

Niemi z przejęcia, potęgą olśnieni,
Słuchamy szumu skrzydeł wśród kamieni
Na smudze cienia.

A ty, nie bacząc na żywe zachwyty,
Niesiesz na skrzydłach za płonące szczyty
Nasze spojrzenia.

KONCERT

Sypią się dźwięki po stopniach schroniska —
Płatki róż pachną? Rosa w trawie błyska?

Szczęśliwe dłonie, które pod przełęczą
Sprawiły, że promienie światła dźwięczą;

Że drgnęły chmury i brzęknęły skały —
Czy fisharmonia, czy kamienie grały?

Powstają z głazów katedralne mury
I wieże — Bacha niebosiężne córy.

A nad ołtarzem przywarły do ściany
Smukłe piszczałki z granitu — organy.

Słuchają skalne audytoria — turnie,
Jak echo rodzi melodię powtórnie.

A my nie wiemy, co spełza ze stoku —
Melodii strzępy czy strzępy obłoku.

Leopold Lewin

W. Bogomołow

IWAN

1

Owej nocy zamierzałem sprawdzić przed świtaniem ubezpieczenie bojowe, kazałem więc, żeby mnie obudzono o czwartej zero zero i kilka minut po ósmej położyłem się spać.

Obudzono mnie wcześniej — fosforyzujące wskazówki mojego zegarka wskazywały za kwadrans pierwsza.

— Towarzyszu poruczniku... towarzyszu poruczniku... — Ktoś potrząsał mnie mocno za ramię. W świetle zdobycznego kaganka, migocącego na stole, ujrzałem starszego strzelca Wasiljewa z plutonu ubezpieczającego. — Zatrzymaliśmy tu jednego... Chorąży kazał go zaprowadzić do was...

— Zapalcie lampę! — rozkazałem, klnąc w duchu. — Mogliby poradzić sobie beze mnie!

Wasiljew zapalił spłaszczoną u góry łuskę, zwrócił się do mnie i zameldował:

— Czołgał się w wodzie przy brzegu. Nie chce powiedzieć po co, żąda, żeby go odesłać do sztabu. Na pytania nie odpowiada. „Będę rozmawiał tylko z dowódcą" — mówi. Zdaje się, że bardzo osłabiony, ale może tylko udaje. Chorąży kazał...

Dźwignąłem się, wysunąłem nogi spod koca i przecierając oczy usiadłem na pryczy. Wasiljew, rudy dryblas, stał przede mną, z jego ciemnej, przesiąkniętej wilgocią panterki spadały krople wody.

Knot rozpalił się wreszcie, oświetlając obszerną ziemiankę. Tuż przy drzwiach dostrzegłem szczuplutkiego chłopczynę lat około jedenastu. Był zupełnie siny i dygotał z zimna, na sobie miał tylko koszulę i spodnie, mokre, przyklejone do ciała, nie obute małe nogi aż po kostki okrywało błoto. Na jego widok przeszył mnie dreszcz.

— Stań przy piecu! — rozkazałem. — Coś ty za jeden?

Podszedł wbijając we mnie baczne spojrzenie wielkich, niezwykle daleko od siebie osadzonych oczu. Twarz miał szeroką, o wystających kościach policzkowych, ciemnoszarą od brudu, który wżarł się w skórę. Okalały ją zmierzwione, długie, mokre włosy nieokreślonego koloru. W spojrzeniu chłopca, w wyrazie zmizerowanej twarzy o mocno zaciśniętych, zsiniałych

wargach można było wyczuć jakieś napięcie wewnętrzne i — jak mi się zdawało — nieufność i niechęć.

— Coś za jeden? — powtórzyłem pytanie.

— Niech ten wyjdzie — szczękając zębami, słabym głosem odpowiedział chłopak wskazując oczami Wasiljewa.

— Dorzućcie drew i czekajcie na górze! — rozkazałem Wasiljewowi.

Wasiljew westchnął głośno, potem wolniutko, żeby jak najdłużej pozostać w ciepłej ziemiance, poprawiał głownie, napchał do piecyka krótkich drewek i równie wolno wyszedł. Ja tymczasem wciągnąłem na nogi buty i spojrzałem wyczekująco na chłopaka.

— No, czemu milczysz? Skąd jesteś?

— Nazywam się Bondariow — rzekł cicho chłopiec z taką intonacją, jak gdyby to nazwisko coś mi powinno było mówić albo też w ogóle tłumaczyło wszystko. — Zawiadomcie natychmiast sztab, pięćdziesiątego pierwszego, że jestem tutaj.

— Patrzcie no! — rzuciłem, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. — A co dalej?

— To już was nie obchodzi. Oni sami wszystko załatwią.

— Kto to są „oni"? Jaki sztab mam zawiadomić i kto to jest pięćdziesiąty pierwszy?

Chłopak milczał.

— Jaki sztab, której armii?

— Poczta polowa we-cze * czterdzieści dziewięć pięćset pięćdziesiąt.

Wymienił bezbłędnie numer poczty polowej sztabu naszej armii. Przestałem się uśmiechać i patrzałem na niego ze zdziwieniem, starając się coś z tego wszystkiego zrozumieć.

Brudną koszulinę, sięgającą do bioder, i wąskie, krótkie spodnie, a raczej gatki, miał stare, lniane, uszyte na wsi i bodaj czy nie na wsi tkane, ale mówił poprawnie, z akcentem moskiewskim albo może białoruskim. W każdym razie sądząc z mowy musiał pochodzić z miasta.

Stał przede mną zerkając na mnie spode łba, pociągał nosem i wciąż dygotał.

— Zrzuć z siebie wszystko i wytrzyj się dobrze. Szybko! — rozkazałem podając mu fasowany ręcznik nie pierwszej czystości.

Chłopiec ściągnął koszulę, obnażając chude ciało z wystającymi żebrami, i spojrzał niepewnie na ręcznik.

— Bierz, bierz! Jest brudny.

Mały zaczął rozcierać pierś, plecy, ręce.

— Portki też zdejm! — skomenderowałem. — Co to, wstydzisz się?

Chłopiec, wciąż nie odzywając się słowem, z pewnym trudem rozwiązał napęczniałą od wody tasiemkę, która zastępowała mu pasek, i zrzucił spodnie. Był jeszcze zupełnym dzieckiem — wąskie ramiona, cienkie nogi i ręce. Wyglądał co najwyżej na dziesięć czy jedenaście lat, chociaż sądząc z twarzy, posępnej, skupionej, ze zmarszczkami na wypukłym czole, można by mu dać nawet trzynaście. Chwycił koszulę, portki i odrzucił je do kąta przy drzwiach.

* We-cze — telefon polowy.

— A kto to ma za ciebie suszyć?

— Wszystko mi przywiozą.

— Ach tak! — odrzekłem z powątpiewaniem. — A gdzie twoje ubranie?

Chłopiec nie odpowiedział. Chciałem jeszcze zapytać, gdzie ma dokumenty, ale zorientowałem się w porę, że jest jeszcze za mały, żeby je posiadać.

Wyciągnąłem spod pryczy starą watówkę łącznika, który był właśnie w batalionie sanitarnym. Chłopak stał przy piecu plecami do mnie — między wystającymi, ostrymi łopatkami widniało duże, ciemne znamię, wielkości sporej monety. Nieco wyżej, nad prawą łopatką, odcinała się purpurowa blizna, zapewne od postrzału.

— Co to masz?

Chłopiec obejrzał się przez ramię, ale nic nie odpowiedział.

— Pytam cię, co masz na plecach? — spytałem głośniej, podając mu watówkę.

— To was nie obchodzi. I proszę nie krzyczeć! — odpowiedział ostro, łyskając złowrogo zielonymi, kocimi oczami; watówkę jednak ode mnie wziął. — Wy macie tylko zameldować, że jestem tutaj. Reszta was nie obchodzi.

— Nie ucz mnie! — skarciłem go zirytowany. — Nie masz pojęcia, gdzie jesteś i jak się masz zachowywać. Twoje nazwisko nic mi nie mówi. Dopóki nie wyjaśnisz, kim jesteś i skąd i po co przedostałeś się nad rzekę, palcem nawet nie kiwnę.

— Odpowiecie za to! — z pogróżką w głosie oświadczył chłopak.

— Ty mnie nie strasz, jeszcześ za mały! I bawić się ze mną w milczka też ci się nie uda! Mów wyraźnie — skąd jesteś?

Chłopiec otulił się watówką, która sięgała mu prawie do kostek, i milczał patrząc w bok.

— Posiedzisz tu dzień, dwa, pięć dni, ale dopóki nie powiesz, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś, nikomu o tobie nie zameldуję! — oznajmiłem stanowczo.

Spojrzał na mnie zimno, obojętnie, potem znów odwrócił się bez słowa.

— Będziesz ty mówił?

— Musicie natychmiast zameldować do sztabu, pięćdziesiątemu pierwszemu, że jestem tutaj — powtórzył z uporem.

— Ja nic nie muszę — powiedziałem ze złością. — I dopóki nie wyjaśnisz, kim jesteś i skąd pochodzisz, nic nie zrobię. Zakonotuj to sobie!... Kto to jest pięćdziesiąty pierwszy?

Milczał skupiony, zwarty w sobie, jak młody byczek.

— Skąd jesteś?... — spytałem raz jeszcze, z trudem panując nad sobą. — Mówże wreszcie, jeżeli chcesz, żebym o tobie zameldował!

Po długiej pauzie — pełnej głębokiego namysłu — chłopak wycedził przez zęby:

— Z tamtego brzegu.

— Z tamtego brzegu? — Nie uwierzyłem. — Jakeś się tu dostał? Jak możesz dowieść, żeś z tamtego brzegu?

— Nie będę wcale dowodził. Nic więcej nie powiem. Nie macie prawa mnie wypytywać — odpowiecie za to! I przez telefon proszę nic nie mówić. O tym, że jestem z tamtego brzegu, wie tylko pięćdziesiąty pierwszy. Musicie

mu natychmiast zameldować: Bondariow jest u mnie. To wszystko! Przyjadą po mnie! — zawołał z przekonaniem.

— Może jednak wytłumaczysz, ktoś ty taki, że aż mają po ciebie przyjechać?

Chłopiec milczał.

Przyglądałem mu się przez chwilę, zastanawiając się nad sytuacją. Nazwisko jego nic mi nie mówiło, ale być może w sztabie armii wiedziano coś o nim. Podczas wojny przyzwyczaiłem się już do tego, że nie należy się niczemu dziwić.

Malec był wymizerowany, wyglądał nędznie, ale trzymał się hardo i rozmawiał ze mną bardzo pewnie, a nawet z góry: nie prosił, lecz żądał. Ponury, skupiony i mający się wciąż na baczności niby człowiek dorosły, sprawiał on bardzo szczególne wrażenie. Ale twierdzenie, że przybył z tamtego brzegu, uznałem za wirutne kłamstwo.

Nie zamierzałem oczywiście meldować o nim bezpośrednio do sztabu armii, ale obowiązkiem moim było zawiadomić pułk. Miałem nadzieję, że tamci zabiorą go do siebie i sami już wszystko wyjaśnią, a ja prześpię się jeszcze parę godzin i pójdę sprawdzić ubezpieczenie.

Przekręciłem korbkę aparatu, podniosłem słuchawkę i połączyłem się ze sztabem pułku.

— Tu trzeci — usłyszałem głos dowódcy sztabu, kapitana Masłowa.

— Towarzyszu kapitanie, melduje się ósmy! Mam tutaj Bondariowa. Bonda-rio-wa! Żąda, żeby zameldować o nim „Wołdze"...

— Bondariowa?... — powtórzył ze zdziwieniem Masłow. — Co to za Bondariow? Major z oddziału operacyjnego? Na inspekcję? Skąd się u ciebie wziął? — zasypał mnie pytaniami Masłow najwyraźniej zaniepokojony.

— Ależ nie! Sam nie wiem, co to za jeden — nie chce nic mówić. Żąda, żebym zameldował „Wołdze", pięćdziesiątemu pierwszemu, że jest u mnie.

— A kto to jest pięćdziesiąty pierwszy?

— Sądziłem, że właśnie wy wiecie.

— Nie znamy kodu sztabu armii. Tylko dywizji. A kto to taki? Jaki ma stopień?

— Stopnia nie ma żadnego — odrzekłem z mimowolnym uśmiechem. — To mały chłopiec, uważacie, ma ze dwanaście lat...

— Co to, kpisz?... Z kogo sobie żarciki stroisz?! — ryknął do słuchawki Masłow. — Cyrk urządzasz? Ja ci pokażę chłopca! Majorowi zameldуję! Coś ty — pijany czy nie masz nic do roboty? Ja ci...

— Towarzyszu kapitanie! — krzyknąłem, oszołomiony takim obrotem sprawy. — Towarzyszu kapitanie, słowo daję, to chłopiec! Myślałem, że coś o nim wiecie...

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć! — darł się rozjuszony Masłow. — I ty mi głupstwami głowy nie zawracaj! Za smarkacza mnie masz! Tutaj tyle roboty, że głowa mi puchnie, a ty...

— Myślałem tylko...

— No to nie myśl!

— Rozkaz! Towarzyszu kapitanie, ale co mam robić z tym szczeniakiem?

— Co masz robić?... A jak on do ciebie trafił?

— Patrol zatrzymał go na brzegu.

— A jak trafił na brzeg?

— O ile się orientuję... — Urwałem zakłopotany. — Powiada, że z tamtej strony.

— „Powiada" — powtórzył zjadliwie Masłow. — Na dywanie latającym? On ci coś tam plecie, a ty słuchasz. Weź go pod straż! — rozkazał.

— Powiedzcie mu, że jeśli będzie wrzeszczał i nie zamelduje natychmiast pięćdziesiątemu pierwszemu — głośno i stanowczo odezwał się naraz chłopiec — to będzie za to odpowiadał!...

Ale Masłow odłożył już słuchawkę. Ja też cisnąłem swoją, wściekły na szczeniaka, a jeszcze bardziej na Masłowa.

Sęk tkwił w tym, że pełniłem obowiązki dowódcy batalionu chwilowo i wszyscy wiedzieli, że jestem „p.o.". Na dobitkę miałem dopiero dwadzieścia jeden lat, toteż siłą rzeczy stosunek do mnie był inny niż do pozostałych dowódców. O ile dowódca pułku i jego zastępcy starali się nigdy nie dać mi tego poznać, o tyle Masłow — nawiasem mówiąc, najmłodszy z moich zwierzchników — nie ukrywał wcale, że mnie ma za smarkacza i odpowiednio mnie traktował, mimo że walczyłem niemal od początku wojny, byłem kilkakrotnie ranny i miałem odznaczenia.

Masłow bez wątpienia nie poważyłby się rozmawiać takim tonem z dowódcą pierwszego lub trzeciego batalionu. Ale ze mną... Nie słucha, nie stara się zrozumieć, o co chodzi, tylko od razu ryczy... Byłem pewien, że Masłow nie ma racji. Mimo to zwróciłem się do chłopca z niejaką złośliwą uciechą:

— Prosiłeś, żebym o tobie zameldował — no i zameldowałem! Mam rozkaz wsadzić cię do ziemianki — zełgałem — i trzymać pod strażą. Zadowolony jesteś?

— Powiedziałem, żebyście zameldowali do sztabu, pięćdziesiątemu pierwszemu, a wyście dokąd dzwonili?

— Tyś mi „powiedział"!... Nie wolno mi zwracać się bezpośrednio do sztabu armii.

— To ja sam zadzwonię.

Chłopak błyskawicznie wysunął rękę spod watówki i chwycił za słuchawkę.

— Nie waż się!... Do kogo chcesz dzwonić? Kogo znasz w sztabie armii?

Chłopak milczał chwilę, nie wypuszczając jednak słuchawki, potem rzucił niechętnie:

— Podpułkownika Griaznowa.

Podpułkownik Griaznow był dowódcą oddziału rozpoznania armii. Znałem go nie tylko ze słyszenia, lecz także osobiście.

— Skąd go znasz?

Milczenie.

— Kogo jeszcze znasz w sztabie armii?

Znów milczenie, szybkie spojrzenie spode łba i odpowiedź przez zaciśnięte zęby:

— Kapitana Cholina.

Cholina — oficera oddziału rozpoznania sztabu armii — również znałem.

— Skąd ich znasz?

— W tej chwili zameldujcie Griaznowowi, że jestem tutaj — nie odpowiadając na moje pytanie zażądał chłopak — albo sam zadzwonię!

Odebrałem mu słuchawkę, zastanowiłem się jeszcze chwilę, wreszcie znów pokręciłem korbką i znów połączono mnie z Masłowem.

— Tu znowu ósmy. Towarzyszu kapitanie, proszę mnie wysłuchać — zacząłem stanowczo, usiłując pokonać tremę. — Jeszcze raz w sprawie Bondariowa. On zna podpułkownika Griaznowa i kapitana Cholina.

— Skąd ich zna? — znużonym głosem spytał Masłow.

— Nie chce powiedzieć. Uważam, że należy zameldować o nim podpułkownikowi Griaznowowi.

— Skoro tak uważasz, to zamelduj — dziwnie zobojętniałym tonem rzekł Masłow. — Ty w ogóle uważasz, że należy zawracać zwierzchnikom głowę każdym głupstwem. Ja osobiście nie widzę powodu, żeby niepokoić dowództwo, na dobitkę w nocy. Nie uchodzi!

— A więc pozwalacie mi zadzwonić?

— Nic ci nie pozwalam i nie mieszaj mnie do tego... A zresztą możesz zadzwonić do Dunajewa. Rozmawiałem z nim przed chwilą, nie śpi.

Połączyłem się z majorem Dunajewem, dowódcą oddziału rozpoznania dywizji, i zakomunikowałem, że mam u siebie Bondariowa, który żąda, aby zameldowano o nim niezwłocznie podpułkownikowi Griaznowowi...

— Rozumiem — przerwał mi Dunajew. — Czekajcie. Zameldуję.

Po upływie jakichś dwóch minut telefon zabrzęczał ostro i natarczywie.

— Ósmy? Proszę mówić z „Wołgą" — odezwał się telefonista.

— Galcew?... Jak się masz, Galcew! — Poznałem niski, ochrypły głos podpułkownika Griaznowa — nie mogłem go nie poznać, Griaznow bowiem do początku lata był dowódcą oddziału rozpoznania naszej dywizji, ja zaś byłem podówczas oficerem łączności i stykałem się z nim stale. — Bondariow jest u ciebie?

— Jest, towarzyszu podpułkowniku!

— Dzielny chłop! — W pierwszej chwili nie zrozumiałem, dla kogo przeznaczona jest ta pochwała — dla mnie czy dla chłopca. — Słuchaj uważnie! Wyrzuć wszystkich z ziemianki, żeby go nie widzieli i nie zawracali mu głowy. Żadnych pytań i żadnych rozmów o nim! Kombinujesz?... Pozdrów go ode mnie. Cholin już po niego jedzie, za jakie trzy godziny będzie pewno u ciebie. Na razie zatroszcz się tam o niego! Traktuj go delikatnie — chłopak ma swoje dziwactwa, pamiętaj. Przede wszystkim daj mu papier i atrament albo ołówek. To, co napisze, zapieczętuj i niezwłocznie przez zaufanego człowieka prześlij do sztabu pułku. Wydam tam rozkaz, żeby od razu dostarczyli to mnie. Zatroszcz się o niego i za dużo z nim nie gadaj, nie wyciągaj na słówka. Każ przynieść gorącej wody, żeby się umył, daj jeść i niech śpi. To nasz chłopak. Kombinujesz?

— Tak jest — odpowiedziałem, chociaż niewiele jeszcze rozumiałem.

— Chcesz jeść? — zapytałem przede wszystkim chłopca.

— Potem — rzucił nie podnosząc oczu.

Położyłem więc przed nim na stole papier, koperty i pióro, postawiłem atrament, potem wyszedłem z ziemianki, kazałem Wasiljewowi wracać na posterunek i po powrocie zamknąłem drzwi na haczyk.

Chłopiec siedział na brzeżku ławki tyłem do rozpalonego do czerwoności piecyka. Ze spiętej agrafką kieszeni wyciągnął brudną chusteczkę do nosa, rozwinął ją, wysypał na stół i rozłożył na poszczególne kupki ziarenka pszе-

nicy i żyta, pestki słonecznika, sosnowe i świerkowe kołki. Następnie z wielkim skupieniem przeliczył, ile jest w każdej kupce, i zapisał te liczby na papierze.

Kiedy podszedłem do stołu, odwrócił szybko arkusz i zmierzył mnie nieżyczliwym spojrzeniem.

— Ależ nie patrzę, nie patrzę — zapewniłem go skwapliwie.

Zadzwoniłem do sztabu batalionu i kazałem niezwłocznie zagrzać dwa wiadra wody i przynieść je do ziemianki wraz z wielkim kotłem. Wyczułem zdziwienie w głosie sierżanta, który powtarzał mój rozkaz. Powiedziałem wobec tego, że chcę się umyć, było zaś pół do drugiej w nocy i sierżant zapewne, podobnie jak Masłow, doszedł do wniosku, że jestem pijany albo nie mam nic do roboty. Kazałem też uprzedzić Cariwnego — roztropnego strzelca z piątej kompanii — że jako łącznik ma się udać wkrótce do sztabu pułku.

Rozmawiając przez telefon stałem bokiem do stołu i kącikiem oka widziałem, że chłopiec poliniował arkusz papieru wszerz i wzdłuż i w pierwszej lewej rubryce dużym dziecięcym pismem kaligrafuje starannie: „...2... 4,5...". Nie wiedziałem i nie dowiedziałem się zresztą nigdy, co oznaczały te liczby i co napisał potem.

Pisał długo, blisko godzinę, skrzypiąc piórem po papierze, sapiąc i zasłaniając arkusz rękawem. Palce miał pokryte zadrapaniami, paznokcie krótko obgryzione, szyję i uszy od dawna nie myte. Od czasu do czasu przerywał, przygryzał nerwowo wargę, zastanawiał się czy może coś sobie przypominał, sapał i znowu pisał. Przyniesiono już gorącą i zimną wodę — nie wpuściłem nikogo do ziemianki, lecz sam wniosłem do niej wiadra i kocioł — a chłopiec wciąż jeszcze wodził po papierze skrzypiącym piórem, na wszelki więc wypadek postawiłem wiadro z gorącą wodą na piecu.

Chłopiec skończył, złożył zapisane kartki na pół i wsunął je do koperty, którą poślinił i starannie zakleił. Następnie wziął inną, większą kopertę, włożył do niej pierwszą i zakleił tę drugą równie starannie.

Dałem kopertę łącznikowi, który czekał w pobliżu ziemianki, i rozkazałem:

— Odnieście niezwłocznie do sztabu pułku! Pilne! O wykonaniu zameldujcie Krajewowi...

Potem wróciłem, zmieszałem wodę w jednym z wiader, żeby nie była za gorąca. Chłopiec zrzucił watówkę, wlazł do kotła i zabrał się do mycia.

Czułem, że zawiniłem wobec niego. Chłopiec nie odpowiadał na pytania bez wątpienia zgodnie z instrukcjami, ja zaś krzyczałem na niego, groziłem mu, starałem się wyciągnąć z niego wiadomości nie przeznaczone bynajmniej dla moich uszu — jak wiadomo, zwiadowcy mają swoje tajemnice, których nie wolno zgłębiać nawet wyższym oficerom sztabowym.

Teraz gotów byłem krzątać się przy nim jak oddana piastunka. Miałem nawet ochotę własnoręcznie go umyć, ale brakło mi na to odwagi — chłopiec nie patrzał wcale na mnie i zachowywał się tak, jak gdyby prócz niego w ziemiance nie było nikogo.

— Daj, umyję ci plecy — zaproponowałem wreszcie niepewnie.

— Sam! — burknął chłopiec.

Nie pozostawało mi nic innego, jak stać przy piecyku trzymając w ręku czysty ręcznik i koszulę — chłopak miał ją włożyć — i od czasu do czasu

mieszać w menażce swoją kolację, której szczęśliwym trafem nie zjadłem — kaszę jaglaną z mięsem.

Po umyciu okazało się, że chłopiec ma jasne włosy i białą skórę, a jedynie twarz i dłonie nieco ciemniejsze — od wiatru albo od opalenizny. Małe, różowe. delikatne uszy były, jak zauważyłem, niesymetryczne — prawe przylegało do głowy, lewe nieco odstawało. W szerokiej twarzy o wystających kościach policzkowych najbardziej zwracały uwagę oczy, wielkie, zielonkawe, niezwykle daleko od siebie osadzone. Ja w każdym razie nigdy jeszcze nie widziałem tak osadzonych oczu.

Chłopiec wytarł się do sucha, wziął ode mnie nagrzaną przy piecu koszulę, włożył ją, zawinął starannie rękawy i usiadł przy stole. Z twarzy jego znikł już wyraz nieufności, spoglądał przed siebie wzrokiem znużonym, ale zarazem surowym i zamyślonym.

Spodziewałem się, że rzuci się łapczywie na jedzenie, ale on zanurzył tylko kilka razy łyżkę, poruszył szczękami jakby bez apetytu i odsunął menażkę. Potem, wciąż w milczeniu, wypił kubek bardzo słodkiej (nie żałowałem cukru) herbaty z herbatnikami pochodzącymi z mojego dodatkowego przydziału i wstał mówiąc cicho:

— Dziękuję.

Wyniosłem tymczasem kocioł z brudną wodą, zupełnie czarną, na powierzchni tylko szarawą od mydła, i poprawiłem poduszkę na pryczy. Chłopiec wdrapał się na swoje posłanie i ułożył twarzą do ściany, podsuwając dłoń pod policzek. Wszystkie moje czynności przyjmował jak coś należnego. Domyśliłem się, że nie po raz pierwszy wraca „z tamtej strony" i wie, iż sztab armii po otrzymaniu wiadomości o jego przybyciu wydaje natychmiast rozkaz, by się o niego „zatroszczono"... Przykryłem go dwoma kocami i podwinąłem je starannie ze wszystkich stron, jak to kiedyś układając mnie do snu robiła moja matka...

2

Starając się zachowywać jak najciszej, ubrałem się — włożyłem hełm, narzuciłem na szynel panterkę, wziąłem pistolet maszynowy — i wyszedłem z ziemianki, rozkazując wartownikowi, by nikogo do niej podczas mojej nieobecności nie wpuszczał.

Noc była posępna. Deszcz ustał już wprawdzie, ale dął gwałtowny, północny wiatr, było ciemno i zimno.

Ziemianka moja znajdowała się na skraju lasu, w odległości jakichś siedmiuset metrów od Dniepru, dzielącego nas od Niemców. Przeciwległy, wysoki brzeg górował nad naszym brzegiem, toteż naszą pierwszą linię cofnięto w głąb, na dogodniejsze miejsce, tuż nad rzeką zaś stawiano jedynie pododdziały ubezpieczające.

Posuwałem się w ciemnościach skrajem lasu, orientując się z grubsza według błysków rakiet na brzegu nieprzyjaciela — rakiety wybuchały to tu, to ówdzie na całej niemieckiej linii obronnej. Ciszę nocną raz po raz rozdzierały krótkie serie kaemów. Niemcy po nocach regularnie — jak mawiał nasz dowódca pułku, „profilaktycznie" — co kilka minut ostrzeliwali nasz pas przybrzeżny i rzekę przy naszym brzegu.

Znalazłszy się nad Dnieprem, podszedłem do rowu, w którym mieścił się najbliższy posterunek, i poleciłem, aby wezwano do mnie dowódcę plutonu ubezpieczającego. Gdy ten nadbiegł zdyszany, ruszyłem wraz z nim brzegiem rzeki. Dowódca zapytał mnie od razu o „szczeniaka", wywnioskował bowiem zapewne, że wizyta moja pozostaje w jakimś związku z zatrzymanym malcem. Nie odpowiadając na to pytanie zacząłem szybko mówić o czym innym, sam jednak myślą powracałem wciąż do chłopca.

Wpatrywałem się w osłonięty ciemnością, półkilometrowy zakręt Dniepru i wciąż nie mogłem uwierzyć, że mały Bondariow przedostał się do nas z tamtej strony. Cóż za ludzie go tu przerzucili i gdzie oni są? Gdzie jest łódź? Czyżby posterunki ubezpieczające mogły ją przegapić? A może wysadzono go z łodzi w znacznej odległości od brzegu? Ale jak można wrzucić do zimnej wody jesiennej takiego chudego, słabego chłopca?...

Nasza dywizja gotowała się do forsowania Dniepru. W otrzymanej przeze mnie instrukcji — wkułem ją omal że na pamięć — w tej instrukcji dotyczącej dorosłych, silnych mężczyzn, powiedziane było: „jeżeli temperatura wody niższa jest od + 15°, to przebycie rzeki wpław nawet dla wytrawnego pływaka jest niezmiernie trudne, przy szerokich zaś rzekach wręcz niemożliwe". Jeżeli niższa od + 15°... A cóż dopiero jeśli temperatura wynosi około + 5°?

Nie, łódź bez wątpienia musiała zbliżyć się do brzegu, ale czemu w takim razie jej nie dostrzeżono? Czemu po wysadzeniu chłopca oddaliła się cichaczem, nie dając o sobie znać? Gubiłem się w domysłach.

Tymczasem warty czuwały. Tylko w jednym okopie, wysuniętym nad samą rzekę, zastaliśmy żołnierza, który drzemał. Uciął sobie drzemkę na stojąco, oparty o ścianę okopu, hełm zsunął mu się na oczy. Gdyśmy nadeszli, chwycił za pistolet maszynowy i na pół jeszcze przytomny o mało nie przeszył nas serią. Rozkazałem niezwłocznie go zluzować i ukarać, zwymyślawszy uprzednio półgłosem zarówno jego, jak i dowódcę drużyny.

W okopie na prawym skrzydle, po zakończeniu inspekcji, usiedliśmy na chwilę w niszy pod przedpiersiem i zapaliliśmy papierosy razem z żołnierzami. Było ich czterech w tym dużym okopie ze stołem do karabinu maszynowego.

— Towarzyszu poruczniku, jak się tam skończyło z tym smarkulem? — ochrypłym głosem zwrócił się do mnie jeden z nich. Pełnił dyżur przy kaemie i nie palił.

— A bo co? — spytałem nastawiając uszu.

— Nic, tylko na mój rozum coś tu nie klapuje. W taką noc najgorszego psa by z domu nie wygonił, a ten wlazł do rzeki. Po kiego licha? Co to, łodzi szukał, chciał się przedostać na tamtą stronę? Po co?... Dziwny jakiś szczeniak — warto by go dobrze wybadać! Tak go przycisnąć, żeby wygadał całą prawdę!

— Tak, coś tu jest dziwnego — potwierdził inny niezbyt pewnym tonem. — Podobno wciąż milczy i wilkiem patrzy. I dlaczego jest goły?

— To chłopak z Nowosiołek — zełgałem po dłuższym zaciągnięciu się papierosem (Nowosiołki była to duża, na pół spalona wieś, znajdująca się w odległości około czterech kilometrów za nami). — Niemcy matkę mu wywieźli, dzieciak nie może sobie teraz miejsca znaleźć... Nie dziwota, jeśli nawet wlazł do rzeki...

— Takie buty!...

— Cni się nieborakowi — westchnął ze współczuciem niemłody już żołnierz, który palił przykucnąwszy naprzeciwko mnie; ogień papierosa oświetlał jego szeroką, ciemną twarz, porośniętą gęstą szczeciną. — Jak się komu cni, to nie ma nic gorszego! A Jurłow zawsze ma złe myśli, wciąż węszy w ludziach jakieś świństwo. Tak nie można — zwrócił się z łagodną perswazją do żołnierza, który stał przy kaemie.

— Bo ja jestem czujny — odrzekł z uporem Jurłow. — A ty mi daj spokój, już mnie nie przerobisz! Nie znoszę takich łatwowiernych poczciwców. Przez tę łatwowierność cała ziemia od granicy aż do Moskwy nasycona jest krwią!... Dosyć!... Ty znowu wypchany jesteś dobrocią i ufnością aż po dziurki od nosa, użyczyłbyś choć trochę Niemcom, bodaj na lekarstwo!... Ale wy mi, towarzyszu poruczniku, powiedźcie — gdzie jest jego ubranie? I co on jednakowoż robił w wodzie? Dziwna historia, a na mój rozum po prostu podejrzana!....

— Patrzcie go, wypytuje jak podkomendnego — uśmiechnął się dobrodusznie tamten strzelec. — Coś się przyczepił do tego chłopaka? Myślisz, że bez ciebie nie poznają się na nim? Zapytałbyś lepiej, co tam słychać z wódecznością. Ziąb taki, że aż strach, a tu nie ma nic na rozgrzewkę. Zapytaj, czy prędko będą fasować. A z chłopakiem bez nas sobie poradzą...

Posiedziałem jeszcze z żołnierzami, ale potem przypomniałem sobie, że wkrótce ma nadjechać Cholin, pożegnałem się więc i ruszyłem w powrotną drogę. Nie pozwoliłem, żeby mnie odprowadzano, i rychło pożałowałem tego zakazu — zbłądziłem w ciemnościach, skręciłem, jak się potem okazało, zanadto na prawo i długo błąkałem się po zaroślach, zatrzymywany przez ostre okrzyki wartowników. Dopiero po upływie pół godziny dotarłem zziębnięty do ziemianki.

Ku mojemu zdziwieniu chłopiec nie spał.

Siedział na pryczy w samej koszuli, zwieszając w dół nogi. Piecyk dawno już zgasł i w ziemiance było dość chłodno — widać było lekką parę, dobywającą się z ust przy oddechu.

— Jeszcze nie przyjechali? — bez wstępów spytał chłopiec.

— Nie. Śpij, śpij. Jak przyjadą, obudzę cię.

— A on doszedł?

— Kto taki? — spytałem, nie rozumiejąc, o kogo chodzi.

— Żołnierz. Z przesyłką.

— Doszedł — odparłem, choć nic o tym nie wiedziałem — po wysłaniu łącznika zapomniałem zarówno o nim, jak o przesyłce.

Chłopiec przez chwilę patrzał zamyślony na płomyk lampy, po czym nagle i, jak mi się zdawało, z niepokojem zapytał:

— Byliście tu, kiedy spałem? Nie mówię przez sen?

— Nie, nic nie słyszałem. A bo co?

— Nic... Dawniej nie mówiłem. A teraz nie wiem. Jakiś się zrobiłem nerwowy — przyznał ze smutkiem.

Wkrótce przyjechał Cholin. Dorodny, piękny brunet lat około dwudziestu siedmiu, wtoczył się do ziemianki z wielką niemiecką walizą. Cisnął mi w przejściu walizę i skoczył do chłopca:

— Iwan!

Na widok Cholina chłopiec ożywił się od razu i uśmiechnął. Uśmiechnął się po raz pierwszy, z radością, zupełnie dziecinnie.

Było to spotkanie bliskich przyjaciół. W owej chwili czułem się w ziemiance jak intruz. Uściskali się jak dorośli mężczyźni. Cholin pocałował kilka razy chłopca, cofnął się o krok i wciąż ściskając jego wąskie, chudziutkie ramiona, wpatrywał się w niego z uniesieniem i mówił:

— Kasatonycz czeka na ciebie z łodzią pod Dikowką, a ty tutaj...

— W Dikowce tylu Niemców, że niesposób przedostać się na brzeg — powiedział chłopiec uśmiechając się przepraszająco. — Płynąłem od Sosnówki. Wiesz, na samym środku osłabłem, a w dodatku kurcz mnie złapał — myślałem, że już ze mną koniec...

— Co?! To ty wpław?!... — zawołał ze zdumieniem Cholin.

— Na belce. Nie złość się — tak się złożyło. Łodzie są na górze i wszystkie pod strażą. A myślisz, że waszą łódź łatwo znaleźć w takich ciemnościach? W mig się wpadnie! Wiesz, osłabłem, a ta belka kręci się, wyślizguje. Na dodatek kurcz mnie złapał w nogę, no, myślę: kryska! Taki prąd!... Zniosło mnie, zniosło... sam nie wiem, jak wypłynąłem.

Sosnówka był to chutor w górze rzeki na tamtym, nieprzyjacielskim brzegu — chłopca zniosło bez mała trzy kilometry. Był to wprost cud, że w wietrzną, październikową noc, przy lodowatej wodzie, taki mały i słaby chudzina wypłynął mimo wszystko na ląd...

Cholin odwrócił się, energicznym ruchem podał mi swą muskularną rękę, potem wziął walizę, bez wysiłku dźwignął ją na pryczę, otworzył z trzaskiem zamki i poprosił:

— Idź i przyprowadź bliżej samochód, nie mogliśmy tu podjechać. I każ wartownikowi, żeby nikogo nie wpuszczał i sam tu nie wchodził — nie potrzeba nam widzów. Kombinujesz?

To słówko podpułkownika Griaznowa przyjęło się nie tylko w naszej dywizji, ale i w sztabie armii — pytające: „Kombinujesz?" i rozkazujące: „Kombinuj!".

Zanim znalazłem samochód i wskazałem kierowcy, jak podjechać do ziemianki, upłynęło z dziesięć minut. Kiedy wróciłem, chłopiec był zupełnie odmieniony.

Miał na sobie małą, uszytą widocznie na miarę bluzę z orderem Wojny Narodowej, nowiutkim medalem „Za odwagę" i śnieżnobiałym kołnierzykiem, granatowe spodnie i zgrabne buty z cholewami. Przypominał teraz wychowanka — było ich kilku w pułku — ale na bluzie brakowało naramienników. Wychowankowie zresztą wyglądali znacznie zdrowiej i silniej.

Siedząc solidnie na stołku chłopiec rozmawiał z Cholinem. Kiedy wszedłem, obaj umilkli i przeszło mi przez myśl, że Cholin być może po to wysłał mnie do samochodu, żeby porozmawiać bez świadków.

— No, gdzieś ty zginął? — powiedział jednak Cholin tonem niezadowolenia. — Daj jeszcze jeden kubek i siadaj.

Na stole, przykrytym czystą gazetą, rozłożono już przywiezione przez niego wiktuały: była tam słonina, sucha kiełbasa, dwie puszki konserw, paczka herbatników, jakieś dwie papierowe torebki i manierka w sukiennym futerale. Na pryczy leżał piękny chłopięcy kożuszek, nowiutki, bardzo elegancki, i oficerska futrzana czapka.

Cholin pokrajał chleb „po inteligencku", na cienkie kromki, potem nalał do trzech kubków wódki — mnie i sobie do połowy, chłopcu na palec.

— Na powitanie! — wesoło, z jakąś brawurą zawołał podnosząc kubek.

— Za to, żebym zawsze wracał — powiedział cicho chłopiec.

Cholin spojrzał na niego szybko i zaproponował:

— Za to, żebyś pojechał do szkoły suworowskiej i został oficerem.

— Nie, to później! — zaoponował chłopiec. — A na razie jest wojna. Za to, żebym zawsze wracał! — powtórzył z uporem.

— Dobra, nie spierajmy się. Za twoją przyszłość! Za zwycięstwo!

Trąciliśmy się i wychyliliśmy kubki. Chłopak nie przyzwyczajony był do alkoholu — po wypiciu zakrztusił się, w oczach stanęły mu łzy i czym prędzej otarł je ukradkiem. Podobnie jak Cholin chwycił kawałek chleba i wąchał go długo, a potem zjadał żując powoli.

Cholin robił zwinnie kanapki i podsuwał je chłopcu. Tamten wziął jedną i jadł wolno, jakby niechętnie.

— Jedz-no, jedz! — powtarzał Cholin, który sam zajadał ze smakiem.

— Odzwyczaiłem się jeść dużo na raz — westchnął chłopiec. — Nie mogę.

Mówił Cholinowi „ty" i patrzał tylko na niego, mnie zaś, jak się zdawało, w ogóle nie dostrzegał. Po wódce Cholina i mnie chwycił wilczy apetyt, toteż operowaliśmy energicznie szczękami, chłopiec natomiast po zjedzeniu dwóch niewielkich kanapek otarł chusteczką usta, ręce i powiedział:

— Dobra jest.

Wtedy Cholin wysypał przed nim na stół czekoladowe cukierki w kolorowych papierkach. Na widok cukierków twarz chłopca nie rozpromieniła się wcale, jak to zwykle bywa z dziećmi w jego wieku. Wziął jedną czekoladkę tak obojętnie, jak gdyby codziennie jadał czkoladę w dowolnych ilościach, odwinął papierek, odgryzł kawałek i odsuwając cukierki na środek stołu zaprosił nas:

— Częstujcie się.

— Nie, bracie — odmówił Cholin. — Po wódce słodycze nie pasują.

— No to jedźmy — powiedział nagle chłopiec wstając i nie oglądając się więcej na stół. — Podpułkownik czeka na mnie, więc po co tu siedzieć?... Jedziemy! — rzucił rozkazująco.

— Zaraz pojedziemy — powiedział stropiony nieco Cholin. W ręce trzymał manierkę, miał widocznie zamiar nalać jeszcze mnie i sobie, ale odłożył ją widząc, że chłopiec wstał. — Zaraz pojedziemy — powtórzył niewesoło i wstał także.

Chłopiec tymczasem przymierzył czapkę.

— Do diabła, za duża!

— Mniejszej nie było. Sam wybierałem — mówił Cholin jak gdyby się tłumacząc. — Ale byle dojechać, to już coś skombinujemy...

Spojrzał z żalem na zastawiony stół, podniósł manierkę, potrząsnął nią, zerknął na mnie ze smutkiem i westchnął:

— Tyle się dobrych rzeczy marnuje, co?

— Zostaw mu to wszystko! — powiedział chłopiec z miną niezadowoloną i pogardliwą. — Co to, głodny jesteś?

— Skądże znowu!... Po prostu manierka to majątek inwentarzowy — wykręcił się żartem Cholin. — I po co mu cukierki...

— Nie bądź sknera!

— Cóż, trudno! Niech już tam — westchnął znowu Cholin i zwrócił się do mnie: — Zabierz wartownika sprzed ziemianki. I w ogóle rozejrzyj się. Niech nas nikt nie widzi.

Narzuciłem przesiąkniętą wilgocią panterkę i podszedłem do chłopca. Zapinając mu haftki przy kożuszku Cholin powiedział chełpliwie:

— A w samochodzie mam siana — cały stóg! Zabrałem koce, poduszki, zaraz się zaryjemy i będziemy chrapać aż do sztabu!

— No, Waniusza, żegnaj! — Wyciągnąłem do chłopca rękę.

— Nie żegnaj, tylko do widzenia! — skorygował surowo, podając mi maleńką, wąską dłoń i zerkając na mnie spode łba.

Kryty brezentem „Dodge" zwiadowców stał w odległości jakichś dziesięciu kroków od ziemianki. W pierwszej chwili nie mogłem go dojrzeć.

— Rodionow — zawołałem cicho wartownika.

— Jestem, towarzyszu poruczniku — rozległ się tuż za moimi plecami przeziębiony, schrypnięty głos.

— Idźcie do ziemianki sztabu. Wkrótce was zawezwę.

— Rozkaz! — Żołnierz znikł w ciemnościach. Obszedłem ziemiankę dokoła — nikogo nie było. Szofer „Dodge'a" w panterce włożonej na kożuch spał albo tylko drzemał oparłszy czoło na kierownicy.

Podszedłem do ziemianki, namacałem drzwi i uchyliłem je.

— Chodźcie!

Chłopiec i Cholin z walizą w ręce przemknęli do samochodu, zaszeleścił brezent, dała się słyszeć krótka rozmowa prowadzona półgłosem — to Cholin obudził kierowcę — zawarczał silnik i „Dodge" ruszył.

3

Starszy sierżant Katasonow — dowódca plutonu z kompanii zwiadowców dywizji — zgłosił się do mnie w trzy dni potem.

Katasonow ma przeszło trzydzieści lat, jest niezbyt wysoki i bardzo szczupły. Usta małe, z krótką górną wargą, nos niewielki, spłaszczony, z miniaturowymi nozdrzami, oczka szaroniebieskie, żywe. Miła, łagodna twarz Katasonowa przypomina czymś pyszczek królika. Jest on skromny, cichy i niepozorny. Ma wadę wymowy, sepleni i może dlatego jest nieśmiały i w większym towarzystwie rzadko się odzywa. Jeżeli się nie wie, trudno sobie wyobrazić, że to jeden z najlepszych łowców „języków" w naszej armii. W dywizji nazywają go pieszczotliwie: „Katasonycz".

Na widok Katasonowa przypomina mi się znowu mały Bondariow — przez te dni nieraz o nim myślałem. Postanawiam więc przy sposobności wypytać Katasonowa o chłopca — musi coś niecoś o nim wiedzieć. Przecież to on, Katasonow, owej nocy czekał z łodzią pod Dikowką, gdzie „tylu jest Niemców, że niesposób przedostać się na brzeg".

Po wejściu do ziemianki sztabowej Katasonow przykładając dłoń do sukiennej furażerki z malinową wypustką wypowiada cicho formułę powitania, staje przy drzwiach i nie zdejmując plecaka czeka cierpliwie, aż skończę besztać pisarzy.

Pisarze zalegają z pracą, a ja jestem zły i zirytowany, bo przed chwilą

właśnie dostałem porcję morałów od Masłowa. Masłow dzwoni do mnie niemal codziennie rano i wciąż w tej samej sprawie — żąda mianowicie regularnego, a czasem też przedterminowego składania nie kończących się sprawozdań, zestawień, formularzy i schematów. Podejrzewam nawet, że część tych formularzy wymyśla sam — jest wyjątkowym miłośnikiem bazgraniny.

Słuchając go można pomyśleć, że jeżeli będę dostarczał na czas wszystkie te papierki do sztabu pułku, wojna w najbliższym czasie dobiegnie pomyślnego końca. Wygląda więc na to, że wszystko zależy ode mnie. Masłow żąda, żebym ja osobiście „z całego serca przykładał się do sprawozdań". Przykładam się więc i to, jak mi się zdaje, „z całego serca", ale w batalionie brak adiutantów, brak też wytrawnego pisarza, w rezultacie więc z reguły się spóźniamy i prawie zawsze okazuje się, żeśmy coś sknocili. I po raz nie wiadomo który myślę sobie, że walczyć częstokroć łatwiej jest niż składać sprawozdania. Czekam niecierpliwie — kiedyż wreszcie przyślą prawdziwego dowódcę batalionu, niech on się męczy!

Besztam więc pisarzy, Katasonow zaś z furażerką w ręce stoi cichutko pod drzwiami i czeka.

— O co chodzi? Ty do mnie? — zwracam się wreszcie do niego, chociaż mógłbym nie pytać. Masłow uprzedził mnie, że przyjedzie Katasonow, i rozkazał, żebym dał mu dostęp na punkt obserwacyjny i udzielał wszelakiej pomocy.

— Do was — mówi Katasonow z nieśmiałym uśmiechem. — Chciałbym popatrzyć na Niemca.

— Cóż... patrz sobie — zezwalam łaskawie po odpowiedniej pauzie dla dodania sobie powagi, a następnie polecam gońcowi odprowadzić Katasonowa na punkt obserwacyjny batalionu.

W jakie dwie godziny później, po odesłaniu meldunku do sztabu pułku, idę dokonać próby potraw w kuchni batalionu i przez zarośla przedostaję się na punkt obserwacyjny.

Katasonow przez lornetę nożycową „patrzy na Niemca". Ja również patrzę, chociaż wszystko tutaj jest mi doskonale znane.

Za szeroką wstęgą Dniepru — posępnego, wyszczerbionego przez wichurę — ciągnie się nieprzyjacielski brzeg. Nad linią wody wąskie pasmo piasku, nad nim występ skalny wysokości co najmniej metra, dalej zaś spadzisty, porośnięty gdzieniegdzie krzewami gliniasty brzeg; w nocy krążą tu patrole nieprzyjacielskiej straży. Jeszcze dalej strome, niemal pionowe urwisko wysokości około ośmiu metrów. Nad jego brzegiem ciągną się rowy pierwszej linii obrony przeciwnika. W tej chwili sprawują w nich dyżur jedynie obserwatorzy, reszta zaś odpoczywa w schronach. Wieczorem Niemcy zapełnią okopy, będą od czasu do czasu strzelać w mrok i do rana puszczać rakiety oświetlające.

Na piaszczystym pasmie przeciwległego brzegu, tuż nad wodą widać pięć trupów. Trzy spośród nich, rzucone każdy osobno i w rozmaitych pozach, bez wątpienia są już w stanie rozkładu — obserwuję je drugi tydzień. Natomiast dwa świeże usadzono obok siebie, plecami do występu, dokładnie naprzeciw punktu obserwacyjnego, w którym się znajduję. Z obydwóch zdarto ubranie i obuwie, jeden ma na sobie pasiastą koszulkę marynarską, wyraźnie widoczną przez lornetę nożycową.

— Lachow i Morozow — nie odwracając się od oczników mówi Katasonow. Okazuje się, że to jego koledzy, sierżanci z kompanii rozpoznania dywizji. Wciąż obserwując opowiada cicho, jak się to zdarzyło.

Przed czterema dniami grupa zwiadowców — pięciu ludzi — wyruszyła na tamten brzeg po jeńca kontrolnego. Przeprawiali się przez rzekę nieco niżej od naszych pozycji. „Języka" zdobyli bez hałasu, ale w powrotnej drodze zauważyli ich Niemcy. Wówczas trzech z pojmanym szkopem zaczęło się wycofywać ku łodzi, co się też udało (wprawdzie w drodze jeden zginął, wpadłszy na minę, „język" zaś już w łodzi został ranny serią z kaemu). Ci zaś dwaj — Lachow (w pasiastej koszulce) i Morozow — zostali i ostrzeliwując się osłaniali odwrót towarzyszy.

Zabito ich w głębi pozycji obronnych nieprzyjaciela. Niemcy rozebrali ich, wywlekli w nocy nad rzekę i posadzili na widocznym miejscu, aby dać lekcję poglądową naszemu brzegowi.

— Powinno by się ich zabrać... — wzdycha Katasonow na zakończenie swej zwięzłej opowieści.

Kiedy wychodzimy ze schronu, pytam go o małego Bondariowa.

— A, Waniuszka. — Katasonow patrzy na mnie i twarz opromienia mu dobry, niezwykle czuły uśmiech. — Wspaniały malec! Ale uparty, że coś okropnego! Wczoraj mieliśmy z nim prawdziwą batalię.

— O co?

— Bo czy to dla niego zajęcie — wojna?... Chcą go posłać do szkoły, do suworowskiej. Rozkaz dowódcy armii. A ten się uparł i ani rusz. Po wojnie, mówi. A teraz, powiada, będę walczył jako zwiadowca.

— No, skoro to rozkaz dowódcy armii, to niewiele zwojuje.

— Ach, kto go utrzyma! Nienawiść go pali!... Jak go nie poślą, to sam pójdzie. Raz już tak było. — Katasonycz wzdycha, patrzy na zegarek i zatrzymuje się przerażony. — No, zagadałem się... Przejdę tędy do punktu obserwacyjnego artylerzystów? — pyta wskazując kierunek.

Po sekundzie, rozchylając zręcznie gałęzie, posuwa się już bezszelestnie wśród zarośli.

*

Z naszego punktu obserwacyjnego a także z punktów obserwacyjnych sąsiadującego z prawej trzeciego batalionu i artylerii dywizyjnej Katasonow przez dwie doby „patrzy na Niemca", robiąc notatki i znaczki w notesie polowym. Donoszą mi, że całą noc spędził na PO przy lornecie nożycowej, tam też znajduje się rano, w dzień i wieczorem, w końcu przechodzi mi przez myśl pytanie: kiedy ten człowiek śpi?

Rankiem trzeciego dnia przyjeżdża Cholin. Wpada do ziemianki sztabu i głośno się ze wszystkimi wita. Mówiąc: „Trzymaj i nie narzekaj, że mało!" — ściska moją rękę tak mocno, że palce trzeszczą mi w stawach i z bólu zginam się wpół.

— Będziesz mi potrzebny! — uprzedza, po czym chwyta za słuchawkę, telefonuje do trzeciego batalionu i rozmawia z jego dowódcą, kapitanem Riabcewem.

— ...tam do ciebie przyjedzie Katasonow — pomożesz mu!... Sam ci wytłu-

maczy... I na obiad daj mu coś gorącego!... Teraz dalej — jeżeli będą o mnie pytali artylerzyści albo kto inny, powiedz, że będę u was w sztabie po trzynastej zero zero — poleca Cholin. — A ty też mi będziesz potrzebny! Przygotuj schemat obrony i bądź na miejscu...

Mówi Riabcewowi „ty", chociaż Riabcew jest o jakieś dziesięć lat od niego starszy. Zarówno do Riabcewa jak i do mnie zwraca się jak do podkomendnych, choć nie jest naszym zwierzchnikiem. Taki już ma sposób bycia — zupełnie tak samo rozmawia z oficerami ze sztabu dywizji i z dowódcą naszego pułku. Oczywiście jest dla nas wszystkich reprezentantem wyższego sztabu, ale nie tu tkwi sedno sprawy. Podobnie jak wielu zwiadowców Cholin żywi przeświadczenie, że wywiad jest w działaniach wojennych najważniejszy i dlatego wszyscy mają obowiązek mu pomagać.

Teraz także odkłada słuchawkę i nie pytając nawet, co zamierzam robić i czy nie mam w sztabie nic do załatwienia, mówi tonem rozkazu:

— Bierz schemat obrony i pójdziemy obejrzeć twoje wojsko...

Nie w smak mi ta rozkazująca forma, ale tyle się nasłuchałem od zwiadowców o jego nieustraszonej odwadze i pomysłowości, że milczę, wybaczając mu to, czego komu innemu nie puściłbym płazem. Nie mam nic pilnego do roboty, umyślnie jednak powiadam, że muszę jeszcze zostać przez pewien czas w sztabie, Cholin więc wychodzi z ziemianki, mówiąc, że poczeka na mnie przy samochodzie.

Przeglądam dziennik, szkice ogniowe, i po jakimś kwadransie wychodzę. „Dodge" zwiadowców z kadłubem pokrytym brezentem stoi w pobliżu pod świerkami. Szofer z pistoletem maszynowym na ramieniu przechadza się nieopodal. Cholin siedzi przy kierownicy nad rozłożoną mapą sztabową, obok niego Katasonow ze schematem obrony w ręku. Rozmawiają, a gdy podchodzę, milkną i obracają ku mnie głowy. Katasonow wysiada śpiesznie z samochodu i salutuje, uśmiechając się jak zwykle nieśmiało.

— No dobra, niech będzie! — mówi mu Cholin, składając mapę i schemat, po czym także wysiada. — Sprawdźcie wszystko jak należy i idźcie odpocząć! Nadejdę za jakie dwie czy trzy godziny...

Jedną z wielu ścieżek prowadzę Cholina na pierwszą linię. „Dodge" odjeżdża w kierunku trzeciego batalionu. Cholin jest w dobrym humorze, idzie naprzód pogwizdując wesoło. Dzień jest zimny, cichy — taka cisza, że zdawałoby się można zapomnieć o wojnie. Ale oto ona, przed nami — na skraju lasu świeżo wykopane okopy, z lewej strony zaś wejście do rowu łączącego — transzeja o pełnym profilu, przykryta z wierzchu i zamaskowana darniną i krzewami, prowadzi na sam brzeg rzeki. Ma przeszło sto metrów długości.

Przy niedoborach w stanie osobowym batalionu wykopanie po nocach takiego rowu (w dodatku przez jedną tylko kompanię!) nie było rzeczą prostą. Opowiadam o tym Cholinowi, spodziewając się, że oceni należycie naszą pracę, on jednak rzuca we wskazanym kierunku przelotne spojrzenie i pyta, gdzie się znajdują punkty obserwacyjne batalionu — podstawowy i pomocnicze. Pokazuję mu.

— Co za cisza! — mówi nie bez zdziwienia.

Staje za krzakami na skraju lasu i przez lornetkę Zeissa obserwuje Dniepr i brzegi — stąd, z niewielkiego pagórka, widać wszystko jak na dłoni. Natomiast moje „wojsko" niezbyt go interesuje.

Cholin patrzy, ja zaś nie mam nic do roboty, pytam więc naraz:

— Powiedz mi jednak, kto to jest ten chłopiec, co był u mnie? Skąd on się wziął?

— Chłopiec? — powtarza Cholin najwyraźniej myśląc o czym innym. — Aha, Iwan!.., Jak będziesz za dużo wiedział, to się prędko zestarzejesz! — zbywa mnie żartem i dodaje: — Cóż, wypróbujmy twoje metro!

W rowie jest ciemno. Gdzieniegdzie zostawiono szczeliny oświetlające, przysłonięte jednak są gałęziami. Idziemy w półmroku, pochylając ramiona, i zdaje się, że ten wilgotny, posępny korytarz nigdy się nie skończy. Ale oto przed nami błyska światło, jeszcze chwila a znajdujemy się w okopie ubezpieczenia bojowego w odległości piętnastu metrów od Dniepru.

Młody sierżant, dowódca drużyny, melduje mi się, zerkając spod oka na barczystego, postawnego Cholina.

Brzeg jest piaszczysty, ale w okopie rzadkie błocko sięga do kostek, zapewne dlatego, że dno okopu niższe jest od poziomu wody w rzece.

Wiem, że Cholin — kiedy jest w dobrym humorze — lubi pośmiać się i porozmawiać. Teraz także wyciąga paczkę „Biełomora", częstuje papierosami mnie i strzelców, zapala sam i mówi wesoło:

— Ale się wam żyje! Niby to na wojnie, a tak jakby jej nie było. Cicho, spokojnie, jak u Pana Boga za piecem!...

— Wczasy! — potwierdza ponuro kaemowiec Czupachin, wysoki, przygarbiony żołnierz w watowanej kurtce i spodniach. Zsuwa z głowy hełm, wsadza go na rączkę łopaty i wysuwa nad przedpiersie. Upływa kilka sekund — z tamtego brzegu rozlegają się strzały i nad naszymi głowami pogwizdują cienko kule.

— Strzelec wyborowy? — pyta Cholin.

— Wczasy — powtarza posępnie Czupachin. — Kąpiele błotne pod okiem kochających krewnych...

Tym samym ciemnym korytarzem wracamy na PO. Fakt, że Niemcy obserwują bacznie naszą pierwszą linię, nie przypadł Cholinowi do gustu. Choć to rzecz całkiem naturalna, że nieprzyjaciel czuwa i prowadzi nieustanne obserwacje, Cholin zasępia się nagle i traci chęć do rozmowy.

Na PO blisko przez dziesięć minut wpatruje się przez lornetę nożycową w prawy brzeg, zadaje obserwatorom kilka pytań, przerzuca ich dziennik, po czym wymyśla im, że się na niczym nie znają, że notatki są za mało obszerne i nie dają pojęcia o ruchach i zachowaniu się nieprzyjaciela. Nie zgadzam się z nim, ale milczę.

— Ty wiesz, kto to jest tam, w koszulce? — pyta mnie, mając na myśli zabitych zwiadowców na tamtym brzegu.

— Wiem.

— No i nie możesz ich zabrać? — rzuca pogardliwie, ze złością. — Na godzinę roboty! Wciąż czekasz na rozkazy z góry?

Wychodzimy ze schronu i ja z kolei pytam:

— Czego Katasonow i ty tak wypatrujecie? Szykujecie wypad?

— Szczegóły w afiszach! — nie patrząc na mnie mówi naburmuszony Cholin i rusza gęsiwiną w kierunku trzeciego batalionu. Idę bez namysłu za nim.

— Już mi nie jesteś potrzebny! — oznajmia nagle, nie odwracając się nawet. Przystaję, patrzę zmieszany na jego plecy i zawracam do sztabu.

„No, poczekaj!... Bezceremonialność Cholina rozgniewała mnie. Jestem dotknięty, zły i klnę półgłosem. Przechodzący nieopodal żołnierz salutuje, a potem ogląda się i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

W sztabie pisarz melduje mi:

— Major dwa razy dzwonił. Kazał, żebyście się zameldowali...

Dzwonię do dowódcy pułku.

— Jak tam u ciebie? — pyta na wstępie swoim spokojnym, flegmatycznym głosem.

— Wszystko normalnie, towarzyszu majorze...

— Tam do ciebie przyjedzie Cholin... Zrób wszystko, czego będzie potrzeba, udziel mu wszelkiej pomocy...

„A bodaj go, tego Cholina!" Major tymczasem dodaje po pauzie:

— To rozkaz „Wołgi". Sto pierwszy do mnie dzwonił...

„Wołga" to sztab armii, sto pierwszy to dowódca naszej dywizji, pułkownik Woronow. „A niech sobie! — myślę. — Ale latać za Cholinem nie będę! Jeśli o coś poprosi, owszem, zrobię! Ale łazić za nim i proponować swoje usługi, to już, jak to się mówi, dziękuję uprzejmie!"

Zabieram się więc do swoich spraw, starając się nie myśleć nawet o Cholinie.

Po obiedzie wstępuję na punkt medyczny batalionu. Punkt medyczny mieści się w dwóch dużych schronach na prawym skrzydle, obok trzeciego batalionu. Dyslokacja taka jest bardzo niedogodna, ale ziemianki i schrony, z których korzystamy, zbudowali jeszcze Niemcy — a ci oczywiście nie brali pod uwagę naszej wygody.

Nowy felczer wojskowy — dwudziestoletnia, postawna, ładna blondynka o błękitnych oczach, która przybyła do nas przed dziesięcioma dniami, zaskoczona moją wizytą salutuje przykładając dłoń do... chusteczki z gazy, przepasującej gęste włosy, i stara się złożyć mi meldunek. Nie jest to raport, lecz jakieś lękliwe, niezrozumiałe mamrotanie, ale nic jej nie mówię. Jej poprzednik, starszy lejtnant Wostrikow — chory na astmę staruszek — poległ przed dwoma tygodniami na polu bitwy. Był doświadczony, odważny i zaradny. A ta?... Na razie nie jestem z niej zadowolony.

W mundurze — na który składa się starannie wyprasowana bluza, ściągnięta w talii szerokim, skórzanym pasem, obcisła spódnica, przylegająca szczelnie do mocnych bioder i chromowe buty z cholewami na zgrabnych nogach — bardzo jej do twarzy; dziewczyna tak jest śliczna, że staram się na nią nie patrzeć.

Nawiasem mówiąc, pochodzi z Moskwy, tak samo jak ja. Gdybym poznał ją w czasie pokoju, zakochałbym się w niej pewnie, w razie wzajemności byłbym nieziemsko szczęśliwy, latałbym wieczorami na randki, tańczyłbym z nią w parku Gorkiego i całowałbym się gdzieś w Ogrodzie Nieskucznym... Ale niestety, wojna! Ja pełnię obowiązki dowódcy batalionu, ona zaś jest dla mnie tylko felczerem wojskowym. W dodatku felczerem, który nie wywiązuje się należycie ze swoich obowiązków.

Mówię jej więc dość ostro, że w kompaniach znów trzeba zrobić przegląd podług „wzoru dwudziestego"*, bielizny zaś nie dezynfekuje się jak należy

* „Wzór dwudziesty" — w wojsku radzieckim przegląd pod kątem zawszenia.

i nie zorganizowano we właściwy sposób kąpieli dla szeregowców. Zgłaszam do niej jeszcze szereg pretensji i żądam, aby nie zapominała, że jest dowódcą punktu, i nie starała się wszystkiego robić sama, lecz zapędzała do pracy kompanijnych instruktorów sanitarnych i sanitariuszy.

Dziewczyna stoi przede mną w pozycji na baczność, ale z opuszczoną głową. Cicho, załamującym się głosem powtarza bez końca: „Rozkaz... rozkaz... rozkaz". — Zapewnia mnie, że się stara i że wkrótce „wszystko będzie w porządku".

Jest okropnie zgnębiona i robi mi się jej żal. Ale nie powinienem ulegać temu uczuciu — nie mam prawa jej żałować. W obronie ujdzie jeszcze jako tako, ale czeka nas forsowanie Dniepru i ciężkie walki podczas natarcia — w batalionie będą dziesiątki rannych, a życie ich w wielu wypadkach będzie zależało od tej dziewczyny z epoletami porucznika służby medycznej.

Posępnie o tym wszystkim rozmyślając, wychodzę z ziemianki, felczer wojskowy idzie za mną.

Na prawo, w odległości około stu kroków od nas, znajduje się pagórek, gdzie mieści się PO artylerzystów dywizyjnych. U stóp pagórka, od strony zaplecza stoi grupa oficerów: Cholin, Riabcew, znajomi dowódcy baterii z pułku artylerii, dowódca kompanii moździerzy trzeciego batalionu i jeszcze dwóch nieznanych mi oficerów. Cholin i dwóch innych mają w ręku mapy albo schematy. Widocznie, jak się domyślałem, gotuje się wypad rozpoznawczy i wszystko wskazuje na to, że odbędzie się na odcinku trzeciego batalionu.

Dostrzegłszy nas oficerowie odwracają się i patrzą w naszym kierunku. Riabcew, artylerzyści i moździerzysta pozdrawiają mnie przyjaźnie kiwając rękami; odwzajemniam pozdrowienie. Spodziewam się, że Cholin mnie zawoła — mam mu przecież „udzielać wszelkiej pomocy" — ale Cholin stoi do mnie bokiem, pokazując oficerom coś na mapie.

Zwracam się więc do felczera:

— Daję wam dwa dni czasu. Zróbcie porządek na punkcie i zameldujcie o wykonaniu!

Dziewczyna mamrocze coś pod nosem. Salutuję oschle i odchodzę, postanawiając, że przy pierwszej sposobności będę się domagał, aby ją odkomenderowano. Niech przyślą innego felczera. I to bezwarunkowo mężczyznę.

Czas aż do wieczora spędzam w kompaniach: oglądam ziemianki i schrony, sprawdzam broń, gawędzę z żołnierzami, którzy powrócili z batalionu sanitarnego, i rozgrywam z nimi partyjkę „kozła" czyli domina.

Już o zmierzchu wracam do swojej ziemianki i zastaję tam Cholina. Śpi, rozwalony na moim posłaniu. Na stole kartka: „Obudź mnie o 18.30. Cholin".

Przyszedłem w sam czas i budzę go. Otwiera oczy, siada na pryczy, ziewa, przeciąga się i oświadcza:

— Niby to młody, ale gust masz niezgorszy!

— Że co? — pytam, nie rozumiejąc.

Masz dobre oko, powiadam. Ta-aka felczerka! — Cholin przechodzi do kąta, w którym wisi umywalka, i zabiera się do mycia. — Ale w dzień do niej nie chodź — radzi — stracisz autorytet.

— Idź do diabła! — krzyczę rozwścieczony.

— Ordynus z ciebie, Galcew — stwierdza z ukontentowaniem Cholin. Myje się prychając i rozpluskując dokoła wodę. — Nie znasz się na żartach...

I patrz, ręcznik masz brudny, a przecież mogłaby ci uprać. Dyscyplina szwankuje!

Wyciera twarz „brudnym" ręcznikiem, po czym informuje się:

— Nikt o mnie nie pytał?

— Nie wiem, dopiero co przyszedłem.

— A do ciebie nikt nie dzwonił?

— W południe dzwonił dowódca pułku.

— Że co?

— Prosił, żebym ci udzielał pomocy.

— To on cię „prosi"?... Patrzcie no! — Cholin uśmiecha się złośliwie. — Ładne zwyczaje! — Ogarnia mnie drwiącym spojrzeniem. — Ach ty, ty, mądra głowo! W czym ty mi możesz pomóc?

Zapala papierosa, wychodzi z ziemianki, ale zaraz wraca i zacierając ręce oznajmia zadowolony:

— Ale będzie noc — jak na zamówienie!... Jednak Bóg łaskaw. Powiedz no, ty wierzysz w Boga?... A dokąd to się wybierasz? — pyta surowo. — Nie, nigdzie nie odchodź, będziesz może potrzebny...

Przysiada na narach i nuci w zamyśleniu, powtarzając wciąż te same słowa:

Ej, nocka ciemna,
A ja się boję,
Ach, chodźże ze mną,
Marusiu moja...

Rozmawiam przez telefon z dowódcą czwartej kompanii, a gdy odkładam słuchawkę, słyszę warkot zajeżdżającego samochodu. Ktoś puka cichutko do drzwi.

— Proszę!

Katasonow wchodzi, zamyka drzwi i przykładając rękę do furażerki melduje:

— Jesteśmy, towarzyszu kapitanie!

— Zabierz wartownika! — mówi Cholin, wstając szybko.

Wychodzimy za Katasonowem. Mży drobny deszcz. W pobliżu ziemianki stoi znany mi dobrze samochód z plandeką. Cholin czeka, aż wartownik zniknie w ciemnościach, potem odpina z tyłu brezent i woła szeptem:

— Iwan...

— Jestem — rozlega się spod plandeki cichy, dziecinny głos i po chwili drobna postać wyłania się spod brezentu i zeskakuje na ziemię.

4

— Jak się masz! — zwraca się do mnie chłopiec, kiedy wchodzimy do ziemianki, i z nadspodziewanie przyjaznym uśmiechem wyciąga do mnie rękę.

Poprawił się, ma wygląd zdrowszy, rumieniec na policzkach. Katasonow otrzepuje mu kożuszek z siana, Cholin zaś proponuje troskliwie:

— Może się trochę położysz?

— Dajże spokój! Pół dnia spałem i znów się mam kłaść?

— W takim razie postaraj się dla nas o coś ciekawego — zwraca się do mnie Cholin. — Jakieś pisemko czy coś w tym rodzaju... Tylko żeby z obrazkami!

Katasonow pomaga chłopcu zdjąć okrycie, ja zaś wykładam na stół kilka numerów pism *Ogoniok, Krasnoarmiejec* i *Frontowyje Illiustracyi*. Okazuje się, że niektóre numery chłopiec już zna — odkłada je więc na bok.

Trudno go dziś poznać — jest rozmowny, uśmiecha się raz po raz, patrzy na mnie życzliwie i mówi mi „ty", podobnie jak do Cholina i Katasonowa. We mnie też budzi się do tego chłopca jakaś niezwykła serdeczność. Przypominam sobie, że mam pudełko landrynek, wyciągam je, otwieram i stawiam przed nim, nalewam mu kubek śmietanki z czekoladą, a następnie siadam obok niego i razem oglądamy pisma.

Tymczasem Cholin i Katasonow przynoszą z samochodu znaną mi już walizę, pokaźny tobół, owinięty w panterkę, dwa pistolety maszynowe i niewielki kuferek z dykty.

Wpychają tobół pod pryczę, potem siadają za nami i rozmawiają. Słyszę, że Cholin półgłosem mówi Katasonowowi o mnie:

— ...Powiadam ci, szprechuje — jak szkop! Na wiosnę werbowałem go do zwiadowców, a ten, patrzcie, już dowodzi batalionem...

Tak było. W swoim czasie Cholin i podpułkownik Griaznow słysząc, jak z rozkazu dowódcy dywizji badam jeńców, namawiali mnie, żebym przeszedł do oddziału rozpoznania na tłumacza. Nie zgodziłem się i wcale tego nie żałuję — zostałbym chętnie zwiadowcą, ale czynnym, nie zaś tłumaczem.

Katasonow poprawia ogień w piecu i wzdycha cichutko:

— Ale noc — cudowna!...

Rozmawiają nadal półszeptem o zamierzonej akcji i orientuję się, że nie chodzi wcale o wypad. Staje się dla mnie oczywiste, że Cholin i Katasonow mają dziś w nocy przewieźć chłopca przez Dniepr i przerzucić go na tyły Niemców.

W tym celu przywieźli niewielką nadmuchiwaną łódź, tzw. „szturmówkę", ale Katasonow namawia Cholina, żeby wziął ode mnie z batalionu łódź z płaskim dnem. „Łódeczki pierwsza klasa!" — szepcze.

„Tam do licha — wypenetrowali!" Mamy w batalionie pięć łodzi rybackich — wozimy je ze sobą już od trzech miesięcy. Przy tym, aby ich nie zabrano do innych batalionów, mających po jednej tylko łodzi, kazałem je starannie maskować, podczas przemarszów chować pod siano, w wykazach zaś posiadanych pomocniczych środków transportu wymieniam nie pięć łodzi, lecz tylko dwie.

Chłopiec chrupie landrynki i ogląda ilustracje. Nie słucha rozmowy Cholina z Katasonowem. Po obejrzeniu pism, odkłada jeden numer, w którym jest opowiadanie o zwiadowcach, i mówi do mnie:

— To sobie przeczytam. Słuchaj, a gramofonu nie masz?

— Mam, ale sprężyna pękła.

— Marnie ci się powodzi — stwierdza chłopiec, potem pyta nagle: — A umiesz ruszać uszami?

— Uszami?... Nie, nie umiem — odpowiadam z uśmiechem. — A bo co?

— A Cholin umie! — oznajmia chłopiec z niejakim tryumfem i odwraca się: — Cholin, pokaż-no, jak ruszasz uszami!

— Proszę bardzo, w każdej chwili!

Cholin zrywa się ochoczo, staje przed nami i porusza muszlami usznymi, twarz jego pozostaje przy tym zupełnie nieruchoma.

Zadowolony chłopiec spogląda na mnie tryumfująco.

— Nie przejmuj się — mówi do mnie Cholin — nauczę cię ruszać uszami. To się zrobi. A na razie chodźmy, pokażesz nam łodzie.

— A weźmiecie mnie ze sobą? — pytam niespodzianie dla samego siebie.

— Dokąd?

— Na tamten brzeg?

— Patrzcie-no — Cholin wskazuje na mnie ruchem głowy — co za ochotnik! Po co chcesz na tamten brzeg?... — Mierzy mnie spojrzeniem, jakby taksując, a potem pyta: — Umiesz przynajmniej pływać?

— Jako tako! Wiosłuję i pływam.

— Ale jak pływasz — z góry na dół? W kierunku pionowym? — z najpoważniejszą miną dopytuje się Cholin.

— W każdym razie pewno nie gorzej od ciebie!

— Mówmy wyraźnie. Przepłyniesz Dniepr?

— Z pięć razy — powiadam. Jest to zresztą prawda, jeżeli wziąć pod uwagę, że mam na myśli pływanie bez obciążenia i w porze letniej. — Bez trudu jakieś pięć razy tam i z powrotem!

— Dzielny chłop! — Cholin wybucha nagle śmiechem, tamci dwaj mu wtórują. Ściśle biorąc, śmieją się Cholin i chłopiec, Katasonow zaś uśmiecha się nieśmiało.

Naraz Cholin przestaje się śmiać i znów z poważną miną pyta:

— A strzelasz dobrze?

— Idź ty!... — wołam zirytowany, znam bowiem dalszy ciąg tego podstępnego pytania.

— Widzicie — wskazuje na mnie Cholin — od razu w złość! Ani odrobiny opanowania. Nerwy w strzępach, a chce jechać na tamten brzeg. Nie, chłopie, lepiej z tobą nie zaczynać.

— To nie dam łodzi.

— E, łódź sami sobie możemy wziąć — czy nie mamy rąk? A w razie czego zadzwonię do dowódcy dywizji, to ją na plecach przytaszczysz nad rzekę!

— Przestańcie — mówi chłopiec pojednawczo. — On i tak da. Dasz przecież? — pyta zaglądając mi w oczy.

— Trudno, trzeba będzie dać — odpowiadam uśmiechając się z przymusem.

— To chodźmy ją obejrzeć! — woła Cholin biorąc mnie za rękaw. — A ty poczekaj tutaj — zwraca się do chłopca. — Ale nie wierć się, tylko odpocznij.

Katasonow stawia na stołku kuferek z dykty, otwiera go — są tam różne narzędzia, jakieś puszki, szmaty, pakuły, bandaże. Przed włożeniem watówki przypinam do pasa nóż fiński z okutą rękojeścią.

— Ale nóż! — woła z zachwytem chłopiec i oczy błyskają mu ożywieniem. — Pokaż!

Podaję mu nóż. Obraca go w ręku i prosi:

— Słuchaj, daj mi go!

— Dałbym chętnie, ale rozumiesz... to prezent.

Mówię prawdę. Nóż ten jest pamiątką po moim najlepszym przyjacielu, Kostku Chołodowie. Od trzeciej klasy siedzieliśmy z Kostkiem na jednej

ławce, razem poszliśmy do wojska, razem byliśmy w szkole wojskowej i walczyliśmy w tej samej dywizji, a potem w tym samym pułku.

...O świcie owego dnia wrześniowego znajdowałem się w okopie na brzegu Dzisny. Widziałem, jak Kostek ze swoją kompanią — pierwszy z naszej dywizji — zaczął przeprawę na prawy brzeg. Tratewki, związane z pali, belek i beczek, minęły już środek rzeki, kiedy Niemcy skierowali na przeprawę gwałtowny ogień atylerii i moździerzy. W tej samej chwili biała fontanna wody wzniosła się nad tratewką Kostka... Nie widziałem, co tam było dalej — słuchawka w ręce telefonisty zachrypiała: „Galcew, naprzód!...". I ja, a za mną cała kompania — przeszło stu ludzi — przesadziwszy przedpiersie, skoczyliśmy ku rzece, ku takim samym tratewkom... Po upływie pół godziny prowadziliśmy już walkę wręcz na prawym brzegu...

Nie zdecydowałem jeszcze, co zrobię z nożem: czy zostawię go sobie, czy też wróciwszy po wojnie do Moskwy pójdę na cichą uliczkę w dzielnicy Arbat i oddam nóż rodzicom Kostka jako ostatnią pamiątkę po synu...

— Podaruję ci inny — przyrzekam chłopcu.

— Nie, ja chcę ten! — mówi kapryśnym tonem i znów zagląda mi w oczy. — Daj mi go!

— Daj, Galcew — rzuca z dezaprobatą Cholin. Stoi już ubrany i czeka na mnie i na Katasonowa. — Nie bądź sknerą!

— Podaruję ci inny. Zupełnie taki sam! — perswaduję chłopcu.

— Będziesz miał taki nóż — przyrzeka mu Katasonow po obejrzeniu noża. — Ja ci się postaram.

— Ależ ja mu zamówię, słowo honoru! — zapewniam raz jeszcze. — A to jest prezent, rozumiesz — pamiątka!

— No, dobrze już — zgadza się wreszcie chłopiec, ale w głosie jego dźwięczy uraza. — A tymczasem zostaw mi go — pobawię się trochę...

— Zostaw nóż i chodźmy — przynagla mnie Cholin.

— Po co właściwie mam z wami iść? Co mi z tego? — rozprawiam głośno, zapinając watówkę. — Nie chcecie mnie ze sobą wziąć, a gdzie są łodzie, sami przecież wiecie.

— Chodźmy, chodźmy — popycha mnie Cholin. — Wezmę cię — przyrzeka — ale nie dzisiaj.

Wychodzimy we trzech i skrajem lasu kierujemy się na prawe skrzydło. Mży drobny, zimny deszcz. Niebo powlekają chmury — nie widać najmniejszej nawet gwiazdki.

Katasonow z walizą sunie przodem, stąpa bezszelestnie i tak pewnie, jakby co noc chodził tą ścieżką. Pytam znów Cholina o chłopca i dowiaduję się, że mały Bondariow pochodzi z Homla, ale przed wojną mieszkał z rodzicami w strażnicy, gdzieś na wybrzeżu Bałtyku. Ojciec jego, oficer ochrony pogranicza, zginął od razu pierwszego dnia wojny. Półtoraroczna siostrzyczka została podczas odwrotu zabita na rękach chłopca.

— On tyle przeszedł, że nam się nawet nie śniło — szepcze Cholin. — Był w partyzantce i w Trostiańcu — w obozie śmierci... Teraz myśli tylko o tym, żeby mścić się do ostatka! Kiedy opowiada o obozie albo przypomni sobie ojca, siostrzyczkę, cały się trzęsie. Nigdy nie przypuszczałem, że dziecko może odczuwać taką nienawiść...

Cholin milknie na chwilę, potem mówi dalej ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Przez dwa dni wyłaziliśmy ze skóry — namawialiśmy go, żeby pojechał do szkoły suworowskiej. Sam dowódca mu perswadował, i tak, i owak, prośbą i groźbą. Ale w końcu pozwolił mu pójść pod warunkiem, że to już ostatni raz! Uważasz, jak się go nie pośle, to może wyjść jeszcze gorzej. Kiedy pierwszy raz do nas przyszedł, postanowiliśmy: nie posyłać! No to sam poszedł. A kiedy wracał, nasi — z ubezpieczenia pułku Szylina — ostrzelali go. Dostał kulę w ramię i nie można nawet mieć do nikogo pretensji — noc była ciemna, a nikt o niczym nie wiedział!... Bo uważasz, to, co on robi, rzadko kiedy udaje się nawet dorosłym. On sam jeden wart jest więcej niż cała wasza kompania rozpoznania. Zwiadowcy przenikają nie dalej niż do wojskowych tyłów niemieckich*. A przedostać się do operacyjnego tyłu wroga, zalegalizować się tam i spędzić powiedzmy pięć czy dziesięć dni grupa rozpoznania nie może. Nawet pojedynczemu zwiadowcy rzadko się to udaje. Chodzi o to, że dorosły, choćby w najlepszym przebraniu, zawsze budzi podejrzenia. A taki chłopiec, bezdomny, żebrak — to najlepsza chyba osłona dla rozpoznania na tyłach operacyjnych... Gdybyś go znał lepiej — powiadam ci, lepszego trudno sobie wymarzyć!... Postanowiono już, że jeżeli po wojnie nie odnajdą jego matki, Katasonycz albo podpułkownik go zaadoptują...

— Czemu oni, nie ty?

— Ja bym go wziął — wzdycha Cholin — ale podpułkownik się sprzeciwia. Powiada, że mnie samego trzeba jeszcze wychowywać! — przyznaje się z uśmiechem zakłopotania.

W myśli zgadzam się z podpułkownikiem — Cholin ma niewyparzony język, a czasami bywa wręcz cyniczny. Co prawda w obecności chłopca bardzo się miarkuje, mam nawet wrażenie, że boi się troszkę Iwana.

W odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów od brzegu skręcamy w zarośla. Tu, przywalone jedliną, ukryte są łodzie. Zgodnie z moim rozkazem trzyma się je w pogotowiu i co drugi dzień polewa wodą, żeby się nie zeschły.

Przyświecając sobie latarkami Cholin i Katasonow oglądają łodzie, obmacują i opukują dna i burty. Następnie przewracają każdą z nich, siadają i wsadzając wiosła w dulki „wiosłują". Wybierają wreszcie jedną, niewielką, z szeroką rufą, najwyżej na trzy lub cztery osoby.

— Te kajdany nie są nam potrzebne. — Cholin ujmuje łańcuch i niby właściciel zaczyna wykręcać kółko. — Resztę zrobimy na brzegu. Najpierw wypróbujemy na wodzie...

Podnosimy łódź — Cholin za dziób, Katasonow i ja za rufę — i robimy z nią kilka kroków przedzierając się przez zarośla.

— A bodaj was! — klnie naraz szeptem Cholin. — Podnieście!

Podnosimy łódź. Cholin zarzuca sobie łódź na plecy, rękami wyciągniętymi nad głową chwyta z obu stron za brzegi i nieco pochylony, stawiając wielkie kroki, idzie za Katasonowem nad rzekę.

Na brzegu wysuwam się naprzód — muszę uprzedzić posterunek ubezpieczenia, widocznie po to właśnie byłem zwiadowcom potrzebny.

Cholin ze swym ciężarem schodzi powoli nad wodę i przystaje. Wszyscy razem ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, spuszczamy łódź na wodę.

---

* Na arenie działań wojennych tyły pododdziałów, jednostek i związków taktycznych nazywa się tyłami wojskowymi (lub taktycznymi), tyły natomiast armii i frontów — tyłami operacyjnymi.

— Wsiadajcie!

Zajmujemy miejsca. Cholin odpycha łódź i wskakuje na rufę — łódź odpływa od brzegu. Katasonow poruszając wiosłami — popychając jednym i hamując drugim — zwraca ją to w prawo, to w lewo. Następnie on i Cholin, jak gdyby starając się za wszelką cenę przewrócić łódź, przechylają się całym ciężarem ciała to na lewą, to znów na prawą burtę, wydaje się więc, że za chwilę zaleje nas woda, wreszcie stają na czworakach i obmacują, głaszczą dłońmi burty i dno.

— Łódeczka pierwsza klasa! — szepcze zadowolony Katasonow.

— Ujdzie — przyznaje Cholin. — Okazuje się, że z niego to fachowy złodziej, złych łodzi nie bierze! Przyznaj się, Galcew, ilu gospodarzy obrabowałeś?

Z prawego brzegu raz po raz terkoczą nad wodą urywane, donośne serie kaemów.

— Walą na oślep — sepleni pogardliwie Katasonow. — Niby to oszczędni i gospodarni, a jak się przyjrzeć — bałagan i tyle! Co za pożytek z takiego strzelania?... Towarzyszu kapitanie, może potem, nad ranem wyciągniemy chłopaków? — proponuje niepewnie Cholinowi.

— Nie dzisiaj. Tylko nie dzisiaj...

Katasonow skręca na brzeg. Wysiadamy.

— Cóż, zabandażujemy dulki, zalejemy gniazda towotem i gotowe! — szepcze zadowolony Cholin i zwraca się do mnie:

— Kogo tu masz w okopie?

— Żołnierzy, dwóch.

— Zostaw jednego. Takiego, żeby umiał trzymać język za zębami! Kombinujesz? Wpadnę do niego na papierosa i sam się przekonam!... Dowódcę plutonu ubezpieczającego uprzedź: po dwudziestej drugiej zero zero grupa rozpoznawcza być może — tak mu właśnie powiedz: być może! — podkreśla Cholin — pójdzie na tamten brzeg. Do tego czasu wszystkie posterunki mają być uprzedzone. On sam niech będzie w najbliższym dużym okopie, w którym stoi cekaem. — Cholin wskazuje kierunek z prądem. — Jeżeli przy powrocie nas ostrzelają, to mu łeb ukręcę!... Kto pójdzie, jak i po co — o tym ani słowa! Pamiętaj, o Iwanie wiesz tylko ty jeden! Przyrzeczenia na piśmie brać od ciebie nie będę, ale jeżeli się wygadasz, to ja cię...

— Co mnie straszysz? — szepczę oburzony. — Za dziecko mnie masz?

— A pewno! No, nie obrażaj się! — mówi Cholin klepiąc mnie po ramieniu. — Muszę przecież cię uprzedzić... A teraz idź i załatw wszystko!

Katasonow już majstruje coś przy dulkach Cholin podchodzi do łódki i także zabiera się do roboty. Stoję jeszcze chwilę, a potem ruszam wzdłuż brzegu.

Dowódcę plutonu ubezpieczającego spotykam nieopodal — obchodzi okopy sprawdzając posterunki. Udzielam mu instrukcji zgodnie z tym, co mówił mi Cholin, i udaję się do sztabu batalionu. Wydaję tam pewne zarządzenia, podpisuję dokumenty, po czym wracam do swojej ziemianki.

Chłopiec jest sam. Jest zaczerwieniony, rozgorączkowany, podniecony. W ręku nóż Kostka, na piersi moja lornetka, mina skruszona. W ziemiance panuje nieład — przewrócony do góry nogami, przykryty kocem stół, nóżki stołka wystają spod pryczy.

— Słuchaj, nie gniewaj się — prosi chłopiec. — Ja niechcący, daję słowo, niechcący...

Dopiero teraz spostrzegam na jasnych, czyściutko z rana wyszorowanych, deskach podłogi wielką plamę atramentową.

— Nie gniewasz się? — pyta zaglądając mi w oczy.

— Ależ nie — odpowiadam, chociaż nieład w ziemiance i plama na podłodze wcale mi nie w smak. W milczeniu ustawiam wszystko na miejsce, chłopiec pomaga mi, zerka na plamę i proponuje:

— Trzeba zagrzać wody. I mydłem... Ja wyszoruję!

— Dobra, poradzi się jakoś bez ciebie...

Jestem głodny i wydaję przez telefon rozkaz, aby przyniesiono kolację na sześć osób — nie wątpię, że Cholin i Katasonow po robocie przy łodzi są równie głodni jak ja.

Widząc pismo z opowiadaniem o zwiadowcach, pytam chłopca:

— Przeczytałeś?

— Aha... Biorące... Ale naprawdę to tak nie bywa. Od razu ich capną. A im jeszcze potem orderów ponawieszali.

— A ty za co masz order? — pytam.

— To jeszcze z partyzantki.

— Toś ty był także w partyzance? — dziwię się, jak gdybym słyszał o tym po raz pierwszy. — Czemu więc odszedłeś?

— Zablokowano nas w lesie, no i wysłano mnie samolotem przez linię frontu do naszych. Do internatu. Ale ja się stamtąd szybko urwałem...

— Niby jak?

— Dałem nogę. Nudno tam, trudno wprost wytrzymać. Cóż za życie — ćpa się kaszę i tyle. I wciąż trzeba kuć — ryby — kręgowce... Albo znaczenie zwierząt trawożernych w życiu człowieka...

— O tym też trzeba wiedzieć.

— Ano trzeba. Ale po co mi to w tej chwili? Do czego? Blisko miesiąc wytrzymałem. Leżę po nocach i myślę: po co ja tu siedzę? W jakim celu?...

— Internat to pewno, że nie bardzo... — przyznaję. — Ty byś powinien trafić do szkoły suworowskiej — to by była klasa!

— Cholin cię już nauczył? — pyta szybko chłopiec i patrzy na mnie badawczo.

— Co ma do tego Cholin? Sam tak uważam. Jużeś się nawojował — i w partyzance, i w rozpoznaniu. Jesteś człowiekiem zasłużonym. Teraz powinieneś tylko odpoczywać, uczyć się! Masz pojęcie, jaki z ciebie będzie oficer?...

— To cię Cholin nauczył! — stwierdza z przekonaniem chłopiec. — Ale to wszystko na nic!... Zdążę jeszcze zostać oficerem. A dopóki jest wojna, odpoczywać może tylko ten, z kogo nie ma żadnego pożytku.

— Owszem, ale przecież jesteś jeszcze mały!

— Mały?... A tyś w obozie śmierci był? — pyta nagle chłopiec; oczy płoną mu straszliwą, niedziecięcą nienawiścią, mała górna warga zaczyna drgać. — Co mnie tu agitujesz? — woła podniecony. — Nic... nic nie wiesz, to się nie ciskaj!... Zawracanie głowy...

Po upływie kilku minut przychodzi Cholin. Wsuwa kuferek z dykty pod pryczę, siada na stołku i pali zaciągając się chciwie i głęboko.

— Ciągle palisz — niezadowolonym tonem rzuca chłopiec. Ogląda z za-

chwytem nóż, wyjmuje go z pochwy, wkłada z powrotem i przewiesza z prawego boku na lewy. — Od palenia ma się zielone płuca.

— Zielone? — powtarza Cholin z uśmiechem roztargnienia. — A choćby i zielone. Kto to widzi?

— Nie chcę, żebyś palił! Głowa mnie rozboli.

— Dobra, wyjdę.

Cholin wstaje, patrzy z uśmiechem na chłopca, ale widząc jego zaczerwienioną twarz, podchodzi bliżej, przykłada mu rękę do czoła i mówi z wyrzutem:

— Znów się zmęczyłeś?... To na nic! Połóż się i odpocznij! Kładź się, kładź!

Chłopiec układa się posłusznie na pryczy. Cholin wyjmuje jeszcze jednego papierosa, przypala go od poprzedniego niedopałka, narzuca na ramiona płaszcz i wychodzi z ziemianki. Kiedy przypala, dostrzegam, że ręce drżą mu lekko. Ja mam „nerwy w strzępach", ale on też denerwuje się przed operacją. Wyczuwam w nim jakieś roztargnienie czy niepokój — mimo całej swej spostrzegawczości nie zauważył plamy atramentu na podłodze, zresztą w ogóle wygląda jakoś dziwnie. A może mi się tylko przywidziało.

Pali na powietrzu przez jakieś dziesięć minut (widocznie nie jednego papierosa), potem wraca i mówi do mnie:

— Za jakieś półtorej godziny ruszymy. Jedzmy kolację.

— A gdzie Katasonycz? — pyta chłopiec.

— Dowódca dywizji wezwał go nagle. Pojechał do dywizji.

— Jak to? — chłopiec zrywa się z miejsca. — Pojechał i tu nie wstąpił? Nie życzył mi powodzenia?

— Nie mógł! Dostał pilne wezwanie — tłumaczy mu Cholin. — Sam nie rozumiem, co się tam stało. Wiedzą przecież, że jest nam potrzebny, a tu nagle go wzywają...

— Mógłby wpaść na chwileczkę. Też mi przyjaciel... — mówi obrażony i przejęty chłopiec. Jest szczerze zmartwiony. Przez pół minuty leży w milczeniu, twarzą do ściany, potem odwraca się i pyta:

— Więc co, pójdziemy we dwóch?

— Nie, we trzech. On pójdzie z nami — skinieniem głowy wskazuje na mnie Cholin.

Patrzę na niego zaskoczony, dochodzę do wniosku, że żartuje, i uśmiecham się.

— Nie szczerz zębów i nie gap się na mnie jak cielę na malowane wrota. Mówię serio — oznajmia Cholin. Minę ma poważną, może nawet zatroskaną.

Nie wierzę wciąż i milczę.

— Sam przecież chciałeś. Napraszałeś się! A teraz co, strach cię oblecial? — pyta, patrząc na mnie badawczo i tak z góry, tak niechętnie, że zaczynam się czuć nieswojo. I nagle rozumiem, że Cholin nie żartuje.

— Ależ nie boję się wcale — oświadczam pewnym tonem, usiłując jednocześnie zebrać myśli. — Po prostu nie spodziewałem się...

— W życiu wszystko jest niespodziewane — mówi zamyślony Cholin. — Nie wziąłbym cię, możesz mi wierzyć, ale muszę! Katasonycz dostał pilne wezwanie! Nie mam pojęcia, co się tam stało... Wrócimy za jakieś dwie godziny — zapewnia mnie Cholin. — Ale sam zdecyduj, sam! I w razie czego,

żeby nie było na mnie. Jeżeli się wyda, żeś samowolnie chodził na tamten brzeg, dostaniemy takie wcieranie, że proszę siadać. Więc w razie czego nie kwicz: „Cholin powiedział, Cholin prosił, Cholin mnie wrobił!". Żeby tego nie było! Pamiętaj: sam chciałeś. Bo przecież chciałeś?... W razie czego, ja naturalnie oberwę, ale i tobie nie ujdzie to na sucho! Kogo zrobisz zastępcą? — pyta po krótkiej pauzie.

— Zastępcę do spraw politycznych Kołbasowa — mówię po namyśle. — To energiczny chłop...

— Energiczny to on jest. Ale lepiej z nim nie zaczynać. Zastępcy do spraw politycznych to ludzie pryncypialni — gotów kropnąć o nas meldunek polityczny, a wtedy kłopotów będzie co niemiara — wyjaśnia Cholin uśmiechając się zgryźliwie i wznosi oczy ku niebu. — Panie Boże zachowaj od takiej przygody.

— W takim razie Guszczyna, dowódcę piątej kompanii.

— Ty się najlepiej orientujesz, decyduj sam! — stwierdza Cholin, po czym radzi: — Nie mów mu, o co chodzi — o tym, że pójdziesz na tamten brzeg, będą wiedzieli tylko w ubezpieczeniu. Kombinujesz?... Jeżeli wziąć pod uwagę, że ze strony nieprzyjaciela nie przewiduje się żadnych działań, to cóż się właściwie może stać?... Nic! W dodatku zostawisz zastępcę i wydalasz się tylko na dwie godziny. Dokąd?... Powiedzmy na wieś, do baby! Postanowiłeś uszczęśliwić jakąś kretynkę, do diabła ciężkiego, jesteś przecie żywym człowiekiem! Wrócimy za dwie godziny, no, najwyżej za trzy — wielkie rzeczy!...

Wszystkie te perswazje są zbędne. Pewnie, sprawa nie jest błaha i jeżeli dowództwo się dowie, przykrości będzie rzeczywiście co niemiara. Ale zdecydowałem się już i staram się nie myśleć o przykrościach — myślę już tylko o tym, co ma wkrótce nastąpić...

Nigdy jeszcze nie byłem na rozpoznaniu. Co prawda przed trzema miesiącami przeprowadziłem ze swoją kompanią — i to z dużym powodzeniem — rozpoznanie walką, ale co to jest rozpoznanie walką?... Jest to w gruncie rzeczy natarcie, tyle że krótkie i dokonane ograniczonymi siłami.

Nigdy jeszcze nie byłem na rozpoznaniu i myśląc o tym, co ma nastąpić, nie mogę oczywiście zachować całkowitego spokoju...

5

Przynoszą kolację. Wychodzę i sam odbieram menażki i imbryk z gorącą herbatą. Stawiam jeszcze na stole dzieżkę śmietany i puszkę duszonej wieprzowiny. Siadamy do kolacji. Chłopiec i Cholin jedzą mało, ja też straciłem apetyt. Chłopiec ma minę obrażoną i smutną. Dotknęło go widocznie do żywego, że Katasonow nie wstąpił tu, żeby mu życzyć powodzenia. Po jedzeniu kładzie się znów na pryczy.

Sprzątam ze stołu. Cholin rozkłada wtedy mapę i zaczyna mi wykładać, co i jak.

— Przeprawiamy się na tamten brzeg we trzech, zostawiamy łódź w krzakach i idziemy tuż nad brzegiem w górę rzeki jakieś sześćset metrów, aż do wąwozu. — Cholin pokazuje marszrutę na mapie.

— Lepiej byłoby naturalnie pojechać wprost do tego miejsca, ale tam brzeg jest nagi i nie ma gdzie schować łodzi — dodaje.

Tym wąwozem, znajdującym się naprzeciw ugrupowań bojowych trzeciego batalionu, chłopiec powinien przejść za pierwszą linię niemieckiej obrony.

Jeżeli go zauważą, Cholin i ja, czekający tuż nad wodą, powinniśmy ujawnić się natychmiast, rzucając czerwone rakiety (sygnał wywołania ognia), odwrócić uwagę Niemców i „za wszelką cenę" osłonić odwrót chłopca do łodzi. Ostatni wycofuje się Cholin.

W takim wypadku na sygnał naszych rakiet „środki wspierające" — dwie baterie dział 76 mm, bateria moździerzy 120 mm, dwie kompanie przeciwpancerne i jedna kompania cekaemów — winny intensywną nawałą artyleryjską oślepić i oszołomić przeciwnika, ogarnąć ogniem dział i moździerzy okopy niemieckie po obu stronach wąwozu i dalej w lewo, aby zapobiec ewentualnym wypadom Niemców i zabezpieczyć nasz odwrót do łodzi.

Cholin podaje mi sygnały współdziałania z lewym brzegiem, omawia szczegóły i pyta:

— Wszystko już wiesz?

— Chyba wszystko.

Milczę chwilę, a potem mówię o tym, co mnie niepokoi: kiedy chłopiec zostanie sam w takich ciemnościach, czy nie straci orientacji przy przejściu i czy nie ucierpi w wypadku ostrzału artyleryjskiego.

Cholin wyjaśnia, że „on" — ruch głowy w kierunku chłopca — wraz z Katasonowem przez kilka godzin zapoznał się gruntownie z miejscem przejścia i zna tam każdy krzaczek, każdy pagóreczek. Co się zaś tyczy nawały artyleryjskiej, to cele są już wstrzelane i zostawiony będzie „tunel" szerokości około siedemdziesięciu metrów.

Mimo woli myślę, o tym, ile może się zdarzyć nieprzewidzianych wypadków, ale nic na ten temat nie mówię. Chłopiec leży smętnie zamyślony i wpatruje się w sufit. Na twarzy jego wciąż jeszcze widać urazę, poza tym jednak zachowuje się zupełnie obojętnie, jak gdyby nasza rozmowa najzupełniej go nie dotyczyła.

Oglądam na mapie niebieskie linie — rzutowaną w głąb obronę Niemców — wyobrażam sobie, jak ona wygląda w rzeczywistości, i pytam cichutko:

— Słuchaj, czyście aby trafnie wybrali miejsce przejścia? Czyżby na froncie armii nie było odcinka, na którym obrona przeciwnika nie jest tak zwarta? Czyż nie ma w niej jakiejś luki, chociażby na stykach związków taktycznych?

Cholin mruży piwne oczy i patrzy na mnie drwiąco.

— Wy w pododdziałach dalej własnego nosa nic nie widzicie! — oświadcza pogardliwie. — Wciąż się wam zdaje, że macie przeciwko sobie główne siły przeciwnika, a na innych odcinkach jest tylko słabiutka osłona, dla pozoru! Sądzisz, żeśmy się nie zastanawiali albo że gorzej się od ciebie orientujemy? Jeżeli chcesz wiedzieć, to Niemcy tu na całym froncie upchali tyle wojska, że ci się nawet nie śniło! I styków pilnują jak oka w głowie — nie szukaj głupszych od siebie, głupi dawno już poginęli! Zwarta, szczelna obrona na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów — wzdycha Cholin. — Ty pało nie-

szczęsna, myśmy to wszystko przemyśleli nie raz i nie dwa. W takiej sprawie z pieca na łeb nic się nie robi, bądź pewien!

Wstaje, przysiada się na pryczę do chłopca i półgłosem, zapewne nie po raz pierwszy, udziela mu wskazówek:

— W wąwozie trzymaj się tuż przy krawędzi. Pamiętaj — cały dół jest zaminowany... Ciągle nasłuchuj. Zatrzymuj się i słuchaj!... Po rowach chodzą patrole, więc jak się przyczołgasz, zaczekaj!... Patrol przejdzie — wtedy szybko na drugą stronę rowu i ruszaj dalej...

Łączę się z dowódcą piątej kompanii, Guszczynem, zawiadamiam go, że ma mnie zastępować, wydaję niezbędne zarządzenia. Odkładam wreszcie słuchawkę i znów słyszę ściszony głos Cholina:

— ... będziesz czekał w Fedorówce... Ale niepotrzebnie się nie narażaj! Najważniejsze — ostrożność!

— Myślisz, że to takie proste — ostrożność? — z ledwie wyczuwalną irytacją pyta chłopiec.

— Wiem! Ale ty bądź ostrożny! I zawsze pamiętaj — nie jesteś sam! Pamiętaj: gdziekolwiek jesteś, ja przez cały czas o tobie myślę. Podpułkownik także...

— A Katasonycz pojechał i nie wstąpił do mnie — z najzupełniej dziecinnym brakiem konsekwencji mówi obrażony chłopiec.

— Powiedziałem ci przecie, że nie mógł! Dostał pilne wezwanie. Gdyby nie to... Wiesz przecież, jak on cię kocha! Wiesz, że on nie ma nikogo i żeś dla niego najdroższy na świecie! Wiesz przecież?

— Wiem — przyznaje chłopiec pociągając nosem, a głos mu drży. — A jednak mógłby wpaść na chwileczkę...

Cholin kładzie się obok chłopca, głaszcze jego miękkie, lniane włosy i coś mu szepcze. Staram się nie słuchać. Okazuje się, że mam moc spraw do załatwienia, krzątam się pośpiesznie, ale nie jestem w stanie nic zrobić jak należy, w końcu więc machnąwszy na wszystko ręką siadam pisać list do matki: wiem, że zwiadowcy przed wypadem pisują listy do krewnych i do osób bliskich. Denerwuję się jednak, nie mogę skupić myśli i po zapisaniu połowy kartki drę wszystko i wrzucam do piecyka.

— Czas na nas — mówi Cholin; spogląda na zegarek i wstaje. Podnosi na ławkę walizę, wyciąga spod pryczy tobół, rozwiązuje go i zaczynamy się ubierać.

Wkłada na bawełnianą bieliznę cienkie wełniane kalesony i sweter, następnie zimową bluzę i spodnie, a na to zielony płaszcz maskowniczy. Idąc za jego przykładem ubieram się tak samo. Wełniane kalesony Katasonowa są na mnie za ciasne, trzeszczą w kroku. Patrzę z wahaniem na Cholina.

— To nic, to nic — zachęca mnie w odpowiedzi. — Śmiało! Jeśli nawet podrzesz, dostaniemy nowe.

Płaszcz maskowniczy jest prawie na mnie dobry, ale spodnie trochę za krótkie. Na nogi wkładamy niemieckie podkute buty. Są ciężkie i dziwnie się w nich czuję, ale Cholin tłumaczy, że to środek ostrożności — żeby nie zostawić śladów na tamtym brzegu. Sam zawiązuje mi wiązania płaszcza maskowniczego.

Wkrótce jesteśmy gotowi: zawiesiliśmy już przy pasach noże fińskie i granaty „F-1". (Cholin bierze jeszcze masywny granat przeciwpancerny

„RPG-40"); wsunęliśmy w zanadrze pistolety z nabojami wprowadzonymi do komór; włożyliśmy na ręce kompasy i zegarki z fosforyzującymi tarczami, przysłaniając je rękawami płaszczów maskowniczych; obejrzeliśmy dokładnie rakietnicę, Cholin sprawdza jeszcze tylko pistolety maszynowe.

Jesteśmy gotowi, a chłopiec wciąż leży na wznak i nie patrzy na nas.

Z wielkiej niemieckiej walizy wyjęto już zrudziałą, podartą chłopięcą kurtkę na wacie, ciemnoszare, połatane spodnie, sfatygowaną czapkę i buty z wyglądu mocno zniszczone. Na brzegu pryczy leży płócienna spodnia bielizna, wielokrotnie cerowana ciepła koszulka i wełniane skarpetki, mała, brudna torba, onuce i jakieś tam szmaty.

Cholin zawija w kawałek surowego płótna żywność dla chłopca: niewielki, półkilowy może krążek kiełbasy, dwa kawałki słoniny, kawał chleba i jeszcze kilka suchych, pojedynczych kromek. Kiełbasa jest domowej roboty, słonina najwyraźniej nie pochodzi z wojskowego magazynu — jest nierówna, cienka, szarawa od brudnej soli, chleb też jest wiejski, pieczony w chłopskim piecu.

Patrzę i myślę: wszystko tu przewidziano, najmniejszy drobiazg...

Żywność ułożono już w torbie, a chłopiec wciąż leży bez ruchu. Cholin zerka na niego ukradkiem i nie mówiąc ani słowa znów ogląda rakietnicę i pistolety maszynowe.

Wreszcie chłopiec siada na pryczy i bez pośpiechu zaczyna zdejmować mundur. Granatowe spodnie mają plamy na kolanach i z tyłu.

— Smoła — mówi chłopiec. — Niech oczyszczą.

— Może oddać je do magazynu i wziąć nowe? — proponuje Cholin.

— Nie. Niech te oczyszczą.

Chłopiec spokojnie wkłada cywilne ubranie. Cholin pomaga mu, potem ogląda go ze wszystkich stron. Ja też patrzę: wypisz-wymaluj bezdomny obdartus, mały uchodźca, jakich tylu spotykaliśmy na drogach.

Do kieszeni chłopiec chowa niewielki nóż składany roboty jakiegoś domorosłego majstra i brudne banknoty — sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt marek okupacyjnych. To wszystko.

— Skaczmy — mówi mi Cholin.

Dla sprawdzenia podskakujemy kilka razy. Chłopiec też podskakuje, chociaż co mu właściwie może zabrzęczeć w kieszeniach?

Zgodnie ze starym zwyczajem rosyjskim siadamy i siedzimy przez chwilę w milczeniu. Twarz chłopca znów ma wyraz niedziecięcego skupienia i napięcia wewnętrznego, jaki miała przed sześcioma dniami, kiedy po raz pierwszy znalazł się w mojej ziemiance.

*

Naświetliwszy oczy czerwonym światłem latarek sygnałowych (żeby lepiej widzieć w ciemnościach), idziemy do łodzi — ja na przedzie, chłopiec w odległości piętnastu kroków za mną, jeszcze dalej Cholin.

Mam zawołać i zająć rozmową każdego, kogo spotkamy na ścieżce, żeby chłopiec przez ten czas się schował — nikt oprócz nas nie powinien go teraz zobaczyć, Cholin uprzedził mnie o tym w sposób jak najbardziej stanowczy.

Od strony prawej dobiega z ciemności cicha komenda: „Obsługa — na miejsca!... Do boju!...". Słychać trzask gałęzi i przekleństwa rzucane szeptem — obsługa staje przy działach i moździerzach rozrzuconych na skraju lasu w ugrupowaniach bojowych mojego batalionu i batalionu trzeciego.

W operacji oprócz nas bierze udział około dwustu ludzi. Gotowi są osłonić nas w każdej chwili, kierując na pozycje Niemców huraganową serię ognia. Nikt z nich przy tym nie podejrzewa, że nie chodzi tu wcale o wypad, jak musiał powiedzieć Cholin dowódcom pododdziałów wspierających.

Nieopodal miejsca, w którym stoi łódka, znajduje się posterunek ubezpieczający. Było w nim dwóch żołnierzy, ale zgodnie z żądaniem Cholina kapitan dowódcy ubezpieczenia zostawić w okopie tylko jednego — niemłodego, rozumnego starszego strzelca Demina. Gdy się zbliżamy do brzegu, Cholin każe mi pójść i zagadać starszego strzelca — on z chłopcem przeciśnie się tymczasem niepostrzeżenie do łodzi. Wszystkie te środki ostrożności są moim zdaniem zbyteczne, ale nastawienie Cholina nie dziwi mnie — wiem, że nie tylko on, ale wszyscy zwiadowcy są tacy. Idę więc naprzód.

— Tylko bez komentarzy! — groźnym szeptem poucza mnie Cholin. Znudziły mi się już te pouczenia na każdym kroku — nie jestem przecież dzieckiem i sam mam głowę na karku.

Demin zgodnie z regulaminem zatrzymuje mnie w pewnej odległości okrzykiem. Odpowiadam, potem podchodzę, zeskakuję do okopu i ustawiam się tak, żeby Demin musiał zwrócić się twarzą do mnie, plecami zaś do ścieżki.

— Pal — częstuję, wyjmując papierosy.

Siadamy w kucki, Demin pociera wilgotnymi zapałkami o pudełko, wreszcie jedna się zapala, podaje mi więc ogień i przypala sam. W świetle zapałki widzę, że w niszy pod przedpiersiem na wiązce starego siana ktoś śpi, dostrzegam nawet dziwnie znajomą furażerkę z malinową wypustką. Zaciągnąwszy się głęboko i nie wypowiadając ani słowa zapalam latarkę i widzę, że w niszy leży Katasonow. Leży na wznak, twarz ma przykrytą furażerką. Nie domyślając się jeszcze niczego, podnoszę ją — poszarzała, łagodna twarz; nad lewym okiem mała, równiutka dziurka — otwór wlotowy kuli...

— Głupia historia — mamrocze przy mnie cicho Demin; mam wrażenie, że jego głos dobiega mnie skądś z daleka. — Przygotowali łódkę, posiedzieli ze mną, zapalili papierosa. Kapitan stał tutaj, rozmawiał ze mną, a ten zaczął wychodzić i ledwie wyjrzał z okopu, patrzę — tak ci wolniutko zsuwa się na dół. Nic wiem nawet, czyśmy słyszeli strzały... Kapitan skoczył do niego, potrząsa za ramię: „Kapitonycz!... Kapitonycz!...". Patrzymy, a on na miejscu!... Kapitan rozkazał nikomu nie mówić...

Więc to dlatego Cholin po powrocie znad rzeki wydał mi się jakiś nieswój.

— Bez komentarzy!.... — dolatuje od strony rzeki jego rozkazujący szept. Teraz wszystko rozumiem — chłopiec idzie na zwiady i nie wolno go teraz martwić. Nie może się o niczym dowiedzieć.

Wydostawszy się z okopu idę wolno ku wodzie.

Chłopiec jest już w łodzi. Siadam z nim na rufie, trzymając pistolet maszynowy w pogotowiu.

— Siądź prosto — szepcze Cholin przykrywając nas panterką. — Uważaj, żeby się łódź nie przechylała!

Odpycha dziób łódzi od brzegu, siada i ujmuje za wiosła. Patrzy na zegarek, czeka chwilę, potem gwiżdże cicho — jest to sygnał początku operacji.

Odpowiedź następuje niezwłocznie — z prawej strony, z ciemności, gdzie w wielkim cekaemowym okopie na skrzydle trzeciego batalionu czekają dowódcy pododdziałów wspierających i obserwatorzy artyleryjscy, słychać wystrzał karabinowy.

Obróciwszy łódź Cholin zaczyna wiosłować. Brzeg od razu znika. Spowija nas mgła zimnej, pochmurnej nocy.

6

Czuję na twarzy miarowy, gorący oddech Cholina. Mocnymi ruchami ramion popycha łódź naprzód, słychać, jak woda pluszcze cicho pod uderzeniami wioseł. Chłopiec zastygł chowając się obok mnie pod panterką.

Przed nami, na prawym brzegu, Niemcy jak zwykle strzelają od czasu do czasu i oświetlają rakietami brzeg — z powodu deszczu błyski nie są tak jaskrawe, jak zazwyczaj. Wiatr wieje w naszym kierunku. Pogoda wyraźnie nam sprzyja.

Z naszego brzegu wylatuje nad rzekę seria pocisków smugowych. Serie takie będą wylatywały z lewego skrzydła trzeciego batalionu co pięć do siedmiu minut i będą dla nas znakami orientacyjnymi w drodze powrotnej.

— Cukier! — szepcze Cholin.

Wkładamy do ust po dwie kostki cukru i ssiemy je pilnie — powinno to wzmóc wrażliwość naszego wzroku i słuchu.

Znajdujemy się już chyba gdzieś na środku rzeki, gdy przed nami odzywa się naraz kaem — kule świszczą i z głośnym pluskiem wpadają do wody bardzo blisko nas.

— „MG-34" — stwierdza bezbłędnie chłopiec, tuląc się do mnie ufnie.

— Boisz się?

— Troszkę — przyznaje się ledwie dosłyszalnym szeptem. — W żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić. Jakiś jestem nerwowy... I do żebraniny nie mogę się przyzwyczaić. Niedobrze się robi!...

Tak, mogę sobie wyobrazić, jakie to ciężkie dla tego dumnego, ambitnego chłopca, kiedy musi się poniżać, prosząc o jałmużnę.

— Słuchaj — szepczę, bo coś sobie przypomniałem — mamy w batalionie Bondariowa. Też z Homla. Może krewny?

— Nie. Ja nie mam krewnych. Tylko matkę. I też nie wiem, gdzie ona teraz jest... — głos mu się załamuje. — A nazywam się naprawdę Busłow, nie Bondariow.

— I na imię ci nie Iwan?

— Owszem, Iwan. To naprawdę moje imię.

Cholin wiosłuje wolniej, widocznie zbliżamy się do brzegu. Wytężam wzrok, aż oczy mnie bolą, wpatruję się w ciemności, ale oprócz błysków rakiet, przyćmionych deszczową zasłoną, nie widać nic.

Posuwamy się wolniuteńko, jeszcze chwila, a dno dotyka piasku. Cholin składa szybko wiosła, przesadza burtę i stojąc w wodzie pośpiesznie obraca łódź rufą do brzegu.

Przez jakieś dwie minuty nasłuchujemy z wytężeniem. Słychać, jak krople deszczu uderzają miękko o wodę, o ziemię, o panterkę, która nasiąkła już wilgocią; słyszę miarowy oddech Cholina i słyszę, jak bije moje serce. Ale nie rozróżniamy w tych odgłosach nic podejrzanego — żadnego szmeru, szelestu ani ludzkich głosów. Cholin tchnie mi wprost do ucha:

— Iwan — na miejscu. A ty wyjdź i trzymaj...

Daje nurka w mrok. Wysuwam się ostrożnie spod panterki, wchodzę do wody stąpając po piasku przybrzeżnym, poprawiam pistolet maszynowy i ujmuję łódź za rufę. Czuję, że chłopiec wstał i stoi w łodzi obok mnie.

— Usiądź. I narzuć panterkę — szepcę namacawszy go ręką.

— Teraz już i tak wszystko jedno — odpowiada ledwo dosłyszalnie.

Cholin wraca nagle, podchodzi do nas i radosnym szeptem oznajmia:

— W porządku! Wszystko jak się patrzy...

Okazuje się, że krzaki przybrzeżne, w których mamy ukryć łódkę, dzieli od nas zaledwie piętnaście kroków w dół rzeki.

Po kilku minutach łódź jest już schowana i skradamy się po brzegu, zatrzymując co pewien czas i nasłuchując. Kiedy nieopodal błyska rakieta, padamy na piasek pod urwiskiem i leżymy bez ruchu, jak nieżywi. Kącikiem oka widzę chłopca — ubranie jego pociemniało już od deszczu. Cholin i ja przebierzemy się po powrocie, ale on...

Cholin zwalnia naraz kroku, bierze chłopca za rękę i idzie prawą stroną, po wodzie. Przed nami na piasku widać coś jasnego. „Trupy naszych zwiadowców" — domyślam się.

— Co to? — ledwo dosłyszalnie pyta chłopiec.

— Szkopy — szepcze Cholin szybko i pociąga go za sobą naprzód. — To strzelec wyborowy z naszego brzegu ich tak...

— Potwory! Nawet swoich rozbierają — mruczy z nienawiścią chłopiec, oglądając się za siebie.

Zdaje mi się, że idziemy już całe wieki i dawno już powinni byśmy dojść do celu. Przypominam sobie jednak, że od krzaków, w których ukryliśmy łódkę, do tych trupów jest trzysta z czymś metrów. A do wąwozu trzeba jeszcze przejść mniej więcej drugie tyle.

Wkrótce mijamy jeszcze jednego trupa. Jest już w stanie zupełnego rozkładu — z daleka czuje się mdlący odór. Z lewego brzegu znów wystrzela w dżdżyste niebo seria pocisków smugowych. Wąwóz jest gdzieś w pobliżu, ale go nie zobaczymy — nieprzyjaciel nie oświetla go rakietami dlatego zapewne, że cały jego dół jest zaminowany, brzegi zaś otacza gęsta siec rowów i patroli. Niemcy są widać pewni, że nikt nie będzie nawet próbował tędy przejść.

Wąwóz ten jest niezłą pułapką dla tego, kogo w nim spostrzegą. I cała kalkulacja opiera się na tym, że chłopiec przemknie się nie zauważony.

Cholin zatrzymuje się wreszcie, daje nam znak, żebyśmy usiedli, sam zaś idzie naprzód.

Wkrótce wraca i najcichszym szeptem rzuca komendę:

— Za mną!

Posuwamy się jeszcze o jakieś trzydzieści kroków naprzód i siadamy w kucki za występem.

— Wąwóz przed nami, na wprost! — Odchylając rękaw płaszcza Cholin

patrzy na świecącą tarczę i szepcze chłopcu: — Mamy jeszcze cztery minuty. Jak samopoczucie?

— W porządku.

Przez pewien czas wsłuchujemy się w ciszę. Cuchnie tu trupami i wilgocią. Jeden z trupów — widać go na piasku w odległości jakichś trzech metrów od nas — stanowi zapewne dla Cholina punkt orientacyjny.

— No, idę — ledwo dosłyszalnie mówi chłopiec.

— Odprowadzę cię — szepcze nagle Cholin. — Przez wąwóz. Chociażby kawałek.

To już nie jest zgodne z planem.

— Nie! — oponuje chłopiec. — Pójdę sam! Jesteś wielki — z tobą złapią.

— Może ja pójdę? — proponuję niepewnie.

— Choćby przez wąwóz — błaga szeptem Cholin. — Tam jest glina — zostawisz ślady. Ja cię przeniosę!

— Powiedziałem! — gniewnie i z uporem oświadcza chłopiec. — Idę sam!

Stoi obok mnie, mały, szczuplutki i, jak mi się wydaje, dygocze już cały w swoich nędznych łachmanach. Ale może tak mi się tylko zdaje...

— Do zobaczenia — po sekundzie milczenia szepcze do Cholina.

— Do zobaczenia. — Czuję, że się ściskają i że Cholin go całuje. — Najważniejsze — bądź ostrożny! Uważaj na siebie! Jeżeli ruszymy — czekaj w Fiodorowce!

— Do zobaczenia — zwraca się chłopiec tym razem do mnie.

— Do widzenia — szepczę wzruszony; odnajduję w ciemnościach jego małą, wąską rączkę i ściskam ją mocno. Mam ochotę ucałować go, ale brak mi odwagi. Jestem poruszony do głębi. Przedtem z dziesięć razy powtarzam w myśli „do widzenia", żeby nie palnąć jak przed pięcioma dniami: „Żegnaj".

I zanim zdobywam się na to, żeby go ucałować, chłopiec bezszelestnie znika w ciemnościach.

7

Cholin i ja przyczailiśmy się siedząc w kucki tuż pod urwiskiem i zamieniliśmy się w słuch. Lał miarowy, regularny deszcz, zimny, jesienny deszcz, który, zdawało się, nigdy nie miał ustać. Od rzeki zalatywało zgniłą wilgocią.

Upłynęły jakieś cztery minuty, odkąd zostaliśmy sami. Naraz z tego kierunku, w którym odszedł chłopiec, dobiegł nas odgłos kroków i cicha, niewyraźna, gardłowa mowa.

„Niemcy!..."

Cholin ścisnął mnie za ramię, ale nie potrzeba mi było ostrzeżenia — usłyszałem te dźwięki może nawet wcześniej od niego, odbezpieczyłem już pistolet maszynowy i zamarłem z zaciśniętym w ręce granatem.

Kroki zbliżały się. Teraz już słychać było, jak błoto chlupie pod nogami kilku ludzi. W ustach mi zaschło, serce waliło jak szalone..

— *Verfluchtes Wetter! Hohl es der Teufel...* *

— *Halte's Maul, Otto!... Links halten!...* **

* Przeklęta pogoda! Po kiego licha...

** Stul pysk, Otto!... Trzymać się lewej!...

Przeszli tak blisko nas, że krople zimnego błota spadły mi na twarz. Po sekundzie przy błysku rakiety ujrzałem ich w rzadziutkiej otoczce deszczu, rosłych (może tak mi się tylko zdawało, bo patrzałem na nich z dołu), w hełmach i w takich samych butach z szerokimi cholewami, jakie mieliśmy na sobie: Cholin i ja. Trzech miało na sobie panterki, czwarty — lśniący od deszczu długi płaszcz nieprzemakalny, a na nim pas z pistoletem. Pistolety maszynowe wisiały im na piersiach.

Było ich czterech, patrol ubezpieczający pułku SS, bojowy patrol niemiecki, obok którego prześliznął się przed chwilą Iwan Busłow, dwunastoletni chłopiec z Homla, figurujący w dokumentach naszego rozpoznania pod nazwiskiem „Bondariow".

Kiedyśmy ujrzeli ich w drżącym świetle rakiety, Niemcy zatrzymali się właśnie i zamierzali zejść ku wodzie w odległości najwyżej dziesięciu kroków od nas. Słychać było, jak w ciemnościach zeskoczyli wszyscy na piasek i skierowali się ku krzakom, w których ukryta była nasza łódź.

Dla mnie rzecz była trudniejsza do zniesienia niż dla Cholina. Nie byłem zwiadowcą, walczyłem zaś prawie od początku wojny i na widok wrogów, żywych i uzbrojonych, ogarnęło mnie dobrze znane i po wielokroć doświadczane podniecenie żołnierza w chwili starcia. Poczułem pragnienie — więcej, konieczną potrzebę, nakaz wewnętrzny, przymus natychmiastowego ich zabicia! Położę ich jedną serią, wszystkich, pokotem! „Zabić ich!" — o niczym chyba poza tym nie myślałem podnosząc pistolet maszynowy. Ale Cholin myślał za mnie. Poczuł mój ruch i ścisnął mi ramię jak w kleszczach. Oprzytomniałem i opuściłem pistolet.

— Zauważą łódkę! — wyszeptałem rozcierając ramię, gdy kroki się oddaliły.

Cholin milczał.

— Trzeba coś robić — z niepokojem szepnąłem znów po krótkiej pauzie. — Jeżeli znajdą łódź...

— Jeżeli! — tchnął mi w twarz rozwścieczony Cholin. Poczułem, że gotów jest mnie udusić. — A jeżeli złapią chłopaka? Co, chcesz go zostawić samego?... Coś ty — kanalia, ścierwo czy po prostu idiota?...

— Idiota — wyszeptałem po namyśle.

— Pewnieś neurastenik — szepnął refleksyjnie Cholin. — Jak się wojna skończy, będziesz się musiał leczyć...

Nasłuchiwałem w napięciu, spodziewając się, że lada chwila usłyszę okrzyki Niemców, którzy znaleźli naszą łódź. Z lewej strony zaterkotał krótko karabin maszynowy, po nim inny, tuż nad nami, i znów w ciszy rozległ się tylko miarowy szum deszczu. Rakiety wzlatywały to tu, to ówdzie na całej linii brzegu, zapalały się, ciskały iskry, syczały i gasły, zanim zdążyły dolecieć do ziemi.

Mdlący, trupi odór wzmógł się z niewiadomego powodu. Spluwałem, starałem się oddychać przez nos, ale to niewiele pomagało.

Okropnie chciało mi się zapalić. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciało mi się zapalić. Ale jedyne, co mogłem, to wyciągnąć papierosa i wąchać go, rozgniatając w palcach.

Zmokliśmy wkrótce i drżeliśmy z zimna, a deszcz wciąż nie ustawał.

— W wąwozie jest glina, niech ją diabli! — szepnął nagle Cholin. — Żeby tak teraz porządna ulewa — zmyłaby wszystko...

Myślą był nieustannie przy chłopcu, toteż gliniasty wąwóz, w którym zachowają się wyraźne ślady, mocno go niepokoił. Rozumiałem, jak bardzo ten niepokój jest uzasadniony — jeżeli Niemcy zauważą świeże, niezwykle małe ślady, prowadzące od brzegu poprzez pierwszą linię, za Iwanem niezawodnie zorganizują pościg. Może nawet z psami. Gdzie jak gdzie, ale w pułkach SS dość jest psów, zaprawionych do polowania na ludzi.

Żułem już papierosa. Nie było to zbyt przyjemne, ale żułem. Cholin musiał usłyszeć, bo zapytał:

— Co ty tam?

— Konam, tak chcę zapalić! — westchnąłem.

— A do mamusi nie chcesz? — spytał zjadliwie Cholin. — Ja osobiście chciałbym do mamusi. Nieźle byłoby, co?

Czekaliśmy jeszcze ze dwadzieścia minut, przemoknięci, drżąc z zimna i wciąż nasłuchując. Koszula przywierała mi do pleców niby lodowaty kompres. Deszcz zamienił się stopniowo w śnieg — miękkie, wilgotne płatki spadały pokrywając piasek białą kapą i topniały niechętnie, opornie.

— No, zdaje się, że przeszedł — westchnął wreszcie z ulgą Cholin i powstał.

Kuląc się i starając się iść jak najbliżej występu, ruszyliśmy do łodzi. Raz po raz przystawaliśmy, zastygaliśmy i nasłuchiwali. Byłem niemal pewien, że Niemcy znaleźli łódź i urządzili w krzakach zasadzkę. Ale nie śmiałem powiedzieć tego Cholinowi — bałem się, że mnie wyśmieje.

Skradaliśmy się w ciemnościach brzegiem, dopóki nie natknęliśmy się na trupy naszych zwiadowców. Odeszliśmy od nich nie dalej niż o pięć kroków, gdy Cholin przystanął, przyciągnął mnie za rękaw ku sobie i począł szeptać mi do ucha:

— Zostaniesz tutaj. Ja pójdę po łódź. Żebyśmy w razie czego obaj nie wpadli. Jak podjadę, zawołasz na mnie po niemiecku. Cichuteńko!... A jeżeli się natknę i będzie hałas, płyń na tamten brzeg. I jeżeli za godzinę nie wrócę, też płyń. Potrafisz przecież pięć razy przepłynąć tam i z powrotem? — powiedział drwiąco.

— Potrafię — potwierdziłem drżącym głosem. — A jeżeli będziesz ranny?

— Nie twoja rzecz. Za dużo mędrkujesz.

— Do łodzi lepiej nie podchodzić brzegiem, ale podpłynąć od strony rzeki — zauważyłem niezbyt pewnie. — Ja mogę...

— Może tak też zrobię... A ty w razie czego nigdzie się nie pchaj! Jeżeli ci się coś stanie, dostaniemy takie wcieranie, że proszę siadać. Kombinujesz?

— Owszem. A jeżeli...

— Żadnych jeżeli!... Dobry z ciebie chłop, Galcew — szepnął naraz Cholin — ale neurastenik. A w naszym fachu nie ma nic gorszego...

Zginął w ciemnościach, ja zaś zostałem na miejscu. Nie wiem, jak długo trwało to dręczące oczekiwanie; tak zmarzłem i tak się denerwowałem, że nie spojrzałem na zegarek. Starając się nie czynić najmniejszego hałasu ruszałem energicznie rękami i robiłem przysiady, żeby choć trochę się rozgrzać. Co pewien czas zamierałem i nasłuchiwałem.

Wreszcie, posłyszawszy leciusieńki plusk wody, przyłożyłem ręce do ust, składając je w kształt tuby, i zacząłem wołać szeptem:

— *Halt... Halt...*

— Cicho, do diabła. Chodź tutaj.

Stawiając ostrożnie nogi zrobiłem kilka kroków i zimna woda napłynęła mi do butów chwytając moje stopy w lodowate objęcia.

— Co tam w wąwozie, cicho? — zapytał przede wszystkim Cholin.

— Cicho.

— Widzisz, a tyś się bał! — wyszeptał zadowolony. — Siadaj na rufie — nakazał biorąc ode mnie pistolet maszynowy, a gdy się wdrapałem do łodzi, zaczął od razu wiosłować, kierując się pod prąd.

Usiadłem na rufie, ściągnąłem buty i wylałem z nich wodę.

Śnieg walił olbrzymimi, kosmatymi płatami i topniał, ledwie dotknąwszy rzeki. Z lewego brzegu znów wypuścili serię pocisków smugowych. Przeleciała wprost nad nami; należało już skręcić, ale Cholin wciąż pchał łódź w górę rzeki, pod prąd.

— Dokąd to? — spytałem nie rozumiejąc.

Nie odpowiedział, tylko jeszcze energiczniej robił wiosłami.

— Dokąd jedziemy?

— Masz, ogrzej się! — Cholin puścił wiosła i wsadził mi do ręki małą, płaską manierecz kę. Z trudem odkręciłem skostniałymi palcami nakrętkę i pociągnąłem łyk — wódka miłym żarem sparzyła mi gardło, wewnątrz zrobiło mi się ciepło, ale wciąż wstrząsały mną dreszcze.

— Pij do dna! — szepnął Cholin ledwie poruszając wiosłami.

— A ty?

— Wypiję na brzegu. Poczęstujesz?

Pociągnąłem jeszcze łyk, następnie przekonałem się z żalem, że w manierecz ce nic już nie ma, i wsadziłem ją do kieszeni.

— A może jeszcze nie przeszedł? — powiedział nagle Cholin. — Może leży, czeka... Jakże bym chciał być z nim teraz!...

Zrozumiałem, dlaczego nie wracamy. Znajdowaliśmy się naprzeciw wąwozu, żeby „w razie czego" znów wylądować na brzegu nieprzyjaciela i pośpieszyć chłopcu na ratunek. A stamtąd, z ciemności raz po raz siekano rzekę długimi seriami. Ciarki mnie przechodziły, ilekroć kule świstały i wpadały z pluskiem do wody tuż obok łodzi. W takiej mgle, za szeroką zasłoną wilgotnego śniegu, dostrzec nas było zapewne niesposób, ale to cholernie niemiła rzecz — znajdować się pod ostrzałem na wodzie, na otwartej przestrzeni, gdzie nie da się zaryć w ziemi i nie ma nic, za czym można by się ukryć. Cholin zaś dodawał mi otuchy, szepcząc:

— Od takich kretyńskich kulek może zginąć tylko idiota albo tchórz!

Katasonow nie był ani idiotą, ani tchórzem. Nie miałem co do tego wątpliwości, nic jednak Cholinowi na ten temat nie powiedziałem.

— A felczerkę masz niezgorszą! — zauważył po chwili, pragnąc zapewne odwrócić jakoś moje myśli od niebezpieczeństwa.

— N-niez-zgor-sza — przyznałem szczękając zębami i wcale, ale to wcale nie myśląc o felczerce; w wyobraźni majaczyła mi ciepła ziemianka punktu medycznego i piec. Wspaniały, żelazny piec!...

Z lewego, tak bardzo upragnionego brzegu jeszcze ze trzy razy wysyłano serie smugowe. Świetliste pociski wzywały nas do powrotu, myśmy zaś nadal chwili na rzece bliżej prawego jej brzegu.

— No, chyba przeszedł — powiedział wreszcie Cholin i mocnym ruchem wioseł zwrócił łódź ku naszemu brzegowi.

Orientował się w ciemnościach w sposób zdumiewający i miał jakieś cudowne wyczucie kierunku. Przybiliśmy do brzegu nieopodal wielkiego okopu z cekaemem na prawym skrzydle mojego batalionu — okopu, w którym znajdował się dowódca plutonu ubezpieczającego.

Czekano na nas i od razu rozległ się cichy, ale energiczny okrzyk: „Stój! Kto idzie?...". Wymieniłem hasło — poznano mnie po głosie i po chwili już staliśmy na lądzie.

Byłem wyczerpany do cna i mimo że wypiłem ze dwieście gramów wódki, nadal dygotałem i ledwie poruszałem zdrętwiałymi nogami. Starając się nie dzwonić zębami, rozkazałem wyciągnąć i zamaskować łódź, po czym poszliśmy brzegiem, odprowadzani przez dowódcę drużyny, sierżanta Zujewa, mojego ulubieńca, człowieka nieco poufałego i lekkomyślnego, ale odznaczającego się brawurową wprost odwagą. Sierżant szedł przodem.

— Towarzyszu poruczniku, a gdzie jest „język"? — zapytał w pewnej chwili wesoło, odwracając się do mnie.

— Co za język?

— Powiadali, żeście chodzili po „języka".

Idący za mną Cholin odepchnął mnie i jednym wielkim krokiem znalazł się przy Zujewie.

— Język masz w gębie! Kombinujesz? — rąbnął, wypowiadając dobitnie każde słowo. Zdawało mi się, że położył swoją wielgachną rękę na ramieniu Zujewa, a może nawet złapał go za kołnierz — ten Cholin zbyt był prostolinijny i wybuchowy, można się było wszystkiego po nim spodziewać.

— Język masz w gębie! — powtórzył groźnie. — I trzymaj go za zębami! Przez wzgląd na własne dobro!... A teraz proszę wracać na posterunek!...

Gdy Zujew został o kilka kroków za nami, Cholin oznajmił surowo i rozmyślnie głośno:

— Gadułów masz w batalionie, Galcew! A w naszym fachu nie ma nic gorszego...

W ciemnościach wziął mnie pod rękę, ścisnął za łokieć i szepnął drwiąco:

— A z ciebie też numer! Rzucił batalion, a sam na tamten brzeg po „języka"! Patrzcie-no, ochotnik!

*

W ziemiance, szybko rozpaliwszy piecyk za pomocą naboi, rozebraliśmy się do naga i natarliśmy się ręcznikami.

Cholin, przebrany w suchą bieliznę, narzucił na ramiona płaszcz, usiadł przy stole, rozłożył na nim mapę i oglądał ją w skupieniu. Po powrocie do ziemianki od razu jakoś przygasł, na twarzy jego znać było znużenie i troskę.

Podałem na stół puszkę duszonej wieprzowiny, słoninę, menażkę ogórków kwaszonych, chleb, śmietanę i manierkę wódki.

— Jakbym chciał wiedzieć, co się z nim teraz dzieje! — zawołał nagle Cholin. — I w czym tam sęk?

— A bo co?

— Ten patrol — na tamtym brzegu — powinien był przejść o pół godziny później. Rozumiesz?... To znaczy, że albo Niemcy zmienili rozkład, albo myśmy

oś pokręcili. A chłopak w każdym wypadku może zapłacić za to życiem. Bo rzecież mieliśmy wszystko obliczone co do minuty.

— Ależ on przeszedł. Tak długośmy czekali — co najmniej godzinę — wszędzie było cicho.

— Co to znaczy: przeszedł? — zapytał z irytacją Cholin. — Jeżeli chcesz iedzieć, on musi przejść ponad pięćdziesiąt kilometrów. Z tego około dwuziestu musi zrobić przed świtem. Na każdym kroku można wpaść. A ile może yć nieprzewidzianych wypadków?... No, trudno — gadanie nic tu nie poożе!.. — Sprzątnął mapę ze stołu. — Dawaj!

Nalałem wódkę do dwóch kubków.

— Nie trącamy się — zastrzegł Cholin, biorąc jeden z nich.

Podnieśliśmy kubki i siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

— Ej, Katasonycz, Katasonycz... — westchnął Cholin marszcząc brwi i załaującym się głosem dodał: — Dla ciebie to nic, ale mnie on uratował życie...

Wypił duszkiem, wąchając kawałek razowca.

Wypiłem także i nalałem po raz drugi — sobie trochę, jemu po brzegi. holin wziął kubek, odwrócił się ku pryczy, na której stała waliza z rzeami chłopca, i powiedział półgłosem:

— Za to, żebyś wrócił i więcej nie odchodził. Za twoją przyszłość!

Trąciliśmy się i wychyliwszy kubki zaczęliśmy jeść. Bez wątpienia w owej hwili obaj myśleliśmy o chłopcu. Piecyk, który po bokach i u góry przybrał arwę pomarańczową, buchał żarem. Wróciliśmy oto i siedzimy bezpiecznie ciepłej ziemiance. A on gdzieś tam wśród stanowisk nieprzyjaciela skrada ę przez śnieg i mgłę wciąż o włos od śmierci...

Nie żywiłem nigdy specjalnej miłości do dzieci, ale ten chłopczyna — choaż widziałem go zaledwie dwa razy — stał mi się tak bliski i drogi, że nie mogłem myśleć o nim bez niepokoju, ściskającego boleśnie serce.

Nie piłem więcej. Cholin natomiast bez żadnych już toastów rąbnął trzeci ubek. Wódka podziałała na niego wkrótce i siedział zasępiony, rzucając mi owrogie spojrzenia zaczerwienionych oczu.

— Trzeci rok walczysz? — spytał, zapalając papierosa. — Ja też trzeci ok... Ale śmierci w oczy — jak Iwan — możeśmy nie zaglądali... Za tobą oi batalion, pułk, całe wojsko... A on jest sam! — krzyknął naraz gniewie. — Dziecko!... I pożałowałeś mu jakiegoś tam śmierdzącego noża!...

8

„Pożałowałem!...“ Nie, nie mogłem, nie miałem prawa nikomu w świecie ldać tego noża, jedynej pamiątki po nieżyjącym przyjacielu, jedynej rzeczy, ka po nim została.

Ale dotrzymałem słowa. W warsztacie dywizyjnym był doskonały ślusarz, iemłody sierżant z Uralu. To on na wiosnę zrobił rękojeść do noża Kostka, raz więc poprosiłem, żeby zrobił dokładnie taką samą i osadził w niej noiutki nóż desantowy, który mu wręczyłem. Nie tylko prosiłem, ale przyiozłem mu nawet skrzyneczkę zdobycznych narzędzi ślusarskich — imadła, widry, piłki — mnie były niepotrzebne, on zaś ucieszył się z nich jak małe ziecko.

Rękojeść zrobił nad podziw — noże można było odróżnić od siebie tylko po wygrawerowanych na gałce inicjałach „K.C.". Wyobrażałem sobie już, jak się ucieszy chłopiec, kiedy dostanie prawdziwy nóż desantowy z taką piękną rączką; rozumiałem go, nie tak dawno przecież sam byłem dorastającym chłopakiem.

Nowy ten nóż nosiłem przy pasie w nadziei, że przy pierwszym spotkaniu z Cholinem albo z podpułkownikiem Griaznowem dam im go z prośbą o przekazanie — trudno się bowiem było spodziewać, że sam jeszcze spotkam się kiedyś z Iwanem. Gdzie jest teraz? Nie potrafiłem sobie tego wcale wyobrazić, choć często go wspominałem.

Dni zaś były gorące — dywizje naszej armii sforsowały Dniepr i, jak podawały komunikaty Biura Informacyjnego, „z powodzeniem toczyły walki o rozszerzenie obszaru operacyjnego na prawym brzegu...".

Noża nigdy prawie nie używałem; raz tylko podczas walki wręcz puściłem go w ruch i gdyby nie ten nóż, opasły, ciężki frajter z Hamburga rozpłatałby mi pewnie czaszkę swoją łopatką.

Niemcy stawiali rozpaczliwy opór. Po ośmiu dniach ciężkich walk otrzymaliśmy rozkaz zajęcia pozycji obronnych i wtedy właśnie, w początkach listopada, tuż przed świętem Rewolucji, spotkałem podpułkownika Griaznowa.

Wzrostu średniego, z dużą głową osadzoną na mocnym, barczystym tułowiu, w płaszczu i w zimowej czapce, spacerował skrajem szosy, utykając leciutko na prawą nogę — przetrąciła mu ją kula jeszcze podczas kampanii fińskiej. Poznałem go z daleka, ledwo wyszedł przed zagajnik, w którym znajdowały się resztki mojego batalionu. „Mojego" — mogłem teraz tak mówić mając do tego wszelkie podstawy, przed forsowaniem bowiem zatwierdzono mnie na stanowisku dowódcy batalionu.

W zagajniku, w którym się rozlokowaliśmy, było cicho, ziemię pokrywały liście siwe od szronu, pachniało nawozem i moczem końskim. Na tym odcinku do akcji wszedł kozacki korpus gwardii i Kozacy w tym właśnie zagajniku byli przed nami na postoju. Zapachy koni i krów od dzieciństwa kojarzą mi się z zapachem świeżego mleka i gorącego chleba, który przed chwilą wyjęto z pieca. Teraz także przypomniałem sobie wioskę rodzinną. Za lat dziecinnych co roku spędzałem tam wakacje u babki, maleńkiej, zasuszonej staruszeczki, która kochała mnie bez miary. Nie były to takie znów dawne sprawy, teraz jednak wydawały mi się bardzo odległe i niepowrotnie minione, jak zresztą wszystko, co działo się przed wojną...

Wspomnienia dzieciństwa urwały się od razu, gdy wyszedłem na skraj lasu. Szosa zatarasowana była niemieckimi samochodami, spalonymi, rozbitymi i po prostu porzuconymi; zabici Niemcy w przeróżnych pozach poniewierali się na drodze i w rowach, szare pagórki trupów widniały wszędzie na zoranym przez pociski polu. Na drodze w odległości około pięćdziesięciu metrów od podpułkownika Griaznowa jego szofer i porucznik-tłumacz grzebali w skrzyni niemieckiego sztabowego samochodu pancernego. Jeszcze czterech — nie mogłem dojrzeć ich stopnia — łaziło w okopach po drugiej stronie szosy. Podpułkownik coś do nich krzyczał — nie słyszałem co, bo wiatr zagłuszał jego słowa.

Kiedy się zbliżyłem, Griaznow zwrócił do mnie ospowatą, smagłą, mięsistą

twarz i ochrypłym swoim głosem zawołał, jakby zdziwiony czy nawet uradowany:

— Żyjesz, Galcew?!

— Żyję! A gdzieżbym się podział? — odpowiedziałem z uśmiechem. — Cześć, towarzyszu podpułkowniku!

— Cześć! Jeżeli żyjesz, to cześć!

Uścisnąłem wyciągniętą do mnie rękę, rozejrzałem się i nabrawszy pewności, że poza Griaznowem nikt mnie nie usłyszy, zwróciłem się do niego jak najgrzeczniej:

— Towarzyszu podpułkowniku, czy wolno zapytać — jak tam Iwan, wrócił?

— Iwan?... Co za Iwan?

— Ten chłopiec, Bondariow.

— A tobie co do tego: wrócił czy nie wrócił? — zapytał niezadowolonym tonem Griaznow i marszcząc brwi spojrzał na mnie przebiegłymi, czarnymi oczami.

— Przeprawiałem go kiedyś, no i...

— Różni ludzie przeprawiali różnych ludzi! Każdy powinien wiedzieć, co do niego należy. To pierwsza reguła dla wojskowego, a zwłaszcza dla zwiadowcy!

— Ale ja mam powód, że o niego pytam. Nie służbowy, osobisty... Mam do was prośbę. Obiecałem mu to... — Odchyliłem połę płaszcza, odpiąłem nóż i podałem go podpułkownikowi. — Proszę mu łaskawie oddać. Gdybyście wiedzieli, jaką miał na niego chętkę!

— Wiem, Galcew, wiem — westchnął podpułkownik; wziął nóż i obejrzał go. — Niezły. Ale bywają lepsze. On ma już chyba z dziesięć noży. Uskładał cały kuferek... Trudna rada — namiętność. Taki już wiek. Wiadomo — chłopak!... Cóż, jeżeli go zobaczę, to mu oddam...

— Więc on... nie wrócił? — spytałem przejęty do głębi.

— Był. I poszedł... Sam poszedł...

— Jak to?

Podpułkownik zasępił się i milczał, patrząc gdzieś przed siebie. Potem niskim, schrypniętym basem powiedział cicho:

— Chciano go odesłać do szkoły i już się nawet zgodził. Z rana miał dostać papiery, a w nocy uciekł... I nie mogę mu tego mieć za złe, rozumiem go. Długo by tłumaczyć, zresztą ciebie to nie obchodzi... — Zwrócił do mnie dużą, ospowatą twarz, surową i zamyśloną.

— Nienawiść w nim jeszcze się nie wypaliła. No i nie daje mu spokoju... Może on jeszcze wróci, ale najpewniej pójdzie do partyzantki... A ty zapomnij o nim i na przyszłość zapamiętaj to sobie — o tajnych zwiadowców nie należy pytać. Im mniej się o nich mówi, im mniej ludzi wie o ich istnieniu, tym dłużej żyją... Spotkałeś się z nim przypadkiem i — nie obraź się — ale nic o nim nie powinieneś wiedzieć! Na przyszłość więc pamiętaj — nic nie było, nie znasz żadnego Bondariowa, niceś nie widział i nie słyszał. I nikogo nie przerzucałeś! Dlatego też nie ma o co pytać. Kombinujesz?...

Więcej już nie pytałem. Zresztą nie było kogo pytać. Cholin zginął wkrótce podczas wypadu. W półmroku przed świtaniem jego grupa zwiadowców wpadła na niemiecką zasadzkę — Cholinowi seria kaemu strzaskała no-

gi; rozkazał wszystkim się wycofać, a sam położył się i strzelał do ostatniego naboju, a gdy go schwytano, odbezpieczył granat przeciwpancerny... Podpułkownika Griaznowa zaś przeniesiono do innej armii i więcej go już nie widziałem.

Ale zapomnieć o Iwanie — jak mi radził podpułkownik — oczywiście nie mogłem. I wspominając nieraz małego zwiadowcę, nie przypuszczałem nigdy, że go kiedykolwiek spotkam albo też dowiem się czegoś o jego losach.

9

W walkach pod Kowlem byłem ciężko ranny i stałem się „niezdolny do służby liniowej". Wolno mnie było wyzyskać jedynie w służbie nieliniowej w sztabach związków taktycznych lub na tyłach. Musiałem rozstać się z batalionem i macierzystą dywizją. Przez ostatnie pół roku wojny pracowałem jako tłumacz oddziału rozpoznania korpusu na tym samym Pierwszym Białoruskim Froncie, ale w innej armii.

Berlin skapitulował 2 maja o trzeciej po południu. W owych historycznych chwilach oddział nasz znajdował się w samym centrum miasta, w na pół zburzonym gmachu przy Prinz Albert Strasse, przy której tak niedawno jeszcze mieściła się *Geheime Staatspolizei* — państwowa policja tajna.

Jak się tego należało spodziewać, większość dokumentów Niemcy zdążyli ewakuować albo też zniszczyć. Jedynie w pokojach na czwartym — ostatnim — piętrze znaleziono nie wiedzieć w jaki sposób ocalałe szafy z aktami i olbrzymią kartotekę.

— Towarzyszu kapitanie, tam na podwórzu w samochodzie są papiery! — zameldował podbiegając do mnie barczysty, krępy żołnierz.

Na olbrzymim dziedzińcu Gestapo, usłanym teraz kamieniami i odłamkami cegły, znajdował się dawniej garaż na kilkadziesiąt, a może nawet na kilkaset samochodów. Obecnie zostało ich zaledwie kilka — były uszkodzone i niezdatne do użytku. Rozejrzałem się: bunkier, trupy, leje po bombach, w kącie dziedzińca saperzy z wykrywaczem min.

Nieopodal bramy stała wysoka ciężarówka. Tylna ścianka była opuszczona — w skrzyni spod brezentu wystawał trup oficera w czarnym mundurze esesmana i grube akta i teczki, powiązane w paczki.

Żołnierz wdrapał się niezgrabnie do skrzyni i przysunął paczki na sam brzeg. Rozciąłem nożem papierowy sznurek.

Dokumenty pochodziły z okresu zimy 1943/44 r. Meldunki o ekspedycjach karnych i o werbunku konfidentów, rysopisy osób poszukiwanych, kopie przeróżnych sprawozdań i poufnych komunikatów opowiadały o bohaterstwie i tchórzostwie, o rozstrzelanych wykonawcach zemsty ludu, o schwytanych i o nieuchwytnych. Dla mnie dokumenty te były szczególnie interesujące — Mozyr i Petrikow, Reczyca i Pińsk — tak dobrze znane miejscowości okolic Homla i Polesia, przez które przechodził nasz front, stawały mi teraz przed oczami.

W aktach było moc arkuszy ewidencyjnych — formularzy ankietowych z krótkimi danymi personalnymi tych, których policja tajna szukała, chwytała i uśmiercała. Do niektórych arkuszy przyklejone były fotografie.

— Kto to jest? — żołnierz stojący w skrzyni ciężarówki pokazywał grubym palcem jakąś fotografię. — Kto to jest?

Nie odpowiadałem, trwając w stanie jakiegoś odrętwienia. Przekładałem papiery, przeglądałem jedną teczkę po drugiej i nie czułem zlewającego nas deszczu. Tak, w ów uroczysty dzień naszego zwycięstwa w Berlinie padał zimny, drobny deszcz i było pochmurno. Dopiero pod wieczór niebo się przejaśniło i zza dymów wyjrzało słońce.

Po dziesięciodniowym łoskocie zaciętych walk nastąpiła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu seriami z pistoletów maszynowych. W centrum płonęło wiele domów i o ile na przedmieściach, gdzie domy stoją w ogrodach, mocny zapach bzów tłumił wszystkie inne zapachy, o tyle tutaj cuchnęło spalenizną; czarny dym słał się nisko nad ruinami.

— Zanieście wszystko do gmachu! — rozkazałem żołnierzowi wskazując paczki i machinalnie otworzyłem teczkę, którą trzymałem w ręku. Spojrzałem i serce mi się ścisnęło: z fotografii przyklejonej do blankietu patrzał na mnie Iwan Busłow...

Poznałem od razu tę twarz o wystających kościach policzkowych i daleko od siebie osadzonych oczach — u nikogo innego nie widziałem oczu tak osadzonych.

Patrzał niechętnie, spode łba, jak wówczas, podczas naszego pierwszego spotkania w ziemiance na brzegu Dniepru. Na lewym policzku pod okiem widniał wielki siniec.

Blankiet z fotografią był nie wypełniony. Z zamierającym sercem odwróciłem go: od spodu przypięta była kartka zapisana na maszynie — kopia meldunku naczelnika tajnej policji polowej drugiej armii niemieckiej.

„Nr... m. Łuniniec. 26.12.43 r. Poufne.

Do naczelnika policji polowej grupy »Centrum«.

...21 grudnia br. w rejonie dyslokacji 23 korpusu, w strefie zakazanej w pobliżu kolei żelaznej funkcjonariusz policji pomocniczej, Jefim Titkow, zauważył i po dwugodzinnej obserwacji zatrzymał Rosjanina, ucznia, lat 10-12, który leżąc w śniegu obserwował ruch transportów wojskowych na odcinku Kalinkowicze—Klińsk.

Przy zatrzymaniu nieznajomy (jak ustalono, mieszkańce tutejszej, Marii Semin, powiedział, że na imię ma »Iwan«) stawił zaciekły opór, przegryzł Titkowowi rękę i jedynie dzięki pomocy przechodzącego ulicą starszego strzelca Wintza został doprowadzony na posterunek policji polowej...

...ustalono, że »Iwan« w ciągu kilku dni znajdował się w rejonie dyslokacji 23 korpusu... żebrał... nocował w opuszczonej stodole i w szopach. Ręce i palce miał odmrożone i częściowo dotknięte gangreną...

Przy rewizji u »Iwana« znaleziono... w kieszeniach chustkę do nosa i 110 (sto dziesięć) marek okupacyjnych. Żadnych dowodów rzeczowych, które świadczyłyby o jego udziale w partyzantce albo o szpiegostwie, nie znaleziono... Znaki szczególne: pośrodku pleców na linii kręgosłupa duże znamię, nad prawą łopatką blizna po postrzale...

Przesłuchiwany dokładnie i z całą surowością w ciągu czterech dni przez majora von Bissinga, kapitana Klammta i kaprala Stammera, »Iwan« nie złożył żadnych zeznań, na podstawie których dałoby się ustalić jego tożsamość

jak również powody jego pobytu w strefie zakazanej i w rejonie dyslokacji 23 korpusu.

Podczas badań zachowywał się wyzywająco: nie ukrywał wrogiego stosunku do wojska niemieckiego i do Reichu.

Zgodnie z dyrektywą Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych z dnia 11 listopada 1942 r. został rozstrzelany 25.12.43 r. o godz. 6.55.

...Titkowowi wypłacono premię... 100 (sto) marek. Pokwitowanie w załączeniu..."

Październik — grudzień 1957 roku

W. Bogomołow

Andrzej Kuśniewicz

JULIETTA I JUSTYNA

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się z przyjemnością ich niewinnej zabawie...

D. A. Sade

To ON patronował naszym zabawom,
kiedy
w szumiącym parku między drzewa
ściągałem za ręce
moje siostry obie Juliettę i Justynę

z miękkich traw
— na żwir ostry jak szkło,

ażeby —

trzy razy wokół stawu biegiem,
trzy razy wokół stawu po żwirze —

ciągnąć za ręce
obie krzyczące siostry
Juliettę i Justynę

ON przyglądał się naszej zabawie spośród krzaków.

A kiedy przyklękałem,
aby naklejać plasterki
na to,
co okwitało Juliecie i Justynie
w czereśniowe perełki —

ON już właśnie odchodził

przegięty w piruecie ukłonu
i trikornem po ziemi zamiatając liście,
oglądał się jeszcze
z dwuznacznym uśmieszkiem,
wyniosły, wykwintny i drwiący.

PRZYGODA

Poniosły wóz nasz konie spłoszone,
rozhukane, znarowione, szalone,
po ścierniskach, po zagonach, przez parów,
po wertepach, w dół, na przełaj,
do jaru.

A tam wszyscy moi bliscy, najbliżsi,
cała moja rodzina — litości!

Coś wołali, błagali — nie słyszę.
Zgruchotane, połamane ich kości.

Grzechom ich — odpuszczenie.
Ciałom ich — odpocznienie
i cisza.

A ja na zakręcie ręką
drzewam się chwycił,
co tam suche sterczało,
co nad jarem zwisało,
złamane do połowy
niby kadłub bez głowy.

Potem oni mówili:

— Co za szczęście w nieszczęściu!
Bogu niech będą dzięki.
Sprawdzaliśmy, rachowali,
wszyscy zdrowi i cali.
Żyjemy.

— Po co on tego drzewa się chwytał?
Na tej gałęzi wisiał?
Czy mu się coś wydało,
czy się coś przywidziało,
z szaleństwa czy z zachwytu?
Nie wiemy.

Gdyby pozostał z nami,
nic by mu się nie stało.
Żyłby do dzisiaj.

Andrzej Kuśniewicz

Paweł Jasienica

PIERWSZY KRÓL *

W średniowieczu państwo i władza nad nim uważane były za prywatną własność rodziny panującej. Z tej zasady brały początek spadkowe podziały księstw i królestw, a także walki między dziedzicami, familijne zatargi, których okrucieństwo przerastało czasem granice wyobraźni.

Wiemy ze źródeł, że Mieszko I miał dwóch braci. Lecz o dziwo — żaden z nich nie bruździł, obaj za to zaszczytnie się zapisali w dziejach Polski. Jeden — nieznany z imienia — poległ w obronie granic, drugi — Czcibor — rozstrzygnął w bitwie pod Cydzyną a potem, jak się zdaje, zarządzał Pomorzem.

Fakty te rzucają dodatnie światło na stosunki panujące w państwie, na jego dużą spoistość, a także na talent Mieszka, który widocznie umiał jednać sobie ludzi i kierować nimi.

Charaktery ówczesne nie były skłonne do uległości ani do cnót obywatelskich. Świadczy o tym chociażby postać pierwszej znanej w dziejach Piastówny, Adelajdy. Węgrzy, którym panowała, nazwali ją Białą Kneginią.

Kroniki są niedokładne i uczeni spierają się o to, kim właściwie była Adelajda. Niektórzy uważają ją za córkę Mieszka I, lecz prawdopodobnie była jego siostrą. Wydana za księcia węgierskiego, Gejzę, urodziła mu syna imieniem Waik, który, jako Stefan, został pierwszym królem Węgier i świętym Kościoła.

„...Biała Knegini, to znaczy w słowiańskim: piękna pani, używała trunków ponad miarę i ujeżdżała konno jak rycerz. Raz nawet zabiła w przystępie gwałtownego gniewu jednego mężczyznę. Jej ręka, krwią skalana, lepiej by się jęła wrzeciona, a jej myśl szalona w cierpliwości winna by znaleźć ukojenie" — jak przystało na pobożnego biskupa, biada Thietmar.

Nieokiełznany charakter Adelajdy odrodził się w jej bratanicy, córce Mieszka I, Świętosławie, żonie króla Szwecji, Eryka Zwycięskiego, i matce św. Olafa. Skandynawskie pieśni, zwane sagami, długo sławiły i opiewały jej bujny żywot, myląc jednak imię i zowiąc ją raz Storradą, to znów Sygrydą, Astrydą, Geirą i Gunhildą. Świętosława wcześnie owdowiała i zanim powtórnie wyszła za mąż za króla Danii, Swena Widłobrodego, miała wielu zalotników.

* Rozdział I tomu *Dziejów Polski*, który ukaże się nakł. „Ossolineum".

Dwóch, którzy jej szczególnie dokuczali, kazała spalić żywcem. Sama kochała się w sławnym bohaterze skandynawskim, Olafie Trygwasonie. Odtrącona, wplątała go w bitwę morską u wybrzeży Rugii, w której zginął. Jej synem z drugiego małżeństwa był Kanut Wielki, król Danii i zdobywca Anglii.

Bolesław, zwany później Chrobrym i Wielkim, urodził się w roku chrztu Polski — 966 — z rodziców jak na ówczesne pojęcia całkiem niemłodych. Mieszko liczył już wtedy przypuszczalnie dobrze ponad czterdzieści lat, Dobrawa przekroczyła trzydziestkę. W chwili śmierci ojca miał Bolesław dwadzieścia sześć lat i dobrą szkołę rządzenia. Miał również już trzecią żonę. Pierwsza, nieznana z imienia, była Niemką. Druga — matka Bezpryma — Węgierką. Oba małżeństwa zostały po prostu zerwane, niefortunne żony odesłane rodzicom. Trzecia z połowic Chrobrego nazywała się Emnilda i była córką Dobromira, księcia zachodnio-słowiańskiego. Kronikarze sławią jej łagodny, miłosierny charakter i dobroczynny wpływ na męża. Zmarła w roku 1017. Wydała na świat dwóch synów — Mieszka i Ottona — oraz trzy córki.

Kiedy Mieszko I zamykał oczy, istniały więc wszystkie warunki wybuchu wojny domowej i rozsadzenia państwa od wewnątrz. Były wtedy przecież w Polsce dwie rodziny pretendentów do spadku i tronu książęcego: Oda z trzema synami — i Bolesław z Emnildą i jej potomstwem oraz z pierworodnym, Bezprymem, synem Węgierki.

Widocznie Bolesław zdecydowanie górował nad rywalami talentem i energią w działaniu. Musiał też mieć liczniejszych zwolenników wśród możnowładztwa. Oda wraz z synami uciekła z Polski do Niemiec, dwaj przywódcy jej stronnictwa — Odylen i Przybywój — ponieśli karę, na jaką często skazywano wówczas przestępców politycznych, którym chciano darować życie: wydarto im oczy.

Okrutne czyny Bolesława i młodszej odeń Świętosławy nie musiały gorszyć ludzi ówczesnych. Takie były wtedy obyczaje, o których wymownie świadczą przykłady, zaczerpnięte... z żywotów świętych.

Stefan węgierski to władca niezwykle srogi. A oto jak postępował z własnymi kuzynami św. Olaf, król Norwegii: „Raerek, ponieważ odznaczał się siłą i mądrością, a nie był godnym wiary, chociażby pokój z nim stanął, został oślepiony; Gudrödowi, królowi Dalów, kazał Olaf wyciąć język, trzech innych skazał na wygnanie. Doradców skazanych królów Olaf albo wygnał, albo ukarał obcięciem rąk lub nóg. Resztę ułaskawił".

Oda nigdy już nie wróciła do Polski. Zmarła w Niemczech w roku 1023. Nie wiadomo, co się stało z jej pierworodnym synem, Mieszkiem. Z młodszych — Lambert został prawdopodobnie później biskupem krakowskim, Świętopełk zaś otrzymać miał w przyszłości od Bolesława Pomorze Zachodnie w zarząd. Od niego przypuszczalnie wywodzi się linia Piastów pomorskich, władająca w Szczecinie aż do roku 1647, kiedy wygasła.

Bolesław ocalił jedność państwa polskiego, którym niepodzielnie rządził przez lat trzydzieści trzy. Od razu na początku panowania silnie związał losy swego księstwa z duchowym i politycznym życiem zachodniej Europy, przez co ogromnie wzmógł jego znaczenie. Zdołał osiągnąć to, że dwie najwybitniejsze postacie ówczesnego Zachodu odegrały dodatnią rolę w dziejach Polski.

Jedną z nich był kolejny władca z dynastii saskiej, Otto III, zwany też Ottonem Rudym, cesarz, który szczerze pojmował swój tytuł i chciał być bar-

dziej Rzymianinem niż Niemcem. Malarze ówcześni przedstawiali go jako imperatora na tronie, przyjmującego hołd od czterech koronowanych postaci niewieścich — Italii, Galii, Germanii i Słowiańszczyzny, traktowanych na równi. Ideałem Ottona III było państwo powszechne, uznające równouprawnienie narodów. Dlatego też cesarz ten wcale nie cieszył się sympatią niemieckich wielmożów, zarówno duchownych, jak i świeckich.

Druga z tych postaci to św. Wojciech, książę czeski z rodu Sławnikowiców, biskup praski, który w italskim klasztorze Monte Cassino postanowił zrzec się godności i zostać zakonnikiem. Był Wojciech przyjacielem najszlachetniejszych ludzi ówczesnych, duchownym z najgłębszego powołania, ascetą, który chętnie odgrodziłby się od świata w murach klasztoru. Był też człowiekiem osobiście bardzo nieszczęśliwym — w roku 995, kiedy pozostawał w Rzymie, w Czechach wymordowano niemal całą jego rodzinę.

Papież postawił Wojciechowi zdecydowane warunki: albo powrót na nie cierpiane biskupstwo praskie, albo wyjazd na misję wśród pogan. Jesienią 996 roku stanął Wojciech w Polsce, życzliwie przyjęty przez Bolesława, który już przedtem udzielił schronienia najstarszemu z braci przyszłego świętego, Sobieborowi.

W kwietniu 997 roku Wojciech, w towarzystwie młodszego brata, Radzima-Gaudentego, oraz Bogusza, stanął w Gdańsku, gdzie — jak pisze kronikarz — „ochrzcił wielkie tłumy ludu". Stamtąd popłynął morzem do Prus i wylądował na wschód od dzisiejszego Elbląga. Zbrojnych, towarzyszących mu z rozkazu Bolesława, odesłał. 23 kwietnia zginął w oklicach wsi Cholin. Zabił go włócznią Prus, którego brat niedługo przedtem poległ w walce z Polakami. Gaudentego i Bogusza puszczono wolno, spodziewając się pewnie okupu za ciało misjonarza. Jakoż Bolesław nabył je na wagę złota i jesienią tego samego roku pochował w Gnieźnie, w kościele wzniesionym jeszcze przez Mieszka I.

Śmierć Wojciecha wywarła olbrzymie wrażenie w świecie zachodniego chrześcijaństwa. Wstrząsnęła zwłaszcza umysłem Ottona III, który zaczął gorliwie zabiegać o kanonizację męczennika. Najdalej w roku 999 papież uznał Wojciecha świętym.

Głową Kościoła był wtedy Sylwester II, człowiek prawy i tak uczony, że wiedza jego wydawała się współczesnym zjawiskiem nadludzkim.

Chcąc należycie ocenić te wypadki trzeba pamiętać, że w Europie średniowiecznej całe życie umysłowe pozostawało w najściślejszym związku z religią, odbywało się „w cieniu ołtarza". Uczonymi, myślicielami, pisarzami byli wyłącznie duchowni. Kanonizacja człowieka, który zginął jako misjonarz, działając z ramienia władcy Polski, rozsławiała nasz kraj i obracała nań powszechną uwagę. A nie był on jeszcze dość dobrze znany, skoro napisany wtedy — może przez samego Gaudentego — *Żywot św. Wojciecha* musiał się zaczynać od ogólnikowej wzmianki: „W okolicach Germanii jest miejsce zasobne w środki, potężne bronią i srogimi mężami; mieszkańcy zwą je Słowiańszczyzną".

Samo imię Polski wtedy właśnie zaczęło się pojawiać w piśmiennictwie zachodnim, wypierając i zastępując nieokreśloną „Słowiańszczyznę". Pierwszym z kronikarzy, który go użył, był znany nam Thietmar.

Bolesław Chrobry umiał znakomicie wyzyskać okoliczności. Popierając misję Wojciecha spodziewał się zapewne, że w razie chrztu Prus uda się umoc-

nić tam wpływy polskie (nieco wcześniej na pograniczu musiały się toczyć jakieś walki, w których zginął brat zabójcy świętego). Kiedy kult męczennika zaczął się szerzyć i trwały starania o kanonizację, Bolesław — ściśle współpracując z Gaudentym — jął gorliwie zabiegać o założenie w Polsce arcybiskupstwa i kilku biskupstw. Dotychczas istniało tylko jedno, misyjne, w Poznaniu. Odrębna, zależna jedynie od Rzymu prowincja kościelna stanowiła wówczas niezwykle cenną zdobycz polityczną, ogromnie wzmagała znaczenie i jedność państwa. Osobne arcybiskupstwo dla kraju, to był najlepszy sposób zapobieżenia, aby młode chrześcijaństwo polskie nie stało się po prostu strażą przednią cudzoziemskiej polityki u nas.

Bolesław, który dopiero przekroczył trzydziestkę, wykazał w tej sprawie przezorność zupełnie genialną. Zorientował się błyskawicznie i działał w sposób dla swego państwa zbawienny. Dla jasności obrazu przypomnieć trzeba, że Czechy — gdzie chrześcijaństwo było o wiele starsze — otrzymały arcybiskupstwo dopiero w stulecie XIV, dzięki staraniom swego króla, który był Niemcem i cesarzem niemieckim. Polska wyprzedziła je o trzysta lat z okładem!

Sylwester II ogłosił w roku 999 bullę, mocą której arcybiskupem gnieźnieńskim został brat św. Wojciecha, Gaudenty. Powstały biskupstwa w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Nie były to wtedy liche osiedla, bo przepisy kościelne wyraźnie mówią, że na stolice biskupie nadają się tylko miasta znaczne.

Na Pomorzu wybór padł na Kołobrzeg pewnie dlatego, że Szczecin i Wolin były ważnymi ośrodkami pogaństwa, które na wybrzeżu trzymało się długo i uporczywie. I w Kołobrzegu biskup Reinbern „niszczył i palił świątynie z posągami bożków i oczyścił morze zamieszkałe przez złe duchy wrzuciwszy w nie cztery kamienie pomazane olejem świętym i skropiwszy je wodą święconą".

W marcu 1000 roku cesarz Otto III odbył pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha. Był to ów słynny zjazd gnieźnieński, którego wspaniałość olśniła kronikarzy i przeszła do legendy.

Bolesław oczekiwał gości na granicy państwa, w Iłwie nad Bobrem, i „...przedziwne wprost cuda przygotował na przybycie cesarza; najpierw szyki przeróżne rycerstwa, następnie książąt rozstawił, jak chóry, na obszernej równinie, a poszczególne, z osobna stojące szyki wyróżniała odmienna barwa strojów. A nie była to tania pstrokacizna byle jakich ozdób, lecz wszystko, cokolwiek kosztowniejszego można znaleźć u wszelkich ludów; gdyż za czasów Bolesława wszyscy ryczerze i wszystkie damy dworskie zamiast sukien lnianych lub wełnianych nosiły płaszcze z delikatnych tkanin, a skór, nawet kosztownych, choćby były nowe, nie noszono na jego dworze bez podszycia kosztowną tkaniną i bez złotogłowiu. Złoto bowiem za jego czasów tak było w powszechnym posiadaniu u wszystkich, jak (dziś) srebro, srebro zaś było tak tanie, jak słoma. Zważywszy jego chwałę i potęgę, i bogactwa, cesarz rzymski zawołał w podziwie: »Na koronę mego cesarstwa, to, co widzę, większe jest, niż wieści niosły!«".

Tak — znacznie później — opisywał owo spotkanie nad Bobrem kronikarz polski, zwany Gallem. Jak zwykle bywa, płynący czas uświetnił odległą przeszłość. Uczony mnich w nazbyt już kolorowym atramencie maczał swe pióro. Na pewno nie wszyscy miewali za Bolesława złoto, a co się tyczy srebra,

to bez wątpienia było go mniej niż słomy w stodołach. Jednakże — jeśli w zwaliskach drewnianego domu gdańskiego czy opolskiego mieszczanina z tych czasów znaleźć można strzępy jedwabiu i brokatu, tkaninę z wełny kóz angorskich oraz cenne muszle znad Morza Czarnego, to i władca krainy miał pewnie czym olśnić oczy cesarskiego orszaku.

Wedle Galla miał wtedy Otto powiedzieć do swego otoczenia: „Nie uchodzi to, by takiego i tak wielkiego męża księciem nazywać lub komesem jakby jednego spośród dostojników, lecz wypada chlubnie wynieść go na tron królewski i wywyższyć koroną".

Treść tych słów odpowiada prawdzie. Oddawszy hołd zwłokom świętego, wspaniale — naprawdę po królewsku — podejmowany w Gnieźnie, włożył Otto na głowę Bolesława własny diadem cesarski i wręczył mu symbol władzy, włócznię św. Maurycego.

Monarszy gest nie był jeszcze właściwą koronacją i do dziś trwa spór uczonych o znaczenie tej ceremonii. Pewne jest, że dokonując jej uznał Otto Bolesława za samodzielnego władcę. Możliwe również, że mianował go w ten sposób patrycjuszem cesarstwa rzymskiego i swoim namiestnikiem — zastępcą na wschodzie. Istnieje jednak inny jeszcze domysł. Widząc potęgę księcia Polski i uznając jego osobistą wielkość, mógł Otto upatrzyć sobie w nim spadkobiercę, n a s t ę p c ę na tronie cesarskim.

Liczny był orszak Ottona III, składał się z książąt, biskupów i rycerzy. Nie tylko oni, lecz każdy z najlichszych sług wyjechał z Polski hojnie obdarowany. Władca jej dobrze znał słabości ludzkie i umiał je wyzyskiwać. Jednał sobie w Niemczech stronników i zwalczał wrogów obu garściami rzucając złoto.

Bolesław osobiście odprowadził Ottona w głąb Niemiec, co najmniej do Magdeburga. Mógł jednak towarzyszyć mu i dalej, do Akwizgranu. Jeśli tak, to był może świadkiem czynu, którego dokonał tam Otto, ciągle urzeczony swą złachetną wizją powszechnego państwa. Nocą, tajemnie otwarty został grób Karola Wielkiego, króla Franków, który wznowił tytuł rzymskich cesarzy. Zwłoki spoczywały na tronie, w postawie siedzącej. Otto zdjął z nich złoty krzyż, zabrał — jak relikwie — zbutwiałe strzępy szat. Podobno Chrobry otrzymał wtedy w darze tron Karola.

Z Akwizgranu ruszył cesarz do Włoch. Z nim razem ciągnął dany mu przez Bolesława oddział trzystu ciężkozbrojnych rycerzy polskich.

Sam zaś Bolesław nie tracił czasu i kuł przysłowiowe żelazo, dopóki było gorące. Poseł jego, Astryk-Atanazy, opat założonego przez św. Wojciecha klasztoru benedyktynów — mieszczącego się, być może, w Łęczycy — rozpoczął w Rzymie starania o tytuł królewski i oficjalną koronację. Według ówczesnych pojęć prawnych zależało to od papieża.

Wtedy po raz pierwszy przyszło Polsce doświadczyć skutków faktu, o którym już była mowa, a mianowicie jej niefortunnego położenia na samych krańcach katolickiego świata. — W Rzymie wybuchło powstanie, cesarz papież musieli uciekać z Wiecznego Miasta i szukać schronienia w Rawennie. Chcąc odzyskać straconą stolicę należało starać się o pomoc państw leżących już lub względnie blisko. Jednym z nich była Wenecja, drugim Węgry.

Przeznaczoną dla Polski koronę otrzymał Stefan węgierski. Odwiózł mu ją sam Astryk-Atanazy, mianowany arcybiskupem. Mógł on być po prostu narzędziem przeciwpolskiej intrygi, w której maczali palce i Niemcy. Księżna

Oda żyła przecież jeszcze, miała wpływowych krewnych i na pewno nie zapomniała porażki sprzed kilku lat.

23 stycznia 1002 roku, w zamku Paterno na górze Sorakte opodal Rzymu, w dwudziestym trzecim roku życia zmarł cesarz Otto III, do końca życzliwy Polsce, ale wobec zmienionej sytuacji właściwie już całkiem bezsilny. Przyjaciel jego — Bolesław — dowiedział się o tym zgonie pewnie od członków poselstwa, które miało mu przynieść koronę, lecz wróciło z pustymi rękami, zdradzone przez Astryka. A może zwiastunami byli ci rycerze, co chodzili z Ottonem do Włoch?

Horyzont polityczny chmurzył się bardzo. Jednym z trzech kandydatów na cesarza był teraz książę bawarski, Henryk, którego siostra — Gizela — zaślubiła właśnie Stefana węgierskiego.

Chrobry nie czekał, aż się w Niemczech ułagodzi zamęt, wywołany bezkrólewiem. W maju 1002 roku przekroczył z wojskiem graniczny Bóbr i doszedł do Elstery, zajmując Marchię Miśnijską, kraj niedawno zdobyty przez Niemców i dobrze jeszcze nasycony żywiołem słowiańskim. W ręku jego znalazły się Budziszyn, Strzała oraz sama Miśnia, której mieszkańcy zmusili załogę niemiecką do wyjścia z grodu. Również wielu rycerzy niemieckich uznało władzę Bolesława. Może byli to ci, którzy widzieli w nim prawowitego następcę Ottona III?

Wypadki te niekoniecznie prowadziły do wojny. Bolesław liczył, że w drodze układów uda mu się wytargować przynajmniej część zdobyczy. Toteż w lipcu stawił się w Merseburgu na uroczystość, podczas której książęta niemieccy mieli uznać nowego króla. Od miesiąca był nim wspomniany już Henryk, znany w dziejach jako Henryk II, który jednak dopiero w roku 1014 zdołał wybrać się do Rzymu i ukoronować na cesarza.

Zdawało się, że pertraktacje dadzą pomyślny skutek. Omówiono warunki małżeństwa córki Chrobrego, Regelindy, z księciem Hermanem (do dziś w katedrze w Naumburgu stoi jej posąg, wzniesiony w wieku XIII, zwany przez ludność *„die lachende Polin"* — śmiejąca się Polka). Ale kiedy Bolesław wyjeżdżał z Merseburga, napadł nań nasłany przez Henryka oddział zbrojny. Chrobry uszedł z życiem przez wyłamaną bramę, wielu jego ludzi poraniono.

Pokój był zerwany. Wracając spalił Chrobry gród Strzałę, stanowiący posag Regelindy, i uprowadził w niewolę jego ludność.

Zdarzenia 1002 roku były wstępem do długotrwałej wojny polsko-niemieckiej, która w trzech nawrotach przerywanych układami i pokojem toczyła się aż do roku 1018.

Wytrwałym, mądrym i przebiegłym przeciwnikiem Polski był w niej Henryk II, zaliczony przez Kościół w poczet świętych. Pobożność wcale mu nie przeszkodziła sprzymierzać się przeciw Bolesławowi z zatwardziałymi w pogaństwie Wieletami. Ponieważ ich lekkie oddziały chadzały zazwyczaj w straży przedniej, więc pochód wojsk chrześcijańskiego cesarza otwierali wieleccy chorążowie, niosący wizerunki swych bożyszcz. Kiedy razu pewnego jakiś rycerz niemiecki rzucił kamieniem w taki posążek, Henryk ułagodził obrażonych pogan dwunastoma funtami srebra. Jak bardzo i wówczas pozory różniły się od rzeczywistości, a ideologia służyła jedynie za parawan dla polityki, świadczy fakt, że tenże Henryk zaciągał tych samych wojów wieleckich na wyprawę do Lotaryngii, przeciwko katolickiemu biskupowi Metzu.

Podczas wojny, ale w kilka lat po jej rozpoczęciu, w dziejach Polski wystąpił jeszcze jeden święty. Był nim Bruno z rodu grafów na Kwerfurcie, Niemiec rodowity, kolega szkolny kronikarza Thietmara. Podobnie jak św. Wojciech ruszył Bruno, wspomagany przez Bolesława, na misję wśród Prusów również zginął, zabity wraz z towarzyszami w okolicach dzisiejszego Giżycka. Bawiąc w Polsce napisał list do Henryka II. Urywki z tego pisma warto przytoczyć:

„Jeśli ktoś powie, że tego władcę (Bolesława) kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni — to jest to prawdą. Kocham go rzeczywiście jak duszę własną i więcej niż życie. Lecz w Bogu mam cennego świadka, że kocham go nie wbrew łasce waszej; gdyż, o ile mogę, pragnę go ku wam skłonić.

Jeżeli jednak wolno tak powiedzieć, nie tracąc łaski królewskiej: czy jest w dobrem prześladować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim? Co za zgoda Chrystusa z Beljalem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarożyc i wódz świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem święta włócznia i godła pogańskie, karmione krwią ludzką? Czy nie wierzysz w grzech, królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?..."

Ten list świętego do świętego pisany był w roku 1009, właśnie wtedy, kiedy pogańscy Wieleci hulali w Lotaryngii.

Nie był i Bolesław wzorem cnót. Potrafił dopuszczać się okrucieństw i gwałtów, jak się to już okazało i jeszcze okaże. Jednak musiało być w tym człowieku coś niezwykłego, prawdziwa wielkość ducha, skoro sprzyjali mu Wojciech i Bruno, bohaterowie, którzy wierność idei umieli przypłacić życiem.

Uroczo prostoduszna notatka ruskiego kronikarza mówi nam coś niecoś o samej osobie Chrobrego: „Był Bolesław wielki i ciężki, że ledwie na koniu mógł usiedzieć, ale bystrego umysłu".

Wojna z Niemcami wymagała odeń najwyższego napięcia wszystkich sił talentu i charakteru.

Wróg jego, Henryk II, ani razu nie zdołał użyć przeciwko Polsce całej, bezsprzecznie przeważającej mocy Niemiec. Nie trzymał jej bowiem w ręku. Panował rzeszy śmiertelnie skłóconych książąt, biskupów, grafów, baronów i burzliwego rycerstwa. Przecież po to, by się ukoronować na króla, musiał Henryk ukradkiem przepłynąć wraz z orszakiem wezbrany Ren i dopełnić ceremonii nie w Akwizgranie, jak należało, lecz w Moguncji — zmyliwszy czujność nieprzychylnego mu księcia Szwabii.

Jeśli chodzi o sprawność działania władzy politycznej, Polska Chrobrego stała na szczeblu o wiele bardziej doskonałym. Była jednolitym organizmem, zdolnym do skupiania sił i skutecznej akcji. Jeżeli Bolesław rozpraszał swe wojska — czynił to celowo, na przykład dla strzeżenia granicy węgierskiej.

Jądro jego armii stanowiła drużyna książęca. Jeszcze o Mieszku napisał arabski kronikarz, Ibrahim ibn Jakub, że miał trzy tysiące pancernych. Według Galla Chrobry posiadał ich o dziewięciuset więcej oraz trzynaście tysięcy pieszych tarczowników.

Mnich saski, Widukind, piszący o Słowianach w wieku X, zaświadczył, że „barbarzyńcy nie mieli wielu konnych, mieli natomiast niezliczone mnóstwo piechoty". Ta sama metoda wojowania utrzymywała się i za Chrobrego. Główną masę jego armii stanowili na pewno powołani pod broń chłopi. To

oni wznosili po lasach i obsadzali załogami słynne zasieki, na których ginęli najprzedniejsi rycerze niemieccy. Oni dokonywali skutecznych zasadzek, boleśnie szarpali z boków wojsko Henryka, prące na Poznań. Ich ręce budowały grody, których doskonałość wtedy właśnie okazała się w całej pełni. Wyćwiczeni w zdobywaniu i rozwalaniu kamiennych twierdz italskich nie zdołali jednak Niemcy zdobyć ani jednej warowni polskiej, opasanej drzewno-ziemnymi wałami.

Jak pamiętamy, przygrywki do generalnego starcia polsko-niemieckiego rozpoczęły się w roku 1002. W następnym próbował Chrobry urzeczywistnić zamysł polityczny naprawdę wielki. Chodziło mu o stworzenie potężnego państwa zachodnio-słowiańskiego, jednoczącego pod wspólnym berłem Polskę i Czechy.

Od dłuższego czasu panował w Pradze krwawy chaos. Umarł, raczej zapił się na śmierć książę Włodziwój, wprowadzony na tron przez Polaków. Wkrótce potem ponowna interwencja polska oddała tam władzę Bolesławowi III Rudemu. Rządy jego były niezwykle okrutne i sprzeczne z polityką Gniezna. Chrobry zareagował w sposób nie przyczyniający mu chwały. Zaprosił Rudego na obrady do Polski, zapewne do Krakowa, i kazał wyłupić mu oczy. Aż do 1034 roku snuł się po Wawelu ślepy więzień odziany w książęce szaty i otaczany honorami.

Chrobry sam wyprawił się nad Wełtawę, zajął stolicę i objął rządy, radośnie witany przez ludność. Z tą chwilą państwo jego osiągnęło największy zasięg terytorialny. Oprócz Polski obejmowało Czechy, Morawy, Słowaczyznę, Łużyce, Miśnię i Milsko, władało górnym biegiem Łaby i dotykało rzeki Sali, w której dno wbito legendarne żelazne słupy.

Tak było tylko przez jeden rok. Czesi raptownie zmienili front. Może skłoniły ich do tego jakieś gwałty, popełniane przez Polaków. Raczej jednak przypuszczać należy, że woleli mieć własne księstwo, nawet pozostające w zależności od Niemiec, niż stanowić coś w rodzaju polskiej prowincji. W każdym bądź razie Chrobry musiał ustąpić nie przed wojskami ciągnącego z Niemiec Henryka, lecz przed buntem całej ludności, która rzucała się na załogi polskie.

Bolesław jak gdyby nawet lekceważył cesarza. Nie przerwał uczty, kiedy mu doniesiono, że pancerni rycerze niemieccy złamali ważny punkt oporu w lasach, obsadzony przez polskich łuczników. „Toć gdyby leźli jak te żaby, mogliby już tu przybyć" — powiedział.

Dopiero usłyszawszy bicie dzwonów kościelnych w Wyszehradzie, wzywające ludność do powstania, uszedł nocą z Pragi wraz z wojskiem. W odwrocie poległ na moście praskim brat św. Wojciecha, Sobiebor.

Stało się to wczesną jesienią 1004 roku. Niemcy wprowadzili na tron księcia Jaromira, którego wygnał poprzednio Bolesław Rudy. Władza jego nie miała przyszłości. Jaromir był eunuchem. Okaleczyli go wrogowie, Czesi. I takie bywały wtedy sposoby walk politycznych.

W 1005 roku silna armia niemiecka pod wodzą Henryka II sforsowała Odrę pod Krosnem i wspomagana przez posiłki czeskie oraz wieleckie ruszyła prosto na Poznań. Bolesław nie przyjmował walnej bitwy. Uprawiał walkę podjazdową, zadając nieprzyjacielowi „wielkie straty", jak przyznawali sami Niemcy.

Henryk zatrzymał się pod Poznaniem, ale go nie szturmował. Zawarto po-

kój, uważany przez stronę niemiecką za „niedobry". Polska nie utrzymała wielkich zdobyczy z 1003 roku, lecz nie pozbyła się ani skrawka własnego obszaru, zyskała nawet Słowaczyznę i Morawy (utracone jednak później w czasie tej samej wojny). Łużyce i Milsko wróciły do Niemiec.

Mir nie trwał długo. W 1007 roku zerwał go Chrobry, uprzedzając zapewne uderzenie niemieckie. Po pięcioletnich zapasach, w czasie których nie udało się Henrykowi przejść Odry pod Głogowem, doszło do pokojowego zjazdu w Merseburgu, gdzie Chrobrego przyjęto z honorami „należnymi królewskiej godności". Polska otrzymała Łużyce i Milsko, ale jako lenno, czyli nadanie cesarza. Był to już rok 1013.

Zaraz następnego lata obie strony znowu sięgnęły po broń. Bolesław trzymał uzyskane Milsko i Łużyce, lecz ani myślał wywiązywać się z powinności lennika, nie dał Henrykowi przyrzeczonych posiłków na wyprawę do Rzymu, a nawet spiskował i knuł przeciwko niemu w samych Niemczech.

Trzecia i ostatnia faza przewlekłej wojny trwała lat cztery (1014—1018) i była najcięższa.

Początkowo walki toczyły się nad Odrą, którą dwie armie niemieckie przekroczyły, jednak musiały się cofać ze stratami, ponieważ manewry Bolesława nie dopuściły ich do połączenia się. Zaszło wtedy zdarzenie, które posłużyło Stefanowi Żeromskiemu za wyjściowy wątek opowieści *O Walgierzu Udałym*.

Pewnego dnia 1015 roku nagły wypad polskiej piechoty wywołał popłoch w kolumnie niemieckiej. Od strzał łuczników poległ dowódca oddziału, margrabia Gero, „oraz dwustu najprzedniejszych rycerzy". Dowiedziawszy się o tym wysłał Henryk biskupa Miśni, Idziego, „aby wyprawił im pogrzeb za zgodą niegodziwego księcia i zażądał zwłok margrabiego Gerona". Biskup wyruszył na pobojowisko, „a gdy ujrzał ślady żałosnego pogromu, zaniósł się od płaczu i modlił się na klęczkach za poległych. Kiedy zwycięzcy, zajęci ciągle jeszcze tylko szukaniem łupów, spostrzegli go z daleka, uciekli zrazu w obawie, iż nadciąga nowe wojsko, potem jednak, gdy się przybliżył, pozdrowili go i pozwolili mu odejść nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Uzyskawszy od Bolesława radującego się naszą klęską to, o co prosił, Idzi pogrzebał z wielkim trudem przy pomocy nieprzyjaciół ciała towarzyszy, po czym niezwłocznie odjechał. Zwłoki zaś wspomnianego margrabiego i jego towarzysza Widreda kazał zawieźć aż do Miśni".

Okrutni ludzie średniowiecza miewali czasem serce. Aż dziwnie, kiedy się pomyśli, że opisany wypadek zdarzył się... dnia 1 września. — Ale nie na Pomorzu — jak głosił Żeromski — lecz na Śląsku.

Najznakomitszym epizodem tej wojny była obrona grodu Niemczy w roku 1017.

W sierpniu nie udało się Henrykowi forsowanie Odry, gdyż Bolesław zbyt silnie umocnił się w Głogowie i okolicy. Dwanaście oddziałów z głównej siły niemieckiej ruszyło z rozkazu cesarza pod Niemczę, leżącą na bardzo ważnym szlaku. Lecz tej samej nocy, kiedy stanęły pod grodem, przedarły się tam posiłki polskie, korzystając z ciemności i ulewnego deszczu. Wkrótce przybył sam Henryk i kazał dokładnie Niemczę otoczyć. Pomimo to pomoc przebiła się do twierdzy po raz drugi.

„Nigdy nie słyszałem o oblężonych, którzy by z większą od nich wytrwałoś-

cią i bardziej przezorną zaradnością zabiegali o swoją obronę. ...Gdy zdarzyło im się coś pomyślnego, nie wykrzykiwali nigdy z radości, ale i niepowodzenia również nie ujawniali przez wylewne skargi" — pisze Thietmar, nieskory do pochwał dla Polaków.

Najprzemyślniejsze niemieckie machiny oblężnicze natrafiały na równie dobry sprzęt obronny załogi. Nie udały się generalne szturmy wojsk cesarskich ani następne — pomocniczych oddziałów wieleckich i Czechów księcia Udalryka, który po Jaromirze panował w Pradze.

Od strony obozu wieleckiego obrońcy Niemczy wznieśli na wałach krzyż.

Tymczasem Chrobry stał z wojskiem we Wrocławiu (który Thietmar zwie z łacińska: Wortizlava), przegradzając Henrykowi odwrót w stronę Łużyc. Jakoż zwinąwszy oblężenie ruszył cesarz do Czech. Nie wracał jako zwycięzca, o czym świadczą słowa kronikarza: „Któż zdoła opisać trudności tego marszu i ogólne straty? Z ogromnymi przykrościami połączone było wkroczenie do Czech, lecz o wiele gorszy był odwrót z tego kraju".

We wrześniu zagon wojenny Bolesława wtargnął między Łabę i Muldę, pustosząc kraj i uprowadzając licznego niewolnika.

30 stycznia 1018 roku na zamku w Budziszynie zawarto nareszcie pokój. Milsko i Łużyce zostawały przy Polsce bez żadnych warunków i zastrzeżeń.

W tym czasie nie żyła już księżna Emnilda i pewną gwarancją dotrzymania układu miało być nowe, czwarte już małżeństwo Bolesława. Pięćdziesięcioletni przeszło Chrobry poślubił młodziutką Odę, córkę jednego z margrabiów niemieckich.

Pokój budziszyński zawarty na polskim terytorium państwowym oznaczał pełne zwycięstwo Chrobrego nad Henrykiem, który zobowiązał się dać dotychczasowemu wrogowi trzystu rycerzy jako pomoc na wyprawę kijowską.

Stosunki z Rusią, początkowo przyjazne, zaczęły się psuć już podczas wojny z Niemcami. Nieznana z imienia córka Chrobrego wyszła za mąż za syna Włodzimierza Wielkiego, Świętopełka, którego mnisi z Ławry Peczerskiej nazwali Świętopełkiem Przeklętym. W związku z zatargami dynastycznymi Bolesławówna wraz z mężem i byłym biskupem z Kołobrzegu, Reinbernem, dostali się do więzienia, a Chrobry ruszył zbrojnie na Kijów w roku 1013. W odwecie inny syn Włodzimierza, Jarosław, wygnawszy Świętopełka z Kijowa uderzył w roku 1017 na wschodnią granicę Polski, lecz bez powodzenia. Niepokoje na wschodzie i sama nawet wyprawa Jarosława na szczęście nie przeszkodziły Polsce pokonać Niemców.

Po zawarciu pokoju w Budziszynie ruszył Chrobry na Kijów, prowadząc ze swym wojskiem posiłki niemieckie, węgierskie oraz stepowego plemienia Pieczyngów. Jakiś ich oddział wspomagał Bolesława i w poprzedniej akcji, zbuntował się i został w pień wycięty.

Do spotkania doszło nad Bugiem, przy ujściu Huczwy. W widłach tych dwóch rzek do dziś znajdują się zwaliska grodu Wołyń, a nieco na południe rozciąga się nadrzeczna równina, zwana obecnie przez ludność Królewskim Kątem. Zgodnie z podaniem tu właśnie przeprawił się Bolesław przez Bug. Do nagłego działania sprowokował go jeden z wojewodów ruskich, Bąd, który stojąc za rzeką łżył i krzyczał: „A ty tu po co? Oto oszczepem rozpruję brzuch twój tłusty!".

Zwycięstwo polskie było zupełne. Jarosław uszedł na północ, do Nowogrodu,

a Kijów wkrótce poddał się Chrobremu, który wjeżdżając we wrota zwane Złotą Bramą zgodnie z ówczesnym zwyczajem uderzył w nie mieczem, szczerbiąc go.

Kijów był jak na owe czasy miastem ogromnym i bardzo bogatym. Posiadał podobno czterysta cerkwi i osiem placów rynkowych. Bolesław nie myślał o przyłączeniu go do Polski. Chodziło mu o utwierdzenie władzy przychylnego sobie księcia oraz o niezmierne skarby. Pisze Gall, że Chrobry „przez przeciąg dziesięciu miesięcy bez przerwy przysyłał stąd pieniądze do Polski, a resztę łupów zabrał, kiedy ruszył w drogę powrotną, podczas której na nowo przyłączył do swego państwa Grody Czerwieńskie.

Jeszcze przed małżeństwem z Odą i wyprawą na Kijów zabiegał Chrobry o rękę księżniczki ruskiej, Predysławy, siostry Jarosława. Odmówiono mu jej. Zająwszy Kijów zemścił się za urazę, biorąc Predysławę siłą, jako brankę. Podobno zawczasu zapowiedział swym wojom, że tak postąpi.

Znad Dniepru wysłał uroczyste poselstwa i listy do obydwu cesarzy — zachodniego, Henryka, i do wschodniego, którym był wtedy Bazyli II, zwany Bułgarobójcą.

Niezależnie od politycznego znaczenia wyprawy kijowskiej, której cel był ograniczony do chęci poparcia przychylnego Polsce księcia, trzeba ją uznać za duży wyczyn natury wojskowej. Dojście do Kijowa wymagało wówczas czterdziestu dni wysilonego marszu. Liczna, na pewno obciążona taborami armia polska potrafiła go odbyć, staczając po drodze zwycięskie walki.

Świętopełk wkrótce znowu wygnany został z Kijowa. Chrobry już się za nim nie ujmował i nawiązał dobre stosunki z Jarosławem, który panował do roku 1054.

Pod sam koniec życia doczekał się Bolesław chwili, która mu pozwoliła spełnić zamiar powzięty przed ćwierćwieczem. W roku 1025 — prawdopodobnie na Wielkanoc — na jego własny rozkaz i bez przyzwolenia papieża biskupi polscy ukoronowali go na króla.

Chwila była bardzo sposobna. W lipcu poprzedniego roku zmarł zacięty wróg, cesarz Henryk II. Następca jego, Konrad II — od którego bierze początek dynastia salicka — potrzebował niemal dwóch lat na pokonanie normalnych trudności w Niemczech i w Italii, zanim się ukoronował w Rzymie. I akurat w tym czasie, czyli latem 1024 roku, zaszła zmiana na tronie papieskim: umarł Benedykt VIII, po którym nastąpił jego rodzony brat, Jan XIX. Zanim się zmącone stosunki polityczne na nowo wyklarowały — Polska miała już koronowanego króla. Dany został przykład, wzór do naśladowania dla potomnych. Nigdy w przyszłości nie mieli już Polacy zapomnieć o uzyskanej koronie.

Sześćdziesięcioletni niemal Chrobry w pełni widać zachował genialną przenikliwość myśli, bystrość orientacji i siłę działania. Postępował z tą samą energią i szybkością, które go cechowały jako młodego mężczyznę, w dobie starań o arcybiskupstwo.

Nie chodziło wówczas o czczą tytulaturę, lecz o rzeczy ogromnie ważne pod względem politycznym. Korona królewska wzmagała rangę państwa, stanowiła niezbity dowód jego zupełnej niezależności. W stosunkach wewnętrznych w znacznej mierze ułatwiała władcy wyzwolenie się od dawnego prawa zwyczajowego, które kazało dzielić kraj między spadkobierców. Prawowitym

dziedzicem całego obszaru oraz zwierzchnikiem innych książąt tej samej krwi stawał się ten z synów, któremu ojciec-król przekazał berło.

Od dawna już Chrobry wyznaczył na następcę najstarszego syna Emnildy, Mieszka, znanego w historii jako Mieszko II. W ten sposób pominięty został i odsunięty od władzy pierworodny, zrodzony z Węgierki Bezprym, a także młodszy i rodzony brat Mieszka, Otto.

Koronacja była ostatnim aktem wspaniałego panowania Bolesława Chrobrego, który zmarł w kilka miesięcy później, 17 czerwca 1025 roku.

Pierwszego króla polskiego pochowano w Poznaniu.

Gall, piszący swą kronikę w wieku XII, nie wahał się nazwać Bolesława Wielkim.

„Z odejściem więc króla Bolesława z doczesnego świata złoty wiek zmienił się w ołowiany — głosił. — Polska, przedtem królowa, ukoronowana błyszczącym złotem z drogimi kamieniami, siedzi na popiołach odziana we wdowie szaty, dźwięk cytry w płacz, radość w smutek, a głos organów zmienił się w westchnienia. Istotnie przez cały ów rok nikt w Polsce nie urządził publicznej uczty, nikt ze szlachty, ani mąż, ani niewiasta, nie ustroił się w uroczyste szaty, żadnego tańca, żadnego dźwięku cytry nie słyszano w karczmach, żadna dziewczęca piosenka, żaden głos radości nie rozbrzmiewał po drogach. I tego przez rok przestrzegali wszyscy powszechnie, lecz szlachetni mężowie i kobiety skończyli żałobę po Bolesławie dopiero wraz z końcem życia. Z zejściem tedy Bolesława króla spośród żywych zdało się, że i spokój, i radość, i dostatek razem z nim z Polski odeszły."

Powie ktoś, że piszący tak późno kronikarz przesadził, zanadto przyozdobił opowieść o panowaniu Chrobrego, mając w pamięci klęski, które nastąpiły po śmierci króla. Być może, ale z drugiej strony to właśnie jest jednym z dowodów wielkości postaci i dzieła Bolesława. Gall patrzył na jego czyny z pewnej perspektywy dziejowej, mógł porównywać i oceniać. I jeśli zdobył się na taki opis, to znaczy, że już za jego czasów — w wieku XII — pamięć o Bolesławie Wielkim zaliczała się do czynników jednoczących naród i państwo.

Na zawsze pozostało wspomnienie o królu, który władał od Bałtyku po Karpaty, od Szczecina po Gdańsk, od Bugu aż po górny bieg Łaby. Jeśli dziś spojrzymy na mapę ówczesnej Europy — zwłaszcza zachodniej — zobaczymy prawdziwą mozaikę barwnych plam, przedstawiających dziedziny rozmaitych wielmożów duchownych i świeckich, dość słabo poczuwających się do obowiązku posłuszeństwa wobec zwierzchniej władzy państwowej. W średniowieczu zdecydowanie górowały dążenia odśrodkowe, rozsadzające większe organizmy polityczne od wewnątrz. Wbrew tej zasadzie monarchia Chrobrego — licząca około pół miliona kilometrów kwadratowych powierzchni — była państwem zwartym, jednolitym, rządzonym sprawnie.

Żaden z następców Chrobrego ani nikt w ogóle w Polsce piastowskiej na mapę taką oczywiście nie patrzył. Naród pamiętał za to, jaki stan rzeczy panował za Bolesława. To wspomnienie stanowiło wartość ogromną, gdyż w czasach późniejszych określało zrozumiały dla wszystkich cel dążeń politycznych.

Epoka Bolesława Chrobrego zostawiła narodowi w spadku poczucie własnej godności.

Paweł Jasienica

Jakub Zonszajn

OSTATNIE SŁOWO

Nie trudź się godzin nocy
nie zdołasz policzyć
Każda godzina w męce jest wiecznością
a radość — czasu granice przekracza

Ciszej od trawy w polu
pozwól mi milczeć

Po co mam mówić —
ostatniego słowa
i tak nie wypowiem

*
* *

Jesteś dniem
który z nocy się wychyla
i do nocy wraca
oddechem ciszy
żywisz
przyszłą burzę
wieczyście
krążąc nade mną

Jesteś cieniem chodzącym
drzewa co było
i drzewa co będzie
czerwonym ogniem
we mnie wymyślonym
na progu białej śmierci

W mym wnętrzu również światło wymyśliłeś
aby padało prosto mi pod stopy —
bo wielkie
jest niebezpieczeństwo
które noszę
w sobie

MOŻE TY

Może właśnie ty
uciszysz we mnie
fale niepokoju

Odziedziczone
piętno kaina
zetrzesz z mego czoła

Może ty
postawisz mnie znowu
na szerokiej drodze

Między dniem i nocą
dasz mi się objąć —

wszystko się stanie nagle zrozumiałe
i zgasnę w tobie
ze słońcem na ustach

Przełożył
Tymoteusz Karpowicz

Julian Przyboś

O METAFORZE

I

Tak jak wszelka czynność fizyczna czy duchowa, której cel nie wykracza poza zaklęte koło jej samej, a która nie jest tylko zabawą — metafora dla metafory jest grzechem przeciwko duchowi twórczości; jest owym „bezowocnym ducha bujaniem", potępionym przez Mickiewicza. Nie jest bowiem zabawą, której czynność jest — jak mówi Arystoteles — czynnością dla niej samej, ale pseudozabawą: chęcią nadania innego, pozazabawowego sensu bezcelowej igraszce. Opowiadają, że najsroższą pracą karną była dla więźniów obozów hitlerowskich praca bezcelowa: przesypywanie góry piachu z jednego miejsca na drugie i z powrotem. Wprawdzie powiedziano kiedyś dowcipnie, że żadna praca nie jest bez pożytku: Tantal tocząc swój głaz — wyrabiał sobie muskuły... Ale tocząc metaforę po to tylko, ażeby wyrazić niezwyczajnie to, co można wyrazić zwyczajnie — żaden stylista nie stanie się atletą duchowym. Przeciwnie: jeśli nawet z początku uda mu się zaskoczyć czytelnika i upozorować świetność, czeka go rychło zdemaskowanie i obnażenie z najpiękniejszej, skrajanej przez siebie po to tylko, żeby syciła próżność, szaty króla.

Z powodu wznowienia *Generała Barcza* Maria Dąbrowska zajęła się nie tylko maniakalną, jak twierdzi, *metaphoritis* Kadena-Bandrowskiego, ale metaforą *(Od Kadena do metafory i z powrotem* w *Przeglądzie Kulturalnym* nr 329—30). Zdeklarowana przeciwniczka przenośni przytacza sądy o tej „figurze stylistycznej" Ortegi y Gasset i Robbe-Grilleta. I sama usiłuje wytłumaczyć, skąd bierze się u ludzi nieodparty pociąg do metafory.

Kaden był silną indywidualnością, jaskrawym swym stylem, pełnym porównań i przenośni zarażał młodych prozaików. Wpływ jego działa i dziś: Breza i Putrament wiele mu winni. Były lata, że zdawało się, iż ulegnie mu cała młoda proza ówczesna. Historycy literatury ustalą łatwo datę, od której wpływ ekspresjonizmu Kadenowskiego zaczął maleć, tak że sam mistrz odwrócił się później od własnej maniery. Datę tę stanowi rok pojawienia się pierwszych tomów *Nocy i dni.*

Pamiętam, że któryś z krytyków rozważał, co znaczy w powieści Dąbrowskiej to, że w pewnej chwili zgasły latarnie przy powozie wiozącym nowo-

żeńców Bogumiła i Barbarę. Czyżby zgaśnięcie światła miało znaczenie symboliczne? Nie, odpowiadał sobie krytyk, to znaczy tylko to, co znaczy, powieściopisarka jest wierna rzeczywistości i tego szczegółu w opisie podróży bohaterów nie należy pojmować przenośnie, lecz dosłownie. Bo tak jak się mówi o „czystej poezji", można mówić o „czystej prozie". Dąbrowska jest twórczynią takiej doskonałej „czystej prozy".

Okazuje się, że był to krytyk uważny. To, co przypuścił jako zamysł autorki, było istotnie jej bardzo świadomym zamiarem. Dąbrowska dążyła do wyeliminowania ze swej prozy metafory i porównania. Ideałem jej jest „czysta proza", antyteza poezji, która, jeśli chce być „czysta", staje się „królestwem metafory". Ale zdaje się, że to zdanie nie zyskałoby aprobaty autorki *Nocy i dni*. Zapewne i w poezji zaleciłaby dyscyplinę i umiarkowanie w używaniu przenośni.

Podziwiam język Dąbrowskiej, z pewnością także dlatego, że zdania jej prozy mają sens dosłowny. Jestem przekonany, że ciągle jeszcze wielu nawet jej wielbicieli nie słyszy wszystkich odcieni jej głosu, nie czuje żywości, naturalności tonu i toku jej pisanej mowy. Czyżbym się więc zgadzał z jej niechęcią do — jak mówi — żywiołu metafory i obstawał przy antagonizmie dosłownego języka prozy i przenośnej mowy poetyckiej?

II

Przyjrzyjmy się najpierw owej metaforze, do której uciekał się Kaden i od której zaczął się w prozie odwrót za przewodem Dąbrowskiej. Przekartkowałem *Generała Barcza* i, wbrew spodziewaniu, niewiele znalazłem w jego tekście metafor *sensu stricto*. Dąbrowska za szeroko pojęła termin „metafora", Kaden operuje przede wszystkim porównaniem i metonimią. Utkał, mówiąc jego stylem, na swoim warsztacie jakąś parcianą, a haftowaną tkaninę słowną. Jest to styl gburowatego cwaniactwa żołnierskiego pokumanego groteskowo z młodopolskimi pretensjami do ozdobności. Ta dziwaczna miszkulancja sprawia, że czyta się teraz *Barcza* niemal tak, jak *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Tkwił w Kadenie kawał tęgiego aktora. Pamiętam jego odczyt o kobiecie, z którym objechał całą Polskę. Było to moje pierwsze z nim spotkanie, toteż szczególnie silnie uderzyło mnie jego aktorstwo. Grał — nawet w prywatnej rozmowie — każde swoje zdanie, szarżował marszałkowskimi zwrotami, gestykulował rękami i — nogami. A cóż dopiero przemawiając ze sceny! Nie zapomnę, jak wystrojony we frak, wygłaszał swój tekst: podkreślił w nim słowo „burza" nie tylko *fortissime* głosem i potrząśnięciem obu wzniesionych pięści, ale i — nogą. Machnął nią, jak na meczu piłkarskim. Szarżował. Silny instynkt karykatury pociągnął go więc, może wbrew świadomości i woli, do takiej, powiedzielibyśmy dzisiaj, „rozróby" stylu. Zabawna, chyba niezupełnie chciana karykatura i wydwarzanie, gębą i pupą!

Lecz jakiej próby są te „figury stylistyczne", metonimie, przenośnie i porównania? Parę przykładów: str. 1 (wydanie Ossolineum z 1930 r.): „Rasiński trwa w dwu małych pokojach oficyny... z prostym przykazaniem dwu małżeńskich łóżek". Str. 8 (Manipulant i maszynistka opisująca poległych):

Ona sypała szybko krągłe jajeczka liter, on zaś, skubiąc cierpliwie wargi, k gdyby palcami wyjmował sobie z ust imiona poległych i podobne do alutkich, atramentowych szkieletów wciągał na karty księgi". Str. 230 rzemawia generał): „O sercu — łzach — tylu latach — prawił długo i kło- tliwie, siejąc pośladkami z boku na bok". Str. 339: „— sprawiedliwość czeka — motał wódz proste promienie zachodu na krągłe ruchy dłoni"... miech jego szeleścił w korytarzach, tarł się o ściany, niby suche, w cias- cie trącane osty".

Wyobraźmy sobie, że te „figury" spotykamy nie w prozie, ale w wierszu. Kadenowskim rubasznym tekście rzucają się one w oczy, wydają się wy- kane i niezwykłe i przez kontrast pogrubiają tą niezwykłością prześmiew- jakiś i gburowato-żołnierski ton wypowiedzi. A w wierszu? Ależ to tan- a, szmira i najgorsza ramota poetycka! Gdy się zastanawiam, który wierszopisów przyjąłby takie „obrazy" do swoich wierszy — nasuwają mi nazwiska bardzo poślednie. Może J. A. Gałuszka, wsławiony przed wojną generalską apologetyką pisaną przeciw Tuwimowi, lub J. Pietrkiewicz *Prosto z Mostu*, ten sam, który teraz wybił się w Anglii jako powieściopi- rz pod nazwiskiem Peterkiewicza?

To jedno. Po wtóre: żaden z tych „obrazów" nie jest konieczny i sens ich się doskonale wyrazić językiem potocznym, bez porównań, dosłownie. wiatki te stroją przysłowiowo kożuch, a są to kwiatki z bibuły.

Obawiam się, że mało który z prozaików „dwudziestolecia", piszących dobnie, wytrzymałby próbę krytycznego sztychu w jego tropy poetyckie. wybitnych, którzy zaczynali pod znakiem secesyjnej chimery, może tylko ałkowska potrafiła w końcu oczyścić swój język, w wielu dawnych powie- iach jaskrawie strojny i minoderyjny. Ale zbadanie jej porównań i meta- r nie przydałoby listka do jej prozatorskich laurów. Zrobiłem to metodą *ichprobe*, cytując jej dwa zdania z *Węzłów życia* (*Twórczość*, nr 4, rok 1956). a, nawet tak znakomitemu styliście, jak Parandowski, wyszkolonemu na zorach klasycznych, groziła — i to wcale nie w jego próbach młodzień- ych — przesadna ozdobność i metaforyczność. Uwagi moje na ten temat ypowiedziałem w szkicu *Pięknostki prozy* (w tomie *Najmniej słów*, str. 138). poszukiwaniu wykwintnej obrazowości Parandowski był bardziej, jak rozwój naszej poezji, współczesny. Jego przenośnie odpowiadają spóź- onym o trzy ćwierci wieku gustom skamandrytów (tj. temu, co pierwszyz- poetycką było we Francji za czasów Baudelaire'a i Rimbauda). Jeśli cho- i o obrazy w prozie odpowiadające stylowi awangardy poetyckiej — którym z prozaików można by sądzić, że zrozumiał nowy styl, że wykształ- widzenie na poezji nowoczesnej? Nie Szulz, który widział po rimbaudow- u, ale chyba autor diatryby *Przeciw poetom* a poeta prozy — Gombrowicz. rzekora nie pozwoli mu tego przyznać. Być może zresztą, że sam sobie go nie uświadamia. Ale czymże jest zasada kompozycyjna *Ferdydurke*, według części ciała" — jeśli nie przykładem wtargnięcia na wielkie płasz- yzny niewiązanej mowy rygorów budowy poematu? Nie ozdóbkarstwo, nie ieractwo ładnych porównań — ale językiem potocznym, dosłownym, roz- owadzona jedna wielka metafora. Z najmłodszych ujmuje rzecz w obrazach, nie w ozdóbkach — Mrożek. Co prawda, nadużywa on przesadni (hiperboli), rzadko próbuje stosować w prozie inne tropy.

Trafnie stosuje się tropy poetyckie w prozie wtedy, kiedy się ich nie używa dosłownie; chcę rzec: kiedy się metafor nie robi, ale kiedy się je rozwija w kompozycji, w fabule, w charakterystyce postaci powieściowych. Metafora w prozie winna być metaforą wielką, to znaczy rozwiniętym do rozmiarów opowiadania czy powieści obrazem poetyckim.

U Dąbrowskiej nie potknąłem się bodajże nigdy o zbędną lub staroświecką metaforę. Jej antymetaforyczny język działa na mnie upajająco. Jest w tej mojej radości, gdy słucham jej prozy, coś bardzo bliskiego upojeniu, jakie mi daje język poezji. *Contraria se tangunt*, uczucia ludzkie są ambiwalentne. Czysta proza jest tak bliska czystej poezji, jak wrażenie gorąca i „siarczystego" mrozu. Włoskie słowo *caldo* odpowiada fonetycznie niemieckiemu *kalt*.

Tym bardziej więc wyróżnia się w prozie Dąbrowskiej każdy zwrot obrazowy, przenośnia czy porównanie. A nawet powiedzenie przysłowiowe, które w mniej czystej prozie nie zwróciłoby się do czytelnika swoją obrazową stroną. Na przykład: w tomie *Nocy i dni* zatytułowanym *Miłość* relacjonuje autorka językiem dokładnym i skrzętnym uczucia Agnieszki, uczennicy szkoły rosyjskiej, z której mieli ją rodzice odebrać. I powiada: „...a tak sprawa jej odebrania z gimnazjum rozeszła się po kościach". Dziwne. Ten utarty zwrot zabrzmiał mi na tle niewidocznej prozy — drażniąco i uwidocznił wyraźnie owe „kości". Przebiły się one przez tkankę językową jaskrawo białe i zwrot zabrzmiał, wbrew intencji autorki, wulgarnie. (Być może to, co mówię, należy do przygód estetycznych przeczulonego czytelnika, takiego, co nie tylko słyszy słowa i widzi poprzez nie rzeczy i zdarzenia, ale i rysuje w wyobraźni ich kształt i ruch.)

III

Niech historycy literatury rozstrzygną, czy rozrost metafory w języku międzywojennego dwudziestolecia przewyższył stan *metaphoritis* w poprzednim okresie. Na oko oceniając, nasycenie poezji metaforą było wtedy większe niż w Młodej Polsce. Podbojowi stylu przez metaforę sprzyjał i podbój ten przyśpieszył słynny artykuł Tadeusza Peipera pt. *Metafora teraźniejszości*, ogłoszony w *Zwrotnicy*.

Na wyobrażenia Peipera o istocie poezji silnie oddziałała poezja hiszpańska, od czasów wielkiego Gongory cała wirująca w „zamieci metafor". Zamieć tę rozpętać chciał Peiper-teoretyk i Peiper-poeta w języku literatury, którą zwolennicy klasycznego umiaru oskarżają o barok. Zgodzić się z nimi można, że tradycja barokowa jest w poezji polskiej najżywsza, nasi wielcy romantycy żeglowali po morzu przenośni; wszakże i język autora *Sonetów krymskich* i autora *Snu srebrnego Salomei* drży od zamieci metafor. Ale Peiper nie chciał tylko ozdobności stylu, on utożsamiał język poetycki z metaforami; wiersz, wedle niego, to mowa całkowicie zmetaforyzowana. „Proza nazywa — poezja pseudonimuje" — powiedział. Poezja wyraża rzecz poetycką nie wprost, lecz drogą okrężną, przez metaforę.

Wszechobecność metafory w poezji nowoczesnej tłumaczył przyczynami różnorodnymi, ale wszystkie one dałyby się sprowadzić do konieczności, by

ak rzec, technologicznych. Z biegiem czasu — i w miarę rozwoju sposobów yrażania uczuć — zwroty niegdyś żywe i budzące oddźwięk tracą z czaem siłę oddziaływania, ścierają się, stają się banalne i niczego nie wyrażają. adaniem poety jest znaleźć nowy „pseudonim" uczuć i myśli, czyli wyraenie metaforyczne takie, które by pobudziło wyobraźnię, uśpioną dawnym, użytym już wyrażeniem.

Gdyby mechanizm rozwoju języka poezji funkcjonował tak, jak to przedawił Peiper, język ten stawałby się coraz bardziej pośredni, aluzyjny, noe metafory piętrzyłyby się na dawnych metaforach, nazwa rzeczy coraz rdziej oddalałaby się od przedmiotu. Przeczy temu zjawisko, dostrzegane rzez historyków literatury, gdy badają prądy literackie kształtujące język ciągu pewnego dłuższego okresu czasu. Okazuje się, że działa tutaj prawo ntrastu, tak że styl oschły, wzorujący się na ścisłym języku nauki — może mieć na tle ogólnie panującej *metaphoritis* niezwykle świeżo i działać — k jakaś nowa metafora. Mówił o tym Irzykowski, przypominając, że tak ł Zola i jego czytelnicy. Spacerujące po błotnistym gościńcu zwierciadło turalistów olśniewało jak lustro magiczne.

Nie przekonuje też Peiper, gdy tłumaczy dominację metafory w poezji sadą ekonomii, powszechną w życiu współczesnych społeczeństw. Metara stanowi — twierdzi Peiper — realizację tej zasady w dziedzinie obrazu etyckiego, ponieważ prawie zawsze jest — skróconym porównaniem. Pogląd ten uważam (zgodnie z Arystotelesem) za fałszywy. Metafora, któ- można rozwinąć i wyczerpać jej sens w porównaniu, jest złą metaforą.

Nie przekonuje mnie twierdzenie, że pęd do metafory da się wytłumaczyć tyrealistyczną tendencją poezji współczesnej. Nie ujmującą istoty wydaje i się również Peiperowska definicja metafory jako „samowolnego spokrewania pojęć, tworzenia związków pojęciowych, którym w świecie rzeczystym nic nie odpowiada". Definicja ta pozostaje zresztą w sprzeczności zapewnieniem Peipera, „że z trzech metafor jakiegoś poety następujących sobie w poemacie potrafi powiedzieć o tym poecie więcej niż jego oberny biograf". Gdyby metafora była tworem antyrealistycznym, gdyby nic j w rzeczywistości nie odpowiadało — jakżeżby można cokolwiek powiedzieć o twórcy? Z metafor użytych przez poetę wiele można wnosić o strukrze osobowości autora, metafora jest jakby wziernikiem do duszy poety — tym ma Peiper rację. Ale metafora jest też nadzwyczajnym narzędziem, órym się sięga po świat zewnętrzny, jest swoistym środkiem poznania rzeywistości. Być może, iż to poznanie poprzez metaforę jest równie doniosłe, poznanie logiczne. Odzywają się nawet głosy coraz liczniejszych na Zachoie zwolenników filozofii przedsokratycznej, opowiadających się za myśleniem razowo-metaforycznym, jako jakoby bliższym dialektyce rzeczywistości. eneza metafory sięga głębiej w początki człowieka niż tabu, jak to poaroświecku sądził Ortega y Gasset, na którego powołała się Dąbrowska. elki etnograf, Cl. Lévy-Strauss, wiąże genezę słowa z czynnością metaforyczgo wręczania oznaczanych rzeczy. (Pisałem o tym w artykule *Granice poezji*, ukowanym w *Nowej Kulturze.)* Myślenie metaforyczne poprzedziło myślenie giczne, Parmenides zwyciężył Heraklita, ale dziś nie tylko poeci mają wątpliości, czy prawo sprzeczności da się pogodzić z myśleniem dialektycznym... Dąbrowska przytacza także opinię Robbe-Grilleta tyczącą się jednakże nie

metafory *sensu stricto*, ale figury stylistycznej, od której odwrócili się nowocześni poeci. Grillet występuje przeciwko antropomorfizmowi w myśleniu — i ma oczywistą rację. Uczłowieczanie przyrody jest bodajże najprymitywniejszym sposobem obrazowania rzeczywistości, nieznośnym dla wybredniejszego umysłu. Zgadzam się z tą kampanią przeciw prostactwu vivifikacji i antropomorfizacji. Nie tylko zgadzam się. Mogę stwierdzić, że kilkanaście lat temu zawarłem *in nuce* to, co w swoim eseju rozwiódł Robbe-Grillet szeroko — zrobiłem to zwięźle w takich szkicach, jak *Widzę i opisuję*, *Zapiski z groty Macochy* i inne.

Dąbrowska czytała esej Robbe-Grilleta w *La Nouvelle Nouvelle Revue Française*, ale przypuszczam na podstawie jej artykułu, że nie zna prozy powieściowej tego francuskiego awangardzisty. Wyobcowanie z niej uczłowieczającego rzeczy człowieka czyni, że proza ta wcale nie daje złudzenia rzeczywistości takiego, jakim bawi powieść tradycyjna. Powieści Robbe-Grilleta wyglądają w świadomości czytelnika jak jakieś konstrukcje spotykane tylko w poezji. Tak oto potwierdza się prawo kontrastu, o którym wiedział Irzykowski.

IV

Ażeby dociec istoty metafory i zrozumieć jej doniosłą funkcję poznawczą warto sięgnąć do źródła wszelkiej myśli, a więc i myśli estetycznej: do Arystotelesa. Oto co on mówi o metaforze w swojej *Poetyce*: „Wprawdzie ważne jest należyte używanie każdego z wymienionych środków... ale najważniejsze jest trafne używanie metafor, bo tego jedynie nie można się nauczyć od drugiego; lecz jest to poniekąd oznaka wrodzonych zdolności (genialności). Bo wynajdywać dobre metafory, to znaczy dostrzegać „podobieństwo w niepodobieństwie". Metaforę pojmował Arystoteles, jak można wnioskować z innych ocalałych fragmentów *Poetyki*, szeroko: takie wyszczególnione przez retorykę tropy i figury, jak *pars pro toto*, metonimia, hiperbola itd., dałyby się objąć jego definicją przenośni. Poza tą definicją pozostaje porównanie. Jeśli jednak oprzemy się na przytoczonym cytacie, za metaforę będziemy uznawali tylko taki obraz poetycki, który dostrzega związek między dalekimi zjawiskami („znajduje podobieństwo w niepodobieństwie"), związek przez ludzi przedtem nie dostrzegany. Dobra metafora jest więc rezultatem odkrywczej pracy umysłu, przykładem, krótko mówiąc, tworzenia, tj. takiej umiejętności, której nie można się nauczyć od nikogo. Podobieństwo w niepodobieństwie! Pominąwszy niezliczone komentarze do tekstu Stagiryty, pozwolę sobie lekkomyślnie powiedzieć, że brzmi to jak manifest, jak szalony manifest romantyczny, albo — jak dewiza tych, co szukają formuły jednolitego pola... Poetą trzeba się urodzić, a dowodem tego wrodzonego daru poetyckiego jest, gdy idzie o posługiwanie się środkami wyrazu słownego, metafora. Jeśli się jej nie można nauczyć od drugiego poety, jeśli dar trafnego jej używania jest wrodzony — każdemu prawdziwemu poecie właściwy jest inny rodzaj metafory. Rację więc należałoby przyznać Peiperowi, gdy twierdzi, że metafory więcej mówią o poecie, niż jego biografia. Rodzaj ich i sposób użycia odsłania coś istotnego w psychice poety, mówi o wielu składnikach jego osobowości, a przede wszystkim o strukturze jego wyobraźni.

Dąbrowska widzi jedną z wielu szans odmłodzenia języka literackiego w wykluczeniu metafory, w dosłowności. Wyznanie to godne czystej prozatorki. Spontaniczna ufność do słowa świadczy bowiem o zmyśle prozatorskim. Zmysł poetycki objawia się w nieufności wobec słowa. Miłość słowa, o której tyle mówią poeci, jest ściśle połączona z jego dogłębną krytyką. Poecie nie wolno przyjąć żadnego zastanego zwrotu słownego bez weryfikacji, żadnemu słowu zaufać — na słowo. Poeta nie może się powstrzymać od wglądnięcia w rdzeń słowa, we wszystkie z nim zrosty skojarzeń, musi zedrzeć zeń naskórek, dobrać się do środka, przenicować i znów je, oczyszczone z pospolitej nijakości i bezwyrazowości, użyć tak, by brzmiało i błyszczało jak nowowynalezione. Poeta pisze neologizmami nawet wtedy, gdy używa zwykłych słownikowych słów.

Prozaik nie podaje słów w wątpliwość, poeta musi z powrotem wynaleźć każde słowo. Poeta atakuje i zmienia potoczną mowę, prozaik potoczną mowę przyjmuje jako swoje dobro, które rozwija i pomnaża nieznacznymi poruszeniami składni. Obaj pracują w materiale słownym: ale pracę poety można by porównać do pracy chemika, który zmienia stan skupienia ciał, a pracę prozaika do inżynierskiego doboru i składania danego już budulca w nowowznoszoną budowlę.

Eluard powiedział w jakimś *confiteor* czy manifeście poetyckim, że dla poety niektóre słowa bywają zabronione — z różnych powodów. Jedne dlatego, że są zbyt piękne, inne — że brzydkie, jeszcze inne dlatego, że banalne. Słowo, które uchodziło kiedyś za piękne — nadużyte przez epigonów, staje się banalne lub brzydkie. Przychodzi czas, kiedy poeta znosi narzucony sobie zakaz, przywraca do łaski i uprawnia zabronione słowo. Ta taktyka wobec słowa obowiązuje, moim zdaniem, poetów dopiero wyrabiających swój język. Wielki poeta to taki słowiarz, który już nie zakazuje sobie żadnych słów, bo wszystkie zweryfikował i przemienił. Wtedy dopiero może z uzasadnioną nadzieją pokusić się o to, co zmuszało go do buntu przeciw zastanemu słowu: o powiedzenie Wszystkiego. Bo owo Wszystko nie mieściło się przedtem w słowach.

Już ten rewizjonistyczny stosunek do słowa ma w sobie coś z czynności, którą nazwijmy metaforyzacją. Zanim słownikowe słowo zostanie przyjęte do mowy poety, ulega niejednemu przeniesieniu swego znaczenia z gatunku na rodzaj, z rodzaju na gatunek itd., o czym mówi *Poetyka* Arystotelesa, a przecież ta metaforyzacyjna czynność dokonana na słowie nie wystarcza dzisiejszemu poecie. Poemat w naszym wieku jest rozbłyskiem obrazów w obrazach, wyzwoleniem w możliwie najzwięźlejszym skupieniu słów energii obrazotwórczych języka. Dawniej wiersze były co najwyżej ciągiem obrazów, dzisiaj są takim ich zwarciem, że materia języka eksploduje jak w reakcji łańcuchowej równocześnie wielu sczepiającymi się i rozczepiającymi i znów wiążącymi się obrazami.

Zanim przejdę do wyjaśnienia przyczyn takiego stanu rzeczy, warto przypomnieć, że przecież język nie jest niczym innym, jak tylko metaforą rzeczywistości. Żeby pojąć, że głos „stół", „table", „tisch", „tabula" oznacza rzecz z drzewa stojącą w moim pokoju, nie dokonuję już tego wysiłku umysłu, którego dokonałem w dzieciństwie, przenosząc głos na rzecz i utożsamiając te dwa różne zjawiska. Tej najpierwszej metafory dokonała już ludzkość w po-

czątkach swego rozwoju. Można powiedzieć, że w antropoidzie zaczęła człowieka pierwsza metafora.

Prócz partykuł — każda część mowy ma również znaczenie metaforyczne, jak o tym przekonuje słownik. W sporze z Peiperem Irzykowski usiłował dać przykład zestawienia nonsensownego słów i wymyślił zwrot „milczenie tyfoidalne". Peiper łatwo dowiódł, że ten zwrot może być w pewnej sytuacji wstrząsająco wymowną metaforą. To sytuacja psychologiczna, a więc w literaturze kontekst, decyduje o trafności metafory. Nie ma tak niespodziewanego zestawienia słów, które by nie mogło się stać wymowną metaforą.

V

Dąbrowska objaśnia istotę i pociąg do metafory tak: „Na mój osobisty użytek tłumaczę to sobie uszczęśliwieniem z rozpoznania tożsamości rzeczy". Dziwi mnie ten sąd, bo nie mogę pojąć, dlaczegobym miał się czuć aż uszczęśliwiony, poznawszy, że różne rzeczy są w istocie teżsame. Przeciwnie, takie rozpoznanie byłoby początkiem nieskończonej nudy. Zdanie Dąbrowskiej odnieść można chyba tylko do porównania i do tych niewysokich satysfakcji, jakie daje stwierdzenie podobieństwa syna do ojca, księżyca do sierpa czy do rogalika itd.

Przykład, jaki przytacza z *Nocy i dni*, potwierdza to przypuszczenie. Bogumił przypomina sobie gorączkowe tętno przegubu ręki chorej Barbary, patrząc na drganie ścian starego młyna, dno zaś strumyka przypomina mu łuskę karpia. Nie była to więc „radość metaforyczna", lecz prymitywna satysfakcja, jaką daje stwierdzenie podobieństwa dwóch rzeczy do siebie. Bogumił znajdował, mówiąc językiem Arystotelesa, „podobieństwo w podobieństwie". Gdy jednak słyszymy takie zdanie Słowackiego:

On piórem z ognia jest dumnych szyszaków

to metafora „pióro z ognia" zachwyca nie dlatego, że utożsamia pióro z ogniem, lecz, że w błyskawicznym ruchu wyobrażeń odkrywamy to, co Arystoteles nazwał „podobieństwem w niepodobieństwie".

Sąd Dąbrowskiej przypomina nieco zdanie krytyka francuskiego, R. Caillois, który, przeciwstawiwszy się poezji obrazu, głosi „apoezję". Ma to być czysty rygor intelektualny, stwierdzający w naturze identyczność i ustawiczną powtarzalność zjawisk czy „rzeczy w sobie", czy, co w tym wypadku na jedno wychodzi — pustki. Ale Caillois zdaje się być zwolennikiem Parmenidesa i z tej filozofii czerpie nie uszczęśliwiającą radość, lecz, jak mówi — *„le goût d'un destin depouillé"*, którego żąda od tej postulowanej „apoezji".

W czym więc tkwi istota metafory? Jak wytłumaczyć jej kusicielską moc, której z rozkoszą ulegają poeci?

Zanim odpowiem, niezbędna uwaga wstępna. Słowo zazwyczaj wieloznaczne, i tylko w nauce, jako termin naukowy, jednoznaczne, słowo wypowiadane, słowo mówione, to nie tylko znak rzeczy. Mówiąc, zwłaszcza mówiąc szczerze, to znaczy nie fałszując procesu mówienia — a takim chce być mówienie poetyckie — nie tylko wskazujemy rzeczy, ale uobecniamy ładunek psychiczny

słowa. Nie chodzi mi tutaj o przypomnienie komunału o „barwie uczuciowej" słowa. Słowo-znak, z chwilą gdy jest mówione, jest zarazem płatem aktualizowanej psychiki mówiącego; intonacja, wysokość głosu, rytm i gest towarzyszący wypowiadanym słowom to tylko najbardziej zauważalne składniki słowa spośród wielu innych, które oznaczają obecność słowa wewnętrznego. O tym wewnętrznym słowie wiedzieli poeci na długo przed odkryciem dzisiejszej — nie wiadomo już — fizjologii czy fonetyki, która stwierdziła, że mówienie zaczyna się nie w strunach głosowych, lecz w przeponie. Słowo rodzi się we wnętrzu człowieka. Mówione, zdradza człowieka nie tylko tym, co znaczy, ale tym, co jest poza jego desygnatem — we wnętrzu fizjologiczno-wzruszeniowym wypowiadającego. Wiedział o tym Mickiewicz, gdy mówił o „promieniach ducha pieśni", o tym, że „język kłamie głosowi", i Słowacki, gdy wykładał w *Beniowskim* o kolorze, woni, ruchu i bezwładzie słów, właściwościach uzależnionych od „zajrzenia w krainy ducha" wypowiadacza słów.

Oczywiście, w życiu codziennym te towarzyszące głównemu znaczeniu, jak zasadniczemu tonowi, jakby alikwoty składające się na barwę głosu mówiącego nie wyzwalają w pełni owego słowa wewnętrznego. Wyzwala je w pełni poezja — i to jest właśnie jednym z celów języka poetyckiego.

Otóż w poezji ważniejsze jest to słowo wewnętrzne od słowa-znaku. Ze znanej definicji P. Valéry'ego wnosili nawet niektórzy, że w poezji chodzi tylko o to słowo wewnętrzne, a nie o słowo słownikowe, słowo-pojęcie. * To słowo wewnętrzne, które bezpośrednio wyraża się przez krzyk, płacz, westchnienie, pieszczotę czy pocałunek. Sądzę jednak, że Valéry, poeta, w ogromnej większości swego dzieła retor i deklamator, a nie liryk, tym zgrabnym zdaniem nie określił niczego innego niż rzecz oczywistą, a mianowicie to, że liryka to słowa uczuć, a język potoczny nie jest mową uczuć, lecz systemem głosowych znaków pojęć. Z określenia poezji przez Valéry'ego wynika też powszechne dziś przekonanie, że poezją jest tylko liryka.

Kiedy więc chcemy określić rolę metafory, czyli szczególnego, niezwykłego związku słów, musimy pamiętać, że już pojedyncze słowo w poezji ma prócz sensu dosłownego, słownikowego, sens przenośny, a więc dwu- lub wieloznaczny. Że jest ono jakby tylko bramą otwierającą daleką perspektywę na pejzaż psychiczny poety.

VI

Nie każda metafora wielkiego poety jest najwyższej próby. Biorę pod rozwagę dwie metafory: Słowackiego „pióro z ognia" i Mickiewicza „suchy ocean". Z tych przykładów metafora-oksymoron Mickiewicza wydaje mi się przenośnią mniej wartościową. Co znaczy „pióro z ognia"?

Komentator słynnej strofy Słowackiego zapewne powie, że to poetycka definicja Boga i znaczy: Bóg jest natchnieniem, dumą, zapałem itp. ludzi dzielnych. Ale takie przetłumaczenie metafory na prozę nie jest jej zrozumieniem. Zro-

* „*La poésie est l'essai de représenter ou de restituer par les moyens du langage articulé les choses ou cette chose que tentent obscurément d'exprimer les cris, les larmes, les caresses, les baisers, les soupirs.*"

zumieć metaforę, to przyjąć jej ładunek obrazów, to przede wszystkim wprawić we wzruszenie wyobraźnię. Trzy mogą być wypadki reagowania naszej wyobraźni na metaforyczne zestawienie słów: 1) Albo obraz wywołany przez pierwsze słowo wiąże się z obrazem wywołanym przez drugi człon metafory i w naszej wyobraźni powstaje nowa jakość, coś, co nie jest ani jednym, ani drugim. Tak jest np. w wypadku metafory typu „powódź kwiatów". 2) Albo jeden obraz pożera drugi i ów „metaobraz", jakby powiedział Brzękowski, nie powstaje. Tak jest z metaforą „suchy ocean", która, zaskakując sprzecznym obrazem wyobraźnię, odwołuje się raczej do naszej zdolności dialektycznego pokonywania antynomii. 3) Albo — taka jest metafora Słowackiego „pióro z ognia" — żaden z obrazów ani się nie unicestwia, ani nie zespala raz na zawsze w trzeci nadobraz, ale między obu członami przenośni trwa ustawiczny ruch. Taki typ — najbardziej twórczej — metafory porusza wyobraźnię najżywiej, krążenie obrazów nie ustaje. „Pióro z ognia" nie da się sprowadzić ani do płonącego pióra, ani do płomienia w kształcie pióra, a przecież oba te obrazy, przekonując swoim nieoczekiwanym pokrewieństwem, uzależniają swoje istnienie od siebie; między nimi od jednego obrazu do drugiego i z powrotem płynie błyskawiczny prąd wprawiający je w ruch, łączący je i rozłączający i znów łączący. Poruszeniu zaskoczonej w tak twórczy i trwały sposób wyobraźni towarzyszy silna emocja. Emocja ta, będąc wysokim wzruszeniem estetycznym, jest też zawsze bliźnią siostrą namiętnego przekonania, jakie głosi poeta. Wystarczy przyjąć uważnym uchem i otwartą wyobraźnią strofę Słowackiego, aby nieomylnie stwierdzić, że zdanie w strofie, w którym poeta stworzył omawianą metaforę, stanowi najsilniejszy akcent retorycznego patosu, a dominantę tego zdania, a więc i strofy, a nawet całego *confiteor* poety — stanowi owo „pióro z ognia".*

Nie łatwo jest wyjaśnić, jaki to proces poznawczy sprawia, że twórcza metafora, jak owo genialne „pióro z ognia" Słowackiego, znaczy tak wiele i porusza moce umysłu i serca. Proces ten zdaje się nie uznawać prawa sprzeczności. Pióro jest zarazem ogniem, ogień — piórem, ale w tejże chwili pióro jest piórem, będąc ogniem itd. Niektórzy teoretycy poezji dla wyjaśnienia obrazu poetyckiego odwołują się do heglowskiej logiki dialektycznej, inni, nie znalazłszy w dialektyce heglowskiej wytłumaczenia, sięgają aż do filozofii przedsokratycznej, a nawet do doktryny sekty buddyjsko-chińskiej Zen.** Pominąwszy te antyeuropejskie i antylogiczne nowinki w teorii poezji, warto

* Wierzę, że nie jest on tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni on nie kiełza,
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków,
Często czyn wielki go ubłaga, nie łza
Próżna, wylana przed kościoła progiem —
Przed nim upadam na twarz — On jest Bogiem.

** Jak modna stała się wśród teoretyków nie tylko obrazu poetyckiego, ale i malarskiego ta doktryna — przykładem niech będzie wypowiedź w *Przeglądzie Kulturalnym* malarza włoskiego, E. Vedovy, wystawiającego u nas w ubiegłym roku w Zachęcie. Zdeklarował się on jako zwolennik tej doktryny. Głosi ona, jeśli idzie o malarstwo, że obraz jest poza obrazem... Jeśli chodzi o poezję, a raczej w ogóle o mowę, o możliwość istotnego porozumienia się człowieka z człowiekiem, Zen przeczy, jakoby słowo ułatwiało porozumienie; więcej: Zen uważa słowo za przeszkodę w komunii duchowej człowieka z człowiekiem....

wrócić uwagę na niezwykle ciekawą próbę stworzenia nowej logiki, głośną rzed kilku laty w Paryżu. Rumun Stefan Lupasco wydał tam w roku 1951 racę pt. *Le Principe d'antagonisme et la logique de l'énergie*. System logiczny upasco opiera się nie na zasadzie tożsamości i sprzeczności, ale na zasadzie, tórą nazwał sprzecznością dopełniającą *(le principe de contradiction complémentaire)*. Uznając terminy przeciwstawne podkreśla ich współzależność: jeden st funkcją drugiego. Twierdzenie i przeczenie występują równocześnie oraz funkcji dopełniającej swe przeciwieństwa. To jest tym nie dlatego, że nie jest mtym, ale jest tym właśnie w tej mierze, w jakiej nie jest tamtym. W świetle go systemu logicznego wytłumaczyć można niepojętą w dawnej logice sprzeność w obrazie metaforycznym, a więc to, iż pióro może być ogniem, mimo nie przestaje być piórem, ale właśnie o tyle jest piórem, o ile nie jest ogiem, i na odwrót.

W naszym wieku daleko odbiegliśmy od naiwnych sądów poczciwych pozywistów, którzy w obrazie poetyckim dopatrywali się reliktów myślenia człoeka pierwotnego lub jak niedawno Ortega'y Gasset, cytowany z aprobatą rzez Dąbrowską, który genezę metafory upatruje w tabu. Ba! Niektórzy teoetycy poezji, jak profesor uniwersytetu w Strasburgu, G. Gusdorf, odkrywają myśleniu metaforycznym instrument wyzwalający pełną treść tłumionego rzez niedialektyczną logikę poznania ludzkiego.

VII

Zła to metafora, której sens da się wyrazić inaczej niż metaforą, czyli: zła metafora, która da się opowiedzieć, której sens można wyczerpać innymi łowami. Tylko taka metafora ma rację istnienia, tylko taka jest konieczna, tóra wyraża akt poetycki nieprzetłumaczalny na język dosłownego opisu czy powiadania. Przykładem takiego pierwiastkowego i inaczej niewyrażalnego ktu poetyckiego jest cytowana metafora Słowackiego „pióro z ognia". Natoniast oksymoron „suchy ocean" nie ma równej metaforze Słowackiego siły brazorodnej. Tę przenośnię Mickiewicza zrodził popęd raczej zdobniczy, jakrawie wyraźny w czterowierszach sonetu *Stepy akermańskie*.

Maria Dąbrowska, jak prawie wszyscy nasi pisarze i krytycy, wkraczający a teren teorii krytyki literackiej, uważa obraz poetycki za rodzaj ozdoby, netaforę za figurę stylistyczną, bez której można się obejść, a jeśli się jej użyra, to należy to czynić z umiarem. Jest to mniemanie błędne. Metafory nie moża stawiać w jednym rzędzie z innymi tropami i figurami retoryki. Wiedział tym już Arystoteles, wyodrębniwszy przenośnię z innych środków poetyckich. Kwestia używania metafory z umiarem czy bez nie istnieje dla poety. eśli to, co domaga się w głowie (duszy, sercu) pisarza głosu, da się wyrazić łowami opisu i opowiadania bez konieczności uciekania się do metafory — nie st to głos poezji. Kto taką treść przerabia na metafory — nie jest poetą, lecz dobniczym wierszowanej prozy. Metafora istotna — to antyozdoba, to nie ztuczna błyskotka dla olśnienia na chwilę oczu i uszu słuchaczy, lecz konieczność. Powiedziałbym, gdybym się nie bał patosu, że w prawdziwej metaforze st coś z błysku jasnowidztwa czy bezbożnej epifanii. Jest więc, mówiąc mniej órnie, kiełkujące ziarno poezji. Źle, a nawet złośliwie zrozumiałby to moje

zdanie ktoś, kto by sprowadził prostacko twórczość poetycką do robienia metafor. Metafor robić nie można i nie o ich gęstość w poemacie chodzi. Chodzi o widzenie poetyckie, którego obrazowa natura, objawiając się w szczególe, rodzi metaforę. Poemat może nie zawierać ani jednej widocznej figury stylistycznej i ani jednej metafory, a mimo to być owocem widzenia, którego natura jest metaforyczna. Na przykład: *Polały się łzy...* Mickiewicza.

W szkicu pt. *Odpowiednie rzeczy słowo* (w tomie *Najmniej słów)* starałem się uświadomić piszącym wiersze moment, kiedy stają się poetami. Wyszedłem z cytaty z Norwida *, głoszącego jeden cel wspólny dla Poezji i Prozy: dobór właściwych słów, słów odpowiadających ściśle rzeczy, tj. temu, co poeta czy prozaik ma do powiedzenia. Rozwój poezji w ciągu ostatnich stu lat, a może tylko rozwój świadomości poetyckiej zaprzeczył tej dewizie Norwida. Dobierać słowa może tylko ten, kto darzy je pełnym zaufaniem i kto z góry wie, jaką jest ta „rzecz", którą chce słowami obdarzyć. Takim dobieraczem słów — jest prozaik. Doświadczenie prozaika jest doświadczeniem bystrego, bystrzejszego niż zwykły widz, obserwatora i krytyka. Doświadczenie, które domaga się wiersza, jest nagłym ujawnieniem zatajonych i nie dość jasnych wielu dawnych doświadczeń. Rzecz poetycka skupia się więc w myśli poety jako zarys obrazu. Poeta za każdym razem chce powiedzieć natychmiast Wszystko. (Dlatego to poezja oczyściła się z opisu i opowiadania, dlatego umarła epopeja wierszowana. Poezja stała się czystą liryką.) To więc, co poeta chce wyrazić, objawia się zawsze cząstkowo (właśnie dlatego, że poeta chce objąć Wszystko) i dopiero w trakcie pisania wiersza; staje się tym wtedy dopiero, gdy wiersz powstanie. Kto zadaje sobie „temat" wiersza, a więc kto z góry wie, co chce powiedzieć — myśli prozaicznie. We wspomnianym szkicu pisałem: „Wierszopis, który wciąż tylko dobiera słowa do rzeczy i któremu to dobieranie dla powiedzenia tego, co chce wyrazić, wystarcza — nie wie jeszcze, co to poezja. Dopiero od niedosytu słownego, od stwierdzenia niemożności wyrażenia przez dobór słów tego, co ma być wierszem — zaczyna się poezja". Kto do tego punktu w pisaniu wierszy nie doszedł — nie przekroczy nigdy granicy między prozą a poezją. Będzie do końca życia rymował prozę — wersyfikator, retor, deklamator, „pieśniarz", nie poeta.

Rzecz poetycka nie da się wyrazić przez dobór słów, nie mieści się w słowie, wykracza poza nie. Doświadczenie poetyckie jest objawieniem jakiegoś „podobieństwa w niepodobieństwie". Chwyta je w błyskawicznym i pełnym emocji olśnieniu — myśl poetycka: metafora.

Julian Przyboś

---

* Ponad wszystkie wasze uroki,
Ty Poezjo i Ty Wymowo —
Jeden zawsze będzie wysoki:
Odpowiednie dać rzeczy słowo.

Zbigniew Bieńkowski

MODELUNEK POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ

Nazwanie przez Sartre'a *Portretu nieznajomego (Le Portrait d'un inconnu)* Nathalie Sarraute antypowieścią nabrało przed trzema laty sensu ogólnego, stało się zwrotem obiegowym charakteryzującym nowe tendencje we francuskiej prozie. Określano później tym terminem inne powieści także, powieści Butora i Robbe-Grilleta, pragnąc zwrócić w ten sposób uwagę na ich charakter niekonformistyczny, opozycyjny wobec powieściowych reguł. Doprowadziło to w konsekwencji do stereotypowego, starego jak świat literatury pytania: co to w ogóle jest powieść? Zagadnienie to odwrócił i nadał mu właściwą wagę najznakomitszy współczesny francuski krytyk, raczej filozof literatury, Maurice Blanchot, przypominając, że kwalifikacją wszystkich „powieści wieku", a więc współczesnych powieści epokowych, jest wyjątkowość, skłócenie z rygorami gatunku. I *W poszukiwaniu straconego czasu*, i *Ulisses*, *Zamek* to są — pisał Blanchot — antypowieści. W tym sensie, że każda z nich jest wyjściem poza, na tereny nieuczęszczane, na dzikie pola psychologii i metafizyki. Bo każda z nich odbiega od uznanego modelu powieści, będąc odkryciem nowej formy, wynalazkiem kompozycji, stylu i techniki. Wypada więc i takie pytanie zadać: czymże jest powieść, jeśli najwybitniejsze powieści wieku są antypowieściami? A może antypowieść jest właśnie modelem powieści współczesnej?

Antypowieści przybywa. Całe drugie ćwierćwiecze literatury światowej znamionuje nonkonformizm przede wszystkim w dziedzinie powieści. Lista Blanchota stale się przedłuża. Na niej jest miejsce dla Dos Passosa, Faulknera, Brocha, Musila, żeby wymienić największych. Literatury anglosaskie i niemiecka występują z propozycjami nowego, które jest gwałtownym zaprzeczeniem wartości tradycyjnych. Bieżące dziesięciolecie wraz z awangardą francuską do zagadnienia antypowieści wniosło jeszcze element teoretyczny, który jak dotychczas był *stałą* ruchów nowatorskich w poezji, gdzie nowatorstwu tematowi towarzyszy niemal z urzędu nowy postulat formalny. Wygląda na to, że powieść XX wieku dojrzewa do pełnej świadomości siebie. Dopiero teraz, właśnie teraz antypowieść szuka dla siebie swoich własnych reguł, chcąc się określić pozytywnie, bezpośrednio, a nie poprzez opozycję do ideałów i wartości wieku minionego. A więc wiek XIX ma się nareszcie ku upadkowi. Ideały powieściowe tego wieku pozostaną nareszcie w sferach klasyki i nie

będą, jak to nam do wczoraj wmawiano, regulatorami dzisiejszego widzenia świata.

Ideały wieku XIX do wczoraj jeszcze rządziły w estetyce powieści. Wielkie dzieła współczesnego klasycyzmu, powieści Tomasza Manna i Roger Martin du Garda, będąc próbą kontynuacji czy też odbiciem wiecznego, pozaczasowego złotego wieku myśli i uczuć, utrudniały ten decydujący akt świadomości. Trudno się zdecydować — bo komuż nie zabraknie odwagi? — aby nawet w imię współczesności opowiedzieć się przeciw współczesnym arcydziełom. Będąc doskonałym wcieleniem ideałów psychologicznych i estetycznych wieku XIX, dzieła Manna i Martin du Garda opóźniały, a nawet opóźniają jeszcze dzisiaj określenie się wartości nowych, a co za tym idzie, pełną świadomość siebie powieści XX wieku.

Powtarzam za Maurice'em Blanchot: *W poszukiwaniu...*, *Ulisses*, *Zamek*, kontynuuję: *Der Tod des Virgil* Hermana Brocha, *The Sound and the Fury* Faulknera, *Der Mann ohne Eigenschaften* Musila, *Odmiany czasu* Butora... nie zamknę, a urwę tę listę antypowieści, czyli powieści zbuntowanych przeciwko prawidłom XIX wieku. Wiek XX określa się coraz wyraźniej, coraz precyzyjniej, coraz jaśniej. Na naszych oczach odbywa się jeden z największych przewrotów artystycznych. Odbywa się w sposób tak ciągły, ustawiczny, że nawet nie zdajemy sobie sprawy z jego skali i dopiero po latach oporu, nieprzygotowania — nagłe oślnienie Faulknerem, Brochem czy Butorem sygnalizuje o wtargnięciu w świat wartości nowych, odmiennych niż te, z którymi byliśmy zżyci, które naszą wrażliwość uformowały.

Trudność akceptacji rewolucji powieściowej jest jeszcze jedna. Wychowani na burzach formalnych w poezji (tyle ich dokonało się na przestrzeni jednego średniego żywota), nie godzimy się na pozornie powolny i pozornie łagodny rytm przeobrażeń powieści. Rozumiemy i akceptujemy bomby, ale nie — przecież nie mniej przeobrażające — ruchy sejsmiczne. A przecież powieść jest zbyt osadzona w wartościach pozaliterackich, zbyt jest zrośnięta z tym wszystkim, co nazywamy rzeczywistością, a więc zbyt jest obciążona funkcją interpretacji (historycznej, psychologicznej itd. itp.) świata, aby jedna rewolucja formalna mogła ją odnowić. Musi ich być wiele, muszą przybrać charakter żywiołu, aby ruszyć te masy życia, masy trwania i zepchnąć je z pozycji przyzwyczajenia. Każda z wymienionych wyżej wielkich współczesnych antypowieści odegrała rolę olbrzymią. Dokoła każdej z nich powstał zapalny ośrodek literatury, który trucizną nowości wytrawiał nawyki, gusta, przyzwyczajenia i zarażał buntem. Doszło do tego nawet, że powstał snobizm na nowość, z którego znakomicie żyli Gide i Huxley (tak jak w poezji na fali snobizmu nowatorskiego znakomicie pływa Cocteau). Rozcieńczając nowość na modę i smaczki może jednak i oni odegrali pewną pozytywną rolę: rolę amortyzatorów.

Definicja powieści jako (cytuję za Nathalie Sarraute) „historii zdarzeń, w której działają i żyją postacie", nigdy może nie była przedmiotem dociekliwszych analiz niż obecnie. Nowa francuska szkoła powieściowa tak na planie artystycznym, jak na planie teoretycznym usiłuje skonstruować model powieści XX wieku. A trzeba zdawać sobie sprawę, że to, co nazywamy awangardą francuską, jest pierwszym w historii powieści prądem artystycznym. Wszystkie dotychczasowe szkoły powieściowe, szkoły dziewiętnastowie-

żne realizujące programy psychologizmu, naturalizmu czy egzystencjalizmu narzucały z zewnątrz ramy, wzorce, postacie, a nawet sposoby ich ukazywania. Postacie powieści dziewiętnastowiecznej, powieści realistycznej, psychologicznej, socjopsychoanalitycznej, naturalistycznej czy egzystencjalistycznej są jak marionetki kierowane z zewnątrz. Różnice technik polegają głównie na tym, czyja ręka manewruje, ręka biologa, socjologa, psychologa, psychoanalityka czy socjopsychoanalityka. Od Flauberta poprzez Zolę do Sartre'a powieść niewiele drogi uszła. Bo powieść dziewiętnastowieczna bez względu na to, czy chce być lusterkiem obwożonym po gościńcach, czy socjopsychoanalityczną sondą, jest przede wszystkim interpretacją, odbiciem formuł. Mówiąc o dziewiętnastowiecznej powieści, mówię o jej modelu, tym modelu, którym nas do niedawna raczono, na który wskazywano jak na ideał nieprześcigniony. Nie mówię natomiast o arcydziełach XIX wieku. One, jak wszystkie arcydzieła, są nieprześcignione, bo są nieporównywalne. Arcydzieła rodzą się w ramach każdej konwencji, tak w bezmiarach wolności, jak w więzach ograniczenia. Nie wynoszę *Ulissesa* ponad *Wojnę i pokój*, a *Zgiełku furii* ponad *Braci Karamazow*. Ale wynoszę *Ulissesa* oraz *Zgiełk i furię* ponad *Czarodziejską górę*, ponad *Rodzinę Thibaultów* dlatego, że są arcydziełami zamętu i niepokoju, a nie ładu mojego czasu, a mój czas, jak każdy czas teraźniejszy, jest właśnie zamętem i niepokojem.

Już sam więc fakt wyłonienia się prądu artystycznego powieści od wewnątrz jest symptomatyczny. Wielkie dzieła prekursorskie, wielkie antypowieści owocują. Nic dziwnego, że samookreślając się powieść dzisiejsza obraca się wyłącznie w kręgu wartości opozycyjnych wobec XIX wieku. Antenatami powieści dzisiejszej są nie święci literatury, ale żywi i wciąż sporni Joyce, Faulkner, Kafka, Dos Passos, Broch. Ich dzieła właśnie podważyły wartości wieku minionego, parodiując jedne, kompromitując drugie, proponując nowe modele kompozycji, stylu i techniki.

Awangarda francuska nie jest prądem przypadkowym, to konsekwencja wierćwiecza powieści światowej. Nie jest także przypadkiem, że właśnie Francja wyciąga te konsekwencje. Chodzi przecież o konsekwencje formalne, a cała francuska sztuka, jeśliby szukać definicji upraszczającej, jest przede wszystkim świadomością formy. We francuskim malarstwie, we francuskiej muzyce, we francuskiej poezji forma jest pierwszą narzucającą się oczywistością, ona filtruje doznania i przeżycia świata, ona przeobraża do niepoznania rudę rzeczywistości. Oczywiście w każdej sztuce forma tę funkcję spełnia, ale w sztuce francuskiej przeżyciem artystycznym jest już samo jej funkcjonowanie. To rzecz prosta tylko marginesowo, to jest zagadnienie olbrzymie, może nawet nie do udźwignięcia. Chodzi mi o to tylko, że literatura francuska jest uwrażliwiona bardziej niż którakolwiek literatura na przeobrażenia formalne gatunków, a tym samym bardziej niż którakolwiek inna literatura jest predysponowana do dokonania tego aktu świadomości, na który powieść XX wieku czeka. Zresztą Francja właśnie zawsze pierwsza dostrzegała wszystkie odkrycia, wybuchy i ruchy sejsmiczne w powieści światowej i pierwsza zdawała o tym sprawę światu. Joyce, Kafka, Faulkner (nie mówię o Prouście, bo to naturalne), Musil przez Francję dopiero do świata dotarli. Dzisiejszy rozgłos wokół Kafki promieniujący z Niemiec jest już tylko rezonansem rozgłosu, który po raz pierwszy przed dwudziestu pięciu laty, a po raz drugi

przed dwunastu-trzynastu laty wybuchnął we Francji wokół autora *Procesu*. Nazajutrz po zakończeniu ostatniej wojny słynna ankieta *Czy spalić Kafkę?* była próbą dotarcia do prawdy tego pisarza. To przecież Francja pokazała Ameryce Faulknera. Warto przypomnieć, że słynne zdanie Malraux: *tragedia grecka wtargnęła do romansu kryminalnego* (z przedmowy do francuskiego wydania *Azylu)* liczy sobie już 25 lat!

Awangarda francuska obchodzi mnie tutaj nie jako cykl znakomitych antypowieści, z których przynajmniej jedna jest z całą pewnością odkryciem na miarę Prousta czy Joyce'a. Obchodzi mnie ta awangarda przede wszystkim jako prąd artystyczny będący konsekwencją wynalazków dokonanych w światowej powieści. Chociaż najwybitniejsi pisarze francuskiego — jak to nazwano nieściśle — neorealizmu, Butor, Robbe-Grillet, Natahalie Sarraute, bronią się przed terminem awangardy, wskazując na istniejące między nimi różnice i sprzeczności, awangardą są. Wnoszą bowiem do procesu samookreślenia się powieści XX wieku ferment teoretyczno-programowy, jakiego ten gatunek literatury nie zna chyba... od nigdy. Stendhal teoretyzował o sztuce, teoretyzował Wiktor Hugo, teoretyzował Flaubert w korespondencji, teoretyzowali inni, ale to były wymarsze w inne światy, w filozofię, w filozofię malarstwa, w filozofię muzyki. Powieściopisarze teoretyzując szukali dla swojej powieściowej wizji podpory teoretycznej gdzie indziej (Zola w teorii dziedziczności np.). Ale powieściopisarze niemal z reguły unikali teorii swojego gatunku, stronili od formalnych bojów, chowając się za tworzywo jak za barykadę, aby czekać lub narzekać na krytyków. Teoretyzowanie jest natomiast przywilejem poetów. Wszystko, co powiedziano o sztuce, formie, zawdzięczamy poetom. I właśnie po raz pierwszy awangarda francuska przełamała milczenie powieściopisarzy. I to jak przełamała! Autorzy znakomitych powieści są autorami znakomitych szkiców krytyczno-filozoficznych. Bez szkiców Nathalie Sarraute jakżeż byłaby uboga współczesna filozofia literatury. Szkice Robbe-Grillet'a wytyczyły naprawdę nową drogę powieści. Szkic Butora o Joyce'ie jest znakomitą egzegezą formalną jego dzieła. Dość powiedzieć, że szkice teoretyczne współczesnych powieściopisarzy są nasycone widzeniem formy, ścisłe, odkrywcze i mało ustępują szkicom poetów, takiego Eliota, takiego Przybosia np. Sam ten fakt już jest symptomatyczny. Powieść XX wieku dojrzała już więc do pełnej świadomości siebie. Do świadomości własnej formy, bo to jest dojrzałością w sztuce.

Cóż więc ten prąd awangardowy niesie? Jakie znaki szczególne modelu powieści XX wieku ukazuje? Analiza dzieł i programów francuskich awangardzistów może mieć wartość ogólną. Nie wszystkie dzieła i nie wszystkie teoretyczne sformułowania do uogólnienia się nadają. *Odmiany czasu* Butora np. są dziełem zbyt wybitnym a więc zbyt jednostronnym, zbyt oryginalnym, ażeby szukać w nim wartości syntetycznych. Ale już Robbe-Grillet, a także Nathalie Sarraute proponują więcej, niż są sami w stanie artystycznie wyrazić. Ich postulaty formalne, chociaż wynikają z własnej ich twórczości, mają charakter programu ogólnego, znakują tendencje całego prądu.

Odkryciem *sous-conversation* (*przed*-mowy) Nathalie Sarraute wskazuje na te strony w człowieku, które jeszcze do świadomości nie dotarły, a więc nie wyraziły się słowem. (Pisałem o tym dokładniej w szkicu *Jaskółka egzystencjalizmu.)* Tam dotrzeć, tam, tzn. przed psychologię, przed próg powieści do-

ychczasowej, która zaczynała się od aktu świadomości. *Przed*-mowie odpowiadałaby *przed*-powieść. Alain Robbe-Grillet ze swoją koncepcją rzeczy obsowujących człowieka, uświadamiających go o nim, także schodzi na przedproże powieści tradycyjnej, proponując powieści XX wieku tereny dziewicze, pietknięte, własne tereny *przed*-powieściowe.

Tutaj właśnie znajduje się pole eksperymentalne. Rezygnując z anegdoty, ciągu zdarzeń, z rygorów chronologii, nowa powieść chce się rozgrywać na apie *przed*-świadomości, zanim bohater posiadł wiedzę o sobie i o świecie, więc wtedy, kiedy jeszcze pełnego człowieka nie ma, kiedy dopiero formuje ię plazma uczuć, żywa już, żywotna, rozradzająca się, ale będąca w stanie morfii, nieświadomości siebie.

Awangardziści francuscy wyciągają w ten sposób konsekwencje z jednej trony z Joyce'a i Faulknera, a z drugiej — z rozwoju sztuki filmowej, która kroczyła na tradycyjne tereny powieści i znakomitymi środkami technicznymi, przewyższającymi możliwości pisarza, opowiada „historię zdarzeń, której działają i żyją postacie". Po cóż dublować, bawić się w prymitywizm zy dla samej szlachetności rzemiosła protestować przeciwko produkcji fabrycznej? A przecież są w człowieku tereny, gdzie nikt prócz pisarza nie doze. Wskazują na nie Nathalie Sarraute i Robbe-Grillet. Czy to będzie państwo *przed*-świadomości, czy królestwo rzeczy, wspólne im jest jedno: znajdują się na przedprożu powieści tradycyjnej. Tutaj rozgrywa się nie akcja, bo akcja nie jest istotna, ale proces powstawania postaci, proces formowania się jej świadomości. Z chwilą kiedy postać jest uformowana, kiedy zdobyła świadomość siebie, swojego losu, swojego miejsca w świecie i mogłaby wziąć udział „w historii zdarzeń", powieść się kończy. W tym miejscu, gdzie powinna by się zacząć powieść dawnego modelu. Nowy model powieści przez antynomię do starego byłby *historią procesu świadomości formującego postacie.*

Próbą ogniową każdej propozycji formalnej jest realizacja artystyczna, i to nie realizacja próbna, laboratoryjna, w pomniejszeniu, ale pełna, w skali żywiołu. Dlatego tak ważną dla modelunku powieści XX wieku dokonywanego przez francuską awangardę jest twórczość Jeana Cayrola. Jean Cayrol bowiem powieść jako historię procesu świadomości formującego postacie realizuje w skali naturalnej, jeden do jednego. Tworzywem, które modeluje, jest to, co nazywamy zwyczajną rzeczywistością, nie unika rudymentów życia, nie wyabstrahowuje postaci ze środowiska, historii, obyczajowości. Kiedy Robbe-Grillet, a jeszcze bardziej Nathalie Sarraute, zawęża pole widzenia do rzeczy czy odruchów niezbędnych, nie dając nic tylko kostiumu, ale nawet twarzy formujących się postaci, i rzuca reflektor to na oczy, to na usta, to na ręce, pozostawiając resztę w ciemnościach, Jean Cayrol zachowuje się — pozornie — jak pisarz starej daty, bawiąc się nawet ubocznymi szczegółikami, pozwalając sobie na wtręty i dygresje. Cayrol jest w technice przeciwieństwem ascetycznego funkcjonalizmu, pisze pięknymi, często za pięknymi zdaniami, kocha się w znakomitych ripostach i żadna z ukazanych postaci nie ma tego, co się nazywa *esprit d'escalier,* zawsze znajdując słówko odpowiednie, za bardzo odpowiednie, jak w teatralnej sztuce. Ma więc Cayrol pozory kaligrafa stylistycznego, to od niego w pierwszej fazie kontaktu z jego dziełem odstręcza. Z Cayrolem jest tak, jak to bywa zazwyczaj z pisarzami, którzy do powieści przyszli od poezji. Uprawa poezji wyrabia bowiem kult

słowa, każde musi być celne, nieomylne, niezastąpione. W powieści jest to rażące, tam nie można każdego słowa czcić jak bóstwa, muszą być także słowa-kopciuchy, słowa-niezdary, słowa-pokraki. W powieści poetycki kult słowa będzie przesadną stylizacją i nazwanie powieściopisarza znakomitym stylistą jest pochwałą-wykrętem, jest to bowiem zarzut pozy i martwoty. Otóż na powieściopisarstwie Cayrola zaciążyła jego poetycka przeszłość. Kiedy jako autor kilku cenionych tomików poezji Jean Cayrol zadebiutował trylogią *Je vivrai l'amour des autres* (nagroda Renaudot 1947 za pierwsze 2 tomy), dostrzeżono przede wszystkim poetyckość, „atmosferyczność" jego powieści. Zresztą na tle kontrastowym, na tle rozchełstania egzystencjalistycznego było to wyróżnienie in plus. Dostrzeżono jednak w Cayrolu nie to, co stanowiło o istocie jego pisarstwa. Z upływem czasu, z nabywaniem doświadczenia powieściopisarskiego, z każdą nową książką poetyckość i atmosferyczność zanikają. Zostaje wciąż, do dzisiaj ów przesadny kult słowa odbijający się w pięknostkach powiedzeń, w teatralności dialogów, to już jest skaza nie do usunięcia chyba i ta skaza obniża rangę pisarską Cayrola przynajmniej o jeden szczebel.

Bez względu jednak na te czy inne zastrzeżenia twórczość Cayrola ma wielkie znaczenie dla modelunku powieści XX wieku. Już pierwsza jego powieść, trylogia *Je vivrai l'amour des autres,* wniosła wartości nowe (przyćmione poetyckością), które czas uwyraźnił jeszcze. Szczególniej powieści Becketta *(Molloy, Malone meurt, L'Innomable),* późniejsze od trylogii od czterech do sześciu lat, zwróciły uwagę na odkrywczość i prekursorstwo Cayrola. Cayrol przed Beckettem i na materiale trudniejszym, niewyselekcjonowanym, rudymentarnym pokazuje proces wyłaniania się z chaosu psychicznego postaci, jej świata, a więc proces formowania się świadomości. Monolog Cayrola i monolog Becketta, mimo podobieństwa funkcjonalnego, to dwie odrębne strony literatury, dwie różne obsesje. Cayrol lotny, aż zalotny, przepoetyzowany, Beckett nużący, jednostajny, gęsty jak nurt ciężkiej wody. Ale obaj różnymi technikami, z różnych stron drążą ten sam, ukazany przez Nathalie Sarraute i Robbe-Grilleta teren przedproża tradycyjnej powieści, gdzie dopiero postać wyłania się z nicości. Trylogia Cayrola ma dla modelunku powieści współczesnej znaczenie nie mniejsze od patentowanej awangardowości utworów Becketta.

W następnych swoich powieściach Cayrol zastosuje jeszcze bardziej rudymentarne tworzywo. Nie lęka się motywów ograny ch, wątków zdartych do niemożliwości, takich jak kryzys i rozbicie małżeństwa, konflikt miłosny. Wciąga te rzeczy na swój stół operacyjny w otoczce środowiska, obyczajowości z całą rekwizytornią mieszczaństwa. Dzięki zróżnicowaniu technicznemu (odejście od pedanterii monologu, równoczesne operowanie pierwszą i trzecią osobą) gubi nawet zewnętrzne oznaki eksperymentatorstwa. Jest, zdawałoby się, pisarzem starej daty. Pozornie. Właśnie w tych utworach odbywa się w sposób precyzyjny modelunek nowego typu powieści. Te utwory to: *L'espace d'une nuit* — 1954, *Le Déménagement* — 1956 i *La Gaffe* — 1957. (Do pełnej znajomości Cayrola brak mi lektury dwóch jego powieści, *La Noire* — 1949 i *Le Vent de la Mémoire* — 1952, które jednak — sądzę z pomijania ich przez krytykę — nie wniosły do jego dzieła nowych akcentów).

W każdej z tych powieści realizowany jest ten sam program: wyłanianie

ię świadomości. Jeśli powieść tradycyjna stwarza postacie, rozbudowuje ich psychiki, charaktery, wypróbowując je w akcji, w życiu, ćwicząc je zdarzeniami, losem, u Cayrola coś wręcz odwrotnego. Postacie nie powstają, ażeby działać, mierzyć się ze światem, wypróbowywać swoje siły. Nie. U Cayrola zdobywają świadomość siebie. Kulminacyjnym punktem jego powieści jest akt świadomości wyzwalającej bohatera z niewiedzy o sobie samym. I ten akt świadomości, który w tradycyjnej powieści jest początkiem, progiem, a więc narodzinami bohatera dla oczekującej go akcji, tutaj jest końcem wszystkiego, śmiercią, poza którą — w tym wieku odartym ze złudzeń — powieść nie sięga.

L'Espace d'une nuit, najbliższa atmosferą trylogii *Je vivrai l'amour des autres*, jest może najbardziej plastycznym modelem tej koncepcji. Jedna długa, niekończąca się deszczowa noc, przez którą jak przez alegorię ciemności wędruje bohater, trzydziestoletni François. Jakaś przemożna siła wygnała go z Paryża, oderwała od ukochanej, od obowiązków. Musi zobaczyć się z ojcem, musi zlikwidować nierozwiązany kompleks dzieciństwa, jakieś rozdarcie uczuciowe, za które wini siebie, ojca, matkę, nie wie? Bez tej likwidacji nie może żyć życiem pełnym, jakby był w więzach. Od stacji kolejowej idzie, raczej wędruje, gubiąc drogę, kierunek, wstępując do przygodnych domów, wdzierając się w cudze konflikty, w cudze rozdarcia, w cudze nieświadomości. Aż wreszcie, zmordowany gorączką, trawiony wizjami, dochodzi do nieznanego domu, gdzie na opuszczonym łożu leży niepotrzebny nikomu, nie opłakany jedną łzą umarły człowiek. Przy tym łożu umarłego François do świtu przeżywa błyskawicznie jego minione namiętności, nieprawości, krzywdy, wszystko to plącze się w koszmar jakiegoś dzieciństwa, o którym nie wie, jego czyło, nie jego? Świt przynosi rozwiązanie: umarłym jest jego ojciec. Ale François wiedział już wszystko, zdobył świadomość siebie, rozdarcia, kompleksy zostały zlikwidowane. Jeden François umarł. Narodził się drugi. Może rozpocząć życie nowe, wolne, własne. I tu właśnie jest próg powieści. Cayrol przez ten próg już swego bohatera nie przeprowadza.

La Gaffe to opowieść o zagubieniu uczuciowym młodego człowieka, studenta medycyny, Jeana. Na dzień, dwa wyrwał się z Paryża, uciekł od egzaminów, a przede wszystkim od Sergine. W nadmorskiej miejscowości Saint-Pierre szuka, nie wie, czego szuka, wytchnienia, rozrywki, przygody, miłości, siebie? Szuka tego siebie, który by go wreszcie wywiódł z rozterek, niewiedzy, niejasności losu. Jak François przez długą noc wspomnień, tak Jean przez amorficzną przestrzeń nadmorską wędruje do nowego życia. Spotyka kolegę Féliciena, poznaje Christiane. Félicien rozdrapuje przeszłość, we mgle majaków, wspomnień jawi się Sergine. Jean, aby tę zjawę usunąć, nie zdając sobie sprawy z własnych intencji, rzuca się w sprzeczce na Féliciena, strąca go na skały, popełnia niby-morderstwo, niby dla świata (bo Félicien żyje), ale rzeczywiste we własnych intencjach. Wreszcie budzące się uczucie do Christiane wprowadza światło do ciemności. Jean pojmuje swoją intencję, obsesyjna wizja Sergine rozwiewa się, Jean wie, czego chce, wie, czego ma chcieć. Ale Cayrol przez ten próg swego bohatera już nie przeprowadza.

Le Déménagement to najwybitniejsze i jedno z najbardziej przekonywających do modelu powieści współczesnej dzieło Cayrola. Cate i Pierre wyprowadzają się z obszernego, za drogiego na ich obecne możliwości apartamentu. Od

dziesięciu lat, od ślubu mieszkali w nim z rodzicami Cate. Po śmierci rodziców zdecydowali się na przeprowadzkę. Ostatnie żale, sentymentalne wspomnienia, i wreszcie naglona przez Pierre'a Cate opuszcza stare kąty. Meble zabrało już towarzystwo przewozowe. Biorą ze sobą dwie walizki ze srebrem i biżuterią i idą do hotelu na noc, dwie, aż nowe mieszkanie będzie urządzone. Między małżonkami drobne nieporozumienia, sygnały głębszych rozdźwięków. W hotelu pierwszy akt dramatu. Pierre otworzywszy walizki stwierdza brak sreber i biżuterii, są tylko puste pudła i szkatułki. Tutaj rozpoczyna się jeden z najciekawszych w nowoczesnej powieści procesów świadomości. Cate wszystkimi środkami psychologii walczy o siebie, o swój obraz. Nie tylko o swój obraz w oczach Pierre'a, w oczach siostry Camille, którą wyparła przed laty z serca rodziców, szwagra, nie tylko w oczach świata. Walczy przede wszystkim o swój obraz we własnych oczach. Chce być taką, jaką siebie uformowała we własnej wyobraźni, chce być taką, jaką siebie zna, inną być nie może. A więc wie o sobie, że jest dobra, prawdomówna, ofiarna, skrzywdzona. To ona sprzedała sztuka po sztuce srebra i biżuterię po to, aby ratować przed światem dobre imię brata szantażysty, o którego istnieniu Pierre w ogóle nie wiedział. Ona dobra, prawdomówna, ofiarna, a oczerniana jest przez siostrę, Camille, pomawiana o intrygi, o wydziedziczenie. Proces postępuje. Pierwszym etapem jest odejście Pierre'a, drugim spotkanie z siostrą, spotkanie burzliwe z biedną, zapracowaną Camille, matką dwojga dzieci. W świadomości Cate występują pierwsze rysy. Opuszczona, dlaczego opuszczona? Pogardzana, dlaczego pogardzana? Cate się broni. Ona jest dobra, prawdomówna, ofiarna, skrzywdzona. Ona musi pokazać, ona pokaże, że jest taka. Ona jest tylko taka. Synowi ubogiej krawcowej, z niegdysiejszych czasów rodzinnej zamożności podopiecznej matki, dryblasowi, oszustowi, który się znalazł w opałach i ma policję na karku, daje za nic, z dobroci, z potrzeby serca dwa ostatnie klejnociki. Daje, bo jest dobra, ofiarna, bezinteresowna. Bo taką jest właśnie, a nie taką, jaką ją widzą Pierre i Camille. Cate broni się przed samą sobą, innej siebie znać nie chce, tylko taką chce być. Ale proces postępuje. Z dryblasem jadą do lichwiarza grosisty (który, jak się okazuje, skupował przez pośrednika jej biżuterię) i ten przypadkowo, już po transakcji, rzuca od niechcenia słowa wyroku: „A zna pani prawdziwy powód swoich handelków? — Mój brat... — To ja wiem, to pani opowiadała w sklepiku z biżuterią... Ale pani sprzedawała po to, aby nie uchodzić za biedną. To się nazywa styl życia, co?". Od tego wyroku nie było ratunku. A więc nie była prawa, ofiarna, prawdomówna, skrzywdzona? Więc brat nie był szantażystą, a siostra oszustką? Cate już się nie broni, nie ma argumentów, zapada się w sobie, ginie. Znakomite są te partie powieści, które ukazują agonię myśli, uczuć, odruchów. Cate nagle straciła rację życia. Tutaj poznanie się, zdobycie świadomości siebie jest tragedią. A więc jest taką, jaką być nie chciała, jaką wygnała z myśli, z pamięci, zewsząd. Gdyby demaskacja odbyła się tylko w oczach innych, Cate mogłaby się jeszcze bronić, ale zdemaskowania się we własnej świadomości przeżyć nie można.

Le Déménagement Cayrola jest przekonywającym argumentem o zastosowalności nowego modelu powieści na różnych stopniach nasycenia rzeczywistością. Model powieści XX wieku wypracowany przez Nathalie Sarraute i Robbe-Grilleta w tworzywie eksperymentalnym, zrekonstruowany przez

Becketta w całkiem odmiennym materiale, w twórczości Cayrola — mówiąc językiem techniki — zdał próbę wytrzymałości. Model jest zastosowalny. Powieść XX wieku może już więc być produkowana seryjnie, tak jak powieści minionego stulecia. Jednostajność nie grozi zresztą, modeli jest kilka. Tyle przynajmniej, ile typów antypowieści powstało.

Zbigniew Bieńkowski

Jerzy Kwiatkowski

WILDE, GŁOSKI, SCHOPENHAUER

O „OKTOSTYCHACH" JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA [1]

1

Na tle panujących do roku 1919 obyczajów poezji polskiej estetyzm *Oktostychów* jest zjawiskiem zdumiewającym. Bądź co bądź tom ten został napisany w latach 1917, 1918 na Ukrainie...

„A jednak ta wiosna roku 1917, ciepły kwiecień ukraiński, kiedy codziennie powstawał jeden »oktostych«, pozostanie dla mnie niezapomnianym czasem. Nie ze względu na rozgrywające się wokół mnie wypadki polityczne"... [2] — pisał poeta po latach [3]. Jedynym bezpośrednim świadectwem, że rzeczywistość historyczna dotarła w ogóle do świadomości autora *Oktostychów*, jest wiersz *Artyleria* — malarsko-ekspresjonistyczny [4] obraz nieba, poetycka wizja, dla której powstania obserwacja działań wojennych stanowi jedynie pierwszy bodziec, niewiele znaczący pretekst. Przypomina się sonet Teofila Gautier:

Sans prendre garde à l'ouragan
Qui fouettait mes vitres fermées
Moi, j'ai fait Emaux et Camées [5]

Przypomina się nie tylko dlatego, że Iwaszkiewicz, jak sam wyznaje, był ówcześnie pod wrażeniem tego wiersza. Nazwisko Gautiera sygnalizuje bowiem centralną problematykę estetyczną wczesnej liryki Iwaszkiewicza.

Gdyż, jeśli estetyzm *Oktostychów* zadziwia ze względu na czas, w którym te wiersze powstawały — jest to w końcu dla historyka literatury sprawa drugorzędna. Istota zagadnienia leży gdzie indziej: w nowatorskim na gruncie polskiej poezji charakterze tej odmiany estetyzmu, którą *Oktostychy* reprezentują.

Aby nowatorstwo to wykazać i wydobyć właściwe tradycje wczesnej liryki Iwaszkiewicza — w pierwszym rzędzie należy określić stosunek tej liryki do kanonów estetycznych Młodej Polski, epoki literackiej, z którą krytyka nadzwyczaj chętnie wiąże nazwisko autora *Oktostychów*. Nie bez pewnej słuszności zresztą. Zwłaszcza — dziś już nieczytelne — *Piosenki*, zamieszczone między właściwymi oktostychami, także sporo utworów z *Księgi nocy* — nasuwają argumentację przemawiającą za określeniem Iwaszkiewicza nazwą kontynuatora modernizmu. Dopomaga tu i pewna tradycyjność jego poetyckiej uczucio-

wości: aż Kraszewskiego przypominający antyurbanizm, nadmierne eksponowanie nocy jako nastrojowego tematu.

Lecz dominanty estetyczne, zasady poetyckie są tu inne.

Dotyczy to przede wszystkim Młodej Polski niejako ortodoksyjnej. To znaczy — centralnego nurtu tej poezji, to znaczy — postawy estetycznej, którą mniejszym czy większym przybliżeniem można określić słowami *Confiteor* Stanisława Przybyszewskiego.

I tu bowiem występuje — w niemal dosłownym sformułowaniu — Gautiewskie hasło „sztuka dla sztuki". Przybyszewski pisał przecież: „Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie". Tak. Lecz po słowach tych nie pożył kropki. Dalsza część zdania brzmi: „jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu duszy".

I z tej to drugiej połówki centralnego zdania *Confiteor* wywodzi się cała odpowiedź na postawione tu pytanie. Odpowiedź dająca się sprawdzić na ogromnej większości tych tekstów młodopolskich, w związku z którymi można mówić w ogóle o estetyzmie. Odpowiedź ta brzmi: Młoda Polska ortodoksyjna hasła „sztuka dla sztuki" nie traktuje serio, czyni zeń pozór dla swych idealistyczno-ekspresjonistycznych założeń. Iwaszkiewicz zaś poza to hasło nie wychodzi — naprawdę. Estetyzm młodopolski można nazwać metafizycznym. Estetyzm młodego Iwaszkiewicza — po prostu — estetycznym. Różnicę tę znakomicie oddaje oktostych *Włóczęga:*

Pójdę przez odmłodzone po łąkach badyle,
Obłędnie wirująca, niebieska kometa,

Jak łowca, co w lwie sieci ułowi motyle,
Miast wielkiej tajemnicy posiadłszy — sekreta.

*

Pozostaje jednak czysto nastrojowa odmiana modernizmu: w przeciwstawieniu do estetyzmu ekspresjonistycznego — estetyzm impresjonistyczny. I niewątpliwie: jeśli twórczość Iwaszkiewicza można w ogóle z poezją Młodej Polski powiązać — to właśnie z tym jej nurtem. Patronuje mu Miriam, nie tyle jako poeta — zbyt mierny, by komukolwiek mógł patronować — ile jako teoretyk. Poetami najbliższymi Iwaszkiewiczowi są tu natomiast obydwaj bracia Brzozowscy. Zwłaszcza *Powinowactwo cieni i kwiatów o zmierzchu,* francuski wiersz Wincentego Brzozowskiego przetłumaczony przez jego brata — wydaje się zapowiedzią wczesnej poezji Iwaszkiewicza.

A jednak i ci — nieliczni — młodopolscy prekursorzy tej poezji różnią się od niej w sposób zasadniczy. U podstaw liryki autora *Oktostychów* leży bowiem nadzwyczaj silna i wysubtelniona wrażliwość zmysłowa, nadająca jego wierszom wyjątkową konkretność. Konkretność z gruntu obcą młodopolskiej poezji [6].

Ale wczesną twórczość Iwaszkiewicza łączono dotychczas przede wszystkim tą odmianą modernizmu, która już właściwie modernizmem nie była. Mianowicie: z zamykającym się w latach 1908—1918 klasycystycznym okresem poetów Młodej Polski, z okresem, w którym na czoło poezji wysuwa się spo-

kojna, przedmiotowa, klasycyzująca liryka Leopolda Staffa. Zapewne, zarówno skłonność do konkretu, do obrazu plastycznego, jak tendencje stylizatorskie (charakterystyczne np. dla twórczości Ludwika Marii Staffa) — pozwalają krytykowi na pewne zbliżenie do siebie obydwu typów poezji. Znacznie jednak wyraźniejsze od podobieństw są tu różnice.

I tak — jakkolwiek poetyka klasycystów wywodzi się z poetyki parnasistowskiej — u twórców grupujących się wokół *Museionu* niewiele już pozostało z programu wyrażającego się hasłem „sztuka dla sztuki". Jak każdy klasycyzm, kierunek ten powoływał się na humanistyczne ideały antyku — równie obce młodemu Iwaszkiewiczowi, jak starożytna, skonwencjonalizowana sceneria, powaga nastroju czy dążność do klasycznej prostoty, charakteryzujące museionistów.

W tej sytuacji środowiskiem najbliższym twórcy *Oktostychów*, jego bezpośrednimi poprzednikami — okazują się poeci nie polscy, lecz rosyjscy: akmeiści.

*

I nic dziwnego. Nie można bowiem zapominać o tym, że *Oktostychy* powstały w kręgu społeczno-kulturowym wprawdzie rdzennie polskim, w kręgu jednak zachowującym znaczną autonomię w stosunku do środowisk centralnej Polski, silnie zaś powiązanym z podobnymi kręgami ziemiańsko-artystycznymi — rosyjskimi. Stąd — wywodzący swe tradycje od czasów Zawodzińskiego — zwyczaj umiejscowiania debiutu Iwaszkiewicza raczej na tle poezji rosyjskiej niż polskiej znajduje swe pełne uzasadnienie w faktach.

Przybywający do Warszawy w roku 1918 Iwaszkiewicz mógł tu wydać się poetą egzotycznym. Nie był do nikogo podobny. A w Rosji?

„Kojarzył zamiłowanie do subtelnej kultury zachodnio-europejskiej, przede wszystkim francuskiej w. XVIII, tak olśniewająco erotycznej, z uwielbieniem bizantyjsko-rosyjskich nastrojów religijnych (...) Odczuwał po mistrzowsku muzyczną stronę mowy wierszowanej (...) Przeżycia te pozostawały zawsze lekkie i pobieżne, jak gdyby życie było włoską komedią improwizacji, upiększoną miłością do ukochanego człowieka (...) Uwielbiał muzykę Debussy'ego."

Nie, Sergiusz Kułakowski nie pisze tu o Iwaszkiewiczu, autorze rokokowo pięknych *Oktostychów*, zaczarowanym Ukrainą Europejczyku, twórcy wiersza *Słota*, stanowiącego impresję na temat *Les jardins sous la pluie* Debussy'ego. Słowa te, wyjęte z rozdziału *Pięćdziesięciu lat literatury rosyjskiej*, zatytułowanego *Koniec symbolizmu i akmeizm*[7], odnoszą się do Michała Kuzmina.

Nie trudno odnaleźć także podobieństwa między wczesną poezją Iwaszkiewicza (np. poprzedzającym chronologicznie *Oktostychy* cyklem *L'amour cosaque)* a wierszami akmeisty Osipa Mandelsztama. Ta sama i tu, i tam atmosfera poetycka: konkret, uczulenie wrażliwości zmysłowej, tematyka ziemiańskiego środowiska, uczuciowa dominanta rezygnacyjna. Oto fragment *Tristiów* Mandelsztama:

> Pozłocistą się strugą miód płynny z butelki przesączał
> Tak ciągliwie i długo, aż pani powiedzieć zdążyła:
> „Tu, w tej smutnej Taurydzie, gdzie losy zagnały nas w końcu,
> Nie tęsknimy zupełnie" — i oczy ku polom zwróciła.

(. . . . . .)

Po herbacie wyszliśmy do brązem lśniącego się sadu,
Niby rzęsy, na oknach zwisają wieczorne zasłony,
Pośród bieli kolumnad patrzyliśmy w gąszcz winogradu,
Kędy w szkliwie powietrza nurzają się senne gór skłony.[8]

Szczegółowych podobieństw można ukazać więcej: począwszy od takich spraw, k rezygnacyjna postawa poezji Innocentego Annienskiego, skończywszy na kich, jak ośmiowersetowa budowa wierszy składających się na *Cwietuszczyj sosoch* — tom wierszy Sergiusza Gorodeckiego, wydany w roku 1914.

Ważniejsze są jednak zjawiska natury ogólniejszej. Tu wymienić należy: szechstronnie kulturowy, nie ograniczający się jedynie do antyku charakter ezji akmeistów; ich powoływanie się na Teofila Gautier jako na patrona kie- nku; zgodny jak najbardziej z tym patronatem ich malarski stosunek do zedmiotu; konkretność poetyckiego widzenia, stawiającą akmeizm w opozycji obec poezji symbolistów.

A jednak, podobnie jak poetów *Museionu*, i akmeistów różni od młodego aszkiewicza ich światopogląd poetycki. Są przecież głosicielami radości życia, nazwa, którą przybrali, wywodzi się od greckiego słowa *„akme"*, oznaczają- go „szczyt", „rozkwit" — w pojęciu najwyższego rozwoju duchowych i fi- ycznych sił człowieka.

I tak: również i w tej — najbliższej Iwaszkiewiczowi — grupie poetów ideały stetyzacyjne traktowane są w sposób daleki od wyłączności, jaka cechuje twór- ę *Oktostychów*.

*

W rezultacie więc, by odnaleźć estetyzm podobnie jak w *Oktostychach* kon- kwentny, by odnaleźć najbardziej autentycznych protoplastów tego tomu — ofnąć się trzeba w wiek XIX: do właściwych twórców i teoretyków hasła sztuka dla sztuki".

Wbrew przypuszczeniom — mniej istotne okazują się tu związki z Teofilem autier. Oczywiście, kto w latach 1917—1918 realizował to hasło — temu naz- isko jego twórcy musiało być bliskie. Toteż związki Iwaszkiewicza z Gautie- m są i silne, i wielorakie: zarówno bezpośrednie, jak pośrednie, poprzez par- asistów (bliska oktostychom wydaje się tu zwłaszcza poezja Jean Moreas), Młodą Polskę, klasycystów, akmeistów. Wildea. Nie można jednak zapominać tym, że nadany przez Gautiera impuls estetyzacyjny przejęli natychmiast — e Francji — poeci o światopoglądzie biegunowo odmiennym od tego, którego wyrósł sam Gautier: pozytywiści zaczęli realizować ideały ro- hantyka.

Poezja parnasistów stanowiła bowiem wszechstronną reakcję antyromantycz- a: była przedmiotowa, konkretna, zrównoważona psychicznie. W konsekwencji ążąca ku ideałom filozoficzno-estetycznym antyku. Poetom, którzy znaleźli ę w orbicie jej wpływu, a imię ich legion, dawała szansę osiągnięcia znacznych artości artystycznych — w sensie plastyki obrazu i cyzelatorstwa formy poe- yckiej przede wszystkim. Lecz także — jak świadczy o tym właśnie klasycy-

styczny epizod młodopolski — przynosiła ze sobą niebezpieczeństwo skonwencjonalizowania, nowej odmiany pseudoklasycyzmu, przy jednoczesnej skłonności do samozaprzeczenia, do zerwania z hasłami czystego estetyzmu.

W *Oktostychach* niebezpieczeństw tych i skłonności nie ma ani śladu. Obok Gautiera patronem tego tomu jest bowiem ktoś podobny, lecz zupełnie inny. Oskar Wilde. Podobny — wychował się bowiem na kulturze francuskiej i zaliczał do wielbicieli Gautiera. Inny — gdyż twórczość jego stanowi zamknięcie, ostatnie słowo wielkiej kampanii estetyzacyjnej, od Gautiera niezależnej, w odmiennych warunkach ukształtowanej i z odmiennych ideałów filozoficznych i artystycznych wyrosłej.

Idea odrodzenia kultu Piękna, „religia Piękna", wyznawana przez Ruskina, Morrisa, Rosettiego, prerafaelitów, Swinburne'a, Waltera Patera — wywodzi się bowiem z zachwytu nad średniowieczem, nad gotycką sztuką, nad literatura legend. Stanowi — niczym nie zakłócone — przedłużenie romantyzmu. Owo irracjonalistyczne pochodzenie sprawia, że w momencie, w którym estetyzm angielski zaczyna czerpać także ze zdobyczy francuskich (od Swinburne'a począwszy) — stwarza on konwencję bardziej elastyczną, atmosferę poetycką bardziej od parnasistowskiej wszechstronną, bogatszą w tematy, maski, stylizacje. I tę właśnie elastyczność konwecji można bez trudu w *Oktostychach* odczytać.

Lecz — w przeciwieństwie do estetyzmu francuskiego — „religia Piękna" zaczynała od prostoty, naiwności i ideałów moralnych. Skrajny estetyzm, wyrafinowanie, kult pięknego zbytku, sztuczność, *preciosité*, a także: dystans twórcy wobec samego siebie, minoderię i nonszalancję, a także: psychiczną łagodność i zniewieściałość — wszystko to przyniósł jej dopiero Oskar Wilde — wielbiciel *A rebours* Huysmansa, uczeń Waltera Patera.

I — jedno z największych przeżyć literackich młodego Iwaszkiewicza. Świadczy o tym *Książka moich wspomnień*, której jeden z rozdziałów poświęcony został w całości przyjacielowi młodych lat, Mikołajowi Niedźwiedzkiemu, i jego bałwochwalczemu kultowi dla Wilde'a. W rozdziale tym Iwaszkiewicz pisze między innymi:

„I trzeba przyznać, że prawie podzielałem zdanie Niedźwiedzkiego, dotyczące genialności Wilde'a. Jeszcze na rok przed tym listem (...) zupełnie przypadkiem wpadł mi w ręce *Portret Doriana Graya*. Było to jedno z największych spotkań w moim życiu, mimo wszystko". [9]

Toteż *Oktostychy, Dionizje, Kasydy, Księżyc wschodzi* — wydają się nie do pomyślenia bez wilde'owskiej atmosfery. Zarysowana w *Oktostychach* sylwetka psychiczna, to esteta-egotyk, wyrafinowany, skomplikowany, jak gdyby — nienaturalny. Bo też i przedmiot ich, to nie natura — lecz sztuka. A jeśli natura — to jak najbardziej sztuczna. Przyroda — ukształtowana przez człowieka, ukształtowana wyłącznie dla jego przyjemności. Jeśli kwiaty, to na grzędach, w urnach lub bukietach; jeśli rośliny, to w kompleksach wirydarzy, ogrodów lub jako ozdoba architektury; jeśli woda, to w cysternie, basenie lub stawie. Nawet ocean służy tu tylko do tworzenia fantastycznych motywów ze szkła. Kwiatów jest w oktostychach niemal tyle co wierszy, zbóż nie ma prawie zupełnie. Pojawia się za to — jakże wilde'owski — nadmiar barw, których nazwy pochodzą od nazw drogich kamieni. A przede wszystkim: metaforyka — jakże zgodna z paradoksalną teorią Wilde'a o wtórności życia i natury wobec sztuki:

Za tło zielone mając ogrodzieńce
I łąki kwietne, gdzie panny młodzieńce

Pląszą parami jak na bareliefie —

Wyhaftował ktoś drzewa w drobniutkie listeczki

A hiacynty i narcyzy
Jak gawotów z tiulu kryzy

i nawet — nasuwające się tu w sposób oczywisty — skojarzenie ze sztuką rokokową: poprzez ornamentacyjność i wyszukaność metaforyki, scenerię przypominającą holenderskie parki, specyficzny typ uczuciowości, kult zbytku; nawet związki z malarską techniką dywizjonizmu [10] — potwierdzają ów patronat Wilde'a, wielbiciela rokoka i impresjonistów.

Przede wszystkim jednak o patronacie tym świadczą: tematyczna błahość *Oktostychów* i nowoczesny dystans poety w stosunku do własnych przeżyć psychicznych. Śmiałość tworzenia sztuki — niekiedy — niemal z niczego. Zdumiewający na tle dziejów polskiej poezji pomysł wydania tomu wierszy, w których — przede wszystkim — chodzi o piękno i wdzięk.

I dlatego — bardziej jeszcze niż sonet Gautiera — jako motto do *Oktostychów* mogłyby posłużyć te słowa Gilberta z Wilde'owskiego dialogu *Krytyk jako artysta:*

„Od czasu do czasu świat oczernia jakiegoś uroczego poetę, prawdziwego artystę, bo żeby użyć oklepanego i niemądrego powiedzonka — poeta ten »nie ma nic do powiedzenia«. Lecz gdyby miał coś do powiedzenia, powiedziałby to zapewne i byłby nudny. Właśnie dlatego, że nie ma nic nowego do powiedzenia, może tworzyć piękne dzieła. Czerpie natchnienie z formy, tylko z formy, jak przystało na prawdziwego artystę. Prawdziwa namiętność zżarłaby go. Wszystko, co się dzieje naprawdę, nie nadaje się dla sztuki. Zła poezja zawsze wypływa ze szczerego uczucia. Objawy naturalne są objawami oczywistymi, a to, co jest oczywiste, nie ma nic wspólnego z artyzmem".[11]

2

Dwa są główne momenty nowatorstwa tego tomu: 1. skrajnie artystowska postawa; 2. sensualizm.

Przedmiot poezji Iwaszkiewicza to: kolor i światło, zapach i smak, bryła temperatura. W stopniu pozwalającym na zdecydowane przeciwstawienie tej poezji — liryce Młodej Polski. A nawet — na wyodrębnienie jej z tła liryki skamandryckiej. Do wyodrębnienia tego dają już pewne prawo — osiągnięte metodą *Stichprobe* — proste wskaźniki ilościowe.

I tak: kolor występuje we właściwych oktostychach około 100 razy, podczas gdy we fragmencie *Czyhania na Boga* — odpowiadającym mniej więcej ilością

słów oktostychom — jest tych określeń trzydzieści kilka, w podobnym fragmencie *Wiosny i wina* — pięćdziesiąt kilka, a w niewiele krótszym od oktostychów *Karmazynowym poemacie* około pięćdziesięciu.

I tak: *Oktostychy* (cały tomik) zawierają 16 określeń zapachu, podczas gdy w *Sokratesie tańczącym* — tomie od *Oktostychów* dłuższym — określeń tych można znaleźć około czterech, a w *Słowach we krwi* — tomie o kilka lat późniejszym — 11.

I tak: rozwiniętych określeń związanych z konkretnymi wrażeniami dotyku, określeń w rodzaju:

Morele, co się dadzą głaskać jak aksamit

jest we właściwych oktostychach około ośmiu, podczas gdy — odpowiadające oktostychom rozmiarami — fragmenty *Wiosny i wina* i *Czyhania na Boga* zawierają określeń tego rodzaju nie więcej jak jedno czy dwa, a w *Śpiewie w ciemnościach* Feliksa Przysieckiego, poety reprezentującego typową poetykę przejściową między Młodą Polską a Skamandrem — brak ich zupełnie.

Specjalnie ważny wydaje się zwłaszcza ostatni z tych wskaźników. Chodzi tu bowiem o wrażenia wywodzące się ze zmysłu najbardziej — jeśli można tak powiedzieć — konkretnego. O wrażenia wywołane bezpośrednim zetknięciem się z materią. Jest w zmyśle dotyku jak gdyby synteza poznania zmysłowego, kryje się w nim zachłanność, która akt poznania pragnie przemienić w akt posiadania — pozwalając poecie wejść na drogę jakiegoś złudnego imitatorstwa natury.

I — istotnie — towarzyszy lekturze *Oktostychów* silne poczucie trójwymiarowości, plastycznego konkretu, fizykalnej ważkości — pomimo często nierealnego przedmiotu tych wierszy.

Iwaszkiewicz zdawał sobie zresztą z tego wszystkiego sprawę. Oto jego, zawarty w *Oktostychach*, manifest poetycki, *Szczęście:*

Jak kroplę czuć na wardze smak każdej cichej chwili,
Rozcinać mocnym nożem welinu białe kartki.

Głaskać jedwabiem ręki wszelaki płomień żartki,
Czuć, jak się rumak wartki pod jarzmem dłoni chyli.

Czekać, aż słońca światło biel kwietnych drzew przykłoni,
Przykrócać i popuszczać rumakom swoim wodze.

Smakować każdy krok swój po białej twardej drodze,
Jak kryształ szklanej kuli czuć dnie we wnętrzu dłoni.

„Jak kryształ szklanej kuli czuć dnie we wnętrzu dłoni..." Aby program ten, pozostający pod wysokim protektoratem najpotężniejszego utworu polskiej poezji, utworu, którego autor okrągłość słów „dłonią czuje" — aby program ten zrealizować: maksymalnie uplastycznić, ukonkretyzować, urzeczowić wiersz — nie wystarczy choćby najbardziej sugestywne obrazowanie, nie wystarczą choćby najczęstsze i najtrafniejsze przekazy wrażeń zmysłowych. W kon-

wencji poetyki tradycyjnej, w konwencji której poezja Iwaszkiewicza w *Oktostychach* nie przekracza, elementy te wzbogacić musi element jeden jeszcze: dźwięk.

*

Jest rzeczą znaną[12], że Iwaszkiewicz, właśnie w *Oktostychach*, jako pierwszy wprowadził do poezji polskiej asonanse — w takiej formie, w jakiej miały niebawem w poezji tej zapanować. Nie tylko asonanse zresztą; także rymy katakryczne (typu: koń-dłonie, zegar-biegł). Przy analizie formy dźwiękowej *Oktostychów* zagadnienie współbrzmień końcowych odgrywa jednak rolę mniej istotną. W ocenie estetycznej tego tomu główny nacisk pada bowiem na sprawy związane z eufonią jakościową. Sprawy te muszą znaleźć się w centrum zainteresowania każdego, kto chce uświadomić sobie właściwą wartość tego tomu.

Eufonia jakościowa spełnia w *Oktostychach* — także — funkcję onomatopeiczną; na przykład w *Deszczu:*

Smugi jasne, smugi srebrne, smugi szklane,
Srebrnowłose, srebrnodźwiękie, ukochane —

W waszym szepcie miodopłynne są peany,
Smugi deszczu, szklane kulki, pieśni szklane.

lub w *Ogrodniczkach:*

Za sztachetą ktoś karetą przybył —

Lecz — jako najczęstsza — pojawia się tu funkcja, którą określimy na początku ostrożnie jako funkcję *sensu stricto,* immanentnie estetyczną; jako eufoniczną „sztukę dla sztuki". Celem jej — ogólnym — jest stworzenie dodatkowej więzi wierszotwórczej, wzbogacenie struktury wiersza o jeszcze jeden system, o jeszcze jedną — skomplikowaną — regularność, która potęguje satysfakcję estetyczną.

I tu znów nie można obejść się bez — przykładowo potraktowanych — wskaźników ilościowych. Oto jeden z nich: w oktostychu *Aubada* głoska „y" występuje 25 razy, podczas gdy w sąsiadującej z *Aubadą Serenadzie* jest owych „y" pięciokrotnie mniej, czyli — 5. Tego rodzaju zestawienia cyfrowe, dotyczące utworów o mniej więcej identycznej przecież długości, wykluczają możliwość traktowania głoskowej instrumentacji jako przypadku pozbawionego wpływu na estetyczną apercepcję wiersza.

Jeśli ponadto zwróci się uwagę na czwarty werset *Aubady:*

Przyszła radość poranku grać mi sarabandy —

na werset, w którym grupa „ra" powtarza się czterokrotnie; jeśli zauważy się, że werset trzeci został oparty na temacie głoski „o":

W cieniu mojej samotnej, jodłowej kontyny

a zacytowany powyżej werset czwarty na temacie głoski „a"; jeśli dostrzeże się rymy wewnętrzne i czterokrotne powtórzenie grupy „nt" w pierwszym czterowierszu — stanie się rzeczą jasną, że oktostych ten stanowi rodzaj etiudy fonicznej, objaw swoistej wirtuozerii. Stanie się rzeczą jasną, że eufonia jakościowa jest tu jednym z elementów poezjotwórczych: decydując o wyraźnej odmienności języka tej poezji od języka prozy. W szczegółowym wypadku *Aubady* — decydując także o obronnym stanowisku tego wiersza wobec działania czasu, który ze względu na warstwę realiów i poetyckiej symboliki mógłby tu zademonstrować całą swoją niszczącą siłę.

Przykładów podobnej — skomplikowanej — powtarzalności eufonicznej można przytoczyć niemal tyle, ile oktostychów. Do innej okazji odkładając dokładny ich przegląd i analizę — w szkicu tym wypadnie raczej zająć się próbami dotarcia do wniosków estetyczno-interpretacyjnych, wynikających z takiego, a nie innego fonicznego ukształtowania *Oktostychów*.

Otóż świadome kształtowanie eufonii jakościowej wiersza, mnożenie częściowych powtórzeń i splatanie ich ze sobą — wszystko to, choć w odmienny sposób, działa przecież na ten sam zmysł estetyczny czytelnika i słuchacza, na jaki działa rym — jeden z elementów fonicznej powtarzalności. Działa zaś tym silniej, że — po pierwsze — w poezji polskiej tak daleko posunięta dbałość o brzmienie stanowi zjawisko raczej odosobnione; że — po drugie — w odróżnieniu od rymu potraktowanego jako jedyna forma organizowania materiału fonicznego artystostwo instrumentacji głoskowej ujmuje w ramy dyscypliny brzmienia c a ł o ś ć utworu. Rym wywołuje złudzenie konieczności: przez identyczność brzmienia jednej czy dwu końcowych sylab dwu wersetów sprawia na czytelniku wrażenie absolutnej trafności umieszczonego w drugiej pozycji rymowej słowa. Eufonia jakościowa nie organizuje sytuacji aż tak jednoznacznych. I ona przecież — odwołując się do brzmienia, do satysfakcji estetycznej wynikającej z powtarzania tych samych dźwięków — stwarza pewne pozory k o n i e c z n o ś c i, nie tyle oczywiste, za to — podporządkowujące sobie c a ł y utwór. Inaczej mówiąc, jest to pozór konieczności, wynikający — niekiedy niezależnie czy nawet wbrew innym warstwom wiersza — z potencjalnej dobitności deklamacyjnej.

Spróbujmy jednak interpretować dalej. Oto oktostych *Źródło i ja:*

W słońcu się nad błękitnym basenem pochylę.
(Lecą kwiaty bez łodyg, bez iskier motyle).

Na błękitnym basenie w słońcu dłoń położę.
(Spłoną, jak mgła różowa, obłoki i zorze).

Pogrążę w błękit jasny radość objawioną.
(Płomienie srebrnych dzwonów blado w słońcu płoną).

Zanurzę w cichy basen pojmujące oczy.
(Piekący uśmiech słońca duszę mą otoczy).

Pomijając inne elementy eufoniczne, wypada zauważyć, że grupa „ło" w wierszu tym powtarza się 11 razy. Tego typu powtarzalność jest w wysokim

stopniu charakterystyczna dla *Oktostychów*. Nie należy w tym tomie do odobnionych tekst:

w słońcu dłoń położę. / Spłoną

— czterokrotne powtórzenie jednej grupy: w każdym słowie, pod każdym akcentem. A — jak się zdaje — w tego rodzaju tekstach chodzi już nie tylko o dobitność wypowiedzi. Jest w nich przede wszystkim świadectwo upodobania do dźwięku, świadectwo wsłuchiwania się weń, świadectwo jakiejś swoistej, pierwotnej kontemplacji. Czysto zmysłowej. Twórcy bowiem o ambicjach — pod tym względem — intelektualnych idą raczej drogami Chlebnikowa, Tuwima czy Białoszewskiego.

Uporządkujmy teraz obydwie analizy estetyczno-interpretacyjne: 1. Deklamacyjna dobitność brzmienia oznacza jego wyrazistość. Zapewne — oznacza także wyrazistość obrazu. 2. Zmysłowe upodobanie, zmysłowa kontemplacja brzmienia oznacza estetyzacyjno-bierną postawę.

Zaczynają zarysowywać się przesłanki.

*

Otworzono szeroko dębowe wierzeje.
(Choć każden się uśmiecha, lecz nikt się nie śmieje).

Ukraszono kaliną warkocze kołacza.
(Wszyscy ludzie są smutni, lecz nikt nie rozpacza).

Zgotowane na siejbę wór zboża i socha.
(Ach, wszyscy zawsze lubią, ale nikt nie kocha).

Czekam na moich nowych a radosnych gości.
(Bo pełen świat szukania — a nie masz radości).

Oktostych ten, *Proverbium*, zbudowany został na zasadzie paralelizmu ludowej pieśni. W jego pierwszych trzech dystychach zasada ta kształtuje się w sposób następujący: wiersze nieparzyste stanowią opis symbolizujących pewne stany psychiczne przedmiotów i sytuacyj, których apercepcja odbywa się na drodze poznania zmysłowego; wiersze parzyste są — logicznie nie powiązanymi warstwą obrazową — refleksjami poety, ujętymi w formę zbliżoną do aforyzmu. Dystych czwarty jest zamknięciem i powiązaniem obydwu wątków; wiersz nieparzysty wprowadza tu treści o charakterze bardziej ogólnym, pojęciowym, mniej konkretnym — dalekim jednak jeszcze od aforystycznej ogólnikowości wątku refleksyjnego. Dwa rodzaje widzenia świata, dwie formy poznawania go są tu więc wyraźnie od siebie oddzielone.

I oto zjawisko nad wyraz charakterystyczne: poeta z o wiele większą dbałością kształtuje warstwę brzmieniową wątku rzeczowego niż wątku refleksyjnego. Świadczą o tym zarówno wewnętrzne rymy i asonanse wersetów nieparzystych (otworzono — szeroko, otworzono — ukraszono, zboża — socha), jak ładujący się z samych niemal wewnętrznych współbrzmień, nadzwyczaj

bogato instrumentowany werset trzeci. Objawów podobnego artystostwa eufonii jakościowej próżno szukalibyśmy w wersetach wątku refleksyjnego, których treścią są aforyzmy o odcieniu paradoksalnym i które — jako poezja typowo intelektualna — operują poetyką retoryki: paralelizmem składniowym.

Nie to nawet jednak wydaje się w tym przeciwstawieniu najciekawsze. Do wniosku najciekawszego doprowadza tu znów prosta umiejętność liczenia. Mianowicie: w wersetach nieparzystych głoska „o" występuje 19 razy, w parzystych — 5. Znaczna nieproporcjonalność, wyrażająca się stosunkiem niemal 4 : 1, w wysokim stopniu utrudnia przypuszczenie przypadkowej, nieartystycznej genezy zjawiska. Zupełnie zaś wyklucza tę możliwość fakt, że są tu porównywane ze sobą nie dwa ciągłe odcinki strumienia językowego, lecz dwa teksty, których ciągłość uzyskano w sposób sztuczny, a które w rzeczywistości przeplatają się nawzajem ze sobą.

I oto w jak gdyby specjalnie dla krytyka stworzonym eksperymencie zarysowuje się c e n t r a l n y p r o b l e m p i e r w s z y: wirtuozeria eufonii jakościowej jako kształt artystyczny służący przede wszystkim do oddania rzeczywistości poznawalnej sensualistycznie. Świadectwo specjalnej dbałości, specjalnej uwagi, jaką poeta rzeczywistości tej poświęca, skoro na jej w pierwszym rzędzie usługi oddaje — wyraźnie eksponowany w tym tomie — system artystycznego kształtowania języka.

W sformułowaniach tych trudno nie dostrzec zapowiedzi przyszłego Iwaszkiewicza-prozaika: realisty-sensualisty.

Zwłaszcza że zapowiedź tę potwierdzają wnioski związane z c e n t r a l n y m p r o b l e m e m d r u g i m. W problemie tym chodzi już nie o samo zjawisko (eufonia jakościowa na usługach obrazu zmysłowego), lecz o jego jakości. I tu — czas przypomnieć o dwu analizach estetyczno-interpretacyjnych dokonanych nieco powyżej. W pierwszej z nich była mowa o deklamacyjnej dobitności brzmienia, z której wynika brzmienia tego wyrazistość. Po przetłumaczeniu na język poetyckiej wizji świata rzeczywistego — otrzymujemy tu o s t r ą w y r a z i s t o ś ć k o n t u r u: pierwszy warunek plastycznego opisu. Na przykład:

Winogrona rozpięte na murach katedry.

Instrumentacja tego cytatu oparta została na głosce „r". Jest to głoska najbardziej odosobniona w systemie fonicznym polskim; między innymi jedyna, której dokładna, pełna, przedłużona artykulacja nie mieści się w granicach — zamazującego wyrazistość głosek — szeptu. Jednocześnie: jest to głoska najbardziej precyzyjna pod względem artykulacji. Dzięki tym właściwościom „r" znakomicie pełni funkcję w y o d r ę b n i a n i a [13]. A funkcja ta w przytoczonym cytacie polega na podkreśleniu ostrości konturu zielonych liści i owoców wina, jak gdyby obrysowanych na tle muru katedry.

To rysunek. A bryła?

Druga z analiz estetyczno-interpretacyjnych mówiła o zmysłowym upodobaniu, o zmysłowej kontemplacji dźwięku. Tu w badaniu związków zachodzących między warstwą brzmień a sferą poetyckiego poznania wyręcza nas po trosze sam poeta [15], kiedy w wierszu *Zima* (pochodzącym z *Księgi nocy i księgi dnia*) pisze:

Poezja jest jak lustro: Iłłakowiczówna
Konkretność każdej rzeczy słowem białym pieści
I lampy, lalki z laki w labirynt słów zmieści.
I to jest tajemnica — ale nie ta główna.

Czy dzieje się tak u Iłłakowiczówny — trudno w tej chwili sprawdzić. U Iwaszkiewicza — na pewno. Zmysłowa kontemplacja dźwięku (czterokrotne powtórzenie grupy „la" w trzecim wersecie tego cytatu) niewątpliwie nasuwa nam sugestię trójwymiarowości, sugestię stworzoną: 1. przez wchodzącą w skład grupy głoskę „a", najbardziej otwartą w całym systemie fonicznym polskim, prowokującą zatem do dłuższej i pełniejszej artykulacji; 2. przez samą powtarzalność — identycznie wpływającą na artykulację. Pełne, powoli wypowiedziane dźwięki, dźwięki powtarzające się, niby ze wszech stron oglądane — doprawdy, trudno o bardziej sugestywny chwyt dla wywołania złudzenia dotykalnej trójwymiarowości. A także dla stworzenia nastroju spokojnej kontemplacji, estetycznego nasycenia. W *Oktostychach* chwyt ten znakomicie, sugestywniej niż *Zima*, egzemplifikują takie na przykład wiersze, jak cytowane powyżej *Proverbium* (tu: podobna do roli głoski „a" rola głoski „o") czy *Erotyk*. „Moréle, co się dádzą gładzić jak aksámit."

Nie bez przyczyny cytat ten zaopatrzono w oznaczenie akcentów. Nie można bowiem — analizując dźwiękową sugestywność *Oktostychów* — pominąć ich rytmu, ich metryki. Łączy ona w sobie elementy trzech głównych systemów: sylabicznego, sylabotonicznego i tonicznego. Owa potrójna więź znakomicie wzmaga deklamacyjną wyrazistość tych wierszy. Przede wszystkim jednak ważna jest dla tego rozdziału rola, jaką w *Oktostychach* odgrywa system toniczny. Decyduje on bowiem o dużej sile akcentu — poeta zaś bardzo starannie dba o to, by głoski, których funkcja została omówiona powyżej, znalazły się w pozycji akcentowej.

I oto — obok rysunku i bryły — światłocień tej poezji.

*

Intensywny, nie spotykany dotychczas w polskiej poezji sensualizm, realizacja programu: „Jak kryształ szklanej kuli czuć dnie we wnętrzu dłoni", realizacja przeprowadzona w znacznej mierze dzięki eufonicznym walorom tych wierszy — stanowi centrum problematyki estetycznej *Oktostychów*.

Cóż to wszystko jednak znaczy *more philosophico*?

3

Nieskończona jest nuda dzisiejszego dnia,
Co po moje kochanie przyszedł niespodzianie.

A akacjowych kwiatów woń słodkawo-mdła
Zapewnia mnie, iż więcej nic się już nie stanie.

Dobrze jest, nie znalazłszy ni szczytu, ni dna,
Zanurzyć białe ręce w źródle ciepłej wody.

I myśleć (a nad źródłem jagód krwawa łza).
Że się własnemu szczęściu wyrządziło szkodę.

Psychiczną dominantą *Oktostychów* jest — wynikająca z przekonania o nieosiągalności szczęścia — rezygnacja.

Lecz zaraz wszystkie pazie z obrazów Van Dycka
Kłaniając się uprzejmie, rzekły, że to bajka.
(. . . . . .)
Że cokolwiek pomyślę — jest tylko marzeniem.

Przyjdzie jak wiew mówiący, że mija mnie szczęście.

Samotności wieczystej tajemne potęgi
Mówią, że nie zbuduję, co nie zbudowane.

„Nie jest miłość prawdziwa, a namalowana."
Tak rzekła na witrażu Iseult do Tristana.

Oczekiwanie lata, które nic nie ziści.

Aż wszelkie pożądanie, jak oswojony wilk,
Rozpocznie się wsłuchiwać w piosenkę prostą wilg.

Oto wybór charakterystycznych cytatów, stanowiących rozmaite modyfikacje owej podstawowej dominanty pesymistyczno-rezygnacyjnej.

Jak się zdaje — podobnie jak u filozoficznych podstaw modernizmu — i u podłoża liryki Iwaszkiewicza odnaleźć można elementy schopenhauerowskiego światopoglądu. Z tym, że Iwaszkiewicz okazuje się tu bardziej konsekwentny, wierniejszy tokowi myśli niemieckiego filozofa. Mianowicie realizuje jedną z zasad jego terapii.

Wyznawana przez Schopenhauera fenomenalistyczna teoria poznania, wywodząca się z filozofii Kanta i z filozofii indyjskiej — zjawiska traktowała jako złudę. Była to pierwsza przesłanka pesymistycznego światopoglądu autora *Parerga und Paralipomena*. Przesłanka, której dalekie echo możemy odnaleźć w oktostychach mówiących o paziach z obrazu Van Dycka czy o Tristanie i Izoldzie. Przesłankę drugą przynosiła schopenhauerowska metafizyka: irracjonalno-woluntarystyczna. W odniesieniu do praktycznego życia przekonywała ona, że rządząca człowiekiem wola: popęd bezrozumny i bezcelowy — z istoty swojej skazana jest na niezaspokojenie. Ucieczkę z tego piekła ludzkiej egzystencji Schopenhauer widział jedynie w trudnej sztuce zatrzymania owego bezrozumnego pędu pożądań. Zatrzymania, którego dokonać mogą dwa tylko hamulce: pierwszy — etyczny, i drugi — estetyczny. Pierwszy — to moralność chrześcijańskiego współczucia; drugi — to kontemplacja sztuki, kontemplacja piękna.

Rezygnacyjna dominanta psychiczna, panująca w *Oktostychach* i — jak się później okaże — nie tylko w *Oktostychach*, z łatwością daje się powiązać z schopenhauerowskim przekonaniem o daremności ludzkich działań, skiero-

ranych ku zaspokojeniu rządzącego człowiekiem ciągu pożądań. Jest po prostu yciągnięciem jednego z możliwych wniosków, jakie z przekonania tego wyni-ają. Na wniosku tym jednak Iwaszkiewicz nie poprzestaje.

Jego rezygnacyjna postawa okazuje się bowiem postawą nadzwyczaj płod-ą — estetycznie. Zgodnie z drugą zasadą schopenhauerowskiej autoterapii po-awa ta implikuje mianowicie — wyzwolenie poprzez kontemplację piękna. Aż wszelkie pożądanie, jak oswojony wilk, Rozpocznie się wsłuchiwać w pio-nkę prostą wilg"... Albo: „Dobrze jest, nie znalazłszy ni szczytu, ni dna, Zanu-yć białe ręce w źródle ciepłej wody"... Czyli: rezygnacja jako droga zarówno estetycznego pojmowania świata, jak do uznania prymatu sztuki, jak wresz-e — do poetyckiego sensualizmu, do — stanowiącego poetyckie nowator-wo — eksponowania wrażliwości zmysłowej. Któż byłby bardziej skłonny notowania koloru rąk czy temperatury wody — od poety, który rezygnuje walki o wartości, od człowieka, który rezygnuje z działania? Wszystko, co nowi specyficzne piękno *Oktostychów:* ich zmysłowe nasycenie, ich trójwy-iarowość, ich pełnobrzmiący, dobitny, wyrazisty ton korespondujący z war-wą obrazów i ową trójwymiarowość współtworzący — wszystko to w wy-anie, w implikacji: rezygnacja — kontemplacja znajduje swą genezę.

I oto zamknięty krąg: piękno dające się uzyskać jedynie dzięki estetyzują-emu światopoglądowi. Estetyzm do potęgi, estetyzm doskonały.

Jerzy Kwiatkowski

PRZYPISY

[1] Szkic ten, aczkolwiek nie odznaczający się lapidarnością, nie stanowi bynajmniej pełne-omówienia Iwaszkiewiczowskiego debiutu. Już choćby dlatego, że pomija *Pauzę*, tj. zawarte ędzy właściwymi oktostychami *Uty* (z dużą dokładnością wzorowane na japońskich) *Piosenki*. Pomija także niejeden element genezy i opisu, w związku z czym i ocena st tu niepełna, wywodzi się bowiem wyłącznie z analizy trwałych wartości tomu, nie teresując się — niezbyt zresztą licznymi — potknięciami. W szkicu tym chodzi bowiem gruncie rzeczy o j e d n o zagadnienie, które wydaje się zagadnieniem dla *Oktostychow* ntralnym i które kocentruje wokół sieble większość związanej z tym tomem problematyki.

[2] Pokreślenie moje.

[3] Z nie drukowanego wstępu do *Oktostychów* (1.I.1945).

[4] *Oktostychy* przynoszą niejedną zapowiedź epizodu ekspresjonistycznego, jakim dla poezji aszkiewicza jest okres, w którym powstają *Dionizje* (wyd. 1922).

[5] *Emaux et camées. Préface.*

[6] W odniesieniu do prozy Iwaszkiewicza — na różnicę tę zwrócił już uwagę Wacław Ku-cki w znanym studium: *Proza Iwaszkiewicza* (w tomie *Krytyk i twórca*, Łódź 1948, r. 283—284).

[7] str. 176—179.

[8] *Twórczość*, 1945, zesz. 3, tłum. Seweryn Pollak.

[9] str. 87.

[10] W baldachimy altany, kędy stoją rzędem
Rozwiane złote chmury w paciorkach jarzębin,
(. . . . . .)
Promień przez winne sploty i liście opuncji,
Jak w aureolę, w złote ozdabia cię punkty.
(Z oktostychu *Spotkania*)

[11] Oskar Wilde: *Eseje, opowiadania, bajki, poematy prozą*. W-wa 1957, str. 99—100. Tłum. Cecylia Wojewoda.

[12] Jan Łoś: *Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju*, str. 453; Adam Szczerbowski: *Dziesięciolecie asonansu. Ruch Literacki*, 1929, str. 193 i nn.

[13] Pomijam inne funkcje ekspresyjne, jakie głoska ta może pełnić.

Michał Głowiński

TRZY POETYKI „NIECIERPLIWYCH"*

1

W literaturze dwudziestolecia niezwykle ważny jest ten moment, w którym sarze zaczęli przywiązywać wagę szczególną do konstrukcji losu człowieka, którym poczęli szukać jego formuły ostatecznej. Ów moment uświadomienia leżności człowieka od losu wyraża w sposób niezwykle charakterystyczny den z liryków Leśmiana:

Dawniej mi się zdawało, żem z mroków chaosu
Wybiegł w świat niepochwytny i wolny od losu.

Że najtrwalszy ze wszystkich przewidzeń i dziwot —
Sam o sobie śnię powieść — sam klecę swój żywot.

Że powoli, niechętnie i niepostrzeżenie
W złych snach mi się z dnia na dzień — ciuła przeznaczenie.

Tytuł wiersza znaczący: *Klęska*. Liryk ten z pewnością odpowiada pewnej tuacji historyczno-literackiej. Istniały bowiem kierunki literackie, które najdowały się poza problematyką losu bądź stawały wobec niej bezradne. sarze w utworach swych — parafrazuję zdanie z innego wiersza Leśmiana — losu chcieli się wymigać". W zakresie liryki był to tzw. impresjonizm, zakresie powieści — psychologizm. W obydwu ujęciach człowiek istniał za determinacjami zewnętrznymi, sam jakby tworzył swoją osobę i swój wiat. Znajdował się więc nie tylko poza historią, ale także poza tym, co azwać można metafizyczną konstrukcją losu. W tego typu literaturze jedstka niejako narzucała swoje prawa światu, modelowała go na swoje pobieństwo. W pewnej jednak chwili mniemanie, że „sam klecę swój żywot", jego literackie konsekwencje przestały przylegać do świata rzeczywistego,

* Zofia Nałkowska: *Niecierpliwi*, Warszawa 1958. „Czytelnik", „Biblioteka Dwuestolecia"; str. 267.

coraz bardziej okazały się złudzeniem, złudzeniem anachronicznym. Zmiany, które poczęły się w świecie dokonywać, coraz dowodniej ukazywały, że przeświadczenie to należy między bajki włożyć. Kształtowała się więc konieczność takich poszukiwań literackich, które pozwoliłyby wyjść z zaułka przyjemnych, ale bezpłodnych iluzji. W ostatnich latach dwudziestolecia pisarze stawali przed koniecznością wyboru, który symbolicznie zawrzeć można w pytaniu: Proust czy Kafka? (symbolicznie — z dwu przyczyn: dlatego, że nie chodzi tylko o zaciągnięcie się pod sztandar któregoś z tych pisarzy, a także z tego względu, że drugi z nich był wtedy w Polsce znany stosunkowo mało). „W roku 1922 umarł Proust, w roku 1924 — Kafka — pisał w znakomitym eseju o autorze *Kolonii karnej* Zbigniew Bieńkowski. — Specjaliści od periodyzacji kiedyś, gdy uspokoją się trochę spory chwili, zastanowią się nad tymi dwiema datami i dadzą im to znaczenie, jakie posiadają: epokowe. Śmierć Prousta zamknęła wiek XIX. Śmierć Kafki (...) — otworzyła wiek XX." Istota przełomu sprowadza się do tego, że — cytuję dalej Bieńkowskiego — „Dla Prousta świat znajdował się we wnętrzu człowieka. Konsekwencją ideowo-artystyczną tego założenia były środki, którymi to wnętrze odsłaniał, sondował. Dla Kafki świat i człowiek to dwie niemożliwe do pogodzenia strony jednego zjawiska, jakim jest istnienie. Z kontaktu człowieka ze światem, z tego wzajemnego kontaktu pragnienia i niezaspokojenia może wyłonić się, wyłania się jedyna forma porozumienia — los, sens życia". *

W Polsce owo przechodzenie od wieku XIX do XX miało niezwykle ostry przebieg — o czym decydował splot zdarzeń tak literackich, jak pozaliterackich. Na powieściopisarzy dwudziestolecia Proust wywierał chyba wpływ największy, w orbicie jego oddziaływania znajdowała się przeważająca część twórczości prozatorskiej — rzecz inna, czy z dzisiejszego punktu widzenia najwartościowsza. Ta część, która na pewno najbardziej odpowiadała upodobaniom kulturalnego i literacko wyrobionego odbiorcy, która wytworzyła ten charakterystyczny profil stylistyczny beletrystyki międzywojnia. Od Prousta przejmowano rodzaj zainteresowań pisarskich, jego metodę analizy psychologicznej — poza recepcją pozostał rozmach i niezwykłe bogactwo całego cyklu, który jest imponującą panoramą świata wewnętrznego i zewnętrznego. Większość polskich uczniów Prousta przejęła jego technikę, by poddawać wiwisekcji odosobnione kompleksy czy odczucia. Im subtelniejszy był ich opis, tym bardziej ginęły możliwości skonstruowania pełnej sylwetki bohatera. Brano go pod uwagę o tyle tylko, o ile był „zazdrosny" czy „źle kochał". Atomizacja bohatera powieściowego była procesem narastającym. Powstała poniekąd sytuacja paradoksalna: tzw. psychologizm, rozwijając swoje założenia, doskonaląc technikę pisarską, sam stawiał się w pozycji bez wyjścia, zamykał przed sobą perspektywy. Jedyna możliwość — to dalsza, jeszcze bardziej subtelna analiza odosobnionych drgnień ludzkiej psychiki. To jednakże znaczyłoby epigonizm wobec własnych założeń pierwotnych i dawnych osiągnięć. Na wyczerpanie się psychologizmu wpłynął z pewnością rozwój wypadków historycznych, pokazujący, że człowiek zależny jest od wielu czynników zewnętrznych, że nie jest twórcą i panem swojego losu, że takie czy inne odczucia nie decydują o jego biegu. Zainteresowania pisarzy poczęły się kierować nie ku temu, jak „sam klecę żywot", ale w stronę tego, jak „żywot się kleci", często

* *Twórczość*, 1958, Nr 1.

niemal niezależnie od jego podmiotu. Postawa właściwa tzw. psychologistom raciła swoją dominującą pozycję, utworzona przez nich technika pisarska kazała się zbyt mało pojemna i sprawna w powieści, która nastawiona była nie tylko na przedstawianie poszczególnych odczuć i dyspozycji psychicznych bohatera. Zostawiła jednak w spadku sposoby swobodnego operowania materiałem powieściowym, które cenne były także przy odmiennym nastawieniu twórczym. Te zmiany, przechodzenie od psychologizmu do innego typu prozy, dają się szczególnie dobrze obserwować w twórczości Zofii Nałkowskiej, ich ślady, rezultat wyraźnej ewolucji środków pisarskich, odciskają się niezwykle rzejrzyście na ostatniej z przedwojennych jej powieści — na *Niecierpliwych*. W książce tej nawarstwiają się różne typy międzywojennej beletrystyki — jest ona swoistą syntezą, w której różne genetycznie składniki układają się w całość, zbudowaną na nowych i jednolitych zasadach. Skupiają się w niej rwne elementy tzw. powieści rodzinnej, powieści psychologicznej i nowej ówczas, trudnej do określenia jednym terminem prozy, powstającej przede wszystkim pod znakiem Kafki. W spleceniu w jedną strukturę tak różnorodnych elementów wyraża się określona sytuacja historyczno-literacka, w której ukształtowane już w pełni formy powieści przestały zadowalać, a jedynym sposobem przezwyciężenia ich ograniczeń była synteza, w której powiązane one zostały z tym, co nowe i nie usankcjonowane jeszcze przez tradycję literacką.

2

To niewątpliwe, że temat *Niecierpliwych:* dzieje rodu samobójców, mógł być ujęty w ramy każdej z uczestniczących w utworze poetyk. Dość łatwo dawał się opracować jako naturalistyczna powieść rodzinna, w której samobójcze skłonności członków familii wynikały tylko, powiedzmy, z dziedzicznych obciążeń. Wzory literackie, sugerujące takie rozwiązanie, nasuwały się same — by przypomnieć bodaj Zolę. *Niecierpliwi* zawierają materiał, który bez trudu dałby się ukształtować w rodzimych *Rougon-Macquartów*. Równie prosto zawarte w książce postaci i wydarzenia dawały się ująć w typowych kategoriach powieści psychologicznej. Dążenie do śmierci — jest to przecież przedmiot dla samoistnych analiz psychologicznych równie dobry, jak którekolwiek inne uczucie, traktowane niejako samo w sobie i niczym nie warunkowane. Byłoby ono tylko wyrazem woli bohatera, nie zaś elementem jego losu jako pewnej konstrukcji, znajdującej się ponad nim. Podobnie powieść pozwalała się ująć w sposób, który proponował w swych dziełach Kafka. Własnowolny pęd do śmierci mógłby być traktowany jako forma działania swoistego fatum, praw losu, które panują nad człowiekiem i światem. Nałkowska decyduje się jednak na połączenie tych różnych elementów.

Powieść rodzinna wnosi w *Niecierpliwych* pewne ramy fabularne, jest jakby podstawą całej kompozycji. Pisarka traktuje bohaterów jako członków rodziny — przynależność do niej wyznacza ich charakter. Nie są oni tylko sobą — Nałkowska szczególnie silnie to zaznacza, że w każdym z nich skupia się pewien zespół cech, właściwych ich rodowi. Związki głównych postaci z rodziną nie mają jednak charakteru społecznego w tym sensie, w jakim mówi się o tym w odniesieniu do takich klasycznych reprezentantów gatunku, jak

Buddenbrookowie, Noce i dnie czy *Rodzina Thibault*. Motyw „wielkości i upadku rodziny" rozwija się nie na płaszczyźnie historycznej, przebiega poza dziejami (z czego krytycy — np. Adolf Sowiński — czynili zarzut pisarce; moim zdaniem niesłusznie, bo chwyty powieści rodzinnej występują tu — jak zobaczymy — w całkiem swoistej i niezwykłej funkcji). Rozwój rodziny podlega tu bardziej prawidłowościom biologicznym i psychologicznym niż w ścisłym tego słowa znaczeniu socjalnym. Jakub i Teodora niejako odnajdują swoje kompleksy i dążenie do śmierci, swą „niecierpliwość" u innych, w zbiorowości, z której się wywodzą. Są w formie ostatecznej wynikiem jej rozwoju. I tutaj ujawnia się już druga funkcja schematu kompozycyjnego powieści rodzinnej. Równie ważna, jak pierwsza (zarysowanie konturów, w które wpisana jest opowieść), sprowadza się do pewnego typu motywacji, która wyjaśnia i określa jednocześnie postępowanie bohaterów. W dziejach rodziny Szpotawych działa pewne „prawo", które nie wyłącza z zakresu swych wpływów Jakuba i Teodory. „Prawo" to, dążenie do samobójstwa, określić można jako przeznaczenie czy fatum. Cały wątek rodzinny komponowany jest właśnie po to, by uwidocznić jego działanie — właściwie ogranicza się on do ukazywania go. I w tym właśnie ujawnia się swoiste podejście do wzorca konstrukcyjnego powieści rodzinnej w *Niecierpliwych*. Nie jest to podejście epika, tworzącego dzieje rodziny, dążącego do zarysowania społecznej panoramy. O takiej właśnie tendencji w powieści rodzinnej pisała Nałkowska w związku z dziełem Martin du Garda, w artykule z roku 1926, omawiającym francuskie nowości literackie: „...*Les Thibault* — zamierzona monografia rodziny, gdzie nic nie jest konstrukcją, pomysłem, planem, a wszystko prostą relacją, ściśle przystającą do rzeczywistości. Książka zupełnie biograficzna, szeroko rozgałęziona malowidłem środowisk związanych czymkolwiek z rodziną Thibault. Cóż za prezycja, cóż za usilne staranie tylko o dokładność i ścisłość, o zgodę z tym, jak było, o — powiedzmy to słowo — prawdę". W klasycznej powieści tego typu autorzy kierowali swój wysiłek ku temu, by oprawić bogate, wieloma nurtami płynące życie w ramki powieści. Pisali tak, jakby w eposach życie toczyło się samo, a nie było świadomie komponowane przez twórcę. Tymczasem w powieści Nałkowskiej wszystko jest k o n s t r u k c j ą. W *Niecierpliwych* wątek rodzinny nie rozwija się swobodnie, najwyraźniej jest podporządkowany koncepcji, która jakby nie przylega do środków ukształtowanych w tego rodzaju powieści. Stanowi cząstkę bardzo ciekawego złożenia literackiego, w którym nie jest bynajmniej dominantą. Stąd wydarzenia z dziejów rodziny Szpotawych ujmuje pisarka nie w obszerne, szeroko relacjonujące rozdziały — zadowala się skromnymi informacjami, np.: „Z dzieci Fabiana, które rozeszły się po świecie, wrócili wkrótce po jego śmierci do domu dwaj młodzi synowie, aby tu umrzeć jeden po drugim. Ci dwaj umarli śmiercią naturalną z powodu chorób, które przywieźli ze sobą z daleka. I obaj do ostatniej chwili nie chcieli umrzeć". Wątek rodzinny jest w *Niecierpliwych* istotny przede wszystkim o tyle, o ile pozwala ujawnić się jedynej, nasycającej wszystkie kartki książki obsesji: obsesji śmierci. Jest to zgodne z tradycją tej odmiany powieści. Jednakże tam motyw śmierci nie urastał do miary idei naczelnej. Była śmierć — tak jak narodziny — jednym z elementów życia rodzinnego, przemiany pokoleń. U Nałkowskiej dzieje rodziny to nieustający cykl śmierci. Rzecz jednak charakterystyczna: umierania się w tej powieści

e opisuje w ten sposób, w jaki czynili to Dąbrowska lub Martin du Gard. echnikę skrótów zastosowała pisarka nawet wtedy, kiedy sięgnęła po obie- wy w powieściach rodzinnych motyw: motyw zjazdu całej familii przy łożu mierającego członka rodziny (tu: babki). Wydaje się bowiem, że kompozycja wątki tzw. epiki rodzinnej są w pewnym sensie w *Niecierpliwych* podstawą tem — właściwy dramat rozgrywa się jednak na innych planach powieści — także w pewnej mierze metaforą, o czym pisał Bruno Schulz w doskonałym eju o omawianej tutaj powieści.

3

Rzecz charakterystyczna: krytycy *Niecierpliwych* najwięcej pretensji kie- wali w stronę wątku rodzinnego. Recenzent *Wiadomości Literackich*, Emil eiter, w ogóle kwestionował sensowność jego istnienia w powieści, uważając ią nadbudowę genealogiczną za artystyczny pleonazm, gdyż dzieje obojga haterów są wyznaczane przez nich samych. Zarzut ten wydaje mi się arakterystyczny dlatego, że świadczy o sposobie traktowania tej niezwykłej łożonej powieści — świadczy o tym, że pojmowano ją jako jeszcze jedną wieść psychologiczną (do tego rodzaju utworów bowiem przyzwyczaiła ych czytelników Nałkowska). W ujęciu Breitera była to powieść „o naj- rszej miłości" (tytuł recenzji). Sądzę, że jest ono zbyt wąskie. W *Niecierpli- ych* istnieją oczywiście elementy powieści psychologicznej — one również e stanowią jednak dominanty, funkcjonują jako cząstki literackiego złożenia. adzą się one sprowadzić do dwu zjawisk, istotnych dla poetyki tej odmiany spółczesnej beletrystyki: pewnego typu kompozycji oraz nastawienia na tzw. ualizę psychologiczną.

Psychologizm wypracował sposoby swobodnego operowania materiałem po- eściowym, wyzwolił prozę spod presji fabularności jako podstawowego odka organizowania materiału. Doprowadził do perfekcji technikę elastycz- go kształtowania czasu. Nałkowska nie rezygnuje w powieści niewątpliwie ykraczającej poza problematykę psychologiczną z tej techniki, którą się ajczęściej dotąd posługiwała. W *Niecierpliwych* dokonuje się więc arcy- teresujące zderzenie artystyczne dwu przeciwstawnych żywiołów: poetyki wieści rodzinnej, z jej dążeniami do obiektywizmu i chronologicznego ładu zdarzeń, z poetyką powieści psychologicznej, w której tak istotny jest aśnie subiektywny aspekt opowiadania i inwersje czasowe — w ostatecznej stancji jest to zderzenie dwu koncepcji bohatera.

Dzieje rodziny Szpotawych opowiadane są w pewnych momentach z punktu dzenia Jakuba, stanowią wtedy jakby jego wspomnienia. Ten aspekt opo- adania jest niejako utajony i nakłada się na relację odautorską. Konsek- encją są inwersje czasowe — różne epizody z dziejów rodziny pojawiają się zwyczaj wtedy, gdy stanowią jakiś odpowiednik sytuacji dwojga głównych haterów, gdy w jakiś sposób ją wyjaśniają. W przeciwieństwie jednak do powej powieści psychologicznej Jakub nie jest władcą swej przeszłości, nie nuje nad nią tak, jak bohater Prousta. I tutaj właśnie przesunięcie akcentów st niezwykle istotne: to, co zazwyczaj zależało od postaci, było jej subiek- wnym światem, w *Niecierpliwych* wyzwala się od tej zależności. Zmienił

się więc układ elementów: bohater nie określa sobą ewokowanej przeszłości — przeszłość staje się jedną z cząstek systemu determinant. W tym zakresie zaczerpnęła Nałkowska z powieści psychogicznej sposób kompozycji, zrezygnowała zaś z konsekwencji ideowych. Wprowadziła przeto pewne jej elementy w nowy kontekst literacki, wyznaczyła im nowe funkcje, różne od tych, które pełniły na swym terenie macierzystym.

Podobne przesunięcia zachodzą także w konstrukcji głównych bohaterów. Nałkowska eksponuje wątek psychologiczny fatalnej miłości Jakuba i Teodory, przypominający wcześniejsze jej powieści. Nowością jest to, że dla ich uczuć i zachowania szuka Nałkowska uzasadnień nie w nich samych, ale w czynnikach zewnętrznych. Redukcji podlega analiza psychologiczna — pisarka nie bierze pod lupę każdego odruchu i odczucia swych postaci. Analiza tego typu prowadziła w wielu wypadkach do atomizacji psychiki bohatera. Nałkowska usiłuje się tego ustrzec, stara się ująć postać jako całość, naszącą w sobie swoje przeznaczenie — szuka formuł ogólnych, które byłyby jakby sumą wcześniejszych wysiłków analitycznych. Jednym z przejawów tych dążeń w twórczości Nałkowskiej były pochodzące z lat 20-tych *Charaktery*. Technika „charakteru" występuje nie tylko w tym cyklu miniatur, przenikała ona również do powieści — stała się jednym ze sposobów prezentacji bohaterów. Mogła ona tam pełnić funkcję dwojaką — typizującą (zgodną z wielowiekową tradycją gatunku) bądź indywidualizującą. Mogła, w formie statycznej ujmując pewien zespół cech, sugerować ich powszechność. Jednakże w powieściach swych autorka *Domu nad łąkami* starała się zazwyczaj ujmować jedyne i niepowtarzalne właściwości swych bohaterów. W *Niecierpliwych* dzieje się inaczej — w całej powieści rezyguje pisarka z metody indywidualizującej, nie uwydatnia odrębności swych postaci. Nie znaczy to jednak, że typizuje świat ich przeżyć w duchu klasycznego „charakteru" Teofrasta czy La Bruyère'a. Ta swoista „ogólność" wynika z nieustannego przeżywania śmierci — z podległości temu, co wyznacza ogólnie człowieczy los. Śmierć jest w ujęciu Nałkowskiej jego najważniejszym elementem, tym, wobec którego wszyscy stają się równi i podobni do siebie, tracą swą osobowość.

4

I tutaj wkraczamy w obręb działania trzeciej poetyki *Niecierpliwych*. Nie wyrasta ona z ukształtowanych już tradycji, odpowiada raczej poczynaniom najbardziej zaawansowanych nowatorów w zakresie prozy. Ta warstwa utworu niewątpliwie jakoś nakłada się na tendencje wyprowadzające prozę spod rządów realizmu i psychologizmu. Z pewnością nie bez wpływu pozostała tutaj współpraca Nałkowskiej z redagowanym przez Bogusława Kuczyńskiego *Studiem*, jedynym bodaj pismem w dwudziestoleciu, które świadomie formułowało program nowoczesnej prozy, pierwsze w Polsce drukowało tłumaczenie Kafki, a także skupiało takich pisarzy, jak Gombrowicz, Schulz, Truchanowski.

Ta warstwa powieści jest jakby nadbudową dwu poprzednich — określa ich prawdziwy sens. W niej wprowadza pisarka motyw, ideę, w której jakby kondensuje się cała zawartość powieści — stosunek człowieka do śmierci.

mierć jest tutaj tym fatum, z którego perspektywy kreowany jest los. Albo-liem los jest w tej powieści swoistą konstrukcją. Wydaje się, że nieją dwa sposoby budowania losu bohatera powieściowego. Pierwszy wy-ża się w fabule, tkwi w zespole zdarzeń, powiązanych w szereg przyczynowo-utkowy. Tę koncepcję losu ukształtowali XIX-wieczni realiści: oddziały-jące na bieg życia bohatera wyznaczniki są ściśle określone, sprowadzają przede wszystkim do determinant natury socjalnej. W ujęciu drugim los konstrukcja jakiejś nadrzędnej rzeczywistości, która określa wszystko — że być nią konieczność w tragedii greckiej czy jakaś ponura, panująca nad szystkim logika wydarzeń, od której nie ma apelacji, w dziełach Kafki. buła tutaj jest więc zespołem przypadków, podporządkowanych tym nad-dnym, określającym wszystko prawom. „U Nałkowskiej ta nadrzędna rze-wistość — pisał Schulz w znakomitym szkicu — reprezentowana jest *Niecierpliwych* przez jakiś los zbiorowy, przez dziedziczne immanentne um, próbujące w oddzielnych indywiduach coś wybełkotać z głuchego sensu bezsensu swej treści. Ale ta dziedziczność u Nałkowskiej tak samo jest item, metaforą, jak wieczna reinkarnacja »historyj« u Manna, ma jak ona zadanie rozluźnić tkankę faktów, uczynić ją przeświecającą dla głębszego mieniowania. Nałkowska wie dobrze, że działanie fatum poprzez dziedzicz-ość nie jest tak prostolinijne, jak roiło się naturalistom." * Tak więc środki ydwu wykorzystanych przez Nałkowską poetyk oferują swego rodzaju argu-entację, są niejako materiałem przykładowym, pozwalającym kreować los. wprowadza w powieść jakby nowy, bardziej ogólny wymiar — bohaterowie jego nosicielami, a także wykonawcami narzuconych przezeń praw — obec innych. Każdy z bohaterów sam niecierpliwie dąży do śmierci wbrew szelkim racjonalnym przesłankom i jednocześnie przyczynia się do śmierci nych. Jakub, najmłodsza latorośl rodu samobójców, sam nieustannie bieży dobrowolnej śmierci i „po drodze", jakby przez przypadek, przyczynia się śmierci innych. „W tej powieści — pisał Włodzimierz Pietrzak — okazuje , że człowiek sam przez się nie jest do wytłumaczenia, że potrzebuje układu niesienia." ** Los jednostki jest bowiem losem ogółu, skupia w sobie te pra-a, które rządzą życiem każdego.

Przez postawienie bohaterów wobec rzeczy ostatecznych, tak jak stał wobec ch Kafkowski Józef K., przez sproblematyzowanie tej sytuacji — uzyskuje ałkowska to, co nazwać można intelektualną strukturą powieści. Rozwój padków prowadzi w *Niecierpliwych* do pewnej formuły myślowej i z niej ynika: nigdy jednak nie jest ona bezpośrednio wyłożona. Tendencja do telektualizacji powieści występowała u Nałkowskiej zawsze — jej zwykłym zejawem był rozrost komentarza, liczne, wtłaczane w ramy fabuły reflek-filozoficzne, czy — w wielu wypadkach — pseudofilozoficzne. Ten tzw. mentarz intelektualny zanika w *Niecierpliwych* niemal całkowicie. To, co wniej zawierało się w komentarzu, mieści się w strukturze powieści jako rganizowanej według określonych zasad całości: wszelkie wyjaśnienia stają po prostu niepotrzebne. Proces redukcji tego komentarza był długo-wały — jego pierwszy etap zauważyli już w *Granicy* dwaj recenzenci tej

* *Skamander*, lipiec — wrzesień 1939.
** *Rachunek z dwudziestoleciem*, str. 172.

powieści, Fryde i Łaszowski. Może nie od rzeczy będzie przypomnienie, że problemy, które przeniknęły do struktury intelektualnej *Niecierpliwych*, formułowane były wielokrotnie w różnych utworach pisarki — masami można cytować rozważania o tym, czym jest istota człowieka, jego życia. Np. w komentarzach z *Niedobrej miłości* sprawa rozwiązywana jest jeszcze ściśle w duchu powieści psychologicznej — narratorka rozmyśla: „Mnie się wydaje, że człowiek rodzi się każdy możliwy. Właśnie tak muszę powiedzieć: k a ż d y m o ż l i w y. Wszystko w nim może być — najbardziej odmienne, najbardziej mu zaprzeczające, najdalsze"*. Na pierwszej stronie *Granicy* znajdujemy refleksję, która stanowić by mogła wprowadzenie do omawianej tutaj powieści: „Umiera się w byle jakim miejscu życia. I dzieje człowieka zawarte między urodzeniem jego a śmiercią wyglądają niekiedy jak nonsens. Któż bowiem jest w możności o każdej chwili przemijającej pamiętać, by mogła ona być na wszelki wypadek jego gestem ostatnim? Śmierć nieraz chwyta człowieka *in flagranti*, zanim zdążył przedsięwziąć jakiekolwiek środki ostrożności. Najbardziej logiczny plan życia, najściślej wyprowadzona formuła jego wartości rozpada się nagle, gdy ujawniona zostanie ostatnia niewiadoma". W *Niecierpliwych* tego typu refleksje (nie chodzi o ich treść — zawartość myślowa zdania wyjętego z *Niedobrej miłości* znajduje się na antypodach założeń książki o rodzie samobójców — ale o samą obecność tego typu sformułowań uogólniających w powieści) stały się główną zasadą kompozycji i jednocześnie zostały jakby przetopione na materiał środków powieściowych. Tak więc — może trochę na mocy paradoksu — w swym najbardziej zintelektualizowanym utworze zapanowała Nałkowska w pełni nad ściśle powieściowymi formami wyrazu.

Niecierpliwi są książką, w której zbiegają się trzy różne tory rozwojowe prozy dwudziestolecia, należą do rzędu tych utworów, które tworzą syntezę literacką swej epoki — a częściowo ją zamykają. Rok wydania tej powieści — 1939 — jest niemal symboliczny. Tak ze względu na jej podsumowujący charakter, jak na ton katastroficzny, współbrzmiący z nastrojami literatury sprzed tragicznego września. Data wydania zaważyła zresztą na losach *Niecierpliwych*. Ta najlepsza powieść Nałkowskiej, pisarki nie tylko cenionej, ale — w moim mniemaniu — bardzo często przecenianej, pozostawała w mroku niemal niezauważona. Rok 1939 nie bardzo sprzyjał dyskusjom literackim, a wznowienie ukazało się wtedy (1946 r.), kiedy ten typ literatury zaczynał być spychany na margines. Wydaje mi się, że *Niecierpliwi* są najbardziej żywą, najbardziej aktualną artystycznie powieścią Nałkowskiej z jej bogatego dorobku literackiego.

Michał Głowiński

* Podkreślenie Nałkowskiej.

RĄBEK WŁOCH

A r t u r M i ę d z y r z e c k i: *Powrót do Sorrento*. Rysunki w tekście i na obwolucie: Tadeusz Kulisiewicz. Warszawa 1958. Ministerstwo Obrony Narodowej; str. 136.

Dzięki uroczej książce Artura Międzyrzeckiego *Powrót do Sorrento* wracamy po latach do Włoch i odświeżamy wspomnienia o Neapolu, Rzymie i Wenecji. Trzy najpiękniejsze miasta. Szkoda, że zostało pominięte jeszcze jedno najpiękniejsze miasto — Florencja. Pod względem arcydzieł malarstwa, rzeźby, architektury zagęszczenie tutaj jest nawet większe niż w Rzymie, można by mierzyć genialność na centymetry kwadratowe. Szkoda, tym bardziej szkoda, że autor ma swoje własne, wnikliwe, bardzo niebanalne spojrzenie. Ciekawe więc by było na pewno, co by Międzyrzecki napisał o niewykończonych *Więźniach* Michała Anioła, skazanych przez samego twórcę na wieczne nienarodzenie z łona białych bloków marmurowych; albo o jednym z najwspanialszych fresków Massaccia w kościele Santa Maria del Carmine; albo o wrotach Ghiberziego, nazwanych przez Michała Anioła wrotami do raju; albo o tysiącach innych arcydzieł, których dokładne obejrzenie wymaga całego ludzkiego życia. Trudno wybrać między takimi klejnotami, jak Rzym, Neapol, Wenecja. Mają one blask i uderzają od razu oczy. Florencja nie jest klejnotem o takim zewnętrznym połysku, na pierwsze wejrzenie wydaje się szara, ale dla mnie jest to miasto o najszlachetniejszym połysku.

Pięknie pisze Artur Międzyrzecki o sztuce włoskiej.

Na pewno dodatkowym urokiem książki jest mierzenie piętnastoletniego dystansu, jaki dzieli poetę Międzyrzeckiego od dwudziestoletniego chłopca w mundurze polskim, przebiegającego niecierpliwie najcenniejsze muzea świata, tak niecierpliwie, że nie dostrzegł ani Carpaccia, ani Giovanni Belliniego.

W tamtych latach „zapamiętałem z weneckiego muzeum Akademii przede wszystkim Tycjana, Veronese'a i Tintoretta, teraz stałem jak urzeczony przed obrazami Carpaccia i Giovanni Belliniego, odchodziłem wreszcie i powracałem do Ż y w o t a U r s z u l i i M a d o n n y c o l b a m b i n o b e n e d i c e n t e, patrząc na tę cudownie jasną, złoto-różową twarz w czarnym tle, gotów byłbym przysięgać, że jest to jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek na tej ziemi namalowano".

To, że piętnaście lat minęło, zanim je autor dostrzegł, było nie tylko wynikiem dawnej młodzieńczej niecierpliwości. To... ząb mądrości, który wyrasta z czasem.

Ale znacznie bardziej niszczący jest ząb czasu: umarł jakiś Marco, przyjaciel autora, a smukła kibić pani V., w której się kochał cały pułk ciężkiej artylerii, znikła teraz i — jak pisze niewdzięczny autor — „przymiotnik otyła zachowuje pewną dozę kurtuazji". Oczywista, muzea, gdzie eksponaty wystawione są w ogonku do wieczności, są bardziej odporne na ząb czasu niż ludzie.

O ludziach w *Powrocie do Sorrento*

jest bardzo wiele. Autor podsłuchuje rozmowy na ulicy, w pociągach, tramwajach. Chwyta jak czuły aparat migawki zabawne, pełne humoru i prostoty. Radość udziela się nawet turystom wysiadającym z dziesiątków i setek autobusów. Tu chyba panuje szczęście, w tym kraju. Ale jest to tylko pozór. Nawet tu, pod aksamitnym niebem, nie opuszcza człowieka stały towarzysz naszych czasów: smutek, a nawet ukryta rozpacz.

„A my tu żyjemy z dnia na dzień..." odpowiada beztrosko, zdawało by się, architekt neapolitański, znajomy autora z dawnych partyzanckich czasów. Międzyrzecki widział go schodzącego z gór jak kozica, a teraz, po piętnastu latach, młodzi chłopcy ustępują mu pierwszeństwa z racji wieku. Spotkali się po latach i nie mają już o czym mówić. Czas wyjaławia dusze ludzkie... („U nas jest to, a u was tamto, wy macie to, a my mamy owo, my nie mamy Piemontu, a wy nie macie Giewontu, bardzo to ładnie z waszej i naszej strony".) Nagle wydobywają się słowa intymne i bolesne o rzeczy nieuchronnej: zmęczeniu życiem, melancholii życia, uciekającym szybko czasie. Smutek wraca jak refren w spotkaniu z innymi dawnymi znajomymi. Pozorne jest szczęście na tle złotej pogody włoskiej. Czego jeszcze — zdawałoby się — mogą tutaj pragnąć ludzie? „Przypomniałem sobie widok z Capo di Sorrento, białą łódź, przybijającą do brzegów Capri, turkusową wodę w kamiennej misie nadmorskiej, zieloną, zmarszczaną lekko powierzchnię zatoki przy Ponte di Masso. Dochodziłem właśnie do wniosku, że poszukiwanie łaskawszych stron nie miałoby dla ludzi tutejszych żadnego właściwie sensu, gdy nastąpiło coś, co pomimo niewątpliwej błahości wydarzenia wprawiło mnie w zdumienie i dotąd przypominam sobie tę chwilę, ilekroć słyszę lub czytam o względności ludzkich pojęć, takich nawet, jak męstwo, cierpienie i szczęście." Przez megafon pompejańskiego dworca nadawano piosenkę: *Avere una casetta picolina in Canada*. Marzenie o zimnej Kanadzie. Wszędzie będą ludzie tęsknić, bo wszędzie będzie ludziom źle. Nawet Włochom pod Sorrento. Przeciwnie, im bliżej Sorrento, tym gorzej. Im bliżej południa, tym gorzej. Dlatego tu najwięcej jest marzeń o małym domku w Kanadzie. Tęsknota za podróżą trawi emigrację. „Emigracja jest nadal bolesnym naszym problemem — powiedział autorowi znajomy profesor.—Jest nas za dużo. Za dużo zwłaszcza na południu." Smutne. Smutne szczególnie na tle ulic, co pełne są „ludzi pogodnych, znających się na smaku życia, obdarzonych mądrością, której wiekowy sceptycyzm współżyje tak zdumiewająco zgodnie z przychylnością dla świata i skłonnością do uniesień".

Takich refleksji Międzyrzecki nie miał może piętnaście lat temu w Wenecji, wtedy, kiedy nie dostrzegał Carpaccia ani Giovanni Belliniego. Te piętnaście lat to okres wyjątkowych doświadczeń. Nic więc dziwnego, że autor dąży do uogólnień na temat sztuki i życia, gdy napotyka zjawiska dziwnie go niepokojące.

W Castel San Angelo więziono Benvenuto Celliniego. Ale obok w swej celi oczekiwał tortur Giordano Bruno. Piękna renesansowa sala Apollinowska miała otwory, przez które wyrzucano skazańców wprost do żółtych wód Tybru. A w tym samym czasie wielcy artyści pokrywali ściany tegoż Zamku św. Anioła wspaniałościami fresków. „W jakim stopniu — pyta autor — niepokoiły ich jako artystów owe mroczne studnie śmierci, które upiększali swoją dobrą robotą, nie dowiemy się nigdy." Nie ci, co upiększali ściany Zamku św. Anioła, ani też Tommaso Laureli, malujący plafony w służalczym stylu, byli naprawdę wielcy, nie oni przeszli do nieśmiertelności, ale potężny Michał Anioł, wspaniały Leonardo da Vinci, skromny Fra Angelico, pokorny Giotto i wielu innych, którzy tworzyli tak, jak dyktowało im własne serce, a nie kiesa księcia czy papieża. Ze służalczości nie wyrosła ani prawdziwa, ani dobra sztuka.

Takich to i wielu innych jeszcze problemów dotyka ta szczupłych rozmiarów książka Artura Międzyrzeckiego. Aż dziw bierze, gdzie on to wszystko pomieścił. Ale najbardziej jestem mu wdzięczny za to, że pomógł mi znowu ujrzeć rąbek Włoch.

Julian Stryjkowski

Stanisław Grochowiak: *Lamentnice*. Posłowiem opatrzył Stanisław Rembek. Warszawa 1958. „Pax"; str. 176.

Pierwszy tomik poezji Różewicza nosi tytuł *Niepokój*, usprawiedliwiony aż nadto całą prawie liryką tego poety aż do dnia dzisiejszego. U Białoszewskiego czytamy w *Obrotach rzeczy:*

Wieczorem złamałem grzebień.
W nocy bałem się
koguta-stróża
i zardzewiałej piły,
bałem się pisków swojego żołądka,
myliłem go z niewidzialną myszą
(Mój strach nie- i organiczny)

Ba, nawet Herbert, tak na pozór zrównoważony, tworzy przerażające wizje Sądu Ostatecznego, przypominające zresztą raczej historyczną rzeczywistość niż traktaty teologów.

Jest więc w tym zapewne wiele słuszności, gdy niedostępna lękom nocy ani lękom dnia, twarda, mocna i mężna recenzentka pisze: „Obraz współczesności to dla wielu kierunek na histerię". Rzeczywiście — czy coś już takiego jest w atmosferze epoki lub jej realiach bardziej określonych, czy też literatura, nie uwarunkowana niczym innym, jak tylko rozstrojem nerwowym albo kabotynizmem poetów (a tak zdaje się mniemać w swym artykule Janina Preger), ma już taką neurasteniczną predylekcję, dość że my, nieszczęśni czytelnicy książek, zamiast znaleźć w nich ucieczkę przed życiem i zawikłanymi problemami współczesności, zamiast mieć w nich równie skuteczne lekarstwo na nasze nerwice, jak largactil i hula-hoop, sami stajemy się nieomal histerykami, jeśli już przed lekturą nimi nie byliśmy. Przyjąłbym więc etykietkę „histeria" dla tej postawy i manifestujących ją utworów, choć brzmi to na pozór obraźliwie — i choć zresztą intencja sformułowania była zapewne taka.

Do nowego tomiku prozy Grochowiaka może bym nie od razu trafił, chociaż cenię wysoko jego liryki pt. *Menuet z pogrzebaczem*. Nie znałem jego *Plebanii z magnoliami*, a po prozę młodych poetów sięgam niechętnie: proza wymaga większej „dojrzałości życiowej" — w najbardziej potocznym znaczeniu tego zwrotu — niż liryka, której może niejednokrotnie wystarczyć wrażliwość poety, nie znającego zresztą świata i innych ludzi poza sobą. Zwróciła jednak moją uwagę obfita bibliografia dotycząca tomiku i jego autora (3 pozycje w dwóch kolejnych numerach tygodnika literackiego o najwyższym nakładzie w tym kraju), a wyprzedzająca nieco fakt ukazania się tej niewinnie wyglądającej książeczki o ładnej, atrakcyjnej obwolucie na wystawach księgarń. Doświadczenie uczy bowiem, że nie należy lekceważyć takich wskaźników statystyczno-bibliograficznych. Lektura nie przyniosła rozczarowań.

Lamentnice — to tom poświęcony tropieniu absolutnych wartości, proza obsesyjna i dramatyczna zarazem. Obsesją jest nieustanna obecność w *Lamentnicach* przeświadczenia, że realne istnienie obiektywnych, absolutnych wartości nie jest urojeniem, lecz empiryczną prawdą o życiu, że tą lub ową drogą człowiek dochodzi kiedyś nagle do konieczności dania odpowiedzi na pytanie o wartość w życiu ostateczną — i że odpowiedź na to dać musi, a przynajmniej powinien jej szukać, bo i tak przeważnie wszystko kończy się na szukaniu („Jak ksiądz Gaweł był już wariat, powiedział mi: »Szukajcie, a znajdziecie...«. Więc szukam." — *Komendantowa*). Obsesją jest też poczucie, że ów moment zamknięcia bilansu życiowego nie jest odległy — lecz grozi natychmiast, że już się zaczyna lub zacznie lada chwila. To jest chyba ów moment ideowy, podniesiony przez trzech młodych pisarzy, Grochowiaka, Krzysztonia i Terieckiego, w rozmowie z Jerzym Putramentem podczas audycji „W literackiej kawiarni". „Jesteśmy za literaturą spraw ostatecznych, literaturą eschatologiczną" (Jan Mietkowski: *Gościec stawowy przeciw eschatologii. Trybuna Literacka*, 1959, nr 3). Dramatem zaś jest w *Lamentnicach* owo nieustanne ścieranie się war-

tości absolutnej, a czasem jej cienia zaledwie lub tylko tęsknoty do niej czy tylko jej przeczucia — ze złudnymi pozorami świata przeróżnych fenomenów, zarówno zewnętrznych, określających świat, jak i wewnętrznych, określających „ja" bohatera, narratora czy też może samego poety. Tu kryje się też owo rozszczepienie, nieustabilizowanie i wieloznaczność, chwiejność wypadkowej sprzecznych sił, które rzeczywiście prozę tę rozdzierają i nadają jej drugą cechę histerii — drugą, gdyż pierwszą była obsesja eschatologii, a jeszcze bardziej obsesja tego, że rzeczywistość stawia bez przerwy problem eschatologii na naczelnym miejscu, nie pozwalając go odsunąć w daleką, choć nieuniknioną przyszłość.

Gdzie szukać w opowiadaniach Grochowiaka owych ideologicznych point, określających jego filozofię dążenia do wartości absolutnej? Najmniej tu dać może analiza *Skolopendry* i *Czarnej żony:* te dwa opowiadania wyrażają raczej lęk niż próbę ontologicznej rekonstrukcji. W *Komendantowej* klucza trzeba szukać w dramacie walki między Bogiem księdza Gawła i Bogiem Komendantowej, zwanej też Notre-Dame. W *Księżycu* jest to eschatologiczna tęsknota, wyrażona wierszem prowadzonego na rozstrzelanie Fiodora: „Będę tam czekał na Morzu Ciemności, Zimny — na strugę twych gorących włosów" — tęsknota, jak się okazuje, zaraźliwa i nieunikniona. W *Lamentnicach* — to już po prostu katolicka Maria. Matka Boża — i osaczające zewsząd Annę niebo. W *Mordzie* — szaleńcze pragnienie osądu i ludzkiej miłości, „zwykła ludzka bieda". W *Gordzie* wreszcie — to daremne szukanie pierwszej miłości, silniejszej niż całe życie, szukanie, które nagle okazuje się walką z Bogiem.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że mamy do czynienia z pisarzem katolickim. Jest to zresztą element, który mi ułatwia zachowanie dystansu wobec tej prozy, tak poza tym bezpośrednio i silnie trafiającej w splątane nitki psychoz i neuroz, których moje pokolenie, starsze nieco od pokolenia autora *Lamentnic,* niemało nałapało w swej wcale już bogatej biografii. Zastanawiam się, skąd czerpię obojętność wobec tak obcego mi wątku ideowego, obojętność, która pozwala mi pozytywnie percypować i oceniać tom jako całość. Odpowiedzi są trzy, równie ważne: po pierwsze — nie traktujemy jednak dziś już literatury aż tak poważnie, niestety, by jej propozycje ontologiczne miały dla nas inny stopień fikcyjności niż perypetie również fikcyjnych bohaterów opowiadań; bardziej to przeżywamy emocjonalnie i intelektualnie — niż przyjmujemy do wiadomości jako filozofię *sensu stricto*; po drugie — szukanie, zupełnie zresztą daremne, a i zbędne zarówno z praktycznego, jak i teoretycznego punktu widzenia, odpowiedzi na pytania, które są klasycznym arsenałem filozofii — jednak wzrusza nie mniej niż każdy obraz daremnego szamotania się człowieka w świecie, choćby propozycje zawarte w tych próbach odpowiedzi były niesympatyczne dla czytelnika z jego punktu widzenia; a po trzecie — proza Grochowiaka, jasna i klarowna ideologicznie — nie jest apostolska; jest tylko propozycją, którą można odrzucić jak wiele innych, nie narażając się na inkwizytorskie konsekwencje. Określenie ideowej postawy tej prozy jako katolicyzmu niewiele jeszcze wyjaśnia, choć już najogólniej wskazuje kierunek dalszych poszukiwań i analiz. Najistotniejsze problemy swej filozofii zawarł chyba Grochowiak w opowiadaniach *Komendantowa* i *Gorda.* Tu przede wszystkim konstytuują się jego ontologia i aksjologia. Ranga *Lamentnic,* opowiadania, które nadało tytuł tomikowi — jest z tego punktu widzenia raczej pozorna: sądzę, że autor chciał po prostu w ten sposób dać klucz do dalszych poszukiwań, zwracając nieco natrętnie uwagę czytelnika na utwór szczególnie jednoznaczny pod względem możliwości zaszeregowania go do określonej postawy ideologicznej. W decyzji tej była zamierzona ostentacja i chyba tylko tyle. Problematyka opowiadania *Lamentnice* dużo bogaciej i wszechstronniej zawarta jest w *Komendantowej* i *Gordzie.*

Mimo bardzo niepodobnego sztafażu tych dwóch opowiadań, zupełnie różnych wątków fabularnych, a nawet pozornego braku jakiejkolwiek łączności między ich podstawowymi zagadnieniami — mają one łatwy do wykrycia wspólny mianownik: to problem konfliktu między dwoma po-

rządkami wartości, określanych w jednym i drugim wypadku tym samym teocentrycznym celem — między skażonym ludzką niedoskonałością porządkiem naturalnym i nadprzyrodzonym porządkiem boskim. Rozwiązanie konfliktu może być, zgodnie z teologią katolicką, tylko jedno: jest nim łaska.

Cała ta problematyka postawiona jest i rozwiązana w kategoriach augustynizmu. To ciekawe, jak dalece oficjalna doktryna kościoła, tomizm, nieprzydatna jest i nieatrakcyjna dla współczesnych artystów katolickich — jak dalece żywotna jest w ich poszukiwaniach doktryna biskupa z Hippony.

Augustyńskie jest więc u Grochowiaka przeciwstawienie Boga Komendantowej — i za trudnego dla grupy na wpół zezwierzęconych partyzantów Boga księdza Gawła. Bóg pierwszy — to cel nieoświeconego Łaską, naturalnego dążenia ludzkiego, Bóg drugi, rozporządzający sakramentami i ich mocą — to oficjalny Bóg kościoła katolickiego. Jego to szuka bohater opowiadania — i jego szuka Komendantowa. Augustyńska jest też walka Gordy z Chrystusem, ukrytym w ludzkiej postaci księdza — walka o wolność i o szansę znalezienia swej prawdziwej — choć urojonej, jak w tym miejscu opowiadania wie już czytelnik — wartości życiowej: pierwszej miłości. Augustyński jest dalej u Grochowiaka jego psychologizm, tak jak w *Wyznaniach* wynikajacy z postawienia naprzeciw siebie Boga i ludzkiej duszy i zlekceważenia zewnętrznych fenomenów. Ten psychologizm powoduje, że realia historyczne są u Grochowiaka podatne jak plastelina, służebne wobec zasadniczego dramatu. Już zgłaszała o to do niego pretensje krytyka, zapytując, kto widział taką właśnie partyzantkę, itd. Ale Grochowiak nie przejmie się chyba tym zarzutem: historia, o której pisze, jest dla niego już legendarna — a nie widzi on powodów, dla których to, co już było, miałoby być mniej plastyczne wobec twórcy, niż to, co jest. Jak zwykle, miarą w sztuce może być tylko sugestywność wizji. Chyba zaś ma rację autor posłowia piszac o niemożności wyzwolenia się od narzucających przez prozę Grochowiaka obrazów.

Natomiast nie wiem, czy augustyński jest optymizm Grochowiaka. Tak, oczywiście, optymizm. Przypisywanie pesymizmu autorowi *Lamentnic* można wytłumaczyć tylko absolutną bezradnością krytyków wobec immanentnej problematyki tomu. Centralny zaś jest w nim problem stosunku do Boga i problem Łaski. Tu autor, wbrew Augustynowi, otwiera perspektywę zbawienia dla każdego. Chyba nikt nie będzie potępiony, każdy znajdzie siebie i swój cel. I może zresztą taka właśnie mogłaby być konsekwencja nauki Augustyna o nierealności zła, będącego tylko brakiem dobra, gdyby nie to, że doktryna ta jest w równym co najmniej stopniu zintelektualizowanym systemem — co ekspansją rozdwojonej osobowości, żyjącej w nieustannej fascynacji manichejską walką światła i ciemności. W historii filozofii jednak ten eschatologiczny optymizm jest raczej własnością Grzegorza z Nyssy, logiczniejszego chyba w tym punkcie niż Augustyn, spodziewającego się powszechnego zbawienia, apokatastazy, powszechnego powrotu do Boga.

Ten wątek estachologiczny, zaczerpnięty również z patrystyki, jest na tle augustyńskich tendencji współczesnej literatury katolickiej zupełnie oryginalny. Raczej spotykamy dziś stanowisko takie, jak u Mauriaca (którego augustynizm wyprowadzany jest na ogół przez krytykę z siedemnastowiecznej postaci tej filozofii, z jansenizmu), stanowisko znajdujące się już tuż-tuż od krawędzi kalwińskiej herezji.

A więc jest i optymizm, którego tak uparcie domaga się w jeszcze jednej pozycji bibliograficznej, zahaczającej o Grochowiaka, mój stary przyjaciel. Myślicie z pewnością, że jest to człowiek pełen entuzjazmu i radości. Otóż — nie. Śmiało mogę stwierdzić, że niewielu znam ludzi o usposobieniu tak sceptycznym i indyferentnym. Dopiero przy biurku staje się kimś innym — dziarskim doboszem bijącym w optymistyczny bęben Historii.

Prawdą jest też jednak, że optymizm ten ma charakter eschatologiczny. Doczesność, nasze dziś — to groza, męka, walka i szaleństwo. „Pokój szczęśliwość, ale bojowanie byt nasz podniebny" — to motto mógłby umieścić poeta obok tytułu. Mógłby też, neurastenik i histeryk — umieś-

cić motto z innego jeszcze poety, jakżeż pasujące do jego prozy: „Apokalipsowego nosim w sobie zwierza".

Bo to nieprawda, że najistotniejsze pokrewieństwo literackie łączy tę prozę z Amerykanami. Nic podobnego! Jej rzeczowość jest zbyt podminowana augustyńską mistyką, jej groza ma źródło raczej w postawie tak charakterystycznej dla przytoczonego tu cytatu ze Słowackiego — niż w najbardziej terrorystycznych fragmentach prozy amerykańskiej. Najbliższa tradycja artystyczna tej literatury to właśnie polski romantyzm, a ściślej: Słowacki, bo nie Mickiewicz, oczywiście. Tak, ten histeryk, mistyk, jeden z najbardziej makabrycznych poetów świata (przypomnijmy sobie choćby nekrofilskie motywy jego poezji, by porównać je ze *Skolopendrą*), autor *Snu Srebrnego Salomei* i *Króla Ducha*.

Taka jest literacka parantela histerii Grochowiaka (radziłbym poecie i innym mu pokrewnym, by z tego określenia zrobili sobie sztandar), ale jest chyba i parantela bliższa, pozaliteracka, tkwiąca głęboko w psychozach naszego czasu. Cenię i podziwiam zrównoważenie Janiny Preger, ale przyznam się, że czytając *Czarną żonę* i jej słowa: „Będziesz szedł przez puste pole i niósł ciało Stefanka bez głowy", otrząsam się ze strachu. Nie wstydzę się mojego lęku: mam do niego powody. Też chciałbym skryć się w „Australii" przed snami, w których, jak wszyscy moi współcześni, widzę eksplozje atomowe. Miło mi, że Janinie Preger jest to wszystko obce, ale sympatyzuję raczej z autorem *Lamentnic*. No cóż — my, histerycy...

Jan Józef Lipski

OŚWIĘCIM, ŻYCIE, IDEOLOGIA

Tadeusz Hołuj: *Koniec naszego świata*. Warszawa 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 516.

Hitlerowski obóz koncentracyjny jako zjawisko historyczne i społeczne był w powojennych latach literatury tematem numer 1. Łatwo powiedzieć dlaczego: stanowił on przecież symbol wojennego koszmaru, czysty opis życia i tortur stawał się równy najbardziej wyrafinowanej w okrucieństwie fantazji, sam z siebie stanowił już fascynującą swą grozą anegdotę, swoistą piekielną egzotykę. Opisując życie w obozie literatura zaspokajała jednak potrzeby nie swoje, lecz innej natury: informacyjne, reportażowe, pisarze przejmowali najczęściej rolę kroniki filmowej, markując tylko literaturę wprowadzeniem postaci. Bowiem literatura w istocie rzeczy wstydzi się egzotyki. Jeśli z niej jednak bardzo chętnie korzysta, to dla potrzeb nadrzędnych, gdyż szczególne warunki otoczenia, epoki itp. wydobywają wyraziściej pewne jakości życia ludzkiego, o które pisarzowi chodzi. Sam wybór scenerii powieściowej jest po trosze symbolem, metaforą, zwraca uwagę na niektóre sprawy: na to np., że nie wiemy, co jest za murem, albo że każdej chwili oczekujemy śmierci. Literatura często udaje egzotykę, aby mogła spełnić swą rolę pokazania życia najbardziej zwykłego i codziennego, które umyka naszej spostrzegawczości. Konsekwentna i „serio" traktowana egzotyka musiałaby w końcu doprowadzić do sytuacji, w której prawa i konflikty naszego życia przestają obowiązywać — a to musiałoby ją rozbroić i zniszczyć.

Toteż pisarz wracający do tematu obozu koncentracyjnego powinien pamiętać, że jeśli chodzi o egzotyczność środowiska — sprawa jest załatwiona i sama w sobie szansy literackiej nie daje. Mnożenie informacji o różnych typach baraków, funkcjach obozowych, obyczajach, normach i tysiącznych szczegółach codziennego życia — nie jest już sprawą pisarza, to pozostawić powinien pamiętnikarzom, socjologom i w ogóle ludziom gromadzącym źródła i materiały historyczne. Natomiast obóz traktowany jako sceneria życia, konfliktów wewnętrznych, przeróżnych procesów duchowych przebiegających w tych warunkach ze znacznie większą

intensywnością — to, rzecz jasna, szansa wiecznie otwarta.

Tadeusz Hołuj rozwiązał w swej powieści tę sprawę raczej mgliście. Zamysł całości świadczy, że intencją autora było napisać powieść, a więc przedstawić losy bohaterów, dać im pełne wyposażenie duchowe, włożyć w ich życie romans, heroizm, zwycięstwa, klęski. Dać sugestię pełnego życia. Pełnia pod tym względem nie może oczywiście oznaczać nic innego, jak analogię do życia we wszystkich innych warunkach, do życia, któremu żadne istotne wartości nie są odebrane.

Z drugiej strony autor znajduje się jednak pod bardzo silną sugestią oświęcimskiej egzotyki, ulega bezustannie pasji informacji, dokładnego opowiadania o wszystkim, cokolwiek przeżył jego bohater wraz z grupą zbliżonych do niego ludzi. Autor czyni to bez wyboru, bez selekcji materiału, mnoży sceny i scenki, które nie pełnią żadnej roli w koncepcji całości, o czym wspominał także w swej recenzji w *Życiu Literackim* Jerzy Kwiatkowski. Autor ulega w pewnym stopniu potrzebom pamiętnika i wpada w tok narracji pamiętnikarskiej, w której szczegół przestaje pełnić funkcję artystyczną, a wprowadzony został dlatego tylko, że się zdarzył, że fakt trzeba przypomnieć, odtworzyć, opisać, gdyż suma takich faktów stwarza życie albo stwarza sugestię epicką. Stwarza albo nie — to zależy od umiejętności nadania losom nadrzędnej roli, ogólnego znaczenia. Aby to rozstrzygnąć, przypatrzmy się bliżej losom bohaterów.

Henryk Bednarek, młody, ale już dość znany publicysta, próbuje samodzielnie odpowiedzieć sobie na pytanie, jaką postawę przyjąć należy wobec faktu okupacji. Bednarek odpowiada teorią o biernym, ale konsekwentnym oporze wszystkich. Zadaniem Polaków wobec perspektyw wojny Niemiec z ZSRR jest zachować wszystkie siły na przyszłość. Bohater dostaje się jednak do Oświęcimia. Znalazłszy się w obozie i doświadczywszy pomocy i ratunku ze strony współwięźniów, którzy doceniali wartość jego osoby, Bednarek, noszący teraz nazwisko Matula, zaczyna tęsknić do konspiracyjnego działania, do czynu, do walki. Po wielu perypetiach wciąga się do organizacji obozowej, przy czym jego poglądy radykalizują się. W końcu powieści bohater jest doświadczonym konspiratorem-komunistą.

To pierwszy i chyba najważniejszy wątek powieści, który spełnia funkcję — by tak rzec — ideologiczną. Niezależny humanista (bo teoria Bednarka mimo zbieżności z ideologią Delegatury jest innej, intelektualnej proweniencji) zaczyna rozumieć, że prawdziwy humanizm leży w postawie czynnego sprzeciwu, walki ze złem. Zstąpienie na ziemię i poznanie rozmiarów krzywdy zmienia duszę bohatera, pokazuje mu walkę i ofiarę, daje szerszy czy też bardziej ludzki sens jego ideałom i wewnętrznym potrzebom. Z jednej strony można tu odczytać niedalekie odbicie pewnego wzoru literackiego, lansowanego w okresie socrealizmu: zbliżenie do życia prowadzi do radykalizacji poglądów, uczciwy i konsekwentny człowiek poznając życie, wielkość krzywdy i nędzy musi dojść do komunizmu.

Z drugiej zaś strony w wątku tym odbija się także pewien znacznie starszy motyw literatury, pochodzący chyba jeszcze z Ewangelii: bohater zstępuje do ziemskiego piekła, by poznawszy je zareagować na nie czynem, ofiarą, zbawieniem. Polska literatura romantyczna wybrała sobie ten motyw, podłożywszy pod niego swoje własne miłosne i narodowe idee. Nawet zmiana nazwiska znanego już publicysty na inne, jakieś w samym brzmieniu parweniuszowskie, plebejskie, symbolizuje tę przemianę wewnętrzną, której doświadczył Mickiewiczowski Gustaw. Bohater Hołuja zaczyna jak gdyby swe życie od początku, zaprzecza stopniowo swym postępowaniem wszystkiemu, o czym poprzednio pisał. Autor zesłał Henryka Bednarka do obozu za czyn trochę literacki: bohater ujął się na ulicy za kobietą bitą przez umundurowanego Niemca. Narysowany więc został jako istota czysta, bez skazy na swoim niezależnym humanizmie. W obozie jednakże, rozpocząwszy działalność konspiracyjną, Henryk powala sobie ręce nie jeden raz. Kto działa, musi grzeszyć, ten tylko może nie grzeszyć, kto nic nie robi. Bednarek-Matula jest przez jakiś czas tzw. blokowym i daje się wtedy poznać jako osobnik surowy, a nawet okrutny. Razem z autorem gotowiśmy jednak znaleźć dla niego wytłumaczenie: kto chce ochronić cały blok, musi zapobiegać naruszeniom norm, karać samowolę.

Drugim wątkiem jest romans bohatera i perypetie z tym związane. Kiedy Bednarek zmienił nazwisko, żonę jego zawiadomiły władze obozu o śmierci męża. Uwierzyła tej wiadomości i wyszła powtórnie za mąż. W jakiś czas później sama znalazła się w Oświęcimiu razem ze swoim drugim mężem. Ten ginie przy jakiejś wybiórce. Wkrótce potem Maryjka spotyka się z Henrykiem. O dawnej miłości nie ma już jednak mowy, Maryjka jest zrezygnowana, nie wierzy życiu, nie żywi nadziei. Pod koniec powieści i ona ginie. Ten nurt wydarzeń robi wrażenie najbardziej wymyślone, literackie. Taka rzecz mogła się nawet zdarzyć, ale w sprawę Bednarka nic ona nie wnosi. Ani osobowości bohatera to nie wzbogaca, ani nie komplikuje akcji, ani nawet specjalnie nie zaciekawia. Autor przywiązuje dużą wagę do spotkań bohatera z żoną, ciągle jest o nich mowa, czeka się na nie, bohater się niecierpliwi. A potem jakoś nic z tego nie wynika, historia rozłazi się niczego nie oświetlając, żadnych rezultatów życiowych ani literackich nie przynosząc. Hołuj bowiem nie zatroszczył się, aby wydarzenia przenieść jakoś w sferę duchową postaci, uczynić z szeregu obiektywnych faktów — dramat wewnętrzny, nadać im kształt i wagę takiego dramatu. Samo ułożenie faktów, ani szczególnie frapujące, ani odkrywcze, załatwić tego nie może, czytelnik myśli czasem wręcz, że nie jest to chyba takie ważne, skoro i postaciom nic zasadniczego nie przynosi.

Życie w obozie koncentracyjnym można byłoby w ogóle pokazać w dwu perspektywach: najpierw jako koszmar, który nie dociera w pełni do świadomości bohaterów. Postaci bowiem pragną się bronić zawężeniem życia wewnętrznego, unaiwnieniem, zamianą duszy ludzkiej w duszę czysto wegetatywną. Kto był w obozie, wie, że taką metodę stosowało wielu ludzi, że udawało nawet wobec siebie głupszych i bardziej ograniczonych, brało udział w misteriach obłudnych nadziei i nie chciało widzieć otaczającej rzeczywistości, a w każdym razie myśleć o niej. Taka powieść jest bez wątpienia do napisania.

Hołuj wybiera jednak metodę inną: jego bohaterowie budują swoją egzystencję na tym właśnie, że wszystko widzą, wszystko uwzględniają i za wszystko biorą po swojemu, na swoją miarę odpowiedzialność. Chcą poznać swój świat do końca, chcą zaangażować się do końca, tworzą konspirację, przygotowują bunt, nie chcą wyrzec się za żadną cenę praw i piękna ludzkiego życia. Autor interesuje się przede wszystkim takimi, którzy konspirują, potem zostają wykryci, wzywani są do badania, wsadzani do bunkra, którzy żyją walką, czynem, działaniem — bez okłamywania się mitami, a także bez uników i prób izolowania się. Postaci Hołuja, a zwłaszcza jego bohaterowie, uważają za swój obowiązek walczyć z podobnym „uciekaniem od rzeczywistości". Ale to znów wymagałoby innej koncepcji literackiej, jakiejś psychologii postaci, jakiegoś narysowania ich duszy, skonstruowania ich świadomości. A pisarz tego jakby unikał, jakby nie umiał. Wszystkie fakty, które pokazał, nie mają swego planu subiektywnego, każą recenzentowi mówić o nadmiarze reportażowości, a jednocześnie odbierają książce walor bardzo istotny i konieczny: jedność duchową każdej z postaci, nie pozwalają czytelnikowi na zrozumienie tej jedności. U Hołuja dzieje się tyle rzeczy, że we wrażeniu czytelniczym przede wszystkim ta wielość zostaje, a syntezy, skupienia, sprawy nadrzędnej, generalnej sugestii zdaje się brakować. W tej mierze poprzestaje autor na pewnych wątkach znanych, już w literaturze istniejących, przetwarzanych, odświeżanych, niewiele od siebie dodając. Zdaje się, że płynie to właśnie z braku subiektywnego planu całości, losy postaci układają się — być może — w jakieś nadrzędne sensy, ale one same tej świadomości nie mają, nic jakby z tego nie rozumieją. Ich decyzje są jakieś doraźne, podejmowane jak gdyby przypadkowo, nie mają trwałego zaplecza w temperamencie, psychologii, potrzebach wewnętrznych. Można by tu mówić o behawioryzmie, gdyby intencja autora nie była wyraźnie ideologiczna, tylko że ideologia jest dla postaci jedynie sprawą doraźnych gestów, trwałe skłonności czy dyspozycje duchowe z niej nie wynikają. Za dużo faktów, za mało w nich znaczeń.

Jest jeszcze trzeci nurt, trzecia sprawa autorska, którą pozostawiłem na koniec, bo ona udała się autorowi najlepiej. Hołuj pokazał poza czy między konstrukcjami losów postaci, że w Oświęcimiu prócz koszmaru zagłady istniało po prostu normalne, ludzkie

życie. Że każdy musiał w jakiś sposób istnieć, a więc coś robić, że jedni oddawali się szlachetnej walce konspiracyjnej, wykonywali zadania, wyroki, napełniali się godnością, inni dbali o karierę, o awans, o funkcję, schlebiali władzom obozowym, a jeszcze inni po prostu żyli, ani tam, ani tu się nie angażując. Że obóz musiał być przez większość traktowany jako normalne życie i właśnie dlatego nie pozwalał tej większości poddawać się potworności, ale na przekór im handlować, dbać o ubranie, jedzenie, pisać listy, nawiązywać znajomości. Najsilniejsze wrażenie zrobiła na mnie scena, w której grupa więźniów konferuje o jakichś profitach kombinacyjno-bytowych, a obok słychać okrzyki rozstrzeliwanych: „Niech żyje Polska!". Ci praktyczni odnoszą się do tamtych z szacunkiem, wcale z nich nie drwią. Wiedzą tylko, że poza tamtym bohaterstwem są rzeczy istotne i może najważniejsze: trzeba jeść, spać, mieć jaką taką odzież, dbać o zdrowie, a tamto jest luksusem duchowym lub manią, albo po prostu sposobem nadawania życiu większej wagi, niż ma ono w rzeczywistości... Nie wiem zresztą, czy autor nie zaprotestowałby przeciw podobnej interpretacji. Ale i tę sugestię można w tekście odczytać i to jest w nim dla mnie najciekawsze.

Włodzimierz Maciąg

KRÓLESTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Marek Nowakowski: *Ten stary złodziej*. Opowiadania. Warszawa 1958. „Czytelnik"; str. 166.

Od roku 1956 nie było u nas naprawdę interesującego debiutu w prozie. Pierwsze książki Moniki Kotowskiej, Magdaleny Leji, Aleksandra Minkowskiego, Eugeniusza Kabatca były mniej lub więcej bladym odbiciem cudzego buntu wobec życia i to tylko dlatego, że bunt był w modzie. Gdy moda się zmieniła, młodzi autorzy bez głębszych konfliktów szukają innych perspektyw dla swego pisarstwa. Minkowski i Kabatc próbują dziś szczęścia w beletrystyce obliczonej na gusty czytelników pism typu „ekspresowego". Leja boryka się z wdziękiem pensjonarki z trudnościami wyboru drogi twórczej, jedynie Kotowska szuka własnego tonu w tym wszystkim, co stanowiło punkt wyjścia w jej debiucie *Bóg dla mnie stworzył świat*. Może dlatego zresztą jej druga książka zawisła w próżni. Ambitniej jednak grać na okarynie niż nakręcać gramofon.

W najnowszych debiutach (mam na myśli zwłaszcza Stanisława Grochowiaka *Lamentnice* i Władysława Terleckiego *Podróż na wierzchołku nocy*) nakręca się gramofon z płytami muzyki poważnej. Zamiast melodii *Dzień jak co dzień* czy, jak ostatnio, *Co będzie, to będzie* słyszy się więc płyty z dobrymi nagraniami. Tuba nie gwarantuje wprawdzie czystego tonu, ale chodzi tu przecież nie o prawdziwy koncert, lecz o manifestację gustu. Młodzi autorzy dają znać, że lubią Kafkę, Faulknera, Camusa. Jeśli jest to wyraz prawdziwego upodobania, a nie snobizmu, wszystko jest w najlepszym porządku. Terlecki dysponuje zresztą adapterem i płytami najlepszej próby. W doborze i układzie płyt *Podróży na wierzchołku nocy* przejawia się wcale interesująca indywidualność Terleckiego.

Na tym tle debiut Marka Nowakowskiego *Ten stary złodziej* jest wydarzeniem pierwszoplanowym. Powiedziałbym nawet, niespodziewanym i zaskakującym. U Nowakowskiego wszystko jest jego własne: świat, który przedstawia, sposób, w jaki to robi, konflikty, z jakimi się boryka, postawa, jaką wobec wszystkiego zajmuje. Przyznaję to z tym większą satysfakcją, że nie zawsze go rozumiem, a jeszcze rzadziej się z nim zgadzam. Gdy przed laty witałem książkę nowego autora okrzykiem „Nowy duch i forma nowa", był to okrzyk szczerego entuzjazmu i absolutnej solidarności. Nowakowski nie wzbudza entuzjazmu, wyklucza pełną solidarność, zmusza natomiast do refleksji i każe się z sobą liczyć. Co

najwyżej można go dobrze rozumieć, co najwyżej można się z nim porozumieć w takim czy innym zakresie wspólnych spraw. Chęć zrozumienia i potrzeba porozumienia to jedyne reakcje, na jakie można się zdobyć po lekturze jego książki. Niczego innego zresztą Nowakowski — zdaje się — nie oczekuje. Entuzjazm jest funkcją miłości czy przyjaźni, a tego typu zjawiska dla Nowakowskiego nie istnieją. Ludzie u niego nie kochają się i nie przyjaźnią, są w najlepszym razie „kumplami" w zakresie zaspokajania takich czy innych praktycznych potrzeb egzystencji. „Kumplostwo" jak najpraktyczniej rozumiane jest dla niego szczytem porozumienia międzyludzkiego, co więcej, ideałem stosunków międzyludzkich. Pierwsze zdanie książki Nowakowskiego brzmi jak manifest jego postawy moralnej: „Na Annopolu doliniarze powiadają: »Wspólnik jest jak brat.«". A brat nie znaczy u niego więcej niż wspólnik w kręgu spraw osobistych i rodzinnych. Żony są u Nowakowskiego wspólnikami mężów, matki synów, mężczyźni i kobiety zawierają kumplostwo z innymi kobietami i mężczyznami dla jakiegoś wspólnego interesu i tylko w zakresie tego wspólnego interesu.

Wydawało mi się początkowo, że jest w tym nawet jakaś romantyka kumplostwa, jakaś idealizacja środowiskowej czy klanowej solidarności, pojętej w sposób idealny i uznawanej za niepodważalną. Byłoby to jakieś sentymentalno-conradowskie niebo nad ziemią bezwzględnych praw życia. Tak wszakże nie jest. W świecie Nowakowskiego nie ma absolutnie miejsca na żadne sentymenty. Sentymenty są u niego oznaką niepełnowartościowości.

Trzyczwartak jest człowiekiem niepełnowartościowym nie dlatego, że nie ma smykałki do ściągania zegarków, lecz z tego przede wszystkim powodu, że nie rozumie kumplostwa tak jak trzeba. Skoro mu się nie wiodło w życiu, powinien przyjmować zegarki od kumpla i patrzeć przez palce na jego stosunki z żoną. Jego kumpel załatwiał przecież uczciwie interes. Jego małżeństwo powinno być przecież sprawą czystego interesu. Chłopem na trzy czwarte nazwano go nie bez przyczyny.

Ćwieka w głowę wbił mi Nowakowski opowiadaniem *Przymałe buty*. Sądziłem początkowo, że kolejarz Bolo jest jego człowiekiem od serca, a Rudzielec sprzeniewierzył się zasadzie solidarności. Tymczasem Bolo jest po prostu sentymentalnym „frajerem", wobec którego zasady kumplostwa nie mogą obowiązywać. Rudy nie może tu widzieć żadnych podstaw do kumplostwa i solidarności. „— Ani kapuś — warknął — ani... — Z hałasem odstawił kufel. Barmanka zmierzyła go nieprzyjaźnie. — Trąba — mruknął — trąba... — I uśmiechnął się krzywo" (str. 163). Tym samym usprawiedliwił się z przyszłej kradzieży butów, pozwalając sobie od razu na kpinę i szyderstwo. „ — Pan — mówił uroczyście — to chłop wyrozumiały — uśmiechnął się. — Jak ci w opiece — chichotał — tylko tam same kobity takie są współczujące" (str. 163).

Sprawa z kobietami współczującymi jest dla Rudego śmieszna, ale zrozumiała. Pociąg seksualny jest takim samym uzasadnieniem kumplostwa, jak każdy inny interes. Z kumplostwa na tej zasadzie opartego mogą wypływać nawet najważniejsze obowiązki moralne. W opowiadaniu *Drewniaki... albo dziewczyna kapusia* jest rozważony bardzo istotny konflikt moralny. Dziewczyna nie może nie solidaryzować się z kumplami środowiskowymi w pogardzie dla kapusia. Kapuś znaczy przecież coś najgorszego. Coś takiego, jak zdrada ojczyzny. Jak wiadomo ze starej literatury, między miłością ojczyzny a miłością kochanka wybór jest tylko jeden. Między miłością ojczyzny a miłością zdrajcy nie ma w ogóle żadnego wyboru: wynik jest z góry przesądzony. Dziewczyna kapusia nie uznaje jednak żadnych abstrakcyjnych zasad. Dla niej kumplostwo seksualne jest akurat ważniejsze niż kumplostwo środowiskowe. „— I włosy — mówiła miękko — długie, falujące... A na szyi czarny pieprzyk... mało który chłop ma taki pieprzyk... Tak, tak — dodała, zobaczywszy kpiącą gębę małego — wielu już znałam i żaden... W ogóle... — zakończyła gwałtownie" (str. 19). I co dziwniejsze, kumple środowiskowi przyjmą jej decyzję z niekłamanym uznaniem. „Charakterna — pomyślał z uznaniem chudy — charakterna, jak mało kto..." (str. 22). A znaczy to tylko, że dla dziewczyny w określonej sytuacji forma kumplostwa seksualnego była ważniejsza niż wszystko inne. A mogłoby przecież równie dobrze być całkiem

inaczej. I jest w wielu innych opowiadaniach.

W najrozmaitszych sytuacjach życiowych podstawy kumplostwa są najrozmaitsze i o ich hierarchii decyduje indywidualny interes. Stary Tapeta nie może przedłużyć swojej egzystencji na zasadzie kumplostwa seksualnego i dlatego nie ma pretensji do swojej kobiety, że na jego miejsce przychodzi ktoś inny. Tapeta postawił na kumplostwo między nauczycielem a uczniem złodziejskiego fachu i wygrał, ponieważ w świecie Nowakowskiego nie ma absolutnie miejsca na zdradę. W najbardziej drastycznych sytuacjach likwiduje się po prostu taką solidarność, która nie ma realnych uzasadnień.

W opowiadaniu *Umierający paser* kobieta udająca ciążę z umierającym „na miechy" facetem nie popełnia sprzeniewierzenia, w obliczu śmierci bowiem nie może być mowy o żadnej solidarności. Fujara musiał zrozumieć, że kumplostwo seksualne trzeba zastąpić wspólnotą domu. W opowiadaniu *Fujara czy jak go tam* Nowakowski raz jeden wprost od siebie wypowiada się po stronie bohatera, jak gdyby podejrzewając, że w wypadku człowieka, którego stać na utrzymywanie kobiety, nie ma powodów do tolerowania zdrady. „— Frajer, frajer — powiedzą ludzie. A on miał rację" (str. 86). Ten skromniutki komentarz w poincie opowiadania zastępuje wewnętrzną refleksję Fujary, który uświadomił sobie, że nie ma już co liczyć na kochankę, a warto na dobrą gospodynię. Nowakowski chciał przeważyć słowem autorskiej aprobaty epitet fujary, przylepiony do Pawła Tasarza przez środowisko małomiasteczkowe, a więc nie w pełni uświadomione. Nowakowski bardziej ceni najgorszą prawdę niż najładniejsze złudzenia. W świecie Nowakowskiego panuje porządek wszechwładnej interesowności, która jest znamieniem jedynej prawdy i okrutnej, ale w pełni potwierdzanej sprawiedliwości. Skoro świat Nowakowskiego jest sprawiedliwy w swoim okrucieństwie, nie ma w nim miejsca na bunt w imię sprawiedliwości mniej okrutnej.

Nowakowski rozważył w swoich opowiadaniach trzy warianty możliwego buntu. Mam na myśli opowiadania: *Porachunki Garbusa, W wolny wieczór* i *Kwadratowy*. Wszelki bunt, jeśli tylko nie jest śmieszną donkiszoterią, jest mniej lub więcej uzasadnionym gestem samounicestwienia.

Garbus jak Franciszek Moor znalazł się na świecie bez tych atutów, które stanowią szansę większości ludzi. Mógł wszakże pogodzić się z losem i korzystać z tego, co miał do zyskania przy swoim upośledzeniu. W jego sytuacji wypadało zacząć od tego, na czym kończył Tapeta, godząc się na kąt za szafą w mieszkaniu byłej kochanki. Tapeta wiedział jednak, co traci, wszystko bowiem we właściwym czasie było mu dane. Garbus nie mógł mieć rozeznania, był z góry skazany na niemożliwość sprawdzenia, co ile jest warte. Garbus działa bez właściwego rozeznania wartości, jest uwikłany w złudzenia i mści się w imię tych złudzeń. Ponieważ okrutna sprawiedliwość świata jest nie do zachwiania, Garbus nie miał nic do zyskania przez swój bunt. Przekreślił egzystencję na rzecz złudzenia, że dokonał zemsty. Nowakowski nie zdradza się ze swą oceną jego postępowania.

Ocenia natomiast bunt szlachetnego naprawiacza świata w opowiadaniu *W wolny wieczór*. Karol bez poświęcania własnych interesów, „w wolny wieczór", chciał pomóc dziewczynie, którą pomiata jej własny utrzymanek. Zyskał tyle, że go wyśmieli dręczyciel i ofiara. Dobrze, że wyciągnął z tego właściwy wniosek: „Cholera niech weźmie wolne wieczory". Za luksus altruizmu trzeba płacić śmiesznością, tak jak adwokat Benbow w *Azylu* Faulknera.

Niewiele więcej skorzystał Kwadratowy. „To był największy połykacz" — powiedzieli o nim kumple, gdy zmarł wskutek uszkodzeń spowodowanych połykaniem metalowych przedmiotów. Ale Kwadratowy buntuje się „po nic", dla sportu, z upodobania dla ryzyka, które może kryć w sobie wartości nie mniejsze niż satysfakcja seksualna. Jego bunt wypływa z luksusu fantazji, z indywidualnego smaku na tego typu heroizm moralny nie mieszczący się w sferze wartości, na których oparta jest społeczna sprawiedliwość świata. Kwadratowy dogodził własnej fantazji i skwitowano to czymś tak nieużytecznym, jak pośmiertna sława „największego połykacza".

A w świecie Nowakowskiego jest przecież miejsce na heroizm moralny całkiem innego rodzaju. Wspólnika w konkretnej i realnej sprawie nie wol-

no zdradzić pod żadnym warunkiem. „Klops, ale razem" — orzekł Kaczor, gdy wraz z dwoma wspólnikami znalazł się w więzieniu po nieudanej robocie. Wystarczyło przypuszczenie, że stary Władek Gałus zdradził, by spotkała go najokrutniejsza kara. I przypuszczenie zdrady jest dla Gałusa tak oczywistą racją tego, co go spotkało, że nawet na myśl mu nie przyjdzie mieć pretensje do wspólników, choć został posądzony krzywdząco i bezpodstawnie. Władek Gałus z opowiadania *W komisariacie* jest prawdziwym świętym według norm moralności kumplowskiej. Jak każdy system moralny, kumplostwo zawiera pełną skalę wartości. W dodatku w sposób doraźny sprawdzalnych i niewątpliwych. Od razu wiadomo, czy postępowanie kumpla zwiększa czy zmniejsza realne podstawy egzystencji wspólników, czy służy w sposób konkretny ich interesom życiowym. Inny sprawdzian wartości nie istnieje. Niczego się tu nie mierzy dobrą wiarą, dalekosiężnymi celami, ogólnikowymi i abstrakcyjnymi zasadami. Każdy rozporządza tu jedynie własną egzystencją i ma do zdobycia to tylko, co jej służy. Z innymi wchodzi w porozumienie o tyle, o ile istnieją wspólne, niesprzeczne interesy i w realizacji wspólnych zobowiązań jest, a w każdym razie powinien być do ostatnich granic solidarny. W świecie Nowakowskiego wszystko jest realne, sprawdzalne i jednoznaczne.

Wydawałoby się, że tego typu świat mógłby istnieć jedynie na prawach indywidualnej, kreacyjnej koncepcji twórczej. Świat rzeczywisty człowieka jest przecież zdumiewającą mieszaniną złudzeń, mitów, namiętności, zniekształcających realny wymiar rzeczy. Nowakowski prezentuje go na zasadzie fotograficznego odbicia realnie istniejącego układu stosunków. Niesposób w jego wizerunku świata wykryć śladu subiektywnych zniekształceń, pozorów jakiejś indywidualnej kreacyjności. Nowakowski traktuje wszystko w sposób doskonale przedmiotowy, niemal idealnie odtwórczy. Wspomniałem już o jedynym zdaniu odautorskiego komentarza w tekście jego książki. Poza tym zdaniem można by jeszcze znaleźć dwa, może trzy fragmenty opisu, podretuszowanego autorskim widzeniem rzeczy, dwa, może trzy słowa, wypowiedziane przez bohaterów jak gdyby nie w swoim języku. Wszystko inne mieści się niemal idealnie w kręgu pojęć, odczuć i doświadczeń ludzi ze świata warszawskiego i podwarszawskiego lumpenproletariatu. A mimo to nie jest to fotografia, lecz raczej doskonale zrobiony preparat, złożony z elementów absolutnie autentycznych i zorganizowanych w całość, która pełni funkcję tak oczywistego dowodu dla wniosków eksperymentatora, że on sam czuje się zwolniony od ich formułowania. Jest w tym przewrotność aż zdumiewająca u dwudziestotrzyletniego człowieka. Pod tym względem Nowakowski jest w najwyższym stopniu zagadkowy. Młodzi ludzie prawie nigdy nie piszą w sposób tak doskonale przedmiotowy. Przedmiotowość, innymi słowy obiektywna epickość, jest prawie zawsze przywilejem pełnej dojrzałości. Wystarczy zauważyć, że prawie żaden z prozaików polskich średniego pokolenia — ani Rudnicki, ani Andrzejewski, ani Gombrowicz, Dygat czy Brandys — nie grawituje ku przedmiotowości, która jest niemal jakąś ostateczną koniecznością indywidualnego rozwoju twórczego.

Autentyczna przedmiotowość jako punkt wyjścia jest zjawiskiem wyjątkowym i wprost nienaturalnym. W przypadku Nowakowskiego bałbym się wszelkich hipotez interpretacyjnych. Wyczuwa się w jego prozie jakąś starczość, która — być może — jest czystym pozorem. Przedmiotowość jest zwykle ucieczką od siebie. Nie wiadomo, czy Nowakowski musi, czy chce od siebie uciekać. Uciekać przed własną „strasznością najstraszniejszą" można z rozmaitych powodów. Pustka straszy tak samo, jak przeładowanie. Zainteresowanie dla siebie można stracić, a można go w ogóle nie mieć. Można po prostu nudzić się z sobą. Artystom zdarza się to mniej niż komukolwiek, ale wszystko to być może.

Jedno jest pewne, Nowakowski nie grzeszy fantazją. Widzi i obserwuje jak rzadko kto, ale zmyślić nic nie potrafi. Jest w tym taki sam, jak mieszkańcy *Celi osiemdziesiątej ósmej:* „Każdy z nich opowiedział wszystko. Nawet kiedyś próbowali zmyślać, lecz to się nie udało" (str. 95). Farmazonista, który się wśród nich znalazł, prosperował dopóty, dopóki nie został zdemaskowany. Nie przebaczyli mu nawet w imię wdzięczności za rozrywkę, której im dostarczył. Spaliliby więc

Potop, gdyby go przeczytali i gdyby im ktoś dowiódł, że obrona Częstochowy to czysta „bujda". Królestwo sprawiedliwości musi być jednocześnie królestwem prawdy niewątpliwej, jedynej i w pełni sprawdzalnej. Tak zwane życie wewnętrzne z jego wszystkimi możliwościami nikogo tu nie interesuje. Gdybym chciał być złośliwy, powiedziałbym, że Nowakowski znalazł w życiu to wszystko, co jest treścią bardzo znanych idealnych postulatów. Jego świat jest światem absolutnej jednoznaczności myślenia i działania się. Każdy myśli tu tak, jak działa. I mówi tak, jak myśli. Wspólną płaszczyzną wszystkich tych sfer aktywności człowieka jest biologiczno-materialny interes osobniczy. Gdyby Nowakowski na tej płaszczyźnie chciał szukać kryterium prawdy o takich układach rzeczywistych, w których istnieje sprzeczność między poszczególnymi sferami aktywności ludzkiej, stanąłby przed koniecznością światoburczego demaskatorstwa. Byłby wtedy pisarzem przerażającym. I nie wiem, czy miałby do tego dość sił. Jego dzisiejszy świat byłby wtedy rajem utraconym. Na razie nic nie wskazuje na to, że liczy się z możliwością utraty. Jest dlatego pisarzem absolutnej afirmacji. Brzmi to jak paradoks, jeśli się pamięta, co widzi w swym raju.

Nie jestem pewien, czy interes literatury może być dla Nowakowskiego podstawą kumplostwa. Jeśli tak, chciałbym być jego kumplem.

Henryk Bereza

SPRAWA NIEPOKOJU

Kornel Filipowicz: *Jutro znów wojna*. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 197.

Na półkach księgarskich ukazała się nowa powieść Kornela Filipowicza *Jutro znów wojna*. Wydaje mi się, że jest to książka niezmiernie interesująca, godna przemyślenia i uwagi.

Zastanawia i budzi uznanie już sama konsekwencja artystyczna, wierność wobec postawionego a niełatwego problemu. *Jutro znów wojna* — to druga i ostatnia część cyklu powieściowego, którego pierwszą częścią była *Ulica Gołębia*, opublikowana w roku 1955 (i omówiona w *Twórczości* przez Andrzeja Kijowskiego w lutym 1956 roku). Całość cyklu nosi znamienny tytuł: *Niepokój młodego serca*. Tytuł jak najdalszy od przypadkowości! Istotnie można powiedzieć — że wielkiemu, psychologicznemu, społecznemu i moralnemu problemowi niepokoju poświęcony został cały ten cykl.

Musimy się najpierw porozumieć co do znaczenia tego pojęcia. Pamiętamy poetycką inwokację Słowackiego: „Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój...". Jestem przekonany, że już u romantycznego poety sprawa „niepokoju" nie była bynajmniej równoznaczna ze słabością, histerią, niezdecydowaniem, newrozą. Niepokój był bowiem nadmiarem krytycyzmu i twórczego fermentowania myśli. U Filipowicza „niepokój" (a szczególnie „niepokój młodego serca") — to szukanie własnej, samodzielnie przemyślanej drogi. Jest to „niepokój" zarazem subiektywny i obiektywny, wynikający zarówno z indywidualnych właściwości postaci, które tu występują, jak i ze zjawisk historycznych, które stanowią dla nich tło epickie.

Bo trzeba tu od razu powiedzieć, iż Filipowicz należy do nielicznych powieściopisarzy polskich obecnego pokolenia, którzy starają się ukazać zagadnienia psychologiczne na tle szeroko zakreślonego fresku historycznego. *Niepokój młodego serca* dzieje się w latach 1933—1939 w Krakowie, Sandomierzu i Sandomierskiem, w środowisku młodej inteligencji, przeważnie wśród radykalnych studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich przeżycia są ustawicznie konfrontowane z biegiem historii, podobnie jak się to działo w niektórych *romans-fleuves* francuskich w okresie międzywojennego dwudziestolecia, w Czechach u

Marii Pujmanovej, u nas u Kazimierza Brandysa.

Zjawiskiem charakterystycznym dla środowiska i epoki jest w cyklu powieściowym Filipowicza — ów wyraźnie wyczuwalny niepokój. Filipowicz ujmuje nawet zjawisko w rodzaj metafory operując przy tym pojęciami biologicznymi: „Wiosna tego roku była niezwykła. Wydarzenia tłoczyły się jedne po drugich w pośpiechu, śpieszyła się też przyroda, jakby skądciś, z jakichś najwyższych instancji wszechświata ogłoszono, że czas, w którym wszystko ma się spełnić, został gwałtownie skrócony. Ten napięty, podnoszący się i coraz szybszy puls świata udzielił się naturze i ludziom".

Powieść jest w dużej mierze wypełniona tym niepokojem. Tylko — że „prawo niepokoju" lat poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej działa rozmaicie, a jego funkcja jest wyraźnie i subtelnie zróżnicowana. W małomiasteczkowej atmosferze Sandomierza można mówić o czymś w rodzaju — kontrastu. Warto zwrócić uwagę na ustępy określające nieruchomy, a jednak „podminowany" wewnętrznie nastrój starego miasta: „Na krótko przed zapadnięciem zmroku Rynek — jego lepsza część, ta koło apteki — zamieniał się na pół godziny w promenadę, na której spotkać było można wszystkich miejscowych znajomych. Nawet ci, którzy zaliczali się do tzw. śmietanki towarzyskiej, poczuwali się do obowiązku uczestniczenia, choćby na krótko, w spacerze, który, według spostrzeżeń profesora Maksymowicza, posiadał wszelkie cechy poloneza: odbywał się w Polsce, parami, polegał na suwaniu nóg i świadczeniu sobie nawzajem ukłonów i gestów". Sam prof. Maksymowicz, człowiek inteligentny i krytyczny, streszcza w sobie ową, wewnętrznie podminowaną, treść tradycyjnego życia...

Owa sprawa niepokoju psychologicznego, stanowiącego w powieści problem pasjonujący i centralny, jest tu ukazana w swej bogatej złożoności i wielostronności. Ostatnie rozdziały — to już wybuch wojny i początek kampanii wrześniowej. Jej przebieg przybiera dla niektórych ludzi postać kosmicznej i groźnej katastrofy, do której niepokój był tylko — koniecznym preludium. Niespodziewaną, pierwszą ofiarą wśród bohaterów tej książki jest Karol Suchojerski, kończący samobójstwem, którego byśmy się najmniej spodziewali po tym dość — zdawałoby się — pustym, nieskomplikowanym i ograniczonym potomku zamożnej rodziny, sympatyku korporacji, dość prymitywnym cyniku i nihiliście. Ten strzał samobójczy stanowi w powieści jeszcze jeden dowód pisarskiej uczciwości Filipowicza, jego umiejętności wsłuchania się w rytm niespodzianek, jakie gotuje życie.

Lecz właściwymi bohaterami powieści są, jak wspomniałem, radykalni studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, poszukujący swej własnej drogi wśród skomplikowanych zagadek współczesnego życia. Ich niepokój — to przede wszystkim próba samodzielności myślowej i samodzielności p o s t a w. Jakże znamienne są uwagi o ich nastrojach w czasie nocnego roznoszenia nielegalnych ulotek pierwszomajowych (w roku 1937): „Szli w milczeniu. Nieśli w zanadrzu pliki ulotek, których drewniana twardość czuli na piersiach przy oddychaniu. Czuli niepokój, jakby byli przestępcami; raczej jednak kłusownikami niż złodziejami. W tej grze było bowiem więcej bezinteresownej namiętności niż wyrachowania. O idei, która im kazała to robić, nie pomyśleli ani razu; o takich rzeczach myśli się przed tym i po tym. Ustrój i czasy, w których żyli, nie były aż tak dotkliwe i nieznośne, przynajmniej dla nich, aby bunt lub negacja miały być jedyną godną młodego człowieka postawą. Ustrój nie był całkowitą niewolą, rząd nie był wrogiem absolutnym. Czasy były mieszane, wydarzenia komplikowały się, interesy ludzkie wikłały się ze sobą — ale wszystko to razem toczyło się dzień po dniu, rok po roku ku czemuś równie nieuchronnie koniecznemu, coraz bliższemu: ku wojnie? klęsce? rewolucji? ku wielkiej zmianie?".

Życie tych chłopców jest trochę „cygańskie" — cyganerią niedostatku, przypadkowości, pogoni za zarobkiem, niedojadania. Ale to wszystko jest dla nich niemal — elementami mniej lub więcej świadomej zabawy. Najważniejsza jest praca, walka, bunt, potrzeba działania, solidarność z prześladowanymi. Przypadek odgrywa czasem w życiu tych młodych inteligentów — rolę czynnika, przyśpieszającego osta-

teczne decyzje. Piękny, a nawet porywający, wydaje mi się epizod z nielegalnym przejściem granicy przez Michała Jaronia, który postanawia uciekać do Hiszpanii republikańskiej po wizycie funkcjonariusza policji, grożącego mu nie tyle uwięzieniem, co nieznośną i drażniącą inwigilacją. Opis tej ucieczki przez granicę zostaje nam mocno w pamięci, tak bardzo ujmuje nutą humoru i zabawy, nastrojów tajemniczego spotykania się trzech spiskowców na Błoniach, zakonspirowanej jazdy w wagonach podgórskiej kolei, a nawet niepewności, w jakiej Michał Jaroń przez chwilę pozostawia kolegów, gdy dla zabawy mówi im już nad samą granicą — że ich „po prostu nabrał". Od zapachu traw i lasów aż po radość życia młodych ludzi — wszystko tu ma wyraz przenikliwej prawdy.

Głównym bohaterem utworu jest student biologii, Jan Borecki. Zdaje się, że jest on identyczny z inżynierem geologiem Boreckim, którego pamiętamy jako centralną postać z pierwszej powojennej książki Kornela Filipowicza *Krajobraz niewzruszony*. Można przypuszczać, że Filipowicz chciał w swym nowym cyklu powieściowym „sięgnąć wstecz", ukazać niejako genezę tej twardej i nieustępliwej osobowości, jaką nas zafrapował w opowiadaniach „okupacyjnych". Jan Borecki, student z *Niepokoju młodego serca*, próbuje znaleźć odpowiedź na żywotne pytania własne i swego środowiska. Oto jak Filipowicz określa genezę jego przekonań: „Po prostu nie mógł być prześladowcą, gnębicielem, nie umiałby pastwić się nad słabszym — gdyż jego sympatie uczuciowe były po stronie uciskanych i słabych. Posiadał też pewną właściwość układu nerwowego, która go strzegła przed aktami zbiorowej histerii, gromadnego podniecenia. Nie znosił afektacji, nie tylko zbiorowej, ale i indywidualnej. Nie cierpiał słuchać cudzych zwierzeń, wstydził się wywnętrzać samemu". I dlatego „nie tyle z powodów klasowych czy tzw. ideowych, co z powodu pewnych zasadniczych cech charakteru" nie mógł się znaleźć w szeregach młodzieży korporancko-nacjonalistycznej. Jego usposobienie jest niezmiernie wrażliwe, a nawet skłonne do nadmiernego ważenia skrupułów. Filipowicz ukazuje to w sposób niezmiernie interesujący zarówno na przykładach dotyczących miłosnego życia swego bohatera (nie zawinione, a przecież odczuwane jako rodzaj winy „rozładowanie uczuć" wobec pierwszej swej, nagle zmarłej narzeczonej, „walka o przewagę" w stosunku z Danutą), jak i w sprawach rodzinnych czy zawodowych. W pewnym momencie „wstręt, który go nachodził za każdym razem, ilekroć pomyślał o nauce, był czymś tajemniczym i przerażającym. Nie było to lenistwo ani słabość, z tym umiał sobie radzić. To, co w nim się teraz działo, leżało poza granicami woli. Jan stracił serce do mikrobiologii, którą tak niegdyś lubił, zaniedbał pracownię, gdzie rok temu rozpoczął pisanie pracy magisterskiej... Coś zmieniło się w naturze Jana, co kazało mu zaprzestać interesowania się stosunkami ilościowymi i jakościowymi, zachodzącymi między przedmiotami i istotami, na rzecz jakichś mniej uchwytnych wartości — wartości emocjonalnych". Jest to instynkt odzywający się z taką samą siłą, jak ten, który młodym trawom każe się przedzierać przez zapory twardego gruntu: „Od pewnego czasu Jan, chociaż tak jak przedtem dreptał te same ulice, jeździł tym samym niebieskim tramwajem, po staremu witał się i rozmawiał ze znajomymi — żył w innym świecie. Był smutny, gdyż czuł, że oddala się od ludzi, z którymi dawniej żył blisko, wydawało mu się, że zdradza kogoś, że oszukuje rodziców, sprzeniewierza się samemu sobie. Ale był to smutek płynący z rzeczy koniecznych, ze zmian nieodwołalnych". Tak — wśród fermentów myślowych, szukania własnej drogi, niepokojów i walk sumienia — formuje się świadomość przyszłego bohatera jednej z najpiękniejszych nowel z okresu okupacji, *Zwycięstwa*, gdzie tragedia aresztowanego na ulicy Żyda, który wie, iż zginie bez możności obrony jakiejś wielkiej i bohaterskiej sprawy — prawem kontrastu uświadamia skutemu, straszliwie skatowanemu i dręczonemu Janowi Boreckiemu — jego bogactwo wyboru, możność okazania nieugiętości...

*

Po ukazaniu się *Krajobrazu niewzruszonego* („Czytelnik", 1947) napisał o nim Kazimierz Wyka znakomity

esej krytyczny. Przeczytałem go obecnie na nowo; rzecz ciekawa, że wiele zdań i opinii Wyki zachowuje po jedenastu latach i po wydaniu tylu nowych książek Filipowicza — całkowitą moc. „Kto by przypuszczał, obserwując, jak Filipowicz supła i przesuwa motywy, że jego książkę napisał zakochany w odcieniach moralnych sceptyk, grubo się pomyli. *Krajobraz niewzruszony* napisał człowiek, który właśnie dlatego szuka motywów istotnych, ponieważ posiada surową dociekliwość prawdy, a nad obliczem rzeczywistości pochyla się zatroskany, jak to było właściwie, jakie to naprawdę motywy zaważyły. Psychologizm Filipowicza, chociaż jest najdalszy od moralizatorstwa, posiada wyraźną barwę moralną. Pisarz nie dla ciekawości poznawczej bada przebiegi psychiczne, lecz dla ich roli w obrębie decyzji moralnych człowieka." Wyka stwierdzał też, iż Kornel Filipowicz jest obok Rudnickiego „najbardziej obiecujący i najbardziej odległy od tradycyjnych w Polsce schematów narracyjnej swady, gawędziarstwa, nadmiernego opisu". „Filipowicz należy do pisarzy, których styl nie składa się z doboru słów. Jego niewątpliwa precyzja i dokładność nie jest precyzją pochodzącą z unikania określeń zbliżonych, jeśli sytuacja jest zbliżona." „...u dna spraw ludzkich, gdzie nie ma różnic pomiędzy reakcją cielesną a psychiczną, pamięć pisarska Filipowicza obraca się w swej własnej, jemu tylko z naszych prozaików przynależnej krainie. Z młodszych prozaików bodaj tylko jeden mu towarzyszy: Jerzy Pytlakowski opowiadaniem *Dwadzieścia cztery godziny z życia skazańca.*"

Wyka już wtedy stwierdzał, że pisarstwo Filipowicza jest nie docenione. Ukazanie się powieści *Jutro znów wojna* może się stać okazją do naprawienia krzywdy wyrządzonej nie tylko Filipowiczowi, ale i nam wszystkim, współczesnym czytelnikom polskim. W tej powieści widać wyraźnie, jak proza Filipowicza — po pewnych rozcieńczeniach publicystycznych w *Ulicy Gołębiej*, ale i po znakomitej etiudzie: *Profilach moich przyjaciół* — nabiera mocy i wytycza czy raczej umacnia sobie własną drogę, którą autor *Pogranicza powieści* trafnie streszczał w formule „p r a w d a o c z ł o w i e k u j a k o p r a w d a o j e g o e p o c e".

Wojciech Natanson

Z CYKLU EMIGRACYJNYCH ROZRACHUNKÓW

Michał Choromański: *Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych.* Warszawa 1958. „PAX"; str. 182.

Że utwór Choromańskiego jest „pierwszą księgą" jakiejś większej (zamierzonej tylko czy dokonanej już?) kompozycji powieściowej — dowiedzieć się można ze skrzydełek obwoluty PAX-owskiego wydania. Przyznam się, że, kiedy przeczytałem tę informację już po lekturze samego utworu, spadł mi z serca duży ciężar, a liczne wątpliwości i obawy, które rosły w miarę, jak zbliżałem się do końca książki, i które przybrały rozmiary zgoła niepokojące po jej zamknięciu—teraz, jeśli nawet nie rozwiały się zupełnie, to w każdym razie znakomicie zmalały. Były one o tyle kłopotliwe, że wiązały się bezpośrednio ze sprawą godności recenzenta, z jego ambicją, by nie dać się oszukać i broń Boże — złapać na kawał. By zbyt poważnie nie brać rzeczy, która z natury swojej jest nastawiona na igranie z ciekawością czytelnika i zmierza do wciągnięcia go w zabawę roztrząsania głębszych sensów, których niesposób odnaleźć idąc wedle fałszywie rozmieszczonych tropów i przekornie ustawionych drogowskazów. Bo *Prolegomena* mają wiele znamion b l u f f u p o w i e ś c i o w e g o, konstrukcji literackiej jakby „oszukańczej", łudzącej zapowiedziami, co więcej — składającej się właściwie z samych zapowiedzi, dezorientującej czytelnika swoim — by tak rzec — niedokonaniem. Kończąc

lekturę czujemy się wyprowadzeni w pole i pozostawieni z tak wielu domysłami, że aż budzi się podejrzenie, czy w ogóle należy się domyślać czegokolwiek, bo a nuż właśnie wtedy autorowi uda się kawał, gdy zmusi nas do roztrząsań i dociekań. I tu recenzentowi przychodzi w sukurs wspomniana wyżej informacja. Skoro ma do czynienia z utworem o jakimś ciągu dalszym, jeśli niepokojący go koniec jest tylko końcem na razie, to wszystko w porządku — kłopoty przesuwają się w nieokreśloną przyszłość lub może w ogóle przestaną istnieć.

Jednakże nie oznacza to wcale, aby zmieniła się automatycznie kwalifikacja utworu, którego poetykę — również po tych wyjaśnieniach — można określić jako bluff powieściowy. Nawet gdy *Prolegomena* traktować będziemy na prawach utworu kompozycyjnie niezupełnego, bynajmniej nie staną się one przez to mniej zagadkowe. Norma skończoności i wytłumaczalności obowiązuje bowiem nie tylko pełną kompozycję, ale również jej człony czy fragmenty, jeśli zostały one przez autora świadomie wyodrębnione. Część bywa wydzielona z całości jedynie wówczas, gdy tłumaczy się jakoś sama w sobie, gdy zależność od członów pozostałych nie jest tak silna, by odbierać jej sens autonomiczny i samodzielną logikę wewnętrzną. *Prolegomena* ustawione w perspektywach takich wymagań wydają się utworem dziwacznym. I to począwszy od tajemniczego tytułu, z którym nie bardzo wiadomo co robić i jaki sens mu przypisać. Im dalej posuwa się akcja powieści, tym więcej niejasności i zagadek.

Każdy rozdział przynosi nowe sytuacje, wątki, konflikty i postacie, fabuła gmatwa się i komplikuje do samego właściwie końca. Narrator jak gdyby nie może wyjść poza stadium ekspozycji, wciąż wchodzi w nowe uliczki, zapowiada jakieś rozstrzygnięcia, charakteryzuje drobiazgowo okoliczności i bohaterów, mnoży motywy, wikła akcję, jeszcze na ostatnich stronicach wprowadza zupełnie nowe konflikty. Cała ta rozbudowana maszyneria powieściowa składa się niemal z samych zawiązań i zapowiedzi. Żadna intryga ani zagadka (a jest ich wiele) nie została rozwiązana. Niezrozumiałe incydenty nie znalazły wyjaśnienia. Nie dowiadujemy się, jaką rolę odgrywają tajemnicze postacie, które wprawdzie bezpośrednio nie występują, ale o których wciąż się mówi — tak że, pozornie nieobecne, rzucają przecież cień na całą fabułę. Rozbierając *Prolegomena* na poszczególne sytuacje i wątki tylko niewiele z nich moglibyśmy uznać za w pełni wytłumaczone. (Gdyby zaś wyobrazić sobie na chwilę w pełni uformowaną i skończoną jakimiś ostatecznymi rozstrzygnięciami — akcję powieściową, która powstałaby z tych wszystkich zawiązań, jakie Choromański mnoży bez końca, to prawdopodobnie dzieło takie bliskie byłoby rozmiarom Tołstojewskich eposów.)

Choromański montuje swoją opowieść w sposób aluzyjny i choć nie skąpi rozbudowanych informacji i szczegółowych charakterystyk, to jednak ustawicznie daje do zrozumienia, że wie znacznie więcej, niż relacjonuje, że część „wiedzy" zatrzymuje dla siebie. Jest wyraźnie skryty i chce za takiego uchodzić. Narrator *Prolegomenów* nie tylko przemilcza pewne związki łączące wydarzenia, ale — co najważniejsze — dobitnie sygnalizuje sam fakt przemilczania, wprost wskazuje palcem na tajemniczość i zagadkowość. Ten rodzaj montażu narracyjnego znamy już z *Zazdrości i medycyny*. Ale jeśli tam wszelkie aluzje, zapowiedzi czy z początku niejasne napomknienia nabierały z czasem znaczenia na tle całej konstrukcji, okazywały się elementami zamkniętego układu, niezwykle spoistego wewnętrznie, to tu podobna technika składania fabuły ma zupełnie odmienną funkcję. Gdy tam cechowało ją nastawienie na kompozycyjną celowość — to tu, przeciwnie, cel znajduje się poza kompozycją, ponieważ cała ta technika ma zadanie atakować przyzwyczajenia powieściowe, igrać z kodem powieściowym, odbierać jak gdyby sens formie narracyjno-fabularnej. Na mocy społeczno-literackiej konwencji posiada ona sens wtedy, gdy coś się w jej obrębie spełnia, gdy czytelnik otrzymuje w wyniku jakieś kwantum „wiedzy", gdy coś mu wyjaśniono. Natomiast Choromański buduje organizm powieściowy właśnie na zasadzie bluffu, tworzy opowieść celowo niedokonaną, choć czyniącą wszelkie pozory „czystej" gry. Tworzy mechanizm poruszający się na złudnych obrotach. Cierpliwy czytelnik dobiega do końca *Prolegomenów* i oblizuje się

na samą myśl, jakie to jeszcze nagromadzenie efektów czeka go na tych ostatnich stronicach, ile — tak długo odkładanych — rozwiązań i rozstrzygnięć wreszcie się dokona. Czeka na próżno — jak gdyby nigdy nic utwór się zamyka. Kropka. Figa.

I tu właściwie można by zakończyć opis powieści Choromańskiego, dodając jeszcze, że kawał dobrze się udał, że parodia formy powieściowej — subtelna, że warsztat... etc., etc. Jest wszakże jedna mała przeszkoda. Albowiem cała ta niedokonana konstrukcja *Prolegomenów* ma przecież swoją „semantykę", jest podszyta znaczeniami, a fakt ten — dziwnie dotąd przeoczony — zdaje się kwestionować jeden ze składników poprzedniego zdania. To znaczy: czy kawał — już w perspektywach „semantyki" — udał się całkowicie?

Choromański przedstawia środowisko ludzi żyjących w latach ostatniej wojny w jednym (nazwy nie znamy) z krajów południowo-amerykańskich. Środowisko ludzi obcych w tym kraju, oderwanych od własnej ojczyzny, pędzących „życie na niby", albowiem to ostatnie było codzienną formą egzystencji Polaków nie tylko w warunkach okupacji. Konkretnie: ukazuje środowisko skupione wokół polskiego konsulatu w czasach, gdy takowy był oficjalną reprezentacją czegoś, co istniało jedynie w nadziejach i optymistycznych wierzeniach. Już sama ta okoliczność — niezależnie od wszystkiego — stwarza możliwość dla groteski.

Światek przedstawiony w *Prolegomenach* żyje z dala od głównego traktu wydarzeń historycznych, na prowincjonalnym marginesie, gdzie echa wojny docierają stłumione i jakby nierzeczywiste. Ludzie ci, wyizolowani z historii, niepotrzebni i zapomniani stwarzają sobie szereg fikcji zastępczych, działają wedle jakichś urojonych celowości, usiłują nadać sens swej egzystencji, znaleźć dla niej rację, czymś się w y k a z a ć. Bezradność starają się „zagadać" pozorami aktywności. Za wszelką cenę chcą „robić" politykę i chcą się zaliczać w poczet jej głównych aktorów. Stąd ten cały splot intryg, konszachtów, dyplomatycznych porozumień i spisków z aliantami, wywiadowczych akcji i politycznych gier. Jest to mechanizm całkowicie nieproduktywny, funkcjonujący bez potrzeby, groteskowy w swojej bezcelowości. Namiastka zaangażowania w historyczny bieg wypadków, fikcja działalności. Jedyny jej rezultat to manifestacja antyniemiecka, wybicie kilku szyb, zdobycie wrogiego sztandaru przez emigracyjnego Bartka Zwycięzcę (z dyplomatycznych powodów wysoce niewłaściwe) i nałożenie po gębie domniemanemu przywódcy miejscowej Piątej Kolumny. A do tego sceneria zbudowania z typowych rekwizytów południowo-amerykańskich: wojskowe rewolty, buntowniczy generałowie, błyskawiczne zmiany ustrojów. Wszystko razem jest śmiesznie prowincjonalne i anachroniczne w latach wojennego kataklizmu. Choromański przetwarza w swojej powieści tradycyjny motyw polskiej literatury satyrycznej. Motyw partykularza, który, odcięty od centrów ruchu umysłowego i politycznego, żyje okruchami ze „stołecznego" tortu, nastawia ucha na odgłosy „wielkomiejskiego" życia i swoje usiłuje organizować ponad stan, wedle wzorów znanych ze słyszenia. Ośmieszanie nieautentycznej formy, którą przyjmuje prowincja — należało od dawna do bardziej charakterystycznych zabiegów naszej satyry (Lam, Prus).

Partykularz Choromańskiego ma wymiar podwójny: czysto polski i egzotyczny, południowo-amerykański. W odległym zakątku globu, gdzie wojna jest faktem niemal mitycznym i odciskającym się tylko na rozgrywkach dyplomatycznych konsulatów, w tym zakątku, który — szczególnie wtedy — był sielską prowincją świata, umieszcza pisarz ludzi usiłujących przezwyciężyć swój los prowincjonalny. Przezwyciężyć — w imię patriotyzmu i solidarności z odległym krajem. Ludzi, którzy chcą być o b e c n i przy rozstrzygnięciach. Którzy narzucają swemu życiu formę pozornych działań, łudząc się, że faktycznie czynią coś doniosłego. Ich poczynania są (muszą takie być!) rozpaczliwie jałowe, a oni sami — groteskowo bezradni. W tym świecie nic się właściwie nie może dokonać, choć pozornie dzieje się dużo.

Mamy zatem „semantykę" zagadkowego kształtu *Prolegomenów*. Poetyka bluffu powieściowego, łudzącego bogactwem i złożonością materii fabularnej, skomplikowaniem intrygi, różnorodnością zdarzeń i postaci — okazuje się formułą emigracyjnego losu ludzi wyobcowanych z naturalnego środo-

wiska społecznego. Choromański burząc wiarę w celowość układu powieściowego, dokonuje niewątpliwych zabiegów parodystycznych — tworzy jednocześnie literacką równowartość określonej sytuacji socjo-psychologicznej. Życie na niby uzyskuje swój odpowiednik w konstrukcji na niby.

Prolegomena należą do tego kręgu literatury emigracyjnej, w którym mieści się także — wymieniam zjawisko najwybitniejsze — *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Można by powiedzieć, że wspólne tym utworom jest dążenie do rozrachunku w losem emigracyjnym (*Trans-Atlantyk* ma poza tym znaczenie bardziej uniwersalne), próba stworzenia osobliwego mitu wychodźstwa. Osobliwego, ponieważ jest on wyraźnie przeciwstawiony tradycji romantycznej. D e h e r o i z u j e emigrację, stwarza jej wymiary groteskowe.

Choromański współtworzy ów mit, troszcząc się przede wszystkim o konsekwencje czysto literackie. Dla niego nie istnieją problemy, idee czy wartości poza konstrukcją prozatorską. Podobnie jak w *Zazdrości i medycynie*, gdzie kliniczne studium zostało przełożone na strukturę powieściową, tak tu — w *Prolegomenach* — rozrachunek z emigracją uzyskał swój odpowiednik w swoistym, niedokonanym, kształcie narracyjno-fabularnym, został przeniesiony w sferę formy i stylu. U Choromańskiego wszelka „metafizyka" jest bezpośrednio sprawą „techniki".

Porównanie z *Zazdrością i medycyną* można pociągnąć jeszcze dalej. Wydaje się, że analogicznie jak tam — również w *Prolegomenach* forma powieściowa otwiera szersze możliwości filozoficzne od tych, jakie zostały zrealizowane. Wspominałem już kiedyś (*Twórczość*, 1957, nr 12), że struktura *Zazdrości i medycyny* jest w swoich perspektywach znacznie „obszerniejsza" od dosyć prymitywnej koncepcji biologistycznej, która została w nią wpisana. W *Prolegomenach — mutatis mutandis* — zachodzi coś podobnego. Wzniesiona przez Choromańskiego budowla literacka ma — wbrew pozorom — niezbyt głęboki fundament. W obrębie formy powieściowej otwierającej tak wiele różnorodnych perspektyw autor układa materię k o n w e n c j o n a l n i e s a t y r y c z n ą. Ułatwia sobie zadanie tworząc obraz zaludniony marionetkowymi postaciami — coś w rodzaju *Wielkiego Świata Capowic* Lama. Tradycyjne chwyty polskiej satyry dziewiętnastowiecznej wprowadzone do *Prolegomenów* osłabiają wydatnie wymowę tego utworu. Choromański tylko fragmentarycznie stworzył mieniącą się różnymi znaczeniami groteskę filozoficzną, w zasadzie dał prymat znacznie uboższej grotesce satyrycznej.

Janusz Sławiński

POZORY AUTENTYKU

C z e s ł a w O s t a ń k o w i c z: *Czarna z komanda Bayer*. Warszawa 1958. „Pax"; str. 144.

Książka Czesława Ostańkowicza — raczej nieinteresująca jako dzieło — wydaje się dość charakterystycznym objawem pewnego procesu literackiego. Zebrane w niej opowiadania znajdują się w kręgu tzw. tematu okupacyjnego. Jest on tutaj jednak już tylko tematem, a nie — jak w pierwszych powojennych latach — także postawą i stylem. Znaczy to, że się już ucukrował i jak tytoń uleżał, że nie jest już jedyny i najważniejszy, że daje się ująć tak, jak dziesiątki innych spraw.

Opowiadania Ostańkowicza wydają mi się tak bardzo charakterystyczne z tego względu, że odzwierciedla się w nich aktualny obecnie stosunek pisarski do lat okupacji. Najnowsze utwory, obracające się w orbicie tych spraw, nie powstają jako bezpośrednia reakcja na sytuację historyczną, wojna jest już w nich właściwie tym epickim wczoraj, mimo że dystans czasowy nie zawsze zaznacza się w formie prozatorskiej — np. Ostańko-

wicz stara się pisać tak, jakby nie dzieliła nas od tamtych lat spora już przestrzeń czasu. To nieuwzględnianie czasu przemijającego wyraża się w tym, co nazwałbym kierunkiem na autentyk. Rozumiem to bardzo szeroko — nie chodzi mi o reportażowość ujęcia. W opowiadaniach Rudnickiego, Andrzejewskiego, Borowskiego czy Szczepańskiego autentyzm to nie, oczywiście, wierność wobec realiów czy nawet społecznych sytuacji. Autentyczność *Pożegnania z Marią* czy *Szekspira* sprowadzała się do tego, że poza zrelacjonowanym zdarzeniem, nakreśloną tragedią kryło się sprawdzalne doświadczenie humanistyczne. Opowiadania sumowały jakby ogólną wiedzę — mogły być lapidarne, mogły jedynie sugerować: pod losy bohaterów Borowskiego czy Rudnickiego czytelnik sam mógł podkładać własne, takie czy inne, doświadczenia i przeżycia z tamtych lat. Pisarz był jednym z wielu, stał wobec tego samego, co wszyscy, losu — opracowywał materiał znany z ogólnego doświadczenia. Autentyczność tej prozy wynikała ze specyficznego zaangażowania pisarskiego, a prowadziła do tego właśnie, że prowokowała czytelnika do aktualizowania własnych przeżyć.

Oczywiście, taka sytuacja literacka nie mogła istnieć długo, „błogosławione wody Lete" — by sięgnąć po tytuł świetnego opowiadania J. J. Szczepańskiego — płyną zbyt szybko, aby nie topić tego, co niedawno było piekącą aktualnością, w zapomnieniu. Autentyk (realistyczny, psychologiczny, liryczny) ustąpić musiał miejsca czemu innemu. Czemu? Odpowiedź jest niewątpliwie trudna. Autentyku nie zastąpiła przecież synteza epicka ani — tym bardziej — intelektualna.

Nowele Ostańkowicza dążą właśnie ku autentykowi — jest on już jednak całkiem innego rodzaju. Stracił swe umotywowania historyczne, nie zyskał zaś — strukturalno-literackich. Z pozoru termin „autentyk" przylega do omawianej tu prozy w stopniu dużo większym niż do dzieł nowelistów pierwszego powojennego pięciolecia. Jej poetyka jest niemal reportażowa — pisarz nie wykracza poza zapis zdarzeń, nie przyjmuje nigdy postawy komentatora oceniającego je intelektualnie bądź emocjonalnie. Powiedziałbym, że tutaj autentyzm jest raczej elementem gatunku literackiego niż postawą pisarską. Zanikł po prostu ten typ zaangażowania, który daje się odczytać w *Nocy* czy *Butach*. Rzecz pozornie paradoksalna: skłonny do reportażowych ujęć, Ostańkowicz wzbogaca opowiadania o iście barokowe w swej wymyślności koncepty fabularne. Pozorny autentyk wspierany jest więc jakimiś upiększająco-literackimi podpórkami. Im bardziej zresztą ta skłonność do literackości się nasila, tym opowiadania stają się słabsze — jako egzempla tego odwrotnie proporcjonalnego stosunku służyć mogą takie utwory, jak *Kulisy* czy *Krzyż kapitana Majewskiego*.

Wyrazem pozorności autentyku Ostańkowicza jest język jego opowiadań. Zestawienie dialogów, jakie prowadzą bohaterowie nowel obozowych omawianego tutaj autora, z dialogami, które występują na kartach prozy Borowskiego, byłoby niezwykle charakterystyczne. Język Ostańkowicza jest już wygładzony i oszlifowany — traci ów historyczny stempel czasów okupacji. Jest porawny i elegancki w opisach nawet najbardziej makabrycznych scen jest poprawny, nie przekraczając często poziomu tuzinkowego banału stylistycznego: „Żadna puszcza, żaden park nie miewa jesienią tak czerwono-złotych liści, jak las buchenwaldzki. Za to w dole, u stóp strzelistych buków leży stały mrok, połyskujący matowo srebrem gładkich pni. Wszystkie krzaki wykarczowano od dawna. Trudno choćby na moment wyprostować obolały grzbiet w niedozwolonym podczas pracy odpoczynku. Kiedy leśny olbrzym zwali się z łoskotem, natychmiast pokrywa go gromada pasiastych drwali, odpiłowując konary i tłukąc mnóstwem siekier. Potężny pień broni się przed ludźmi swoim ciężarem, ale oni otaczając go w krąg, podważają drągami i pchają mozolnym wysiłkiem swych wychudłych ramion. — »Raazem! *Allons, camarades*«, »Raazem!« Podrywają się szeroko rozrośnięte Rusy, twarde chłopy polskie, wychudłe Francuziki i wymierający w katastrofalnym tempie Włosi" (*Sabotaż*). Ten gładki i potoczysty język wydaje się jednym z przejawów ogólnego uładzenia, które w nowelach Ostańkowicza panuje, Świat jest w nich prosty i jednowymiarowy — jakoś „przeestetyzowany"

i w miarę patetyczny. Więźniowe lagru nie walczą o kawałek chleba, ale o tomik Mickiewicza. Sam autor orientuje się chyba w fałszywości literackiej takich rozwiązań, skoro opowiadanie o tym właśnie (*Mocna rzecz*) uzupełnia o takie sztucznie dokomponowane zakończenie: „Napisałem o tym opowiadanie i zaniosłem do wydawnictwa. Redaktor przeczytał, zamyślił się i powiedział: »Nieprawdziwe. Nie było takich rzeczy w lagrze. Wymieńcie Mickiewicza na dolary, a będzie to mocna rzecz«". Mam wrażenie, że nawet dolary by tu nie pomogły. Nie przezwyciężyłyby tonu i stylu tych opowiadań, tak dalekiego od tego, z czym przychodziła proza pierwszych lat powojennych. Sprowadzanie tragicznych konfliktów do wymiaru malowanki, upiększanie ich (nawet w książkach nienajlepszych, do jakich niewątpliwie omawiana tu publikacja należy) jest objawem, że konflikty te, tak przecież niedawne, przestają być żywą materią, że już łatwo poddają się heroizującej mitologizacji. Ten proces wydaje mi się niepokojący. Literatura nie wyzyskała jeszcze lat wojny jako materiału dla siebie, a ujmowanie go w kategorie twórczości zdobniczej nie może przynieść chyba cennych artystycznie rezultatów.

Michał Głowiński

MIASTO BEZ ANTENATÓW

Helena Duninówna: *Gawędy o dawnej Łodzi*. Łódź 1958. Wydawnictwo Łódzkie; str. 274.

Z powstaniem naszych większych miast łączy się zawsze jakaś rycerska legenda. To nieustraszony i sprytny młodzian zabił smoka, to strudzonemu księciu-wojownikowi przyśnił się wilk żelazny, to trzej mityczni (dzięki pomysłowości kronikarzy) bracia, Lech, Czech i Rus, po długim niewidzeniu spotkali się i „poznali", to znów jeden z nich znalazł gniazdo białych orłów, nawet nędzną rybacką wioszczynę wyprowadziła na szerokie wody zbrojna w miecz i tarczę urodziwa Syrena.

Tylko najmłodsza Łódź nie mogła poszczycić się żadnym pasowanym i nobilitowanym antenatem. Od kolebki aż po świetną dojrzałość była i pozostała miastem plebejskim.

Helena Duninówna, urodzona warszawianka, ale od szeregu lat „wmieszkana" łodzianka, w swoich poszukiwaniach archiwalnych dotarła aż do roku 1332. Pod tą datą ukazał się ważny dokument: pismo Władysława, księcia ziemi łęczyckiej i dobrzyńskiej, zwalniające piętnaście wsi, w ich liczbie i Łódź, od „powinności i ciężarów" z prawa książęcego wynikających, jako dziedzictwo pana biskupa włocławskiego i kapituły. W pół wieku później przeniesiona zostaje na prawo niemieckie, a w 1423 otrzymuje od króla Jagiełły przywilej erekcyjny, oficjalnie uznana za miasto.

Skromna wieś puszczańska zawdzięcza ten awans przede wszystkim swemu szczęśliwemu położeniu przy wielkim trakcie, prowadzącym od Krakowa przez Łęczycę, Włocławek, Toruń do Gdańska, oraz obfitości rzeczułek i potoków, zdatnych do poruszania młynów. Czy stąd pochodzi jej miano i godło: łódź z wiosłem? To byłoby rozwiązanie najprostsze. Nie chcieli jednak na nie przystać późniejsi historiografowie Łodzi. J. K. Kochanowski lansuje hipotezę, że założycielem osady i miasta był przedstawiciel możnego rodu, pieczętującego się herbem Łodzia, rodu, któremu wszystkie inne Łodzie w Polsce zawdzięczały swoje istnienie. Ktoś inny ze współczesnych nam badaczy twierdzi, że nazwa Łodzia jest zniekształconym przymiotnikiem dzierżawczym „Włodzia", oznaczającym własność jakiegoś Włodzisława. Najbliższą prawdy wydaje się propozycja Andrzeja Zanda, który twierdzi, że archaiczne słowo „łodzia" jest jednoznaczne z „łozą", w którą niewątpliwie obfitował teren bagienny osady. Ale nikt jakoś nie chce pogodzić się z pro-

stą „łodzią", w której przeprawiano się na drugi brzeg rzeczki, dopiero w XIX wieku nazwanej Łódką.

W wieku XVI Łódź, zamieszkała przez niespełna setkę rodzin, których potrzeby materialne zaspokaja „czterech kołodziejów, dwóch szewców, dwóch kowali, jeden krawiec i jeden zdun", a duchowe — stary i bardzo zaniedbany kościołek drewniany, po którym „kury chodzą" w dzień powszedni, a w święta tłoczą się w nim rzesze wiernych z miasta i okolicznych wiosek. Przy kościele jest szkółka parafialna, gdzie w sekrety abecadła wtajemnicza miejscową dzieciarnię „młodzieniec szkolny", bakałarz, którego wątpliwą działalność kulturalną upamiętnia notatka w księgach miejskich, „iż był spity i obraził nożem mieszczanina Sebastiana", po czym zbiegł. Stało się to w roku 1602, ale już przedtem kilkunastu ambitnych i uzdolnionych synów Łodzi uczęszczało do Akademii Jagiellońskiej w Krakowie, a kilku z nich, jak na przykład Piotr i Paweł, dwaj bracia Rożkowice, dochrapali się nawet wyższych dostojeństw duchownych i świeckich. Wielki prąd humanizmu i odrodzenia zawadził i o miasteczko puszczańskie.

Wiek XVII przyniósł Łodzi same klęski: wielki pożar, wojny szwedzkie, morową zarazę. W spustoszonym miasteczku panoszą się swawola i zabobon. Ofiarą jego padają przede wszystkim... czarownice. Autorka gawęd notuje słynny proces Zofii Straszybothy, zwanej po prostu „Strasibótką". Ktoś z sąsiadów zauważył, że „od płotka do płotka tyłem, to znaczny na wspak chodziła". To wystarczyło, żeby ją oskarżyć o czary i oddać w ręce „mistrzowi", specjalnie na ten cel do Łodzi sprowadzonemu. Ale baba była twarda i na torturach do niczego się nie przyznała. Wiła się, miotała, wyrywała i „w tym się zadusiła".

Z tych też czasów pochodzą *Smutne dzieje pana Pawła Łodzi Kubowicza*, który cały swój majątek „podarował kościołowi" i został zabity „przez nocnego zbója". Jego życie stało się tematem rymowanej gawędy Wiktora Dłużniewskiego, pedagoga i literata łódzkiego, wydanej w 1857 r. w Warszawie.

Wiek XVIII przynosi Łodzi świątobliwego orędownika w osobie franciszkanina, ojca Rafała Chylińskiego, zamieszkałego stale w Łagiewnikach, ale często nawiedzającego Łódź.

Lecz dopiero początek wieku XIX staje się dla Łodzi momentem przełomowym w jej rozwoju. Zawdzięcza go ona trzem pionierom polskiego przemysłu: księciu Ksaweremu Lubeckiemu, ministrowi skarbu Królestwa Polskiego, Tadeuszowi Mostowskiemu, ministrowi spraw wewnętrznych, a zwłaszcza Rajmundowi Rembielińskiemu, prezesowi komisji wojewódzkiej mazowieckiej. Zwrócił on uwagę na szczęśliwe położenie tej puszczańskiej osady, w której niedawno jeszcze, bo w 1798 roku, urządzano gromadne obławy na wilki, czyniące dotkliwe szkody w mieście, na obfitość wód bieżących, na wspaniały budulec w okolicznych lasach.

Ale najwięcej splendoru przyniósł Łodzi wielki pionier ekonomicznego rozwoju Polski, Stanisław Staszic, badając osobiście sprawę uprzemysłowienia Łodzi i w swoich *Uwagach przy objeździe dróg, rzek i fabryk w r. 1825 w miesiącu wrześniu* szóstą część całego raportu jej właśnie poświęcając.

I teraz, jak pisze autorka *Gawęd*, „zaczyna się prawdziwy wyścig z czasem". Łódź puszczańska przeradza się gwałtownie w Łódź fabryczną. Wraz z raptownym rozwojem idzie w parze jej zniemczenie, bo wobec braku krajowych fachowców zachodzi konieczność sprowadzenia ich z Niemiec, a za majstrami podążają skwapliwie ci, którzy z cudzej pracy będą ciągnąć nadmierne zyski: obcokrajowi kapitaliści, kolonizatorzy, traktujący ludność miejscową jak białych Murzynów. Początki zawrotnej kariery jednego z kacyków łódzkich ilustruje jaskrawo rozdział pt. *Gruszkowa komoda pana Geyera*.

W ogóle jednak począwszy od połowy wieku XIX puls książki słabnie, rozpraszając się w drobiazgowych szczegółach statystycznych, urbanistycznych i obyczajowych, świadczących wprawdzie chlubnie o umiejętności autorki czytania i szperania po rocznikach pism łódzkich i starych kalendarzach, ale blednących i mizerniejących wobec płomiennych i czarnych obrazów *Ziemi obiecanej* Reymonta i *Złego miasta* Bartkiewicza.

Czasem tylko to monotonne rozlewisko mrocznej wegetacji poruszy jakiś potężniejszy nurt niezwykłej, jak na Łódź, przygody. Takim sensacyj-

nym faktem jest śmierć słynnego murzyńskiego tragika, Ira Aldridge'a. Zanim zdążył olśnić publiczność łódzką swoją nieporównaną kreacją Szekspirowskiego Otella, zmarł nagle w sierpniu 1867 roku i został pochowany na miejscowym cmentarzu ewangelickim. Istotnie, co za ironia losu! Przewędrować cały świat, aby po własną śmierć przyjechać do łódzkiego „Raju" (Hotel „Paradyz").

Dopiero w 1890 roku przybyła z koncertem do Łodzi jego córka, primadonna opery londyńskiej, obdarzona pięknym kontraltem, Suranah Aldridge, i cały dochód ze swego koncertu przeznaczyła na pomnik dla swego ojca.

W ogóle poziom artystyczno-kulturalny Łodzi dziewiętnastowiecznej był dość osobliwy. Proletariat, celowo utrzymywany w nędzy i ciemnocie, nie skorzystał z rozrywek kulturalnych. Fabrykanci, których trudno nazwać patrycjatem, garstka inteligencji polskiej i rzesza „lodzermenszów" o niezdecydowanym obliczu narodowościowym, i umysłowym — stanowili publiczność Łodzi, skwapliwiej uczęszczającą na popisy żonglerów i magików niż do teatru z prawdziwego zdarzenia. Tym bardziej zasługują na uznanie wysiłki pionierów, którzy w tę dżunglę wielkomiejską szli ofiarnie z polskim słowem, sztuką i książką. Wylicza ich sumienie autorka *Gawęd*.

Zrozumiały jest fakt, że wobec „złego miasta" trudno było jej zdobyć się na to ciepło uczuciowe, jakim w *Niespodziankach warszawskich* darzyła ukochaną stolicę. Jej pióro nabiera żywszych barw przy opisie tragicznych „Walk" 1905 roku. Krwawy epos Łodzi podnosi ją do rzędu miast walczącego i nieustępliwego proletariatu.

Za skrzętnie zebrane, umiejętnie rozplanowane i ocalone od zapomnienia szczegóły niezwykłego żywota miasta bez antenatów winni są głęboką wdzięczność nie tylko łodzianie.

Stefania Podhorska-Okołów

PROWINCJONALNY PAMIĘTNIK

Paweł Hulka-Laskowski *Mój Żyrardów. Z dziejów polskiego miasta i życia pisarza*. Warszawa 1958. „Czytelnik"; str. 356.

Hulka-Laskowski legitymował się autentycznym, rozgałęzionym drzewem genealogicznym niewątpliwej biedoty, był synem proletariuszy, włókniarzy. Mało tego, poprzez jego przodków docieramy do czeskich heretyków. Ma nienaganne pochodzenie społeczne. Przeszłość antyklerykalna kwalifikowała go na sojusznika i może nawet na „poputczyka". Dodajmy do tego jeszcze wygrany jak na loterii awans społeczny — no tak, ale tu jest ten szkopuł, kunsztowny figiel, który lubi spłatać literatura, żeby zepsuć fiszkę z czystego, schludnego kartonu. Właśnie ten awans trochę na modłę amerykańską, stypendium w rodzaju fordowskiego sprawia nieco kłopotu. To za własne pieniądze przecież właściciel Żyrardowa wyhodował bojowego wolnomyśliciela i wielkiego prokuratora zagranicznych eksploatatorów.

Środowisko proletariackie, egzotyczne zaplecze przemysłowych olbrzymów, wśród ruder i slumsów, nie mogło doczekać się swego autentyku, jak długo syn tego środowiska nie zamienił odsprzedawania tanich rąk roboczych na pracę umysłową.

Autentyk rzetelny, z bezpośredniej relacji, pozostaje poza dyktatem konwencji, nie kłopocze się o dąsy mody. Żyje faktem. Okrywcze to i odkrywkowe odsłanianie pokładów przeżyć. Wystawianie własnej biografii na widok publiczny.

Realizm jest nieodzowną, przyrodzoną, niemal jedyną formą wyrazu. Skóra faktu dana przez przyrodę albo przez układ formacji społecznych. Dotykalny, sprawdzalny kształt przeżycia. Czytający poddaje się sam konfrontacji. Jest uczestnikiem. Nie musi się przebierać ani grać, żeby zrozumieć.

Autentyk nie musi być dziełem sa-

morodnym. Warstwa nagromadzonej kultury i oświaty nie musi nieodzownie stać się przegrodą, nie dopuszczającą do zespolenia się z oczywistością. Autentyk proletariacki nie podobny jest do autentyku chłopskiego. Decydują odmienne, historyczne i socjologiczne, realia obu środowisk. Trzeba się również pogodzić z istnieniem autentyku inteligenckiego, choć zamiłowanie oświeconych do autochtonicznego prymitywu chciałoby wykluczyć autentyk oświeconych. Żywiołowa prawdomówność jest matką autentyku.

Posłuchajmy samego Hulki-Laskowskiego, legitymującego się wyłuszczonymi powyżej predylekcjami. Nieraz zresztą w *Moim Żyrardowie* motyw „pisania prosto o sobie" wraca. Tłumacząc znanego pisarza czeskiego odkrywa on niezahamowaną niczym relację przeżycia:

„I nagle Machar ze swoimi wyznaniami! Nie opisywał już jakichś »bohaterów«, o których można napisać, co się komu podoba, czyli prawdę i nieprawdę, ale pisał prosto o sobie. O biednym swoim dzieciństwie, o troskach i zgryzotach rodziców, o trudnościach w szkole, o służbie wojskowej, o pierwszych miłościach i pierwszych próbach literackich. Kochał jakieś dziewczęta, rozstawał się z nimi, zbliżał się do innych. Nic nie upiększał, wszystko nazywał po imieniu. Jakież to było nowe, pociągające, mocne. We krwi ozwały się jakieś atawistyczne głosy fanatycznych wyznawców, którzy dla prawdy poznanej szli na wygnanie, pozostawiając w ojczyźnie mienie, przyjaciół, wszystko. Prawda nie była taka ładna, jak zmyślenie, ale była inna, mocna, wspaniała, pełna zuchwalstwa" (str. 128).

U każdego, kto uczestniczy w odbiorze i tworzeniu sztuki, rodzi się w chwili olśnienia przeświadczenie, że oczywistość jest rewelacją. Jest to godzina przyjścia na świat autentyku, wypierzenia go z rajskich ozdób.

Prawda jest zawsze największą rewelacją. Gdy wstrząsy i huragany wypędzają ją z zamkniętych gąszczy, gdy oślepiona staje oko w oko ze słońcem, człowiek odnajduje się, może sam siebie określić. Pisarz odnajduje swój styl. Optyka już go nie zawiedzie.

Opowiadając o sobie obnaży świat widzialny i przeczuwany. Autor dojrzewa do epickiej postaci, chociaż przekazuje ją tylko w surowcu, nie troszcząc się wcale o proces formowania, o prezentację dramatyczną. Markuje w sobie bohatera socjologicznie sformowanego środowiska.

Brano go pod muszkę skoncentrowanej, ciekawskiej uwagi, podejrzewając w nim syntezę psychologiczną wspinającej się klasy. Był okazem ze słabo znanego rewiru, mieszkańcem powierzchownie zbadanego mrowiska. Odrywając się od macierzystego zaplecza, od rdzennej, rodzinnej materii, opuszczając krainę wąskich uliczek, zaniedbanych zaułków, przyćmiewanych przez wiatry podmiejskie lamp gazowych i przesiedlając się do rzęsiście oświetlonych arterii, do sal kosztownych i zacisznych domów, zabezpieczonych żelaznym ogrodzeniem — powędrował niemal do innego kraju. W każdym kraju są dwie ojczyzny. To powiedzonko, wyłaniające się z obsesji rewolucjonistów, na chłodno rejestrowali reporterzy z pokolenia na pokolenie.

Mój Żyrardów nie jest wyznaniem pisarza zaangażowanego. Hulka-Laskowski należał do tzw. niezależnych, nie miał powiązań szczególnych z żadnym ugrupowaniem, tak przynajmniej twierdzi on sam.

Na *Moim Żyrardowie* nie ciąży waga wydarzeń. Nie narzuca się relacjom sztywnej periodyzacji. Jeśli styl jest nieco porowaty, w momentach potoczyczystych za gładki, jeśli słowo, zdanie, składnia nie dość wyraźnie pobudzają zmysły, niezbyt przekonywająco galwanizują pamięć, jeśli sugestie obrazów są mało intensywne, a barwy płynne, mimo to rzecz chwyta nas jak magnes opiłki. Taśma chronologiczna nie przyznaje pierwszeństwa żadnemu zespołowi wydarzeń. Panuje nieujarzmiony egalitaryzm wobec przemijania przeżyć. Śmierć matki w nasileniu emocjonalnym jest zrównana z narodzinami Polski. Militaryzm niemiecki obserwowany na reakcjach rozgałęzień nerwowych i potencjale uczuć piszącego daje sygnały namiętności i refleksji o podobnym natężeniu, jak protest przeciw bezwzględności i represjom pasożytującego w Polsce kapitału francuskiego. Debiut nie zajmuje więcej miejsca niż pierwsza miłość. Zetknięcie się z chroniczną chorobą pochłania wyobraźnię w równym stopniu, jak pierwsza podróż za granicę czy praca konsularna w Pradze czeskiej.

Hulka-Laskowski miał dwie obsesje: barbarzyńską przemoc kapitału i ciemnotę mgławic religijnych.

Nie popadł on w zwyczajną pułapkę retrospekcji wspomnieniowej ludzi po pięćdziesiątce, kiedy to uwielbia się podsumowywanie przeszłości, przerzucanie rodzinnego albumu, zakurzonych pamiątek.

Mój Żyradów nie podpada pod tę kategorię.

Mój Żyrardów w sugestywnych i wartościowych partiach ma w sobie coś z mowy oskarżycielskiej, przeplatanej autentycznym reportażem z miejsca popełnianych wykroczeń i przestępstw. Drobiazgowość opisu wymagana jest w każdej poszlakowej sprawie, zwłaszcza wtedy, gdy posądzany o przestępstwo chroniony jest przez prawo, jego prawo.

„Klasyczny kapitał nie zna uczuć ludzkich, miłosierdzia, litości, współczucia" — powiada autor (str. 243).

Konfrontacje współczesne nie powinny nikomu gmatwać sądu nad przeszłością. Hulka-Laskowski dociera do nas po ćwierćwieczu. Jeśli ktoś lubi swoje troski dopasowywać do dramatycznego przebiegu przerzucanych retronic, będzie mógł z korzyścią prowadzić dialog z drukowaną repliką.

W jednym miejscu powyżej podtrzymane jest twierdzenie, że Hulka-Laskowski wolny był od rygorów ideologii. Nie ulega wątpliwości, że niezależność — choć sprzyja bardziej obiektywnemu widzeniu realiów — pociąga za sobą pewne ograniczenia. Gorzej z perspektywą, gorzej z dialektyką. Postawa jest tu raczej kronikarska. Indywidualność pisarza decyduje o tonacji opisu i polemiki, o stylu, o antykapitalizmie w duchu Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Nie tyle z samym kapitałem, z efektami jego przemocy i bezwzględnością zmaga się tutaj pisarz. Kapitaliści, władający Zakładami Żyrardowskimi, pozostają poddani personalnej obserwacji. Zaspokaja się ciekawość osobistą ludzkiego, usiłującego dotrzeć do zasadniczych mechanizmów psychologicznych i charakterologicznych owych niepodzielnych władców świata, gdyż w mniemaniu poddanych królów włókna i wicekrólów żelaza malutcy dyktatorowie poszczególnych fabryk dorastali do mitycznych, groźnych kształtów.

„Rewolucje społeczne nic nie zrobią — powiada on w jednym miejscu — bo panowie Boussaccowie to wieczni kontrrewolucjoniści." A w innym: „Marks był dla mnie lekturą trudną i niezrozumiałą".

Rozprawiając się z kapitalistami zwalczał również popleczników fabrykanckich. Za takiego uważał zapewne ministra Matuszewskiego, który w styczniu 1932 r. wygłosił w Związku Zawodowym Literatów Polskich odczyt na temat *Widzenie rzeczywistości gospodarczej*.

Jak wynika z omówienia, odczyt miał na celu zamącenie u Literatów zdolności „widzenia rzeczywistości".

„Niestety — powiada syn tkaczy — odczyt Ministra Matuszewskiego był bardzo teoretyczny i literacki. Nie wdawał się w szczegóły i operował abstrakcjami, w których głodny robotnik znikał z oczu zaniepokojonych ludzi. Prelegent wywodził, że nie należy przeciwstawiać pracy kapitałowi, ale raczej mówić o pracy i władzy jako naturalnym podziale funkcji społecznych."

Odwieczny argument elity rządzącej, że wszelkie kontrasty społeczne, niesprawiedliwe, regresywne przeciwieństwa i układy są naturalnym podziałem funkcji społecznych.

Hulka-Laskowski był nieprzejednany w demaskatorstwie sprzysiężenia eksploatatorów. Żyrardów i proletariusze nie powinni zapomnieć o swoim pisarzu. Im poświęcony jest *Mój Żyrardów* z następującą dedykacją: „Robotnikom żyrardowskim, towarzyszom walki i porażek z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo". Polska miała zaledwie kilka takich pisarzy, którzy zdołali przekazać obraz niepokonanej nędzy wielkomiejskich skupisk, kilku pisarzy zachowujących poziom przekornej godności i niezłomność przekonań. Kilkunastu obawiałbym się już wymienić, żeby nie przesadzić.

Jan Wyka

ŻYCIE POETY

Mam przed sobą małą książeczkę. Posłowie jej powiada nam, że zawarty w niej został cały dorobek życiowy młodego poety. Poeta ten nazywał się Andrzej Bursa i zmarł w roku 1957 w dwudziestym szóstym roku życia.

Tomik ten zawiera niewielką ilość wierszy i trzy kawałki prozy, z których nowela *Smok* zostawia niezapomniane wrażenie swoim niesamowitym realizmem. Przyznam się, że po przeczytaniu tej noweli przez parę nocy śnił mi się ów „gad ślepy i wyleniały", jakiego opisuje Bursa.

Wiersze Andrzeja Bursy, a zwłaszcza jego szczupły dorobek prozaiczny świadczy o tym że w zmarłym literatura polska straciła bardzo zdolnego człowieka. Odszedł jak tylu innych młodych poetów — ale nie na skutek ciężkiej choroby, jak Jerzy Liebert, nie na skutek wyczerpania, jak paru innych. Odszedł — dlaczego?

Przyszedł rzeczowo żeby coś osiągnąć
ale już w pierwszych drzwiach kopniak
uśmiechnął się
kopniak wydał mu się dosyć dowcipny
spróbował znowu
kopniak
spróbował iść piętro wyżej
spadł znowu na parter strącony kopniakiem
przywarował grzecznie w bramie
kopniak
kopniak w bramie
na ulicy znowu kopniak...

Natura poetycka jest delikatną naturą. Niejednokrotnie uważa za kopniak coś, co zwykłemu śmiertelnikowi (przez zwykłego śmiertelnika rozumiem takiego, któremu się wydaje, że jest niezwykłym śmiertelnikiem) widzi się lekkim muśnięciem, poklepaniem po plecach lub tylko życzliwym, trochę ironicznym uśmiechem.

Poeci, zwłaszcza młodzi poeci, bardzo często uważają ziarnko żwiru za kamień młyński. A może to inaczej trzeba powiedzieć? Zbyt często kamień młyński uważamy za ziarnko żwiru.

Bursa niechybnie odczuwał każde ziarnko piasku jako przeszkodę nie do przezwyciężenia. Ciężko mu było na tym świecie i szukał ucieczki w delikatnych pejzażach, tak nie pasujących do naszej epoki:

Luizo mnie tu wszystko do łez do krwi znane
Każdy znak na metalu i niebie rozumiem
Popatrz to nasz sekretny alfabet składany
W pejzażu zagrożonym mieczem i piorunem

I lęk go ogarniał, iż nie ma na ziemi miejsca dla takich jak on poetów:

...Królestwo twoje obraca się w popiół
Istotne jest to czego nie osiągniesz nigdy
Osamotnienie spojrzeń bezcelowość kroków...
Rozgrzany bieg planety i krater wystygły...

I gdy tak przeglądam tę małą garstkę, garstkę popiołu, pozostałą po Andrzeju Bursie, zapytuję sam siebie, ile jest naszej winy w tym, iż ten poeta odszedł od nas nie pogodzony z życiem, tragicznie złamany, obdarzany naszymi uśmiechami, które smakowały jak „kopniaki". Bursa nie tylko pisał o kopniakach: był czułym i tkliwym piewcą *Luizy,* poemaciku, który naprawdę jest klejnotem poezji współczesnej. Dlaczego nie napisał więcej takich wierszy?

Mówiąc „nasza wina" myślę o całej naszej społeczności literackiej, która pozornie jest zgrana i związana wspólnymi dążeniami, a która zbyt często pogrążona jest w zapatrzonym w siebie egotyzmie — nie zwracająca uwagi na ludzi tak blisko niej stojących, męczących się okropnie, gdyż samo *principium individationis* jest już dla nich męczarnią. Nie czują się oni związani z żadną społecznością — i nie mogą stawać się zimnymi układaczami słów, którzy nie mają serca.

Mówiąc prostszymi słowami, czy nie ma winy w tym, iż starsi koledzy zbyt mało zwracają uwagi na młodszych? Mówi się często o tym, że młodzi są rozwydrzeni, że nie pragną pomocy i nauki starszych. Być może — ale chyba nie na nauce i nie na pomocy rzecz ta polega, polega ona na odrobinie zainteresowania i serca. Nie tylko chodzi tutaj o starszych kolegów — i sami młodzi w swej pogoni za uznaniem nieraz okazują się okrutni i obojętni wobec swych rówieśników. Nawet — jeżeli wierzyć Bursie — nie umieją milczeć:

Gdyby moi przyjaciele umieli tak
inteligentnie milczeć

To by mi było o wiele lepiej —

zwraca się poeta do psa, z którym musi się rozstać.

Smutno jest w naszym społeczeństwie, kiedy poeta u psa musi szukać odruchów przyjaźni.

Zresztą nie znam bliżej życia Andrzeja Bursy. Może miał oddanych przyjaciół, których nie umiał docenić. Ale na ogół uważam, że należałoby w naszych sporach i konfliktach, w naszych nienawiściach i walkach (czasami intrygach) bardziej brać pod uwagę to, co odczuwają młode, wrażliwe dusze. Aby nie wydawało się im, że „królestwo" naszej literatury „obraca się w popiół". Jest w nim prawdziwy żar, na pewno, ale przykryty „zastygłą lawą" pewnego typu egoizmu. Niektórzy młodzi znają to „do łez, do krwi" — i do przedwczesnej śmierci.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Pokazało się ostatnio sporo bardzo interesujących reportaży. Przoduje *Świat:* reportaż Dominika Horodyńskiego z wyprawy myśliwskiej na daleką Syberię (brali w niej udział jeszcze Roman Bratny i Andrzej Strumiłło) przyniósł ogromnie ciekawe spostrzeżenia na temat życia na dalekich krańcach Związku Radzieckiego. Szczególną rewelacją były fakty dotyczące żydowskiego obwodu autonomicznego.

Sensacją był reportaż Bronisława Zielińskiego z pobytu u Hemingwaya. Rzadko się zdarza czytać w prasie polskiej tak autentyczne, z pierwszej ręki wrażenia. W stosunku Hemingwaya do polskiego gościa dało się wyczuć sympatię dla narodu polskiego — sympatię szczególną, dość zrozumiałą u pisarza, który lubi narody nieszczęśliwe, w jego stosunku do Polski jest coś z tej życzliwej litości, z jakiej zrodziła się jego piękna powieść o Hiszpanii.

Trzecim wydarzeniem był reportaż Aleksandra Ziemnego z Chin. Prasa światowa pełna jest obecnie fantastycznych wiadomości o ruchu komun ludowych. Wszyscy dziennikarze, którzy stykają się z tym zjawiskiem, przyznają się do bezradności wobec faktów nie mieszczących się po prostu w wyobraźni przeciętnego Europejczyka. Trzeba wobec nich przyjąć zupełnie inną skalę. Nie umiał jej zresztą przyjąć Ziemny. Jego reportaż wydaje się płytki, obliczony na zaszokowanie. Ale mimo to daje pojęcie o tym, co się w Chinach dzieje, i spośród tekstów literackich ubiegłego miesiąca zasługuje na największą uwagę.

Sporo miejsca we wszystkich pismach zajmowała ostatnio dyskusja nad zabudową centrum Warszawy. Zabierali głos także pisarze: Julian Przyboś, Bogdan Czeszko. Opinia wyraźnie opowiedziała się po stronie ekstremistycznego projektu Leykama, przewidującego zabudowę tzw. wchodniej ścia-

ny pl. Defilad zespołem „szklanych" wieżowców i pawilonów, przypominających fragment jakiejś wielkiej wystawy. Nie chcę już przyłączać się do tej dyskusji, podobała mi się zgodna pasja, z jaką środowisko literacko-artystyczne poparło projekt, który nie uzyskał żadnej z trzech pierwszych nagród. Z drugiej strony nad wyraz rozsądnym wydał mi się właśnie głos Przybosia, który nawoływał do tego, aby nie eksponować centrum przez obudowę Pałacu Kultury, ale „wielką" (czy raczej wysoką) Warszawę rozciągnąć na obszar całego miasta.

Z innych spraw: zwrócił moją uwagę bardzo interesujący szkic Stanisława Ossowskiego pt. *Z nastrojów manichejskich (Przegląd Kulturalny,* Nr 1). Jest to esej, napisany podczas okupacji, który stanowi zupełnie szczególny dokument literacki owych czasów. Ossowski jest w tym szkicu bliski temu rozumieniu zjawisk okupacyjnych, jakie przejawili nieliczni pisarze — Borowski, Miłosz, Rudnicki. Widzi mianowicie owo przenikanie zła w świadomość każdego człowieka poddanego systemowi terroru, któremu dał wyraz np. Borowski w opowiadaniach oświęcimskich. Pięknie napisany esej Ossowskiego daje czytelnikowi w wielu fragmentach satysfakcję czysto artystyczną.

W tymże samym numerze przedziwny monolog Jana Błońskiego (*Głos oskarżonego).* Do takiego monologu gotów jest każdy krytyk, każdy nosi go w sobie, bowiem każdy jest tak straszliwie niepewny sensu swojej roboty, że rad by niepewność tę przerwać takim właśnie okrzykiem hetmańskiej pychy: macie mnie słuchać, chociażby to nie miało żadnego sensu. Felieton Błońskiego to chwila zakłamania, która zrodziła się w chwili szczerości. Błoński chyba wie tak jak ja, tak jak każdy krytyk, pogodził się już chyba z tym (jest dorosłym człowiekiem), że go nie ma, że nie istnieje, że jest tylko powietrzem, którym oddychają pisarze i czytelnicy, powietrzem, które jest niewidzialne i którego wszystkie skarby idą na rachunek krajobrazu. Co z tego, że komuś tam powie, jak powinien był swoją książkę napisać — ma zapewne rację, ale książka zostanie w literaturze tylko taka, jaka jest, czytelnik przeczyta ją taką, jaka jest, historyk literatury zanotuje taką, jaka jest, a jeśli nawet ktoś kiedyś będzie znów próbował ją podważyć, inaczej zobaczyć, zakwestionować, uczyni to na własny rachunek, według swego nowego gustu, którego nie zdołasz przewidzieć, choćbyś nie wiem jak przenikliwym był krytykiem. „I chociaż przyszłość jego (krytyka) znaczy fatalistycznie konieczność upadku — pisał Stanisław Baczyński *(Prawo sądu)* — obowiązkiem jego jest tę przyszłość stwarzać, budować dla samego siebie rusztowanie, szyć koszulę śmiertelną dla swych myśli, bez nadziei odwrócenia losu; następca jego nie będzie jego synem, chociaż będzie deptał po jego grobie." W krytyce nie ma żadnej ciągłości, żadnego dziedzictwa. Wszystko zaczyna się wiecznie od nowa. Nie ma żadnego śladu sądów krytycznych, zbiory prac krytycznych nie są czytane, przepadają, chyba że są tak jak wstępy Boya przerośnięte anegdotą, a więc żywiołem obcym, beletrystycznym. Krytyki więc nie ma i nie wiem, po co właściwie tak upierać się przy jej istnieniu. Krytyk, jeśli rzeczywiście chce zostać w literaturze, powinien napisać parę portretów literackich, przy czym niech pamięta, że czytane i pamiętane będzie nie to, co on sam o pisarzu sądzi, ale to, co z poglądów czy przeżyć pisarza czytelnikowi przybliżył. Niech pamięta i niech się z tym pogodzi, że jest popularyzatorem i twórcą legendy, niczym więcej. Powinni poza tym krytycy pisać historię literatury. Popsuć robotę profesorom. Nie ma ani jednej historii literatury polskiej do czytania — wszystko podręczniki i podręczniki. Niechby się ktoś odważył, choćby nienajpoważniej, ale ciekawie, z błędami, ale z inteligencją, z banałami, ale z wdziękiem.

Mieczysław Jastrun publikuje ostatnio szkice o poezji i — jak pisze — postanowił przedstawić dzieje poezji polskiej na kilkudziesięciu stronach. Nie ma w tym tekście żadnych odkryć, ale jest własne spojrzenie, własna hierarchia, jest coś tak świeżego po tej podręcznikowej papce, jaką jesteśmy przekarmieni! I wreszcie współczesny poeta wychodzi poza krąg tych najbliższych—dwudziestowiecznych i pewnych wybranych z dziewiętnastego wieku— wzorów poetyckich, spogląda na poezję odrodzenia nie jak na muzealną czcigodność, ale jak na żywą twórczość. Jastrun mówi o wierszach Wacława Potockiego tak, jakby miał do czynienia z Sewerynem Pollakiem, jest surowy w miarę, w miarę pobłażliwy, widzi

te same problemy, rozumie warsztatowe kłopoty swego kolegi i konkurenta sprzed trzech wieków. Obraz tej poezji jest niepełny, chwilami kapryśny, ale w tym przecież jego urok.

Potężną działalność publicystyczną rozwija nadal Stefan Żółkiewski. W ostatnim artykule (*Ryzyko samotności* — *Nowa Kultura*, Nr 3) zwrócił uwagę na moje felietony, co mi bardzo pochlebia. Przykro mi tylko, że przypisał mi naiwność, której nigdy nie głosiłem.

„Jak długo—pisze Żółkiewski—mamy być karmieni odkryciami Kijowskiego, że co »wesołe«, to nie literatura..." Rozumiem, że Żółkiewskiemu trzeba było nazwisk, ale wolałbym, żeby mi przypisał coś bardziej skomplikowanego. Właśnie niedawno dopiero pisałem, że antynomia: pesymizm — optymizm jest dla literatury zupełnie fikcyjna, że nie są to ani kategorie estetyczne, ani filozoficzne, że przedostały się one do literatury z zewnątrz, narodziły się razem z pojęciem jej użytkowości, są związane z jej doraźnym skutkowaniem. Zdaję sobie sprawę z tego, że bywają epoki, kiedy literatura jest narzędziem słusznej, obywatelskiej propagandy (jak np. w okresie Sejmu Czteroletniego) i wtedy rzeczywiście liczy się jej nadzieja, jej energia, jej optymizm. Ale nie są to epoki w dziejach literatury najchlubniejsze — w sensie artystycznym. Przychodzą potem epoki nowego pogłębiania nurtu artystycznego, kiedy użytkowe kryteria tracą wszelką wartość. Żółkiewski zawsze generalizuje. Sam lubi i ceni tylko literaturę polityczną, zgoda, ale niech według jej kryteriów nie ocenia innej. Pisze — co prawda bardzo słusznie — że nie można kategorii filozoficznych przekładać na kategorie polityczne. Ale przecież kategorie filozoficzne także nie mogą być rozumiane jednoznacznie. Literatura nie mnoży formuł egzystencjalnych. Mnoży sytuacje i aspekty. Uwielokrotnia — a więc czyni coś wręcz przeciwnego niż filozofia, której zadaniem jest doprowadzić świat do formuły najprostszej.

Jeszcze jedno mnie razi w artykule Żółkiewskiego. Żółkiewski namawia do jasnego i otwartego konfliktu postaw, do starcia idei — zapewnia, że istnieją po temu sprzyjające warunki. Chce rozegrać bitwę, którą przerwało zaćmienie słońca. Twierdzi, że istnieją także po temu warunki subiektywne. Mimo takich czy innych załamań i odwrotów wielu pisarzy weszło na drogę słuszną i chociaż krytyka (?) każe im się wstydzić utworów, które powstały w okresie schematyzmu, stanowią one — niezależnie od słabości — trwałą kartę w biografii ideowej, której nie wolno się wyrzekać. I tu wymienia Żółkiewski starą gwardię *Kuźnicy* z dodatkiem paru klasyków, na których zawsze można liczyć.

Wydaje mi się, że Żółkiewski zaczął swój atak ze złego skrzydła. Zaczyna odnawiać dom od parteru, kiedy dojdzie do piętra, dół sobie zachlapie. Nic nie można zrobić z pisarzami, którzy już dawno lub bardzo dawno swoje postawy sformułowali. Dla Dąbrowskiej i Iwaszkiewicza biografie literackie liczą się w skali znacznie szerszej niż etapy przedschematyczne, schematyczne i poschematyczne. Żółkiewski czyni epoki z epizodów. Dla pokolenia powojennego już raz minął okres heroicznej młodości, kiedy to rzeczywiście określa się siebie. Ale ma się tylko jeden taki okres w intelektualnym życiorysie. Resztę załatwia się już książkami, które mają także swój własny, często innymi już czynnikami uregulowany rytm rozwojowy. Po przekroczeniu „smugi cienia" patrzy się już coraz bardziej w siebie, przychodzi refleksja — taką refleksyjną powieścią jest przecież *Podróż* Dygata—gdzie jej tam do arrywizmu *Jeziora Bodeńskiego!*

Te rachunki trzeba załatwiać z najmłodszymi pokoleniami literackimi. Brandys dawno opowiedział się po stronie pisarstwa zaangażowanego i już pozostanie przy swojej wierze, chociaż nie powie też na ten temat nic nowego. Co na ten temat mają do powiedzenia Krzysztoń, Grochowiak, Minkowski, Kotowska, Kabatc? Tu się rozstrzyga sprawa zaangażowania, sprawa racjonalizmu, sprawa — jak już koniecznie trzeba — optymizmu. To są te górne piętra, od których trzeba zaczynać.

Nic nie pomoże utwierdzanie czy podsycanie dawnych procesów literackich, jeśli okaże się, że nowe są z nimi sprzeczne. Kampania jest do rozegrania z tymi, którzy nadchodzą, nie z tymi, którzy już są na swoich miejscach. Trzeba rozstrzygnąć sprawę twórczości najmłodszych prozaików i poetów, a nie najstarszym proponować jeszcze jedną epokę heroiczną.

Andrzej Kijowski

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

(1895—1959)

Młodemu pokoleniu niewiele może mówi to nazwisko, przypomniane dopiero przed paru miesiącami przez „Czytelnika" *Wierszami wybranymi*. Nic dziwnego: Stanisław Młodożeniec dopiero w kwietniu 1957 roku wrócił po osiemnastoletniej tułaczce wojennej i powojennej, którą zaczął jako żołnierz kampanii wrześniowej, do kraju — a i przez te niespełna dwa lata trzymał się z dala od głównego nurtu sporów i walk literackich, znany raczej tylko czytelnikom prasy Stronnictwa Ludowego. Ale zarówno czytelnikom pamiętającym z autopsji dwudziestolecie międzywojenne, jak i licznym czytelnikom z młodszego pokolenia, przywykłym traktować tę bogatą w talenty i pasjonujące zjawiska literackie epokę jako najbliższy przedsionek teraźniejszości — nazwisko Młodożeńca, przypomniane w kwietniu 1957 roku przez komunikaty prasowe, nasunęło ogromnie dużo asocjacji. To nieomal sygnał wywoławczy całego kompleksu pierwszorzędnej wagi wydarzeń, nurtów, tendencji w naszej literaturze! Nazwisko to kojarzy się przede wszystkim z futuryzmem, prądem, który zaczął w Polsce bodajże Jerzy Jankowski, a raczej Yeży Yankowski swym „tramem wpopszek (tak!) ulicy" — ale którego najwybitniejszymi przedstawicielami byli: Bruno Jasieński, Aleksander Wat, Anatol Stern, Jalu Kurek i właśnie Stanisław Młodożeniec. Jeszcze jedna typowa cyganeria *„pour epater le bourgeois"*, wożąca nagiego Wata w taczkach po placu Wareckim, wywołującą oburzenie zarówno swymi obrazami, jak i przełamującymi wszelkie znane i uznane wówczas konwencje wierszami. I nawet Tuwim, bardzo jeszcze wówczas zielony, mimo ogromnego talentu i sporej chyba, wbrew krytykom walczącym potem z hasłem „talentyzmu", samoświadomości poetyckiej — deklarujący: „Będę ja pierwszym w Polsce futurystą!". Drzwi otwarte na Wschód i Zachód — bardziej jednak na Wschód z Majakowskim, Jesieninem i Chlebnikowem, niż na Zachód (Włochy), trudniej dostępny językowo i przynajmniej w zakresie futuryzmu nie rozporządzający takimi talentami: Marinetti, Soffici, Boccioni, Papini.

W tym nurcie niepoślednią rolę odegrał Młodożeniec. I nie tylko dlatego, że dawał swym tomikom charakterystyczne, można powiedzieć „firmowe" tytuły: *Kreski i futureski* (1921, debiut), *Kwadraty* (1925), *Futurogamy i futuropejzaże* (1934) — lecz dlatego, że do prądu tego wnosił własne, indywidualne wartości poetyckie.

Futuryzm polski to w ogóle *terra incognita* naszej krytyki i (tak, już tak daleko od tamtych lat czas nas zaniósł) historii literatury. Znamy jako tako jego anegdotyczną historię, głównie dzięki Watowi i Sternowi, od biedy mamy już pewne tropy i nici, pozwalające stawiać pierwsze hipotezy o ideologicznym zaangażowaniu futurystów — o materii literackiej tego kierunku nie wiemy nic, nawet jak najbardziej potocznie. To temat czekający na swego monografistę, w którym wszystko, co zostanie powiedziane, będzie odkryciem.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji wciąż jeszcze niejasna i nieustabilizowana jest pozycja literacka Młodożeńca, poety, którego najbardziej twórcze lata wypadają na pierwsze dziesięciolecie okresu międzywojennego. W każdym razie musimy pamiętać, że pod najwcześniejszymi jego wierszami, które znajdujemy w tomie *Wierszy wybranych*, widnieją lata 1918—1919, a więc na kilka lat przed *Zwrotnicą* i wykrystalizowaniem się programu tzw. awangardy krakowskiej. Futuryzm polski nie odegrał tej roli, co owa awangarda, jego literackie następstwa są nieporównanie uboższe i mniej istotne, ale prawdę mówiąc, trudno dziś jeszcze powiedzieć, co zawdzięczają właśnie futurystom późniejsi poeci, przełamujący tradycyjną składnię, dynamizujący wiersz w organicznie zespoloną całość rytmu i elementów semantycznych, warunkujących np. wersotwórcze onomatopeje, wyzyskujących walor nagromadzeń egzotycznych

ub technicystycznych itp. Wiersze Młodożeńca z jego dwóch pierwszych omików pokazują zaś ogromną skalę możliwości w tym zakresie, skalę charakteryzującą się przy tym wielką trakcyjnością eufoniczną. To jeden utworów Młodożeńca należał chyba do sławnego repertuaru Richterówny, która potrafiła recytacją absolutnie prawie niesemantycznych wierszy trzymać w napięciu salę pełną słuchaczy. Rangę Młodożeńca w literaturze polskiej i jej historii ustali dopiero przyszły historyk futuryzmu polskiego. W każdym razie niech nam tu wystarczy powierzchowna obserwacja, że niejedno w jego wierszach ma późniejsze echa nawet u Tuwima, który o prawda nie tylko nie został „pierwszym w Polsce futurystą", ale w ogóle nie może być wymieniany wśród przedstawicieli tego kierunku. Być może, iż czerpali obydwaj ze wspólnego źródła rosyjskich futurystów, zdaje się jednak — a świadczy o tym choćby słowotwórstwo słopiewni — że nie bez znaczenia dla Tuwimowskiej recepcji futuryzmu rosyjskiego były wcześniejsze próby spolszczenia tamtejszych odkryć przez Młodożeńca.

Potem poezja Młodożeńca coraz bardziej chłopiała tematycznie, a uklasyczniała się, „skamadryciała" formalnie. To było już w dwudziestoleciu. Ciekawe, że futuryzm polski — a i tu nadzą się zauważyć analogie (być może i zależności) z futuryzmem rosyjskim — mimo swych urbanistycznych, maszynistycznych, „lotniczych" haseł miał bardzo dużo wiejskości w swej tematyce i stylizacji ludowej w poetyckich realizacjach. *Słowo o Jakubie Szeli* Jasieńskiego, poety przecież nie chłopskiego, jest charakterystyczne pod tym względem. Ba, nawet późniejsza nieco awangarda krakowska, czyściej urbanistyczna — pod tym względem, też tkwi korzeniami w sielskiej, słowiańskiej mitologii (por. zapomniane już dziś najwcześniejsze leśmiańskie wiersze Przybosia). Młodożeniec zaś może być nieomal bez zastrzeżeń nazwany poetą chłopskim. Wystarczy przyjrzeć się roli motywów tematycznych i stylizacyjnych chłopskich zarówno w jego futurystycznym, jak i późniejszym, bardziej „klasycznym" okresie.

Młodożeniec późniejszy, do niedawna nikomu w Polsce nie znany, autor klasycznych w wersyfikacji, obrazowaniu, stylizacji wierszy *Z Egiptu i Anglii*, a nawet klasycystycznych zgoła bajek — to zjawisko zupełnie innego rodzaju: poeta o dużej kulturze i chyba nieporównanie mniejszej szansie kształtowania żywego nurtu poezji niż młodzieńczy Młodożeniec-futurysta. W świadomości literackiej ludzi czytających poezje pozostanie on na zawsze autorem *Kresek i futuresek*, współbohaterem jednej z najciekawiej zapowiadających się przygód literackich, futuryzmu, po którym więcej może zostało w żywej materii poetyckiej, kształtowanej zawsze jakoś przez przeszłość i przeróżne tradycje literackie — niż wydaje się dziś powierzchownemu obserwatorowi.

jj

CZECHOW I KATARZYNA MANSFIELD

O rosyjskich sympatiach literackich Katarzyny Mansfield, jej kulcie dla wielkich powieściopisarzy rosyjskich ubiegłego wieku (Dostojewski, Tołstoj), o jej namiętnym, egzaltowanym niemal podziwie dla Czechowa, jako człowieka i pisarza, o zbieżnościach jej artystycznej wizji świata z twórczym temperamentem Czechowa — pisano dość dużo swego czasu w Anglii, a także oczywiście w Rosji. Znawczyni twórczości Katarzyny Mansfield, Maria Szereszewska, w interesującym wstępie do wydanego niedawno w Moskwie tomiku opowiadań tej uroczej, subtelnej i smutnej pisarki słusznie powraca do koneksji łączących nazwisko nowelisty rosyjskiego z „angielskim Czechowem". Możemy śmiało operować tym przydomkiem: wy-

myśliła go przecież i zastosowała do siebie sama Katarzyna Mansfield, pisząc w swym notatniku w roku 1920:

By all the laws of the M. and P.
This book is bound to belong to me.
Besides I am sure that you agree
I am the English Anton T.

I dodaje:

God forgive me, Tchekhov, for my impertinence.

Ten na wpół żartobliwy, na wpół poważny w swym tonie czterowiersz, a także dołączony doń w formie usprawiedliwienia własnego zuchwalstwa dopisek mogłyby już być dostatecznie wymowną charakterystyką stosunku Katarzyny Mansfield do Czechowa, którego przecież nigdy nie znała (Katarzyna Mansfield była bowiem w roku śmierci Czechowa szesnastoletnim podlotkiem, od paru miesięcy uczennicą londyńskiego Queen's College). Ubolewa nad tym w swym dzienniku: „Ach! Czechow, dlaczegoż Pan umarł? Dlaczegoż nie jest mi sądzone porozmawiać sobie z Panem do późnego wieczora, w nieco przyćmionym pokoju, do którego wsącza się światło, zielonkawe od falujących na dworze drzew?...". W roku 1920 zanotuje: „Jaka to dziwna rzecz! Jedyne istoty, które mi pozostały — to Czechow i doktor Sorapure, roztargniony, obojętny. To jedynie prawdziwie dobrzy ludzie, jakich znałam".

Podobnie jak Czechowa, Katarzynę Mansfield zmogła nieuleczalna wówczas gruźlica. „Czy Pan wie, że nie wstaję już od listopada 1920 roku? — pisze z Menton do S. S. Koteliańskiego (jeden z najlepszych przyjaciół pisarki, m. in. tłumacz listów Tołstoja i Czechowa). — Tyle tylko, by przejść do powozu i z powrotem. Oba moje płuca są już chore; w jednym dziura, drugie całkowicie zajęte. Serce jest również osłabione. Czyż można z tego wszystkiego się wyleczyć? Ach! Koteliański, módl się Pan za mnie."

A pragnęłaby jeszcze „żyć, żyć — i nic więcej. A potem opuścić ten świat, podobnie jak opuścili go Czechow i Tołstoj" (*Dziennik*, 1920 r.), Pragnienie życia przeplata się z ciągłymi wizjami bezszelestnie zbliżającej się śmierci. „...Będę się starała powrócić do zdrowia — pisze z Ospadaletti do S. S. Koteliańskiego (grudzień 1919 r.). — Jeśli umrę, znajdę może jakiś raj, przeznaczony wyłącznie dla gruźlików. Zobaczyłabym wtedy Czechowa, jak idzie alejami swego ogrodu, wysadzonego drzewami owocowymi, wzdłuż klombów rozkwitających tulipanów. Pies jego siedzi w alei, dysząc i uśmiechając się, jak to robią psy po długim bieganiu."

Poszukuje towarzystwa Rosjan, by móc pomówić z nimi o Czechowie. W Paryżu spotyka się z Buninem. „Ponieważ Bunin znał Czechowa — zwierza się w liście do Williama Gerhardiego (czerwiec 1922 r.) — chciałam pomówić z nim o Czechowie. Niestety, powiedział tylko: »Czechow? Ach, tak, tak, znałem Czechowa. Ale to było dawno, dawno temu«. Przerwał i po chwili dodał: »Pisał piękne rzeczy«. To wszystko, co o nim powiedział. »Czy czytała pani moje ostatnie...?«". W tym samym liście Mansfield określi lapidarnie swój stosunek do nowel Bunina. Ceni *Pana z San-Francisco*, lecz pozostałe nowele ze zbioru wydanego w Anglii w roku 1922 nie odpowiadają jej wyraźnie. Noweli pt. *Syn* wręcz nie rozumie. „Bunin zadaje sobie zbyt wiele trudu. Za bardzo troszczy się o to, aby czytelnikowi nie wymknął się żaden szczegół." Obca jej jest literacka kropka nad i. Zachwyca ją brak tej kropki u Czechowa. Francuski krytyk z *La Nouvelle Revue Française*, Schlumberger, zauważył również, choć nieco później (recepcja dzieł Czechowa we Francji napotykała początkowa dość duże opory), iż Czechow jest Rosjaninem najbliższym Francuzom, gdyż, podobnie jak oni, lubi chwytać sens w pół słowa, bez natrętnego wyjaśniania takiego czy innego gestu lub dowcipu.

Tak jak i Czechow, Katarzyna Mansfield uważa, iż zadaniem pisarza jest „nie rozwiązywanie, lecz stawianie problemu. Kładzie to, moim zdaniem — pisze do Virginii Woolf (maj 1919 r.) — wspaniałą linię demarkacyjną pomiędzy pisarzem, który mówi prawdę, a tym, co kłamie".

Czechow podkreślał, że w *Annie Kareninie* i w *Eugeniuszu Onieginie* żaden problem nie jest rozwiązany. I właśnie dlatego oba utwory zachwycają go. „Stawianie pytań — pisał —

leży do sędziów, odpowiedzi zaś na nie dają ławnicy, kierując się własnym sumieniem."

Katarzyna Mansfield powraca do tej myśli ponownie w liście do Dorothy Brett: „Czechow przy każdej okazji podkreślał, iż nigdy nie miał zamiaru żadnego problemu rozwiązywać. W istocie, uważał to za słaby punkt artysty. Dręczył się tym, lecz pozostawał przy swoim. Żadnego problemu. I rzeczywiście zastanówmy się: jakie problemy mieli Chaucer czy Shakespeare? Literatura z problemem jest wynalazkiem XIX wieku. Artysta długo obserwuje życie, w końcu zadaje sobie pytanie: »A więc takie jest życie?«. I usiłuje przekazać własną wizję świata. Wszystko inne pozostawia na uboczu. Nawet Tołstoj nie miał żadnych problemów do rozwiązywania, choć odczuwał wielką potrzebę propagowania czegoś. Mimo to jest wielkim artystą".

Czechowa podziwia bez granic, wielbia bez zastrzeżeń. Łączy ją z nim niemal analogiczna wizja świata i bardzo podobna wrażliwość estetyczna, co każe jej wyrazić zachwyt dla opowiadania *Step*, które ukazało się po raz pierwszy w Anglii w roku 1915. „Właśnie przeczytałam *Step* — zwierzyła się od razu Koteliańskiemu. — Cóż można powiedzieć o tym utworze? Chyba, że jest to jedna z największych opowieści, jaką kiedykolwiek napisano, coś w rodzaju *Iliady* lub *Odysei*."

W podobnej konwencji Katarzyna Mansfield napisała opowiadanie pt. *Preludium*. W *Preludium*, tak jak w *Stepie*, nic się prawie nie dzieje; koniec jest powrotem do punktu wyjścia, dorośli przeprowadzają się, dzieci bawią się w sadzie. „Żadnej dramatyczności, żadnych problemowych opowiadań, wszystko jest proste, otwarte" *(Dziennik)*. Zbuntowana przeciwko tradycyjnemu już pojęciu *short story* z jego szybkim tempem, niespodziewaną pointą, Katarzyna Mansfield łagodnymi konturami rysuje jedynie fragmenty życia, w których brak owej pointy zastąpi konflikt sumienia, fabułę — historia najskrytszych przeżyć bohaterów. Dla Czechowa, jak i dla Katarzyny Mansfield, ważne jest nie to, co się dzieje z bohaterami, lecz to, co czują, przeżywają; nie to, co mówią, lecz jak mówią. Stąd ogromna rola podtekstu w jej opowiadaniach, podskórnego prądu o zabarwieniu lirycznym. Spontaniczny liryzm jej utworów zbliża ją zresztą raczej do angielskich poetów niż prozaików. Ten typ psychologizmu zdecydowanie różni ją od angielskich mistrzów prozy przełomu XIX i XX wieku — Stevensona, Wilde'a, a także od pisarzy należących do tak zwanej szkoły Maupassanta.

W pisarstwie Mansfield prawie nie ma szczegółów, elementów zewnętrzniej charakterystyki interesujących ją typów. Uwaga autorki koncentruje się wyłącznie na ich świecie wewnętrznym. Czechow, przeciwnie — przy całym lakonizmie i wstrzemięźliwości w opisach — nie przechodzi nigdy obojętnie obok rzucającego się w oczy detalu, charakterystycznego dla powierzchowności takiego czy innego typu, nie zaniedbuje nic z tego, co posłużyć by mogło uplastycznieniu postaci. U Katarzyny Mansfield gest, szczegół zewnętrzny, ruch, rekwizyt ważne są o tyle tylko, o ile określają stan wewnętrzny bohatera lub bohaterki. Są zdumiewająco trafne i mimo iż czasem czynią wrażenie przypadkowo dobranych, są jednak zawsze umotywowane z bezwzględną, matematyczną dokładnością. Przypomnijmy sobie choćby scenkę z *Życia Mamy Parker*, scenkę, która tak znakomicie przekazuje nam kompleks uczuć i stan wewnętrzny starej, spracowanej służącej. „Mama Parker, wyciągnąwszy ze swego toczka dwie czarne dżetowe szpilki, powiesiła go na wieszaku za drzwiami. Odpięła z zatrzasków zniszczony żakiet i powiesiła go również. Potem zawiązała fartuch i usiadła, aby zdjąć buty. Zdejmowanie czy wkładanie butów było dla niej męką od wielu lat. W istocie przyzwyczaiła się do tego bólu, tak że twarz jej była ściągnięta i gotowa do skrzywienia, zanim jeszcze rozwiązała sznurowadła."

Nowelka ta jest zazwyczaj zestawiana z opowiadaniem Czechowa *Żal*. Istotnie schemat fabularny opowiadania i jego centralna postać — w jednym wypadku stara, spracowana służąca, Mama Parker, w drugim przybity śmiercią jedynej bliskiej istoty, syna, stary woźnica — przywodzi na myśl wspomniany utwór Czechowa. Katarzyna Mansfield znała to opo-

wiadanie Czechowa. Przeczytawszy je zanotuje w swym dzienniku: „Oddałabym każde francuskie opowiadanie za to jedno. Jest ono jednym z arcydzieł literatury światowej".

W sposobie potraktowania analogicznego tematu — samotności zahukanych istot w ogromnym, obojętnym świecie — rzucają się w oczy pewne różnice w metodzie twórczej obu pisarzy. Wydaje się, iż zupełnie dobrze scharakteryzują je uwagi Czechowa zawarte w jego listach do Lidii Awiłowej: „Kiedy Pani opisuje ludzi nieszczęśliwych lub smutnych i kiedy Pani pragnie wzruszyć czytelnika, niech Pani stara się zachować chłód... Tymczasem Pani wzdycha, kiedy jej bohaterowie płaczą. Niech Pani będzie chłodniejsza" (kwiecień 1883 r.). „Owszem — napisze w innym liście, również do Awiłowej — radziłem Pani zachować obojętność w trakcie pisania wzruszających opowieści. Ale Pani mnie nie zrozumiała. Może Pani płakać, jęczeć nad opowiadaniem, może Pani cierpieć wraz ze swymi bohaterami, ale uważam, iż należy to robić tak, aby nie spostrzegł tego czytający. Im autor jest obiektywniejszy, tym silniejszy efekt" (kwiecień 1892 r.).

Postulat obiektywizmu wyklucza wszelkie dydaktyzowanie i moralizatorstwo. Nowele Katarzyny Mansfield — jak i Czechowa — wolne są zarówno od jednego, jak i drugiego. Obiektywizm wszelako Katarzyny Mansfield w konsekwencji nie jest tak daleko posunięty, jak u Czechowa: kiedy jej bohaterowie męczą się, płaczą, rozpaczają, pisarka nie jest w stanie powstrzymać głośnego westchnienia, a czasem nawet łzy.

W zbiorku wznowionym niedawno przez „Czytelnika" znajduje się jeszcze jedno opowiadanie, *Małżeństwo à la mode*, którego problematyka, schemat fabularny, występujące w nim postacie — przy pewnych różnicach w potraktowaniu identycznego tematu — przywodzą na myśl Czechowowską *Trzpiotkę*. Jeśli urzeczony lekturą piętnastu opowiadań składających się na *Garden Party*, czytelnik sięgnie do następnych utworów Katarzyny Mansfield, znajdzie on jeszcze kilka opowiadań, które — czasem w bardzo ogólnych konturach — żywo przypomną mu Czechowa. *The-Child-who-was-tired* może mu się nawet wydać plagiatem Czechowowskiego *Spać się chce*. Jeśli zaś jest skłonny do zestawień literackich i analizowania, spostrzeże pewną szarżę w narracji Katarzyny Mansfield, pewien nalot biologizmu, który pisarka mogła przejąć od angielskich „maupassantystów" i z którego stopniowo się wyzwalała. W uporczywym dążeniu do jak najbardziej obiektywistycznego odzwierciedlania rzeczywistości, Katarzyna Mansfield zwróci się do Czechowa, w którego nowelach ceni nade wszystko prawdę i ścisłość. „To, co cenię, podziwiam i szanuję w jego nowelach — napisze do Johna Middletona Murry'ego — to właśnie jego wiedzę (*his knowledge*). Jego nowele są prawdziwe. Mam do niego zaufanie. Jest to sprawa, która staje się dla mnie jedną z najważniejszych; pisarz musi mieć wiedzę, musi czuć pewny grunt pod nogami" (17 października 1920 r.). Przejmię wszelako od Czechowa (być może, iż odegrał tu pewną rolę nacisk ówczesnej krytyki angielskiej) głównie jego psychologizm, dojdzie do wniosku, iż celem Czechowa, podobnie jak i Dostojewskiego — którego „odkrywa" jeszcze jako uczennica londyńskiego Queen's College wraz z Turgieniewem i Tołstojem — jest przede wszystkim przekazanie skomplikowanych i nieuchwytnych stanów duszy ludzkiej. W odróżnieniu jednak od Czechowa Katarzyna Mansfield koncentruje się na malowaniu psychologii kobiecej: nic w tym dziwnego — nie opisuje wszakże nigdy tego, czego nie zna, czego w jakiś sposób nie przeżyła, nie doświadczyła. A znawczynią psychologii kobiecej jest znakomitą. Obdarza ten świat — tak mistrzowsko przez siebie opisany — swym pełnym tkliwości współczuciem, dopatruje się w nim wyraźnej wyższości nad światem mężczyzn, wydaje się być przekonana, iż tak czy owak — światem rządzą kobiety. W stwierdzenie to nie wkłada ironii, tak charakterystycznej dla Czechowa. Ironię, sceptycyzm Czechowa zastąpi ładunkiem wielkiej serdeczności dla swych bohaterów.

Sympatia literacka nie oznacza jednak niewolniczego naśladownictwa. Krytyka angielska czasem przesadnie podkreślała koneksje łączące dwie odrębne twórczości, dwie różne postawy życiowe. John Middleton Murry słusz-

nie zwrócił swego czasu uwagę, iż analogiczny temperament twórczy obu pisarzy nie oznacza, że ich technika, metoda pisarska pokrywały się wzajemnie. Sądził on nawet, iż Katarzyna Mansfield posiadała odrębną, sobie tylko właściwą metodę twórczą, która ukształtowałaby się w sposób identyczny, nawet gdyby Czechow nigdy nie istniał.

René Śliwowski

FILOZOFIA MIGUELA DE UNAMUNO

Dla obserwatora współczesnego życia intelektualnego czynnością najbardziej płodną, rokującą maksymalne nadzieje zrozumienia tego, co się dokonywa, jest chyba konstatowanie zbieżności, doszukiwanie się podobieństw i analogii między prądami umysłowymi wyrastającymi z odmiennych podłoży i w narodowo różnorodnych kręgach kulturowych. Pozwala to, z chwilą gdy rejestr takich konwergencji jest dostatecznie pokaźny, na refleksję nad samym sensem słowa „współczesność", którego straszliwemu eksploatowaniu i obarczaniu przytłaczającym brzemieniem ładunku emocjonalnego nie towarzyszy przecież nadmiar zrozumienia. Każdego posługującego się tym słowem należałoby zatem zobowiązać do ustalenia zespołu cech, jego zdaniem, dla naszej epoki specyficznych, do stwierdzenia, czym różni się ona od tych wszystkich, które ją poprzedzały. W ramach gromadzenia surowca dla tego rodzaju rozważań warto przypatrzeć się nieznanej prawie w Polsce dwudziestowiecznej filozofii hiszpańskiej, korzystając z istnienia publikacji, stanowiącej dobre wprowadzenie w myśl jednego z czołowych jej przedstawicieli. Ona też będzie przedmiotem niniejszego sprawozdania.

Jak widać choćby z tytułu jego rozprawy,* François Meyer przedstawia poglądy Miguela de Unamuno jako ontologię; taka interpretacja jest w jego mniemaniu najlepsza, ponieważ pozwala znaleźć i określić centralną i logicznie pierwotną intuicję, myśl przewodnią całej koncepcji. Zgodnie z tym, zagadnieniom „ontologicznym" poświęca Meyer maksimum miejsca, traktując zarówno antropologię Unamuno, jak i jego teorię poznania, jedynie jako konkretyzację założeń ogólniejszych. Tymczasem wydaje się, że odwrócenie tego rozumowania i uznanie nauki o człowieku za pierwotną i determinującą pozwoliłoby na lepsze wyjaśnienie całości, tym bardziej że do takiego zabiegu upoważnia twierdzenie samego Unamuno: „(człowiek) jest podmiotem i najwyższym przedmiotem wszelkiej filozofii" (59)* — jak również uznanie przezeń za przedmiot tego, co Meyer nazywa „ontologią", za jedyny byt konkretny, świadomości rozumianej egzystencjalnie. „To, co nie jest świadomością... — powiada Unamuno — nie jest niczym, jak tylko pozorem. Jedynym bytem, który jest prawdziwie rzeczywisty, jest to, co czuje, cierpi, współczuje, miłuje i pożąda, to znaczy świadomość (...)" (2)

Człowiek nie jest zatem dla Unamuno abstrakcją, poznającym podmiotem, określonym jedynie w kategoriach epistemologicznych, jest on konkretnym istnieniem, a więc jest usytuowany w świecie. Świat ten jest względem niego antagonistyczny. „Życie nasze jest ciągłą walką między naszym duchem, który pragnie zawładnąć światem, uczynić go swoim, uczynić go sobą, a światem, który pragnie zawładnąć naszym duchem i uczynić go z kolei sobą." (59) Doskonała równowaga tych dwóch przeciwstawiających się sobie czynników — człowieka i świata — jest niemożliwa do osiągnięcia, oznaczałoby to bowiem unicestwienie jednego z nich. Niezrównoważenie ist-

* François Meyer: *L'Ontologie de Miguel de Unamuno*, Paris. Presses Universitaires de France, 1955, pp. XII + 133.

* Wszystkie cytaty z Unamuno podane są za Meyerem.

nienia ludzkiego, jego charakter konfliktowy, znajduje wyraz w tym, że człowiek równocześnie dąży do całkowitego podporządkowania sobie świata, jego pełnej spirytualizacji, oraz do całkowitego podporządkowania siebie światu; do pełnej materializacji samego siebie. Tragizm istnienia polega na równoczesnym dążeniu przez człowieka do zaspokojenia dwóch, wzajemnie się wykluczających pożądań.

Ten stosunek między człowiekiem a światem-środowiskiem jest w filozofii Unamuno dialektyczny: przeciwieństwa zwalczają się, lecz nie mogą bez siebie istnieć, tworzą całość. Człowiek jest wprawdzie „synem środowiska, które go stwarza, ale panuje nad nim, modyfikuje je, przekształca i tworzy sobie tedy środowisko wewnętrzne, tak jak w swej świadomości przeciwstawia się światu. Człowiek nie tylko przystosowuje się do środowiska, lecz przystosowuje je do siebie, i tym sposobem czyni ziemię swoją, naprzód przez siłę, później przez inteligencję... Jeśli coś różni człowieka od zwierzęcia, to fakt, że człowiek jest nieskończenie bardziej zdolny do stworzenia sobie środowiska, własnego środowiska; posługiwanie się narzędziami i instrumentami nie oznacza niczego innego". (61)

W tym procesie interakcji ze światem człowiek wchodzi w stosunki z innymi ludźmi. Geneza społeczeństwa tkwi w ludzkim dążeniu do podporządkowania sobie świata. Dzięki środowisku i walce z nim człowiek staje się człowiekiem społecznym. „Środowisko tworzy człowieka, a on przywłaszcza je sobie adaptując się do niego. Człowiek modyfikowany przez środowisko z kolei sam je modyfikuje, człowiek i środowisko oddziaływują na siebie przez wzajemne akcje i reakcje. Można powiedzieć, że środowisko działa na człowieka, człowiek na środowisko, ono na siebie samo za pośrednictwem człowieka i człowiek na samego siebie poprzez mediację środowiska..." (61—62) „Tak więc — komentuje to Meyer — człowiek społeczny realizuje się poprzez mediację środowiska, a świat realizuje się poprzez mediację człowieka. Rzeczywistość społeczna jest tym złożonym miejscem zderzania się dwóch sektorów bytu, które realizują się jeden poprzez drugi i jeden przeciwko drugiemu. Poprzez technikę człowiek się naturalizuje a natura humanizuje, to, co ludzkie, przeżywa się naturą, to, co naturalne — tym, co ludzkie. Właśnie to spotkanie i ta dialektyka dwóch woli bytu, które pragną posiąść się wzajemnie, jest motorem postępu technicznego: twórczość istnieje jedynie w walce i konflikcie, w polemicznym objęciu, które przeciwstawia człowieka naturze. Technika ludzka jest zatem czymś nieskończenie większym niż tylko działalnością pragmatycznie waloryzowaną, jest ona momentem historii ducha, jak również momentem historii świata."

W ten sposób w łonie natury tworzy się środowisko, w pewnej mierze — jak powiada Meyer — antynaturalne, „wysepka zarazem materialna i duchowa (...). Społeczeństwo jest największym dobrem człowieka i jak gdyby miarą jego afirmacji wobec zagrożenia przez nicość". (62) Środowisko techniczne nie jest jednak najbardziej znamienną stroną rzeczywistości ludzkiej, uzyskuje ono pełnię swego znaczenia dopiero, gdy jest podporządkowane perspektywie „ustanowienia stanu łaski nad stanem naturalnym". „Postęp — twierdzi Unamuno — zrozumiały jest tylko o tyle, o ile wyzwala bogatego od jego bogactwa, ubogiego — od jego biedy, a wszystkich od zwierzęcości; o tyle, o ile pozwala on nam podnosić czoło ku niebu i, wyzwalając nas od potrzeb doczesnych, odkrywa przed nami potrzeby wieczne. Tak, wszystko dla maszyny, wszystko z najmniejszym wysiłkiem; oszczędzajmy energię, by zrekoncentrować ją na naszym najwyższym interesie i naszej najwyższej rzeczywistości." (62)

Tym interesem najwyższym jest dążność do wykroczenia poza wszelkie limitacje, dążność do „utrwalenia się". Ona to przecież jest przyczyną powstania społeczeństwa. Pomiędzy nim a osobą nie istnieje sprzeczność, te dwa terminy — społeczeństwo, osoba — wskazują na tę samą realność, widzianą jedynie z różnych stron. „Tak jak dane są razem i zapładniają się wzajemnie indywiduum, które jest w pewien sposób społeczeństwem, i społeczeństwo, które jest także indywiduum — bez możliwości oddzielenia ich od siebie, powiedzenia, gdzie zaczyna

się jedno, a kończy drugie, ponieważ oba są aspektami tej samej esencji, tak też dane są razem duch, element społeczny, który sytuując nas w stosunku z innymi, czyni nas świadomymi, i materia, która jest elementem indywidualnym i indywidualizującym." (64) Tak więc granica między jednostką a społecznością w pewnym sensie się zaciera, ponieważ świadomość istnieje tylko w stosunkach międzyludzkich: jest ona interioryzacją dialogu, a dążność do utrwalenia się jest z natury społeczna i intersubiektywna. „Środowisko wewnętrzne" człowieka tworzy się ze „środowiska zewnętrznego", im bardziej zróżnicowane i wielostronne jest życie społeczne, tym bardziej pobudza ono świadomość osobniczą, której postępy w procesie dziejowym są uwarunkowane przez to zróżnicowanie. „To ono (zróżnicowanie — *K. P.*) doskonali się — nie indywiduum — powiada Meyer, wierny tezie Unamuno, która brzmi: „Nie ulega kwestii, że społeczeństwo rozwija się bardziej niż jednostka, że to środowisko społeczne doskonali się i że nasza wiedza bardziej przerasta wiedzę Greków niż nasze zdolności umysłowe przerastają ich umysłowe zdolności. Rodzimy się w społeczeństwie, które dostarcza nam bardziej doskonałych środków". (65) W świetle wszystkich tych wypowiedzi wypada raz jeszcze stwierdzić za Meyerem, że „pełna osobowość, taka, jaką umożliwia realizacja świadomości, jej bogactwo i jej intensywność, są nieodłączne od środowiska społecznego: poza stosunkami indywidualnej świadomości i środowiska społecznego, nie ma, dla Unamuno, bytu osobowego, trzeba to podkreślić, by uniknąć błędu przesadnie subiektywistycznej interpretacji myśli autora". (66)

Rzeczywistość społeczna — jak wszelka inna — jest ożywiona przez wewnątrzną sprzeczność; w danym wypadku jest nią antagonizm cywilizacji i kultury. „Kultura — powiada Meyer — jest żywym zarodkiem, pozostaje ona w stosunku do wszystkiego, do nieskończoności i nieokreśloności; cywilizacja jest całokształtem określonych struktur, języka i dowolnych instytucji. Ruch historii tworzony jest właśnie przez wzajemne napięcie tych dwóch wymiarów życia społecznego: z zewnętrzności cywilizacji rodzi się wewnętrzność kultury, jak z wewnętrzności kultury rodzi się zewnętrzność cywilizacji." „Kultura kondensuje się z cywilizacji — stwierdza Unamuno — instytucje społeczne pobudzają postęp socjalizacji, ale narastające zewnętrzne skomplikowanie zaczyna stawać się przeszkodą i przyczyną śmierci... Zawalając się pod brzemieniem swego własnego ciężaru, cywilizacje zewnętrzne, świat instytucji i pomników, które tworzą środowisko społeczne, wyzwalają kultury wewnętrzne, których były one matkami, ale które zaczęły dusić." (66) Sens tego ciągu konfliktów i katastrof tkwi w jego immanentnej celowości, którą jest ustanowienie i stworzenie człowieka: „Całe następstwo cywilizacji istnieje tylko po to, by wytwarzać kultury, i po to, aby kultury wytwarzały ludzi. Celem cywilizacji jest kultywowanie człowieka, człowiek jest najwyższym produktem ludzkości i wieczystym faktem historii". (67)

Pożądanie nieskończoności, które nakazuje człowiekowi przezwyciężać swoje ograniczenia poprzez kontakt z innymi ludźmi, zderza się jednak z oporem stawianym przez istotę świadomości. Człowiek jest bowiem ograniczony: indywiduum jako takie pragnie zachowania samego siebie, o prawdziwej wspólnocie można jedynie marzyć. Ale właśnie dlatego, że poszczególne świadomości dążąc do wspólnoty z innymi są zarazem nieuchronnie izolowane, trzeba dążyć do przełamania oddzielających je murów. Unamuno stwierdza brutalnie: jedyną prawdziwą moralnością jest „moralność najeżdżająca, opanowująca, agresywna, moralność inkwizycji..." (69) Zdanie to nie jest bynajmniej pochwałą gwałtu i terroru, jest ono wezwaniem ludzi do walki przeciwko temu, co ich izoluje, walki o utworzenie autentycznej wspólnoty. W imię tego każdy winien dążyć do zapanowania nad świadomością innego, a ponieważ „nie można panować nie będąc poddanym...", przeto usiłowanie narzucenia bliźniemu własnych myśli zakłada przejmowanie myśli od niego. „Wszelki dialog — komentuje Meyer — jest pewną walką, konkretną i żywą dialektyką, i właśnie przez tę dialektykę świadomości zwiększają wzajemnie swój byt." (70) To zwiększanie bytu wyraża się w tworzeniu przez świadomość strefy

umożliwiającej wzajemne porozumienie. Pierwszy z jej składników to język, który jest nie tylko środkiem dialogu, lecz nosicielem skondensowanej przeszłości, niezwykłym przedłużeniem indywiduum, nadto tworzy on dla myśli środowisko bardziej bezpośrednie i bliższe niż materialny świat obiektywny. Ale język jest czymś więcej: stanowi on narzędzie refleksji, która jest jego interioryzacją, język umożliwia bowiem nie tylko przekazywanie myśli komuś innemu, lecz również samemu sobie: pozwala przerzucić most nad rzeką czasu, zapewniając przeto ciągłość, która jest właściwym bytem świadomości, pozwala też prowadzić dialog wewnętrzny, posługiwać się myślą świadomą siebie samej. „To, co wyróżnia człowieka, świadomość uświadomiona i refleksywna, jest wytworem społecznym... Myślimy w sposób artykułowany, to znaczy uświadamiany dzięki językowi artykułowanemu, on zaś zrodzony jest przez konieczność przekazywania naszej myśli komuś innemu. (...) Myśl jest językiem wewnętrznym, a język wewnętrzny rodzi się z języka zewnętrznego." (72) W ten sposób konieczność komunikowania się prowadzi za pomocą języka do ukształtowania się logiki i rozumu.

Świadomość musi być racjonalna i logiczna, rezygnując z tego skazałaby się ona bowiem na zasklepienie w obrębie własnej nicości, na zarzucenie dążności do zuniwersalizowania się, do wykroczenia poza własne limitacje. Ale ta świadomość usiłująca wyjść poza siebie samą i włączyć w siebie wszystko — automatycznie niejako próbuje przyswoić sobie to, co niezdeterminowane i nieokreślone, pierwiastek irracjonalny. Świadomość to nie tylko rozum i logika, lecz nadto wiara i nieufność do racjonalności, to koegzystencja wykluczających się dążeń, które muszą istnieć obok siebie — bowiem dzięki sobie istnieją w łonie antagonistycznej i dramatycznej całości.

Konkluzja pracy Meyera poświęcona jest wpływom i zbieżnościom. Wymienione są tam różne nazwiska: Senancoura, którym Unamuno się entuzjazmował, Kierkegaarda, którego dzieła pragnąc poznać nauczył się nawet po duńsku. Wydaje się, że Meyer ma słuszność twierdząc, iż zetknięcie się Unamuno z poglądami samotnika kopenhaskiego nastąpiło w momencie, gdy był on już ukształtowanym myślicielem: sięganie do obcych tekstów jest zazwyczaj tylko wyrazem już dokonanych wyborów. Przekonywająco wygląda również skonstatowanie przez Meyera wielkiego wpływu romantyków na filozofię Unamuno i pewnych analogii między nią a bergsonizmem. Brak w tym wszystkim jednego tylko elementu: konfrontacji z Marksem, tym ciekawszej, że Unamuno zapewne go nie znał — przynajmniej Meyer nic o tym nie wspomina — podczas gdy zbieżności są tu wręcz zaskakujące. Cała koncepcja interakcji człowieka i środowiska jest przecież jakby żywcem wyjęta z *Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych:* przystosowywanie się człowieka do środowiska poprzez modyfikowanie go w procesie pracy, w którym zmienia się również on sam; mediatyzacja społeczeństwa w stosunkach między człowiekiem a naturą i natury w stosunkach człowieka z człowiekiem; humanizacja natury i naturalizacja człowieka — to klasyczne wątki marksowskie, podobnie jak przekonanie, że istota człowieka jest społeczna czy że język i myślenie racjonalne są wytworami życia zbiorowego, poza którym życie ludzkie, jako ludzkie, jest niemożliwe. Ale obok tych podobieństw, dla których wyjaśnienia należałoby (co przekracza ramy tego sprawozdania) zastanowić się nad tym, czy aby doktryna marksowska nie wyraziła w postaci skondesowanej myśli, które stały się później wspólną własnością filozofii XX wieku, obok zatem tych podobieństw występują zasadnicze rozbieżności. Dostrzegalne są one nie tylko w fakcie braku zainteresowania się ze strony Unamuno — przynajmniej w interpretacji Meyera— tak doniosłą dla Marksa problematyką alienacji — to wydaje się sprawą wtórną. Istotnym natomiast czynnikiem, który stanowi o odmienności światopoglądów tych dwóch myślicieli jest ahistoryzm Unamuno. Sprawie tej wypada poświęcić nieco więcej uwagi.

Na wstępie niniejszego tekstu powiedziane zostało, że prezentację książki Meyera lepiej jest rozpocząć od tego jej rozdziału, który traktuje o antropologii Unamuno. Nie znaczy to jednak, że dokonana przez Meyera

interpretacja filozofii Unamuno, jako ontologii, wydaje się niesłuszna, jakkolwiek należy jej chyba nadać nieco odmienny sens, rozumiejąc przez myślenie ontologiczne próbę konstrukcji systemu poglądów mających posiadać wartość ponadczasową. Otóż filozofia Unamuno jest na pewno ontologią w tym znaczeniu słowa. Człowiek w niej rozpatrywany konkretny jest o tyle tylko, o ile uznaje się go za byt, który „czuje, cierpi, współczuje, miłuje i pożąda". Takie określenie przedmiotu dociekań filozoficznych zbliża zresztą Unamuno do egzystencjalizmu, od którego dzieli go co prawda uznanie realności społeczeństwa, lecz z którym łączy go ujmowanie człowieka właśnie w kategoriach ontologicznych.

U Unamuno wyrasta ono z przeświadczenia o istnieniu jakiejś historycznie niezmiennej esencji człowieczeństwa, która polega na rozdarciu człowieka między skończoność a nieskończoność; między afirmację siebie jako określonego indywiduum a dążenie do całkowitego zespolenia się z innymi, do roztopienia się w zbiorowości; między *serse* — świadomość bycia sobą — a *serer querlo todo* — pragnienie stania się wszystkim. Te sprzeczne, a nawet wykluczające się dążenia koegzystują w świadomości, unicestwienie jednego z nich równoznaczne jest z likwidacją jej samej. Każde istnieje bowiem tylko dzięki istnieniu swego własnego przeciwieństwa. Pragnienie bycia sobą jest negacją nieskończoności, możliwą o tyle, o ile istnieje dążność do bycia wszystkim, dążenie jest natomiast tylko negacją pragnienia bycia sobą i bez niego występować nie może. Człowiek znajduje się zatem w sytuacji przymusowej: jest on zniewolony do równoczesnego dążenia w dwóch przeciwstawnych kierunkach, co jest, rzecz jasna, niewykonalne, a życie jego okazuje się bezskutecznym usiłowaniem zrealizowania niemożliwości.

Mechanizm ontologizacji polega więc, jak widać, na pewnej szczególnej konstrukcji przedmiotu filozoficznej refleksji, mianowicie, takiej konstrukcji, która zakłada jego niezmienność, niehistoryczność. W koncepcji Unamuno to, co jest atrybutem zasadniczym świadomości konkretnej, która stoi w centrum jego rozważań — konfliktowość, wewnętrzne rozdarcie — nie może ulec przezwyciężeniu. Jej występowanie jest bowiem warunkiem *sine qua non* istnienia tej świadomości, zanik jednego z miotających nią dążeń równoznaczny jest z jej anihilacją. Tak oto człowiek staje się bytem; w ciągu pokoleń, z których każde różni się od poprzedniego, akcent pada nie na odmienność, lecz na tożsamość. Ontologia okazuje się waloryzacją ponadczasowej identyczności, w jakiejś niezmiennej strukturze, w jakimś uniwersalnym i wieczyście prawdziwym modelu upatruje ona wartości najwyższej, jedynie godnej zainteresowania.

Mogłoby się jednakże wydawać, że interpretowanie myśli Unamuno jako ontologii, w tym sensie słowa, jest nadużyciem. Z przytoczonych fragmentów wynika wszak, że mówi ona o istnieniu postępu, a więc i rozwoju, że zawarta w niej wizja świata nie pozwala się zredukować do ahistoryzmu. W pewnym sensie jest tak na pewno. Waloryzacja sprzeczności jako czynnika gwarantującego ponadczasową identyczność człowieka — świadomości prowadzi bowiem Unamuno do posługiwania się metodą „alternatywnej afirmacji przeciwieństw" (XI), do formułowania sądów wzajemnie się wykluczających. Ma to pozwolić na dokonanie adekwatnego opisu rozdartej przecież rzeczywistości ludzkiej; wewnętrzna koherencja doktryny miałaby w tym wypadku wynikać z konsekwentnego stosowania zasady afirmacji przeciwieństw. Oto dlaczego występowanie zdań konstatujących istnienie postępu nie koliduje z tezą, która uznaje filozofię Unamuno za waloryzację identyczności, o ile uzupełni się ową tezę przez stwierdzenie, że tym, co identyczne, jest wewnętrzna dwoistość człowieka, uznana za konstytutywną wobec jego egzystencji.

Ocena ta znajduje dodatkową konfirmację w Unamunowskiej koncepcji czasu i historii. Tu również formułowane są zdania sprzeczne: „Historia, wszystko sprowadza się dla nas do tej pogańskiej wiary... Niewolnicy czasu, usiłujemy nadać przeszłości i przyszłości wolność właściwą teraźniejszości i gubimy to, co wieczne, gdyż szukamy tego w historii, w czasie, a nie wewnątrz niego...". (28) Pierwiastek „intra-historyczny", niezmienny substrat czasu i historii, jest tu

wyraźnie waloryzowany: jego to przecież należy poszukiwać, do niego dotrzeć, nie zatrzymując się na marności przepływającego czasu. Ale oto pogląd przeciwny: „Czy chodzi o lud czy o człowieka, aby osiągnąć samopoznanie musi on, w taki lub inny sposób, studiować swoją historię... Poznając historię osiąga się to, co intrahistoryczne..." (28) Co prawda poznanie tego, co podlega przemianie, występuje tu tylko jako środek, ale jako środek konieczny, jako jedyna droga do absolutu. W innych miejscach Unamuno konstatuje jeszcze dobitniej intymną więź czasu i wieczności, przemiany i trwania, tak że ostatecznie wypada przyznać słuszność Meyerowi, który twierdzi, że w filozofii Unamuno „ideę logicznego i ontologicznego prymatu wieczności nad czasem zastępuje wzajemny stosunek, w którym każdy człon przyczynia się do istnienia drugiego (...) Wieczność potrzebuje czasu, jak czas potrzebuje wieczności". (32)

Takie stanowisko łączy się zresztą bezpośrednio z przedstawioną powyżej wizją świadomości rozdartej. „Relacja wieczności i doczesności — powiada Meyer — nie jest u Unamuno w żadnym stopniu stosunkiem dwóch płaszczyzn bytu, lecz dwóch przeciwstawnych i nieuchronnie zespolonych w łonie samej ich sprzeczności — wymiarów. Jeden z tych wymiarów łączy się z wymaganiem granicy konstytuującej *serse*, drugi z wolą wszystkiego, z *querer serlo todo*. Byt konkretny nie może tedy ani uciec z czasu przez wieczność, ani uciec od wieczności poprzez czas, ponieważ wieczność odsyła go do czasu, jak czas do wieczności. Musi on zatem żyć między tymi dwoma sprzecznymi pragnieniami, albo lepiej: przeżywać te dwa pragnienia antytetyczne, wiecznie rozdarty między dwie przeciwstawne namiętności: namiętność wieczności i namiętność doczesności." (34)

Jest dużą zasługą pracy Meyera, że poprzez tego rodzaju redukcje ukazuje on, iż teza o współistnieniu w świadomości dążeń sprzecznych jest zasadniczą intuicją filozofii Unamuno. Pozwala to bowiem na traktowanie tej filozofii jako doktryny koherentnej, nie będącej tylko wizją poetycką, jak to było wielokrotnie stwierdzane, choćby przez drugiego pod względem znaczenia myśliciela współczesnej Hiszpanii, Ortegę y Gasseta. „Unamuno — pisał on — wiedział dużo, o wiele więcej niż dawał poznać po sobie, a to, co wiedział, wiedział bardzo dobrze. Ale jego chęć bycia poetą zmuszała go do unikania wszelkiej doktryny*". W świetle pracy Meyera pogląd taki nie wydaje się słuszny. A przez to, że pozwala ona mówić o filozofii Unamuno, umożliwia porównanie jej z innymi prądami myśli współczesnej, ustalenie podobieństw i różnic, włączenie jej przeto do tej enigmatycznej zawsze, bo ciągle zmieniającej się i wzbogacającej całości, której na imię filozofia XX wieku.

Krzysztof Pomian

---

* Cyt. wg Cascalès: *L' Humanisme d'Ortega y Gasset*, Paris, Presses Universitaires de France, p. 13.

PREZENTACJA FILOZOFII AMERYKAŃSKIEJ

Współczesna filozofia amerykańska jest zapewne — obok angielskiej — najbardziej godna poznania spośród filozofii tzw. Zachodu. Nie dlatego, aby tworzyła jeden szczególnie cenny i odkrywczy prąd myślowy. Przeciwnie, w żadnym chyba innym kraju nie głosi się w uniwersytetach i nie rozpowszechnia w druku tak sprzecznych poglądów na podstawowe problemy filozofii. Pod jednym wszakże warunkiem: głoszone teorie muszą posiadać przynajmniej pozory ścisłości i owocności naukowej, muszą wspierać się o twierdzenia logiki i dane empirycznych dyscyplin wiedzy. Właśnie bowiem jedną z głównych wartości współczesnej filozofii amerykańskiej jest dominujący w niej (choć daleki od bezwzględnego obowiązywania) kult

poprawności naukowej. Mętniactwo myślowe egzystencjalistów nie znalazło dostępu ani do uczelni angielskich, ani amerykańskich, natomiast rozmaite starszego i nowszego pochodzenia kierunki idealistyczne toczą bezustanną walkę przeciwko poglądom pozytywistycznym i pragmatystycznym — walkę nie przy pomocy sloganów i uwodzicielskiej stylistyki, ale przy zastosowaniu nowoczesnych metod analizy logicznej. Obu stronom wychodzi to oczywiście na dobre, choć jest rzeczą oczywistą, że surowe dyrektywy ścisłości myślowej zdobywają sobie coraz więcej zwolenników, a idealizm znajduje się w bojowym odwrocie.

Drugą szczególną wartością współczesnej filozofii w Ameryce jest ogromne bogactwo zainteresowań, obfitość publikacji i duża liczba ośrodków naukowych, co, rzecz jasna, związane jest z bardzo wielkimi możliwościami materialnymi. Filozofowie amerykańscy, choć mają krąg oddziaływania niepomiernie mniejszy niż ich europejscy koledzy, rozporządzają funduszami i udogodnieniami, o jakich tamci mogą tylko marzyć. Z drugiej strony — nie umniejszając bynajmniej znaczenia „rodzimej" myśli amerykańskiej, która od czasów Peirce'a rozkwita z godną podziwu bujnością — pomyślna sytuacja filozofii amerykańskiej jest w pewnej mierze wynikiem swoistej inwazji uczonych europejskich, jaka nastąpiła w latach trzydziestych, kiedy faszyzm wymiótł z Europy centralnej bardzo wielu znakomitych badaczy, przede wszystkim większość reprezentantów neopozytywizmu (Bergmann, Carnap, Feigl, Frank, Gödel, Hempel, Reichenbach, z Polaków Tarski). Pierwsze lata powojenne przyniosły świetne owoce współpracy wychodźców z filozofami miejscowymi i zwróciły na Stany Zjednoczone oczy całego filozofującego świata.

Zainteresowaniu temu, które jest w Polsce równie żywe jak niezaspokojone, stara się wyjść naprzeciw antologia *Filozofia amerykańska — Wybór rozpraw i szkiców historycznych* w opracowaniu Jerzego Krzywickiego, wydana staraniem East Europe Institute przez Boston University Press u schyłku 1958 roku. Założeniem antologii jest udostępnienie w języku polskim wybranych prac filozofów amerykańskich, które złożyć się mają na fragmentaryczny, ale reprezentatywny obraz współczesnej myśli amerykańskiej. W pełni zadowalające wykonanie takiego zadania w ramach trzystustronicowego tomu jest oczywiście niemożliwe, z czego autor wyboru zdaje sobie sprawę. Warto jednak postarać się odpowiedzieć na pytanie, czy *Filozofia amerykańska* jest dobrym wprowadzeniem do tytułowego przedmiotu.

Antologia Jerzego Krzywickiego dzieli się na dwie części: *Szkice historyczne*, informujące o rozwoju filozofii w Stanach Zjednoczonych od końca XIX wieku, i *Wybór rozpraw współczesnych filozofów amerykańskich*. Część pierwszą otwiera szkic Mortona White'a *Pragmatyzm amerykański na tle prądów filozoficznych XX wieku*, przejrzyście napisany, dobrze przedstawiający zarówno teoretyczną, jak i psychologiczną genezę pragmatyzmu oraz stosunek do siebie jego głównych reprezentantów: Peirce'a, Jamesa i Deweya. Następne szkice poświęcone są kolejno postaciom tych trzech wielkich myślicieli i czwartego jeszcze, najmniej znanego poza granicami Stanów: George'a Santayany. James i Dewey zostali do Polski wprowadzeni już dość dawno, ostatnio wznowiono *Pragmatyzm* i *Doświadczenie religijne* pierwszego z nich, a *Jak myślimy* — drugiego. Natomiast Charles Sanders Peirce, niewątpliwie najpotężniejszy umysł filozoficzny Nowego Świata, jest dotychczas właściwie nieznany. Artykuł o nim Justusa Buchlera, napisany popularnie, ale z dużą precyzją, wyraziście ukazuje zarówno wielkość Peirce'a, jak i te cechy jego umysłowości i pióra, które stanęły na przeszkodzie uzyskaniu przezeń należytego rozgłosu. O Santayanie mamy aż dwa króciutkie eseje Irwina Edmana i Ernesta Nagela, napisane ładnie i ciepło, a bez przechwalania tej niezwykłej postaci. Santayana był z pewnością o wiele większą indywidualnością jako człowiek i artysta niż jako filozof-naukowiec — i jego wpływ należy mierzyć miarą oddziaływania nie poglądów, ale imponującej osobowości.

Po artykułach monograficznych następują dwa ogólniejsze. W pierwszym z nich William Frankena daje zwięzłą historię *Filozofii moralnej w Ameryce* od osiemnastowiecznych purytanów do Charlesa L. Stevensona. Drugi szkic, pióra wybitnego reprezentanta „scjentyficznego empiryzmu" (amerykańska

nazwa neopozytywizmu), Ernesta Nagela, nosi tytuł *Filozofia a charakter amerykański*. Ten niewątpliwie bardzo interesujący temat potraktowany został w sposób budzący rozczarowanie. Na początku Nagel stwierdza słusznie brak istnienia „jakiejś filozofii wyłącznie i swoiście amerykańskiej" — następnie zaś nie mniej słusznie dodaje, że „charakterystyczną cechą twórczości wielu filozofów amerykańskich jest pewien swoisty punkt widzenia i pewien zespół przekonań". Zamiast jednak po prostu opisać owe wspólne i typowo amerykańskie inklinacje — Nagel usiłuje utworzyć z nich coś w rodzaju osobnego stanowiska czy systemu poglądowego, który określa mianem „naturalizmu relacjonistycznego" (tłumacz powinien tutaj podać oryginalne brzmienie dziwacznego terminu). System ten posiada dwie kardynalne wady: jest równie nieokreślony, jak wewnętrznie niepowiązany, a nawet sprzeczny (programowy antymetafizycyzm kojarzy się ze zdaniami w rodzaju „fundamentalną cechą rzeczywistości jest pluralizm i zasadnicza niekompletność") i, po drugie, nie wiadomo właściwie, kto jest jego zwolennikiem.

Część druga zawiera dziesięć szkiców o różnorodnej tematyce, pisanych przez reprezentantów rozmaitych kierunków filozoficznych: od tomisty Vernona J. Bourke do analityka Arthura Papa. (Rzecz charakterystyczna wszakże, że większość autorów zamieszczonych w antologii to naukowcy związani w ten lub inny sposób z Columbia University — nie ma wśród nich ani jednego przedstawiciela np. wielkich ośrodków w Chicago czy Kalifornii.) Wyliczmy te prace: B. Blanshard — *Czy ludzie mogą być rozumni?*, V. J. Bourke — *Zagadnienie własności z punktu widzenia tomistycznej etyki*, C. J. Ducasse — *Metoda poznawcza filozofii*, S. Hook — *Materializm dialektyczny a metoda naukowa*, C. I. Lewis — *Poznanie, działanie i wartościowanie*, E. Nagel — *Naturalizm*, A. Pap — *Co to jest filozofia analityczna*, W. V. Quine — *O tym, co istnieje*, Ch. L. Stevenson — *O istocie sporów etycznych*, M. White — *Ku zjednoczeniu w filozofii*.

Oczywiście dyskutowanie a nawet streszczanie wywodów poszczególnych autorów zaprowadziłoby nas za daleko. Ograniczmy się do uwag ogólnych. Zgodnie z wypowiedzianymi w przedmowie założeniami teksty antologii musiały posiadać charakter przystępny i niezbyt wyspecjalizowany. Założenia te zostały w pełni utrzymane: zamieszczone w zbiorze prace są łatwo czytelne, jasne, na ogół dobrze pisane i dotyczą problemów cieszących się wielkim zainteresowaniem. Popularność poziomu w połączeniu z umieszczeniem obok siebie prac reprezentujących rozmaite stanowiska filozoficzne może się stać przyczyną pewnych nieporozumień, ponieważ nawet średnio przygotowany czytelnik nie łatwo połapie się w różnicach postaw poszczególnych autorów i będzie miał trudności z interpretowaniem wielu sformułowań nie znanych sobie skądinąd myślicieli (przydałyby się więc o każdym z nich informacje nie tylko bibliograficzne). Niezależnie jednak od takich czy innych kłopotów czytelnika antologia pozostaje zbiorem prac, z których każda sama w sobie jest bardzo interesująca i pobudzająca do dalszych przemyśleń. Szczególnie cenne są szkice Lewisa, Papa i Stevensona.

W zbiorze dziesięciu artykułów jest wszakże jeden, który ani nie reprezentuje określonego kierunku filozoficznego, występującego w Stanach Zjednoczonych, ani też nie omawia żadnego specyficznego dla Ameryki zjawiska filozoficznego: jest to artykuł Sidneya Hooka *Materializm dialektyczny a metoda naukowa*. Wolno się domyślać, że znalazł się on w zbiorze dla zupełnie innych celów niż informacja o aktualnym stanie amerykańskiej myśli filozoficznej. Zawarte w pracy Hooka obserwacje krytyczne są na ogół mało odkrywcze, a nieprzyjemnego smaczku dodaje jej rażący w podobnej publikacji ton niektórych sformułowań i wyraźnie agitacyjne nastawienie autora. Przyczynia się do powstania takiej sytuacji i tłumacz ozdabiając tekst zwrotem o „reżymach komunistycznych" i wprowadzając tajemniczą „Rosyjską Partię Komunistyczną". Miejmy nadzieję, że wydawcy antologii chociażby poniewczasie uświadomią sobie niewłaściwość takiego postępowania i konieczność ścisłego oddzielania polemiki polityczno-filozoficznej od akcji informacyjnej. Obecność artykułu Hooka wyrządza dużą krzywdę pozostałej zawartości *Filozofii amerykańskiej*.

Tłumacz poradził sobie na ogół zupeł- dobrze z tekstami, nastręczającymi ejednokrotnie poważne trudności, łaszcza w zakresie terminologii. Nie wsze jednak potrafił wyzwolić się od presji amerykańskiego żywiołu zykowego i wiele fragmentów nosi ętno sztuczności. W porządnie ze- anych materiach bibliograficznych leżało jeszcze umieścić łatwo dostęp- dla polskiego czytelnika artykuł nry'ego Davida Aikena *Estetyka ilozofia sztuki w Stanach Zjednoczo- ch*, ogłoszony w poświęconym este- e numerze *Przeglądu Filozoficznego* 49, zeszyt 1—2). Pod względem opra- wania redakcyjnego tom przedstawia zadowalająco z dwoma zastrzeże- mi: w spisie rzeczy opuszczono szkic Sterlinga P. Lamprechta *William James*, ponadto zaś zastosowano rażący w języku polskim zwyczaj rozpoczynania dużymi literami wszystkich wyrazów w tytułach cytowanych prac.

Miejmy nadzieję, że pożyteczna antologia *Filozofia amerykańska* nie będzie ostatnią publikacją tego typu. Z uznaniem i wdzięcznością powitać by należało na przykład wybory artykułów na temat filozofii wartości, metodologii nauk społecznych czy zastosowań w humanistyce nieobecnej w tej antologii semiotyki — te dziedziny filozofii amerykańskiej wydają się w tej chwili najcenniejsze i budzą największe zainteresowanie.

Zdzisław Najder

NIEMIECKA LITERATURA W POLSCE

O losach niemieckiej literatury w lsce w ostatnich dwóch-trzech la- ch dałoby się wiele dobrego i złego wiedzieć. Dwa-trzy lata to okres edługi, ale u nas był to czas go- zkowy, czas ożywionej działalno- i przekładowej, wielkiego urodzaju umaczeń, które ogarnęły wszystkie ażniejsze literatury świata. Ostatnio rączka znacznie opadła, i to z kilku zyczyn. Po pierwsze zaostrzyły się yteria wyboru. Po nasyceniu pierw- ego głodu nowinek staliśmy się wy- edniejsi, tym bardziej że w począt- wym zapale udostępniono czytelni- wi polskiemu i takie utwory, bez órych można było się obejść. Obok cydzieł pojawiły się również rze- y słabe, niegodne przekładu. Po dru- e, zaważyły też względy natury gos- darczej. Za prawa obcych autorów eba płacić dewizami, którymi mu- ny szafować oszczędnie. Po trzecie, nieczność redukcji planów wydaw- czych, wywołana potrzebą liczenia z groszem we wszystkich dziedzi- ch życia, skłoniła i tutaj wydawni- va do „zaciśnięcia pasa".

Na ogół ilość przekładów z niemie- ego była o wiele mniejsza od licz- tłumaczeń z języka francuskiego angielskiego, czemu nie należy się wić, gdyż piśmiennictwo francuskie i anglo-amerykańskie, jeśli idzie o literaturę współczesną, zachowuje w ruchu kulturalnym Zachodu niewątpliwy prymat. Pewną rolę odegrały tu również tradycyjne zamiłowania naszych czytelników do prozy i poezji francuskiej. Ale uwzględniwszy i ten współczynnik trudno się oprzeć wrażeniu, że nasz stan posiadania w zakresie tłumaczeń z literatury niemieckiej pozostaje nadal niedostateczny.

Zatrzymamy się najpierw przy piśmiennictwie współczesnym. Na ogół nieźle przedstawia się sprawa pisarzy tworzących w Niemieckiej Republice Demokratycznej lub emigrantów z nią ściśle związanych. Dysponujemy tłumaczeniami wielkich epików, a więc Henryka Manna, Arnolda Zweiga, Liona Feuchtwangera i Anny Seghers, których nasza publiczność czyta chętnie i dużo. Większość ich dzieł wyszła u nas z druku w minionych latach. Najmniej przekładów posiada Henryk Mann i zdałoby się tutaj zapełnić kilka luk. Ostatnio przetłumaczono jego powieść *Przyjęcie w wielkim świecie*, ale wybór ten został dokonany nie najszczęśliwszą ręką. Jest to utwór słaby i należało dać pierwszeństwo innym powieściom tego autora, nie zapominając o nowelach,

które są u nas zupełnie nieznane. Nie możemy się również skarżyć na zaniedbywanie dramaturgii Bertolta Brechta, bardzo popularnej w naszych teatrach. Natomiast brak nam wyboru poezji Brechta, którego wiersze rozsiane są po czasopismach lub zbiorowych tomikach poetyckich, obejmujących dorobek kilku lub kilkunastu poetów niemieckich. Wydaje mi się, że taki wybór mieściłby się doskonale w tak zwanej „celofanowej serii" poetów wydawanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

Średnie pokolenie współczesnych prozaików NRD znamy z przekładów Bredla, Wolfa, Uhse, Petersena i innych. Kontakty z poetami są bardzo luźne. Dawniej tłumaczono Bechera, Hermlina, Fürnberga, obecnie zainteresowanie wierszami bardzo zmalało. Szkoda, że nie zwróciły uwagi wiersze Peter Huchla, którego uważam za jednego z najbardziej oryginalnych poetów współczesnych Republiki Demokratycznej.

Postacią, która tworzy jak gdyby pomost pomiędzy literaturą obu państw niemieckich, jest Tomasz Mann, wydawany w NRF i NRD i utrzymujący za życia osobiste kontakty z obiema republikami. Ostatnie trzy lata przyniosły nam przekłady trzech książek tego pisarza: *Nowele, Ostatnie nowele* i *Lottę w Weimarze*. Niestety, czytelnik polski jest nadal pozbawiony możności poznania dwóch najwspanialszych dzieł, cyklu *Józef i jego bracia* oraz *Doktora Faustusa*, który jednakże — jak słychać — ma się niebawem na rynku księgarskim ukazać. Dotychczas więc w najszerszym rozmiarze spolszczono nowele Tomasza Manna. Wydany w 1956 tom opowiadań zawiera nowele pisane do r. 1930, zaś *Ostatnie nowele* (wyd. 1958) obejmują trzy opowiadania wieku sędziwego. *Ostatnie nowele* są o tyle charakterystyczne, że demonstrują wszystkie możliwości formalne literackiego kunsztu Manna. Mamy tu zatem prozę osnutą na motywie baśniowym *(Zamienione głowy)*, biblijnym *(Prawo)* i psychologiczno-społecznym *(Oszukana)*. Trzy utwory, trzy style i aury tworzące w prozie Manna jedność przetkaną nićmi sceptycznej ironii. Warto przy tej sposobności upomnieć się o publicystykę Tomasza Manna, a zwłaszcza o jego eseje krytyczno-literackie. Znamy z nich tylko jeden: o Czechowie, drukowany swojego czasu w *Twórczości*. A przecież chętnie powitalibyśmy szkice o Tołstoju, Dostojewskim, Lessingu, Goethem, Schillerze, Stormie, Fontanem, Wagnerze i Nietzschem, a także prozę autobiograficzną.

O ile dzisiejsza literatura Niemieckiej Republiki Federalnej była dla nas księgą zamkniętą na siedem pieczęci, o tyle w ostatnim okresie zaszła tu pewna zmiana. Poznaliśmy kilka powieści utalentowanych pisarzy średniego pokolenia, interesujących się tematyką społeczną: Henryka Bölla i Wolfganga Koeppena. Można tu jeszcze wymienić ten i ów tytuł, tego i owego pisarza, ale nie zmieni to faktu, że mamy w tej dziedzinie duże zaległości. Obecnie literatura NRF nie reprezentuje poziomu sięgającego wyżyn literatury światowej, mimo to jej zdobycze zasługują na uwagę i zainteresowanie. Najciekawszym zjawiskiem jest przede wszystkim twórczość zmarłego przed kilkoma laty Gottfrieda Benna, najwybitniejszego chyba po Rilkem, Hofmannsthalu i Traklu poety piszącego w języku niemieckim. Z prozaików, których nie znamy, a powinniśmy poznać, wymieniam kilku: Wolfganga Borcherta, pisarza „generacji bez szczęścia, bez ojczyzny i bez pożegnania", który zmarł młodo, w 26 roku życia (1947), po nader tragicznych przeżyciach. Borchert służył jako żołnierz na froncie rosyjskim, gdzie odniósł ciężką ranę, potem został osadzony na osiem miesięcy w więzieniu wojskowym w Norymberdze za szerzenie „defetystycznych poglądów" i skazany przez hitlerowski sąd na karę śmierci. Ułaskawiony, ponownie powędrował na front (1943). Wojna podkopała jego zdrowie i niebawem zmogły go choroby. Cały jego dorobek wynosi kilkaset stron nowel, fragmentów powieściowych i dramatycznych. Jego twórczość ma charakter awangardowy, dysponuje bardzo skondensowanym stylem, unika „literackości", ma niezwykłą ekspresję dramatyczną i wyróżnia się nowoczesną, „prężną jak stal" (jak to określił jeden z niemieckich krytyków) metaforą. Przypominam także o prozaikach: Edzard Schaperze, Alfredzie Anderschu, Hansie Erichu Nossacku (autorze eksperymentalnych wierszy i dramatów)

Güntherze Weisenbornie i Wolfgangu Weyrauchu.

O międzynarodowym znaczeniu niemieckiej prozy i poezji decydują obecnie nie tylko pisarze niemieccy, lecz także, a w dziedzinie literatury awangardowej przede wszystkim, pisarze innych krajów piszący w języku niemieckim. Są to autorzy austriaccy, szwajcarscy i pochodzenia czeskiego. Z poetów należy się pierwszeństwo przekładu Rilkemu i Hofmannsthalowi. Rainer Maria Rilke, którego orędownikiem w Polsce był przed wojną Witold Hulewicz, jest prawie, a Hugo von Hofmannsthal zupełnie nieznany. Przed wojną ukazał się niewielki tomik przekładów wierszy Rilkego i jego *Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge*. Niebawem wyjdzie z druku wybór wierszy autora *Księgi godzin* (w redakcji Juliana Przybosia) a trzy miesiące temu ukazało się wznowienie *Maltego* w przekładzie Hulewicza. Jest to zatem dobry początek, który rokuje nadzieje na przyszłość. *Malte* powinien wzbudzić zainteresowanie z tego powodu, że prezentuje typ prozy eksperymentalnej, w literaturze europejskiej zupełnie nowy. Książka należy do pogranicza powieści i autobiografii. Nie jest to pamiętnik w ścisłym tego słowa znaczeniu; zwierzenia płyną tutaj swobodnym nurtem, który porywa z sobą wszystko, co dzień powszedni przynosi, lecz są podporządkowane z góry obmyślonemu opisowi. Od powieści różni się luźną budową, która jednoczy refleksje, spostrzeżenia, przypowieści i epizody, bez względu na ich tematyczne, czasowe i przyczynowe związki.

Ostatnie trzechlecie spopularyzowało Kafkę. Wznowienie przekładu *Procesu*, wybór nowel, przekład *Zamku* — oto dotychczasowy plon, poza tym spodziewamy się wyboru *Dzienników*, który przygotowuje Wydawnictwo Literackie. Natomiast wielką niewiadomą jest dla nas twórczość dwóch prozaików, tłumaczonych obecnie na wszystkie języki świata: Roberta Musila i Heimito von Doderera. Powieść Musila *Człowiek bez właściwości* i Doderera *Demony* miały już wzmianki w naszej prasie literackiej. Oba utwory wnoszą nowe elementy do współczesnej prozy światowej, o czym relacjonowaliśmy w ubiegłym roku w naszym piśmie.

Na koniec wzmianka o dwóch pisarzach szwajcarskich. Jednego z nich, Dürrenmatta, znamy tylko ze sceny (*Wizyta starszej pani*) i ze słuchowisk radiowych. Sądzę, że warto poznać bliżej jego prozę, choćby wspaniałą *Kraksę* i *Zbrodnię*. Drugi, Szwajcar Maks Frisch, autor głośnych powieści *Stiller* i *Homo Faber*, jeszcze do nas nie dotarł.

Odrębnego szkicu wymagałaby odpowiedź na pytanie, czy i w jakiej mierze współczesna proza niemiecka wpłynęła na twórczość pisarzy polskich. Mimochodem zaznaczymy tylko, że wpływ ten jest minimalny. Przed wojną można było dostrzec pewne związki pomiędzy powieściopisarstwem Wittlina (*Sól ziemi*) a wiedeńskiego prozaika, Józefa Rotha (*Marsz Radetzky'ego*), oraz wpływ Kafki na Schulza i Truchanowskiego. W ostatnich latach wielu młodych prozaików polskich poczęło pisać „pod Kafkę". Niektórzy z nich już się z tego otrząsnęli, inni to zrobią wcześniej czy później, chyba że nie będą mieli nic od siebie do powiedzenia. Twórczość Kafki nie nadaje się (z różnych względów) na „szkołę", jest to niepowtarzalne zjawisko, które nie znosi naśladownictwa.

Głód aktualności usunął w cień zainteresowanie dla klasyki niemieckiej, w ubiegłych latach wcale duże. Dorobek ostatniego czasu można tu uważać za znikomy. Najcenniejszą pozycją jest chyba czterotomowy wybór prozy E. T. A. Hoffmanna. Słuchy o kilkunastotomowej edycji dzieł Goethego umilkły. Zaniedbaliśmy zupełnie niemieckich romantyków, dotychczas nie mamy przekładów Kleista, Hölderlina, Hebbla (prócz wyboru pamiętników), Stiftera, C. F. Meyera i wielu innych. I tutaj objawiła się nasza stara narodowa wada: przerzucanie się od jednej skrajności do drugiej.

rk

ZABOŁOCKI — POETA NIEZNANY

Pod koniec ubiegłego roku zmarł w Moskwie Mikołaj Zabołocki. Czytelnik polski zna zaledwie znikomą cząstkę jego niewielkiej objętościowo twórczości z paru przekładów zamieszczonych w czasopismach literackich i antologii *Stu trzydziestu poetów* Seweryna Pollaka. To stanowczo za mało jak na jednego z najciekawszych poetów, jakich bogata poezja rosyjska wydała w XX wieku.

Zabołocki zadebiutował w roku 1929 tomikiem wierszy *Stołbcy (Kolumny)*, który należy dziś do rzadkości antykwarycznych. Był to debiut olśniewający, z miejsca stawiający artystę w rzędzie twórców wybitnych. Talent młodego poety objawił się w *Kolumnach* w postaci całkowicie skrystalizowanej i dojrzałej. Krytyka i czytelnicy z satysfakcją stwierdzili, że w poezji rosyjskiej padło nowe, ważkie słowo i że stojąca pozornie na uboczu ówczesnych gorących sporów literackich liryka Zabołockiego jest owocem równie śmiałych jak wielostronnych poszukiwań i eksperymentów.

Znany rusycysta włoski, profesor Angelo M. Ripellino, nazwał kiedyś Mikołaja Zabołockiego „poetą piszącym w manierze Henri Rousseau". Porównanie efektowne i trafne, lecz niepełne. Rzeczywiście, pozornie prymitywna, niekiedy nawet rubaszna powłoka stylistyczna stanowi nieodłączną cechę tej bardzo „malarskiej" poezji (jedynie w sensie kompozycyjnym; Zabołocki zawsze stronił od modnego w owych latach „malarstwa dźwiękowego"). Kryje się wszakże pod nią bogaty podkład intelektualny, sformułowany i podany niezmiernie precyzyjnie. I chyba właśnie owo połączenie zdumiewającej wrażliwości na kształty i kolory świata widzialnego z wnikliwą interpretacją tego świata i trzeźwym racjonalizmem jest dla wierszy Zabołockiego najbardziej istotne. Zabołocki jest bowiem niewątpliwie poetą-filozofem, rozmiłowanym w tradycjach oświeceniowych wieku XVIII-ego, do którego dotarł przez świadomą kontynuację również bardzo „osiemnastowiecznej" linii poetyckiej swego wielkiego poprzednika i mistrza — Wielemira Chlebnikowa.

Świadomy prymitywizm wierszy Zabołockiego, wyraźną skłonność do groteskowych ujęć zarówno obrazowych jak stylistycznych należy traktować raczej jako polemikę z późniejszymi, a dominującymi dziś praktykami poetyckimi ery puszkinowskiej, jako świadectwo ironicznego do nich stosunku.

Zabołocki, zdecydowany wróg wszelkiej metafizyki — poetyckiej i społecznej — patrzy na świat przez pryzmat zdrowego rozsądku. Nie jest to jednak spojrzenie beznamiętne. Dostrzeżemy w nim łatwo tłumiony niepokój o humanitarne oblicze zachodzących przemian społecznych. Klasycznym przykładem tej postawy jest głośny poemat *Triumf rolnictwa*, którego fragment opublikowała *Twórczość* w numerze majowym w 1957 roku. Głębokie zaangażowanie w sprawy ludzkie, dbałość o prostotę i schludność warsztatu poetyckiego dają w sumie poezję maksymalnie nasyconą środkami wyrazu, a jednocześnie wy-

braną z wszelkiego efekciarstwa, czytelną i aktualną.

Bez znajomości poezji Mikołaja Zabołockiego nie może być mowy o znajomości współczesnej poezji rosyjskiej. Wydanie niewielkiego chociażby wyboru jego wierszy byłoby rzeczą wyjątkowo cenną i pożyteczną.

zf

NOWE WYDANIE TATARKIEWICZA

W ostatnich dniach 1958 roku ukazało się piąte z kolei, a trzecie po wojnie (przy czym tom trzeci ukazał się w ogóle po raz drugi) wydanie *Historii filozofii* Władysława Tatarkiewicza. Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Nakład wydania imponujący: 25.200 egzemplarzy. Ilość edycji świadczy nie tylko o popularności monumentalnego (w obecnym wydaniu łącznie 1382 strony) dzieła, ale i o chwalebnej chłonności polskiego rynku czytelniczego. Autor ma więc szczęście do odbiorców — a odbiorcy do książki, którą znawcy uważają słusznie chyba za najlepszy w tej chwili na świecie podręcznik przedmiotu.

Czym różni się obecne wydanie od wcześniejszych? Jest pierwszym wydaniem oprawnym — i jednocześnie ma najgorszy papier spośród wydań dotychczasowych. Wadę tę starają się zrekompensować daleko liczniejsze niż poprzednio portrety filozofów (także zresztą na bardzo marnym papierze odbite). Najciekawsze chyba, bo najmniej znane, są podobizny myślicieli najnowszych (pierwsze wydanie tomu trzeciego było pozbawione ilustracji). Z kart książki patrzy na nas udochowiona twarz Kierkegaarda, Nietzsche błyska demonicznym spojrzeniem znad polsko-szlacheckiego wąsa, spode łba spogląda wielka głowa Renana, osadzona na krótkim i wydętym kadłubie, Russell o czaszce ptaka zaciska ironicznie wargi, zimno błyszczą okulary Schlicka a spoza sokratycznej brody przeziera dobrotliwa twarz Kazimierza Twardowskiego — i trzydziestu dziewięciu innych myślicieli odsłania przed nami rąbek swoich wewnętrznych tajemnic. Niestety, podpisy pod portretami nie są wolne od błędów: w erracie sprostowano omyłkę w nazwisku Newmana, ale imię Freuda pozostało nie zauważone w brzmieniu Siegmunt.

Tyle o szacie zewnętrznej. Zawartość *Historii filozofii* pozostała prawie niezmieniona. Wzbogacono i unowocześniono bibliografię, udoskonalony został cenny indeks rzeczowy, w tomie pierwszym autor dokonał garści poprawek stylistycznych, zaś w tomie trzecim sprowadzić mógł do właściwej postaci podział na części.

zn

„WYKŁADY Z FILOZOFII DZIEJÓW"

Przed miesiącem *Nowa Kultura* ogłosiła listy wydawców w odpowiedzi na pytania redakcji, jakiej książki zazdroszczą konkurencji. Red. J. Kasiński pozazdrościł więc PIW-owi Cerama, red. H. Michalski MON-owi Żukrowskiego itd. Nikt nie pozazdrościł PWN-owi Hegla. A to chyba największy powód do dumy i do zazdrości. *Wykłady z filozofii dziejów*, które się ukazały w Bibliotece Klasyków Filozofii, nie są co prawda polskim wydaniem oryginalnym, pierwsze, w przekładzie Adama Zieleńczyka, ukazało się przed czterdziestu laty, to prawda. Wydanie obecne nie jest jednak wznowieniem, jest to przekład nowy, staranny terminologicznie, opracowany przez Janusza Grabowskiego i Adama Landmana. Na to dzieło Hegla miłośnicy filozofii, cała młodzież intelektualna czekała.

Wstęp do *Wykładów z filozofii dziejów*, wstęp obszerny, zwracający uwagę głęboką wiedzą, zżyciem się z heglizmem, oryginalnością napisał zmarły przedwcześnie filozof, Tadeusz Kroński. Jest to owoc jego wieloletnich studiów nad filozofią niemiecką i niestety ostatnia jego rozprawa wprowadzająca w Hegla. Kroński przygotowywał następne prace poświęcone Heglowi, śmierć mu je przerwała.

Rzadko którą pracę filozoficzną czytam z taką pasją, jak ten wstęp do Hegla. Pasja autora prowadzi. Tadeusz Kroński, najwybitniejszy polski heglista (a iluż ich mieliśmy?), w swoim studium walczy z niezrozumieniem, spłyceniem, fałszywą interpretacją, pochopną oceną myśli Heglowskiej, walczy z przeciwnikami z prawa i z

lewa o wierność prawdzie. Sam poeta, widzi u swojego filozofa źródło każdej filozofii — poezję.

„Czegóż nie próbowano mu przypisać! Że był »Prusakiem« i zaprzedał się całkowicie swemu państwu, że był bezwzględnym zwolennikiem totalitaryzmu państwowego. Że był immoralistą poświęcającym moralność na ołtarzu »wyższych celów«, którym było »dobro państwa«. Że był mesjanistą i mistykiem wierzącym w tajemne posłannictwo poszczególnych narodów itd. Sam Hegel ponosi w dużej mierze odpowiedzialność za te zarzuty... Ten wielki racjonalista, który w swojej *Historii filozofii* wyrzucał Platonowi niedojrzałość myśli, jeszcze nie wyzwolonej od mitologii i poezji, a we wstępie do *Fenomenologii ducha* postulował ścisły, racjonalny wykład filozofii, pisał sam często bardziej jak natchniony filozofią poeta aniżeli jak systematyczny i ścisły profesor filozofii."

Tadeusz Kroński przeprowadza wywód myśli Heglowskiej precyzyjny, nowoczesny w tym sensie, że wyciąga z filozofii Hegla wnioski dla naszych dzisiejszych postaw. Linię demarkacyjną heglizmu, tę linię odcinającą go od wszystkich dogmatyzmów, kreśli wyraźnie: (Hegel) „apologeta negatywności i permanentnego niepokoju nie może przecież liczyć na sympatię i uznanie tych wszystkich, którzy czując się doskonale w wyalienowanych klatkach swych pojęć i haseł i w nie mniej wyalienowanych twierdzach swych instytucji uciekają przed jego argumentacją nawet wtedy, gdy ukazując im możliwości odnowy zabezpiecza także ich samych przed zagładą z ręki sił irracjonalnych".

b

BRAWO, ROMANIŚCI!

W PIW-owskiej serii esejów znowu trzeba odnotować pozycję będącą niezaprzeczalnym wkładem do kultury. Znowu, gdyż w roku ubiegłym zwracałem uwagę na *Racine'a i Szekspira* Stendhala (w przekładzie Wojciecha Natansona), *Wybór listów* Flauberta (w przekładzie Wacława Rogowicza) oraz *Wybór pism krytycznych* Sainte-Beuve'a (wydanych w przekładzie Anny Jakubiszyn-Tatarkiewiczowej przez „Ossolineum"), dzieła klasyczne po raz pierwszy przełożone na język polski. Obecnie otrzymaliśmy *Eseje* George Sand w przekładzie Stanisławy Kożuchowskiej i Marii Dramińskiej-Joczowej. Wstęp bardzo starannie informujący o eseistyce autorki *Wędrownego czeladnika* napisała także Stanisława Kożuchowska.

Oczywiście krytyka — co zresztą podkreśla wstęp — nie jest wybitną stroną twórczości George Sand. Wydanym *Esejom* daleko do wagi szkicu Stendhala czy *Listów* Flauberta. Ale przyswojenie ich dzięki szczęśliwemu wyborowi przybliża do francuskich sporów, pasji i zagadnień z wieku XIX. Szkice o Balzaku, o realizmie, o *Szkole uczuć*, korespondencja z Flaubertem wprowadzają w temperaturę umysłową tych czasów w sposób bezpośredni. Najciekawsze jednak w wyborze to esej pt. *Dialog o poezji proletariuszy* oraz *Szkic o dramacie fantastycznym*. Pierwszy omawia sprawy tzw. poezji naiwnej, ludowo-robotniczej, która za Monarchii Lipcowej rozwijała się bardzo dynamicznie. Z tej poezji wyrósł, na co zwraca uwagę we wstępie pani Kożuchowska, Béranger. Ale także Wiktor Hugo, Hugo — autor *Chłosty*. Dlatego ta poezja, chociaż sama nie wzniosła się na szczyty, ma poprzez *Chłostę* Hugo swoją piękną kartę w literaturze francuskiej. George Sand bardzo się nią pasjonowała i za nią się opowiadała.

Dla nas, dla Polaków, najbardziej interesujący jest *Szkic o dramacie fantastycznym*, w którym George Sand omawiając twórczość Goethego, Byrona i Mickiewicza wielkie miejsce wyznacza *Dziadom*. Stanisława Kożuchowska cytuje we wstępie fragment listu Sainte-Beuve'a, który po ukazaniu się szkicu w *Revue des Deux Mondes* pisał: „Ukazał się dziś rano w *Revue* artykuł pani Dudevant o Goethem, Byronie i Mickiewiczu. Temu ostatniemu dostała się promienna korona. Padły cztery ofiary: Goethe, Car, Byron i katolicyzm, ale George Sand wybacza się wszystko i wiele głębokich prawd błyska w tym uderzeniu piorunu. Użyczy to nieco blasku katedrze Mickiewicza".

Za *Eseje* George Sand należy się naszym romanistom pochwała.

b

KRAKOWSCY RECENZENCI

W naszej geografii literackiej Warszawa to polot i błyskotliwość, ale także powierzchowność sądów, nie sprawdzone wiadomości, pochopne uogólnienia — słowem sympatyczne hochsztaplerstwo. Kraków to antypatyczne czasami nudziarstwo, ale za to solidność, rzetelność, wiedza. Tam każdy krytyk, ba, byle recenzent, jest albo będzie profesorem i to nie byle jakiej, bo najsławniejszej uczelni w kraju. Tak są o tym z góry wszyscy przekonani, że już na pierwszorocznych seminariach młodzi poloniści zwracają się do Profesora Wyki per „kolego". Nic też dziwnego, że dla warszawskiego nieuka przyłapanie takiego krakowskiego recenzenta na ordynarnej bujdzie musi być nie lada gratką. Jednego, a cóż dopiero dwóch! Taka gratka ostatnio mi się zdarzyła. Parę miesięcy temu, podczas dłuższej choroby, sięgnąłem po *Pamiętniki* Retza, których jakoś dotąd nigdy nie zdążyłem przeczytać (każdy ma na swoim koncie jakieś wstydliwe takie braki w oczytaniu, *Don Kiszota*, *Boską komedię*, *Noce i dnie*) i zachwyciłem się nimi, bo lektura to rzeczywiście pasjonująca. W krótki czas potem wyszło polskie wydanie *Pamiętników* w dobrym, sumiennym, choć miejscami twardawym przekładzie Marii i Aleksandra Bocheńskich (wydał je PIW, w nieocenionej serii Pamiętników Polskich i Obcych pod redakcją Wacława Zawadzkiego). Pojawiły się też pierwsze recenzje i omówienia tej książki. Wpadły mi w oczy dwie recenzje z prasy krakowskiej (jedna w świątecznym numerze *Przekroju*, druga w *Życiu Literackim* z 18 stycznia br.). I oczom własnym nie wierzę. W *Przekroju* czytam: „*Pamiętniki* jego to właściwie jeden długi i dość swawolny list miłosny". W *Życiu Literackim* pod tytułem *Pamiętniki zakochanego kardynała* takie zdanie: „Polityka, historyzm, erotyzm — w naszej epoce może być przedmiotem bardzo szerokiego znawstwa i zainteresowania". (Nie chodzi mi w tej chwili o to, że zdanie to jest całkowicie bezsensowne. Rzecz w tym, że istotnie *Pamiętniki* Retza utrzymane są w formie listu do przyjaciółki i traktują o sprawach dość, jak na kardynała przynajmniej, swawolnych, bo o intrygach dworskich, niezbyt pięknych obyczajach ówczesnego życia politycznego i o innych obyczajach także, odsłoniętych z cyniczną prawdomównością i szczerością. (Te swawolne kartki dotyczą między innymi niezapomnianego opisu conclave, w którym Retz uczestniczył w 1655 roku — ciekawe, co też się zmieniło w obyczajach kurii rzymskiej od trzystu lat i czy w podobny sposób wybierany był Jan XXIII?) Ale niestety, zawieść muszę naszych krakowskich recenzentów, sprawom sercowym, a już tym bardziej łóżkowym, Retz poświęca bardzo niewiele uwagi, dotyka ich z rzadka, w sposób niesłychanie zawoalowany i tylko wtedy, gdy mu to jest potrzebne do wyjaśnienia jakiejś intrygi. Napisać o *Pamiętnikach*, że jest to „jeden długi i dość swawolny list miłosny", znaczy tyle, co powiedzieć o *Panu Tadeuszu*, że to sonet. A o erotyzmie, proszę recenzenta *Życia Literackiego*, to się można akurat tyle z Retza dowiedzieć, co o kuchni polskiej z dzieł św. Tomasza z Akwinu.

Nasi krakowscy *in spe* krytycy i profesorowie winni sobie najpierw przyswoić naczelną zasadę zawodu recenzenckiego: to, że się jakiejś książki nie przeczytało, nie jest jeszcze wystarczającym powodem, aby o niej pisać.

jl

ACH, TE REALIA, TE CYTATY!...

W ostatnich publikacjach — zwłaszcza wspominkowych — grasuje prawdziwa epidemia niezgodnych z rzeczywistością „realiów" i nieścisłych lub skażonych cytat z rozmaitych, przeważnie poetyckich utworów.

1. W sporym fragmencie wspomnienia o Tuwimie Anatol Stern popełnia dwa błędy:

a) pisze, że Staff opowiadał o swym spotkaniu przed laty z Tuwimem w dniu jego pogrzebu. Nieprawda. Pogrzeb odbył się 30 grudnia, a Staff był na górze, na Nowym Świecie, w przeddzień, 29 grudnia w południe.

b) cytat z wiersza Błoka brzmi: „*Ja prigwożdion k traktirnoj stojkie*", a nie, jak podaje Stern, „*ja prikowan*".

2) Feliksa Lichodziejewska w swym interesującym eseju o Witoldzie Wandurskim (*Nowa Kultura*, Nr 2) popełnia również dwa błędy:

a) realia: Łódzkie codzienne pismo wbrew twierdzeniu autorki nie było pismem „radykalnym". Był to organ trustu włókienniczego w Łodzi, daleki od radykalizmu. Wprawdzie Wandurski przez pewien czas pisywał tam recenzje teatralne i prowadził (krótko!) dodatek literacki, ale ówczesny naczelny redaktor (czy nie był nim osławiony londyński „Rudy Leszek" vel Kirkien, dziś właściciel i redaktor *Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza*) wyrzucał mu z numeru wszystko, co trąciło radykalizmem.

b) cytat: Zacytowany wiersz z bajki Kryłowa jest zniekształcony. Autorka dodała od siebie cztery słowa. Cytat ten powinien brzmieć:

I wot bez draki
popał w bolszija zabijaki.

3. Coś o Lasocie Grzegorzu:

Pisząc o Jasieńskim i krakowskiej „Muszkatułowej Gałce" z przyzwyczajenia umieścił ją w piwnicy. Błąd: mieściła się w parterowej sali kawiarni narożnej, obok teatru „Bagatela".

jbrdz

WALOR NIEORYGINALNOŚCI

Iluż pisarzy naśladuje technikę, co tam technikę, od razu technikę! — postawę, kryteria, także oczy, uszy XIX wieku! Przecież trzy czwarte bieżącej literatury światowej to wariant anonimowego amalgamatu wartości stylu, kompozycji, psychologii przetrawionych nie raz, ale sto razy. I co? I nic. Nikomu do głowy nie przyjdzie omawiając ten czy ów wariant wypominać wpływy i zapożyczenia. Bo to już nie są wpływy i zapożyczenia, to są referencje. Szczęśliwy pisarz, którego powieść ma Tołstojowski oddech, Dostojewską atmosferę, Stendhalowską konstrukcję, Balzakowski styl... Tutaj liberalizm święci triumfy na całym świecie.

Ale niechże pisarz trąci „atmosferą" Hemigwaya, Faulknera, Malraux, od razu lament na całe czasopiśmiennictwo, pomówienie o brak oryginalności i wróżby wszystkiego najgorszego.

Oczywiście są wpływy i wpływy, mogą być tak zwane twórcze i tak zwane nietwórcze. Decydują nie wpływy, ale własny wkład pisarza. Niekiedy szczypta własnego, łut oryginalności przeobraża zapożyczenia, zmienia układ chemiczny nawet pierwiastka cudzego. Dlatego zagadnienie oryginalności jest bardzo skomplikowane i nie trzeba bez dokładnego zapoznania się ze zjawiskiem wymyślać od Hemigwaya i tym podobnych. Chyba, że z taką samą intencją wymyśla się od Flauberta, Zoli i France'a. Tylko w tym wypadku. Bo przecież sam wybór modelu, sam rodzaj nieoryginalności świadczy! Młody pisarz, który zamiast składać jeszcze jedne kwiaty na ołtarzu świętego literatury, idzie po wpływy do współczesnego a do tego skrajnego we współczesności, spornego jeszcze pisarza, daje dowód odwagi największej: jest buntownikiem nawet w nieoryginalności. A w literaturze tylko bunt się liczy.

Do tych uwag skłoniła mnie książeczka bardzo nieoryginalna, a jednocześnie przedziwnie nowa. Świeża, choć nieoryginalna. Mam w ręku ten paradoks. Nie dziwię się, że Anka Kowalska pisząca w *Kierunkach* bardzo inteligentne recenzje z lektur poświęciła tej książeczce króciutki eseik, będący jednocześnie poematem prozą. Bo o tej książeczce nie można pisać zimno. Jest to wydana przez „Iskry" *Droga człowieka* Pierre Bassona.

Antenatów, co antenatów, rodziców widać jak na dłoni: Hemingway i Saint-Exupéry. Dziwna krzyżówka i może to właśnie zdecydowało o wyniku. Przeżywanie przygody afrykańskiej, przygody myśliwskiej jak sprawy ostatecznej (przygoda tragiczna stwarza do tego podstawy) daje doznaniom ostrość i wymiary powiększone. Bohater ścigany słońcem, pragnieniem, wyczerpaniem, nieskończonością afrykańskiego buszu przypomina Guillaumeta z *Ziemi, planety ludzi* Saint-Exupéry'ego. Przypomina, nie jest jednak jego kopią. Basson ma własny liryzm i, co najważniejsze, swojemu bohaterowi daje powiązanie ze światem nie czysto moralne, zasadnicze, jak Saint-Exupéry, ale także sentymentalne. To go pomniejsza, ale i przybliża.

Sama nieoryginalność nie wystarcza. Gdyby wystarczała! Wtedy spokojna każda głowa! Ale wystarczy, jak powiadam, łut własnego wkładu, a z rudy nieoryginalności powstaje kruszec szlachetny, czysty. Pierre Basson ten łut własnego do wpływów Heminwaya i Saint-Exupéry'ego dołożył. Dołożył liryzm, sentymentalizm, na pewno coś jeszcze. Dzięki temu wkładowi *Droga człowieka* z książki epizmskiej przeobraziła się w uroczą i świeżą baśń o cywilizacji.

Pierre Basson nie jest we Francji klasarzem znanym i uznanym. Dlatego pochwałę „Iskry" za odkrycie, które wymagało zdania i smaku własnego. Nieoryginalność *Drogi człowieka* jest w jakiś trudny do określenia sposób odkrywcza.

zb

ILE TŁUMACZYMY Z FRANCUSKIEGO?

Paryski tygodnik *Arts* przeprowadził ankietę, dotyczącą przekładów z literatury francuskiej na języki obce. Głównym źródłem informacji był *Index translationum*, wydawany przez Unesco, a stanowiący „katalog" rzeczy tłumaczonych na całym świecie. Dane dotyczą lat 1956 i 1957. Wyniki ankiety są interesujące. Okazuje się, że na pierwszym miejscu figuruje Jules Verne. Jego powieści „antycypacyjne", jego fantazje oparte na zadziwiających nieraz przewidywaniach, są czytywane i tłumaczone na całym świecie, we wszystkich krajach, pod wszelkimi szerokościami geograficznymi, na wszystkich kontynentach. Po Leninie i Tołstoju pobił Verne w roku 1956 wszystkie „rekordy"; z cyfrą 133 przekładów zajmuje trzecie miejsce w światowej produkcji tłumaczeń. Dalsze pozycje wśród klasyków francuskich przekładanych na obce języki zajmują: Balzak, Maupassant, Hugo, Zola, Dumas-ojciec, Stendhal, Romain Rolland, France, A. Daudet, Molier, J. J. Rousseau, Colette. Wśród autorów współczesnych „hierarchia" utworów przekładanych jest mniej imponująca. Pierwsze miejsce zajmuje pisarz niewątpliwie utalentowany, pomysłowy, ale chyba nie pierwszorzędny, do niedawna sensacyjny, obecnie raczej psychologiczny, Georges Simenon (56 przekładów); licznie są reprezentowani: Saganka, Maurois, ale co prawda także Mauriac i Sartre.

Można by przypuszczać, że cyfry te mają charakter przypadkowy i dotyczą tylko lat ostatnich. Otóż statystyka lat poprzednich (od 1948) daje wyniki podobne: Verne, Balzak, Maupassant, Hugo, Zola, Dumas, Stendhal, R. Rolland, Maurois, France, Daudet, Mauriac, Sartre, Flaubert, Gide, Mérimée, D. Rops, Claudel, Bernanos i Baudelaire.

A jak wygląda „geografia" tłumaczeń z języka francuskiego? Okazuje się, że pierwsze miejsce zajmuje Wielka Brytania, gdzie ilość książek przekładanych z francuskiego wynosi 36,6% ogólnej ilości tłumaczeń, dalej figurują: USA (27,8%), Brazylia (25,8%), Włochy (29,7%), Portugalia (24,5%), Hiszpania (19,7%), Japonia (19,2%), Szwajcaria (15,5%), Turcja (15,5%), NRF (14,2%), Jugosławia (12,5%), Holandia (7,6%), Polska (6,9%), ZSRR (3,6%). Zastanawia wysoki odsetek tłumaczeń z francuskiego w krajach anglosaskich; zdaje się, że w USA tłumaczy się to, częściowo, wprowadzeniem literatury francuskiej jako przedmiotu wykładowego w przeważającej ilości szkół. Moda na francuszczyznę jest zresztą w Ameryce faktem powszechnie znanym. Nawet powieści Becketta sprzedaje się po 10.000 egzemplarzy miesięcznie. Żywe zainteresowanie współczesnymi pisarzami i wymiana artystyczna jest faktem niezaprzeczalnym we Włoszech (Artur Międzyrzecki w swym pięknym *Powrocie do Sorrento* opowiada o licznych echach, które francuskie życie literackie wywołuje wśród artystów współczesnego Rzymu). Dużo się tłumaczy z francuskiego w Wielkiej Brytanii (w roku 1956 przełożono tu 183 francuskie utwory) i Ameryce Południowej (przynajmniej w Brazylii). Budzi ciekawość stosunkowo wysoki odsetek dzieł przekładanych z francuskiego w Szwajcarii, gdzie przecież znaczna ilość obywateli zna język francuski, jeśli się nim stale nie posługuje! Wielką niespodziankę stanowi Japonia, gdzie wydawcy i czytelnicy okazują coraz to większe „apetyty" na wszystko, co francuskie, a szczególnie na utwory współczesne: Sain-Exupéry'ego (wydawanego masowo), Berna-

nosa, Malraux Sartre'a Camusa, Maurois, Duhamela, Aragona, a nawet dzieł filozoficzno-krytycznych tak elitarnych, jak *Espace littéraire* Maurycego Blanchot!

Natomiast na Bliskim Wschodzie (z wyjątkiem Libanu) — literatura francuska jest niemal nieobecna. Co prawda w świecie arabskim znajomość języka francuskiego jest na ogół rozpowszechniona, tak że niektóre książki czyta się w oryginale. Ale działają też względy polityczne (sprawa Algeru!)

A jak wyglądają w świetle ankiety *Arts* stosunki „tłumaczeniowe" francusko-polskie? Autor ankiety wymienia Polskę wśród krajów, które okazują duże zainteresowanie dla francuskiego piśmiennictwa. Znajdujemy się, jak widać, na trzynastym miejscu, jeśli idzie o stosunek dzieł przekładanych z francuskiego do ogółu tworów tłumaczonych. A tłumaczymy w ogóle dość dużo: 1043 utwory (kroczymy pod tym względem tuż po ZSRR, Niemczech, Włoszech, Turcji, Japonii, Holandii i Hiszpanii).

W każdym razie nieścisłe się okazują powtarzane tu i ówdzie informacje, wedle których panuje u nas przesadny „kult francuszczyzny". Od czasów Boya i jego sławnej Biblioteki minęło sporo lat, w których literatura francuska rozwijała się wielostronnie. Trudno twierdzić, by wszystkie zjawiska godne uwagi znalazły u nas echo. Na pewno „modniejsi" są w tej chwili Amerykanie, duży — i nie zawsze słuszny — bywa rozgłos niektórych pisarzy niemieckich (np. Böll) — głucho natomiast o wielu Francuzach. Warto też zastanowić się nad tym, czy „hierarchia" dawnych pisarzy, ustalona kiedyś przez Boya, niewątpliwie na podstawie Saint-Beuve'a, nie powinna by ulec pewnym rozszerzeniom, modyfikacjom, przemianom?

Może też oświetli omawiane przez nas zagadnienie fakt następujący: w niedzielę dnia 11 stycznia br. grano w teatrach warszawskich 9 sztuk polskich, 3 niemieckie, 1 norweską, 1 włoską, 1 hiszpańską, 1 rosyjską, 1 angielską i 1 francuską (*Wariatka z Chaillot* Giraudoux)... A więc Francuzów — nie wiem, czy znowu tak słusznie — „na głowę" pobili Niemcy.

W. N.

NA MARGINESIE ANKIET

London Magazine urządził coś w rodzaju małej ankiety na temat stanu obecnego pisarstwa angielskiego. Przy ostatnio przybierającym na intensywności wyścigu o pierwszeństwo we wszystkich dziedzinach, jaki rozgrywa się między państwami pretendującymi do pierwszych miejsc, częstość takiej kontrolnej diagnozy nie jest niczym dziwnym. Wypowiedzi czterech wybitnych krytyków, którzy zabrali głos w tej ankiecie, różniące się na ogół w mało istotnych niuansach, jak pominięcie czy podanie jeszcze jednego nazwiska (angielscy krytycy miewają też luki w lekturze), są zdumiewająco zgodne w ogólnej ocenie. Wyrażają zasmucającą prawdę, że Anglia nie ma żadnej awangardy w powieści. Ekipa literacka zasilająca rynek wydawniczy przez ostatnich 13 lat, złożona z ludzi przed i po czterdziestce, jeżeli nie zajmuje się człowiekiem jako „istotą społeczną" lub zaprzepaszczaniem w dziennikarskiej łatwiźnie twórczej wyobraźni, to w najlepszym wypadku stara się wprowadzić w swoje utwory dodatkowe wymiary przy pomocy fantastycznej komedii lub alegorii.

Ilościowo nie jest najgorzej. Co najmniej dwunastu pisarzy zostało w tej prowizorycznej eliminacji zakwalifikowanych do rangi pełnowartościowych i „aktywnych" zawodowych literatów. Są to: Kingsley Amis, Sybille Bedford, William Cooper, Nigel Denis, Roy Fuller, William Golding, L.P. Hartley, Olivia Manning, P.H. Newby, Iris Murdoch, Anthony Powell, Angus Wilson. Laurence Durrel, autor *Justine*, książki wymienianej przez amerykański *Time* na liście bestsellerów 1958, ma nawet jakieś odrębne miejsce. Poziom przyzwoity, wyrównany, ale bez cudów. Nie darmo Leslie Fiedler biadał: „Większość utworów pierwszej połowy dwudziestego wieku, które jeszcze niedawno wydawały się tak pobudzające i istotne, miała tylko przejściowy charakter i prowincjonalny zakres... nasze nadzieje na odrodzenie okazały się złudne w całej pełni".

W ciągu ostatnich trzynastu lat literatura angielska nie przeżyła nie tylko rewolty, ale nawet skandalu na większą miarę. Joyce, Lawrence czy

hoćby Wirginia Woolf byli ostatnimi tapami powieściowej ewolucji. Oczyście, takich rzeczy nie da się zaplanować, nawet jeżeli wchodzą w grę mbicje narodowe. Objawienia były awsze czymś niespodziewanym. Żaden wymienionych nie myśli bawić się proroka czy rewizjonistę i przewrać czytelnikowi w głowie. Starają się raczej produkować pod gust czytelnika (który też się zmienia w zależności od notowania funta na rynkach wiatowych) i w miarę możności bez rakoróbstwa. W tradycyjną technikę owieści realistycznej czas obecny wniósł swoją poprawkę. Polega ona a odmowie traktowania świata na erio. *Cards of Identity* Nigela Denia — to błyskotliwa pantomima, powieści Williama Goldinga są pełne alegorii, pierwsze dwie książki Iris Murdoch to znów odmiany legendy czy podania. Pisarze, nie wytrzymując wysokiego ciśnienia rzeczywistości, podjęli wyzwanie czasów skrzywionych ironią, komedią i farsą. Pewne formy wychodzą z mody, inne powracają. Psychoanalityczne zgłębianie jaźni zatopiły strumienie krwi ostatniej wojny. Powojenny okres rozpada się zresztą na dwie części. Linię podziału wyznacza ukazanie się... *Lucky Jima*, pierwszego zjawiska z grupy *„angry"*, grupy, która w bardzo szybkim czasie przyniosła najwięcej rozczarowań swym pozornym „przewrotem". Ulubionym tematem stają się różnice klasowe (w sensie towarzyskim, nie marksistowskim) i pieniądze. Ustala się fason traktowania wszystkiego w sposób lekki, niezajmowania się polityką wielką ani małą, oraz różne postaci farsy, od przyprawy począwszy, na daniu głównym skończywszy.

Czy „farsowa w treści, realistyczna w formie" to wystarczająca kwalifikacja do konkurencji międzynarodowych? Oto jest pytanie.

at

MIT LATAJĄCYCH SPODKÓW

Od najdawniejszych czasów ludzie zwracali oczy do nieba, wyglądając na nim widomych znaków swego zbawienia czy potępienia. I nie bez kozery. Wyzywamy niebo i obawiamy się go równocześnie. Zuchwała ingerencja w niebieską orbitę sputników i pocisków międzyplanetarnych uczyniła obawy przed rewanżem „stamtąd" bardziej realnymi. To poczucie zagrożenia istniało zresztą dużo wcześniej. Wcześniej nawet, nim Orson Welles przeraził Amerykę swoim słynnym najazdem Marsjan. I nie o rydwany ogniste świętych tu chodziło, lecz o bliżej nie zidentyfikowaną flotę powietrzną latających krążków, która według zasad jakiejś wyższej strategii patroluje od czasu do czasu pogranicza ziemi.

Jak się okazuje, krążki te były obserwowane w rozmaitych postaciach, przez wielu ludzi i w różnych częściach świata. Tłumaczone przez jakiś czas jako złośliwe figle sąsiedzkie, obecnie stały się przedmiotem zainteresowania rozmaitych gałęzi wiedzy (nie mówiąc o sztabach wojskowych), co wywołało istną powódź artykułów i rozpraw. Jednak, mimo że istnieje już spora literatura na ten temat, sprawa nie posunęła się naprzód. Z jednej strony obserwacje wydają się wiarygodne, w kilku wypadkach potwierdziła je nawet klisza fotograficzna i ekran radaru, z drugiej zeznania naocznych świadków zawierają sprzeczności. W sumie nie wygląda to wesoło. Odwiedzają nas jakieś kuliste mechanizmy, najwidoczniej nie podlegające prawu ciążenia. Zamiary ich, które mogą być dobre albo złe, nie są nam znane. Jesteśmy pod ich stałą obserwacją i na to, co z tego wyniknie, nie mamy żadnego wpływu.

Gwoli uspokojenia rozchybotanej wyobraźni niespożyty dr. C. G. Jung wypowiada się w tej sprawie w książeczce pod tytułem *Flying Saucers (Latające spodki)*. Być może — oświadcza — to, co ludzie bają, jest prawdą, ale nie całą prawdą. Zdaniem jego przeżywamy w skali światowej legendę, która powstała z przyczyn psychologicznych i w kategoriach psychologicznej (mianowicie Jungowskiej psychologii masowej) powinna być rozpatrywana.

Według teorii Junga psychika zbiorowa stoi na straży całości, to jest sumy świadomej i nieświadomej istoty człowieka. Jeżeli równowaga duchowa jest zagrożona, psychika broni się rzutując obraz całości na sferę świa-

domości. Historia pierwotnych religii i alchemii pokazuje, że symbolem całości jest przedmiot o kształcie okrągłym. Ta projekcja niepokojów na świat realny umożliwia świadomemu umysłowi rozumienie i interpretowanie. Dla wielu ludzi spodki mogą być niezauważalne. Nieliczni, którzy je widzą, odnoszą wrażenie przedmiotu realnego o szczególnych właściwościach fizycznych i w zależności od osobistych dyspozycji tłumaczą to sobie na korzyść lub stratę.

Jeżeli mit Ufo (Skrót od Unidentified Flying Objects) podpada pod kategorię psychologicznych testów, lekceważenie go byłoby rzeczą niesłuszną. Lecz w takim wypadku powinny wypełniać nie tylko nasze niebo, ale nasze sny, obrazy, które malujemy, i książki, które czytamy. Studium dr. Junga tam też głównie tropi latające spodki. Ze swego psychiatrycznego doświadczenia przytacza przypadki snów, kilka obrazów i dwie powieści, Freda Hoyle i Johna Wyndhama, które znakomicie ilustrują reakcję intelektualisty na mit Ufo. Jung nie ryzykuje twierdzenia, że jest to zjawisko wyłącznie psychologiczne. Chce nas raczej skłonić do wglądnięcia przy tej okazji w siebie samych. „Sytuacja obecnego świata — pisze — sprzyja bardziej niż kiedykolwiek nastrojom oczekiwania na zbawienne, nadprzyrodzone wydarzenia. Jeżeli te oczekiwania nie przybrały dotąd formy zbyt określonej, to dlatego, że tradycja poprzednich epok nie jest w nas na tyle zakorzeniona, abyśmy uważali interwencję z nieba za rzecz całkiem naturalną. Nie możemy również wskrzesić szczerej wiary chrześcijańskiej w życie przyszłe czy równie chrześcijańskiej nadziei w natychmiastowy koniec świata, który położy kres pożałowania godnemu grzechowi pierworodnemu. Wiara w ten świat i potęgę człowieka, mimo przeciwnych zapewnień, stała się praktyczną i nie dającą się obalić prawdą. Ta postawa wspólna przeważającej większości stwarza korzystne warunki dla projekcji, będącej odbiciem dalszego planu podświadomości. Przygnieciona przez racjonalny krytycyzm wysuwa się na plan pierwszy w postaci symbolicznych pogłosek, poparta i wzmocniona odpowiednimi wizjami, i w ten sposób działając uruchamia archityp, który zawsze wyrażał porządek, wyzwolenie, zbawienie i całość."

Zrozumieliśmy i jesteśmy całkowicie uspokojeni.

ab

WIĘCEJ PRECYZJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim, 12-ym numerze *Twórczości* z ubiegłego roku serce moje zostało przyjemnie połaskotane wzmianką pani Donaty Zielińskiej w artykule *Porządki we własnym domu* o Władysławie Syrokomli. Ale widać pani Zielińska zna jego *Urodzonego Jana Dęboroga* i inne gawędy tylko ze słyszenia, skoro z lekkim sercem zaliczyła je do twórczości powieściopisarskiej. W rzeczy samej Syrokomla nie napisał w swym życiu ani jednej powieści — na początku swojej kariery literackiej spróbował co prawda formy nowelistycznej w *Rywalach* i *Starym kawalerze*, ale obie próby okazały się nieudane — i na tym się skończyło. Powieści nie napisał. *Urodzony Jan Dęboróg* i wszystkie gawędy zostały napisane wierszem. A Syrokomla pozostał w naszej literaturze jako poeta, a nie powieściopisarz.

Przypominam o tym z sercem raczej zasmuconym.

Feliks Fornalczyk

Szczecin, 7.I.1959

MOJA WINA

Szanowny Panie Redaktorze!

Do mojego opowiadania pt. *Nawrócony*, zamieszczonego w n-rze 12 *Twórczości* z ub. r. wkradł się — z mojej winy — przykry błąd, którego niestety nie zdążyłem w porę usunąć.

Mianowicie w czterech miejscach (na stronach 52, 53 i 56) zamiast imienia bohatera *Gustaw* pojawiło się omyłkowo imię *Gienek*. Ponieważ jednak w opowiadaniu nie występuje oprócz niego i narratora inna postać, mam nadzieję, że czytelnicy domyślili się, że chodzi o jedną osobę.

Łączę wyrazy szacunku

Leszek Elektorowicz

Kraków, 10.I.1959

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Fredro Aleksander — *PISMA WSZYSTKIE*. Wydanie krytyczne. Opracował Stanisław Pigoń. Wstępem poprzedził Kazimierz Wyka. Tom siódmy. *KOMEDIE*. Seria druga. I. *Wielki człowiek do małych interesów. Wychowanka. Dwie blizny*. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 456, 4 nl.

Goszczyński Seweryn — *Zamek kaniowski*. Opracowały Maria Grabowska i Maria Janion. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. (Biblioteka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 211, 1 nl.

Krasiński Zygmunt — *Irydion*. Wstępem i aneksem opatrzył Stefan Treugutt. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. (Biblioteka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 366, 2 nl.

Kraszewski Józef Ignacy — *Za Sasów*. Przygotował do druku, posłowiem i przypisami opatrzył Stefan Świerzewski. Opracowanie graficzne: Zygfryd Gardzielewski. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1958, wydanie I; str. 384, 6 nl.

Księgi humoru polskiego. Od Reja do Niemcewicza. Wyboru tekstów dokonali i przypisami opatrzyli: Stanisław Czernik, Jan Huszcza i Juliusz Saloni. Obwolutę projektował Ludwik Tyrowicz. Opracowanie graficzne: Henri Poulain. Ilustracje i przerywniki według dawnych druków polskich z XVI—XVIII w. Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1958, wydanie I; str. 520, 2 nl.

Prus Bolesław — *Placówka*. Powieść. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. (Biblioteka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 344, 4 nl.

Wyspiański Stanisław — *DZIEŁA ZEBRANE*. Tom 4. *Wesele*. Karty tytułowe i obwolutę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958, str. 305, 1 nl.

Żeleński Tadeusz (Boy) — *PISMA*. Tom XVI. *Felietony*. I. Tom opracował Władysław Kopaliński. Objaśnienia Janusza Szpotańskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wyd. I; str. 458, 2 nl.

— *Dziewice konsystorskie*. Objaśnienia Janusza Szpotańskiego. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 60, 4 nl.

— *Nasi okupanci*. Objaśnienia Janusza Szpotańskiego. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 145, 3 nl.

— *Piekło kobiet. Jak skończyć z piekłem kobiet* Objaśnienia Janusza Szpotańskiego. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 183, 1 nl.

Klasycy literatury obcej

Dumas Aleksander (Ojciec) — *PAMIĘTNIKI LEKARZA. Hrabina de Charny*. Część I. *Ucieczka*. Tom I/III. Tom I przełożył Stanisław Brucz. Tom II przełożyła Camilla Mondral. Tom III przełożył Henryk Jakóbczyk. Okładkę projektował Krystyn Zieliński. Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1958, wydanie I; tom I str. 235, 5 nl; tom II str. 273, 3 nl; tom III str. 264, 4 nl.

London Jack — *Martin Eden*. Przełożył Zygmunt Glinka. Okładkę projektował Waldemar Świerzy. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 451, 1 nl.

Poezja

Bursa Andrzej — *Wiersze*. Okładkę projektowała Zofia Wilczkowa. Foto-

grafię wykonał Stefan Berdak. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 127 1 nl.

Fillar Małgorzata — *Gliniany dzbanek*. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 109, 3 nl.

Młodożeniec Stanisław — *WIERSZE WYBRANE*. Tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 179, 1 nl.

Oświatowska Halina — *Hymn bałwochwalczy*. Okładkę projektowała Janina Kamińska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 90, 2 nl.

Pocha-Lisowska Teresa — *Wiersze*. Okładkę projektował Aleksander Haupt. Rysuneczek na okładce Elżbietki Lisowskiej. Kraków. Wydawnictwo literackie, 1958; str. 61, 3 nl.

Tuwim Irena — *Wiersze wybrane*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 94, 2 nl.

Antologie

Hertz Benedykt — *Antologia bajki polskiej*. Rysunki Henryka Tomaszewskiego. Przedmowa i opracowanie Marii Hulewiczowej. Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 222.

Proza

Kalicka—Kozłowska Helena — *Mur miał dwie strony*. Okładkę i kartę tytułową projektował Konstanty Sopoćko. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 188, 4 nl.

Kodnicki Władysław — *PUSTELNIA „POD TRZEMA PYSKAMI"*. Część II. *Droga sławy*. Okładkę projektował Ryszard Twardoch. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958 str. 234, 6 nl.

Chesterton Gilbert Keith — *Latająca gospoda*. Tłumaczyła Hanna Olędzka. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową opracowała Lidia Bogusławska-Rompalska. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 309, 3 nl.

Choromański Michał — *Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 181, 3 nl.

Czeszko Bohdan — *Edukacja niesentymentalna*. Wybór opowiadań. Obwolutę i tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 205, 3 nl.

Dobraczyński Jan — *UTWORY WYBRANE*. Tom. II. *Drzewa chodzące. Kościół w Chochołowie. Odpust*. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 631, 1 nl.

— *Wielkość i świętość*. Eseje. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 311, 1 nl.

Drzewiecki Henryk — *Firuleje*. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 306, 2 nl.

Gałczyński Ildefons Konstanty — *DZIEŁA*. W pięciu tomach. Tom 4. *Proza*. Weryfikacja tekstu i przypisy: Natalia Gałczyńska. Obwolutę i tłoczenia projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 731, 1 nl.

Gałuszka Jerzy — *Kiedy milkną strzały*. Okładkę projektował Henryk Goraj. Katowice, „Śląsk", 1958, wydanie I; str. 237, 3 nl.

Gascar Pierre — *Trawa na ulicy*. Przełożyła Anna Ludwika Czerny. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 135, 3 nl.

Graves Robert — *Córka Homera*. Tłumaczył Wacław Niepokólczycki. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 230, 2 nl.

Iljina Natalia — *Powrót*. Tłumaczyła Maria Popowska. Obwolutę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 653, 3 nl.

Kurek Jalu — *Młodości śpiewaj!* Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 355, 1 nl.

Makarczyk Janusz — *Trzynaście kobiet. Opowiadania*. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 354, 2 nl.

Mann Tomasz — *Ostatnie nowele*. Tłumaczyli: Walentyna Kwaśniakowa i Andrzej Dołęgowski. Projekt obwoluty i oprawy: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 353, 3 nl.

Mauriac François — *Uprzywilejowani*. Tłumaczyła Halina Ostrowska-Grabowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 135, 1 nl.

Międzyrzecki Artur — *Powrót do Sorrento*. Rysunki w tekście i na obwolucie: Tadeusz Kulisiewicz. Opracowanie graficzne: Kazimierz Szubert. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 136, 4 nl.

Paustowski Konstanty — *Kolchida*. Przełożył K. A. Jaworski. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 147, 5 nl.

Plievier Theodor — *Stalingrad.* Przełożył Jacek Frühling. Obwolutę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 590, 2 nl.

Promiński Marian — *Atrament i krew.* Obwolutę i tłoczenia projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 556, 4 nl.

Radiguet Rajmund — *Bal u hrabiego d'Orgel.* Przełożyła Krystyna Dolatowska. Okładkę i obwolutę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wyd. I; str. 178, 2 nl.

Rilke Reiner Maria — *Malte.* Pamiętniki Malte-Lauridsa Brigge. Tłumaczył Witold Hulewicz. Słowo wstępne Mieczysława Jastruna. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 269, 3 nl.

Siedlecki Janusz Nel, Olszewski Krystyn, Borowski Tadeusz — *Byliśmy w Oświęcimiu.* Obwolutę i kartę tytułową projektował Mirosław Pokora. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 264, 4 nl.

Schulz Karol — *Kamień i cierpienie.* Przełożyła Maria Erhardtowa. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie II; str. 524, 4 nl.

Steinbeck John — *Na wschód od Edenu.* Tom I i II. Przełożył Bronisław Zieliński. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. (Klub Interesującej Książki). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; tom I str. 407; 1 nl; tom II str. 494, 2 nl.

Szczepańska Irena — *Córka kapitana okrętu.* Powieść dla dziewcząt. Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 316, 4 nl.

Terlecki Olgierd — *POLSKIE DROGI. II. Pokonani.* Obwolutę i kartę tutułową projektował Andrzej Jeżowski. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 147, 5 nl.

Terlecki Władysław — *Podróż na wierzchołku nocy.* Opowiadania. Obwolutę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 182, 2 nl.

Ważyk Adam — *Mity rodzinne.* Obwolutę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie III; str. 371, 1 nl.

Wouk Herman — *Bunt na okręcie.* Przekład Tadeusza Borysiewicza. Obwolutę i okładkę projektował Tadeusz Bogdański. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 677, 3 nl.

Felietony

Natanson Wojciech — *Do trzech razy sztuka.* Okładkę projektowała Bożena Rogowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 266, 2 nl.

Reportaże

Zalewski Witold — *W poszukiwaniu dnia dzisiejszego.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Ilustrowała Teresa Obmińska. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 138, 2 nl.

Wspomnienia

Granas Romana — *Gruba Ceśka.* Obwolutę projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 118, 2 nl.

Satyra

Zoszczenko Michał — *Rozkosze kultury.* Przełożyli: H. Pilichowska, A. Stawar i L. Susid. Rysunki autora. Okładka według projektu Janusza Stannego. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 251, 1 nl.

Esej, krytyka

Brodzka Alina — *O nowelach Marii Konopnickiej.* Indeksy zestawiła Irena Orlewiczowa. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 402, 2 nl.

LITERATURA DLA DZIECI

Amicis Edmund, de — *Serce.* Książka dla chłopców. Tłumaczyła Maria Konopnicka. Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 322, 2 nl.

Andersen J. Ch. — *Baśnie.* Ilustrował Zb. Rychlicki. Przełożyli z języka duńskiego: Stefania Beylin, Stanisław Sawicki, Jarosław Iwaszkiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 358, 2 nl.

Bahdaj Adam — *O siódmej w Budapeszcie.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 133, 3 nl.

— *Przygody srebrnej piłki.* Ilustrował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 147, 1 nl.

Balicka Hanna — *Pies przyjaciel.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958; 6 knl.

Balińska Wuttke Krystyna — *Jak powstają doliny.* Ilustrował Jerzy Malarski. Okładkę projektował Wiktor Górka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 61, 3 nl.

arrie J. M. — *Piotruś Pan.* Opowiadanie o Piotrusiu i Wendy. Przełożył M. Słomczyński. Ilustrował J. Srokowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 173, 3 nl.

engtsson F. G. — *Rudy Orm.* Tom I/II. Tłumaczył Zygmunt Łanowski. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; tom I str. 312, 4 nl; tom II str. 336, 4 nl.

eylin Karolina — *My sami.* Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 115, 5 nl.

oguszewska Helena — *Maria Elzelia.* Ilustrował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 288, 4 nl.

rzechwa Jan — *Pan Soczewka w puszczy.* Ilustrował J. M. Szancer. Warszawa, Filmowa Agencja Wydawnicza, 1958, wydanie I; 16 kln.

unsch Karol — *Zdobycie Kołobrzegu. Psie Pole.* Ilustrował Adam Bunsch. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie V; str. 380, 4 nl.

uyno-Arctowa Maria — *Słoneczko.* Ilustrował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 185, 3 nl.

hodzi, chodzi baj po ścianie. Wiersze i kołysanki. Ilustrował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; 25 knl.

üssing Rudolf — *Barwne płomienie.* Tłumaczyła z języka niemieckiego Barbara Danielczyk. Ilustrował Romuald Klaybor. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 125, 3 nl.

omańska Antonina — *Paziowie króla Zygmunta.* Ilustracje i okładka: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 222, 2 nl.

iedler Arkady — *Zdobywamy Amazonkę.* Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Wyklejkę projektowała Halina Gutsche. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 195, nl. 3.

rance Anatol — *Zazulka.* Ilustrował Mieczysław Piotrowski. Przekład z jęz. francuskiego Zofii Rogoszówny i Józefiny Rogosz-Walewskiej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 77, 3 nl.

autier Teofil — *Kapitan Fracasse.* Tłumaczył z języka francuskiego Wojciech Natanson. Ilustrował Antoni Uniechowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie IV; str. 381, 3 nl.

Giżycki Kamil — *Na samotnym atolu.* Warszawa, „Nasza Księgarnia" 1958, wydanie I; str. 349, 3 nl.

Górska Halina — *Chłopcy z ulic miasta.* Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie III; str. 81, 3 nl.

Grabowski Jan — *Finek.* Ilustrował Jerzy Flisak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie IX; str. 103, 1 nl.

— *Puch kot nad koty.* Ilustrował Konstanty Sopoćko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 133, 3 nl.

Grahame Kenneth — *Wspomnienia z krainy szczęścia.* Wybór opowiadań. Spolszczył Andrzej Nowicki. Wyboru dokonano z oryginału angielskiego. Ilustrowała Janina Konarska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 149, 3 nl.

Grodzieńska Wanda — *Dziwne dziwy się plotą.* Ilustrowała Irena Kuczborska. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 62, 2 nl.

Hauff Wilhelm — *Opowieść o kalifie bocianie i inne baśnie.* Ilustrowała Olga Siemaszkowa. Tłumaczył z języka niemieckiego Adam Galis. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 109, 3 nl.

Hugo Wiktor — *Gavroche.* Fragment z powieści „Nędznicy". Przełożyła z języka francuskiego Ludmiła Dunikowska. Wiersze przełożyła Jadwiga Dackiewicz. Wstępem opatrzyła Maria Serkowska. Objaśnienia Wiesława Gąsecka. Ilustrował. Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie III; str. 150, 2 nl.

Hugo Wiktor — *Kozeta.* Tłumaczyła z języka francuskiego Hanna Szumańska-Grossowa. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie III; str. 79, 1 nl.

Jurjewicz Janusz — *Przygoda z latawcem.* Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 16 nl.

Kipling Rudyard — *Puk z Pukowej Górki.* Przekład autoryzowany Józefa Birkenmajera. Ilustrował Bohdan Bocianowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie II; str. 257, 3 nl.

Koehler Witold — *Strachy leśne.* Ilustrował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie I; str. 46, 2 nl.

Korczak Janusz — *Sława.* Ilustrowała Leonia Janecka. Okładkę projektowała Ewa Lubelska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1958, wydanie IV; str. 95, 1 nl.

W poprzednim numerze:

Stanisław Piętak: Po pogromie. Ziemia, niebo. Dach. Miłość — *Ann Kowalska:* Safona — *Małgorzata Hillar:* Nitka dzikiego wina. Skóra Nigdy się nie dowiem — *Wacław Bojarski:* Pożegnanie z mistrzem (wstęp Stanisława Marczaka-Oborskiego) — *Maciej Zenon Bordowicz:* Czas żni wa, * * * (Przejechanego psa nikt...) — *Jean Douassot:* Gana (fragmen powieści, przełożył Jerzy Lisowski) — *Bronisław Kamiński:* * * * (Ot połowa życia...), * * * (Mój dom był zamknięty...) — *Jacek Trznadel* Uwagi o Leśmianie — *Zbigniew Bieńkowski:* Odmiany czasu — *Stani sław Lem:* Science-Fiction.

Książka miesiąca: *Henryk Bereza:* Płody edukacji.

Wśród książek: *Janusz Słowiński:* Obsesja formy — *Jerzy Kwiat kowski:* Charaktery w czasie — *Jan Józef Lipski:* Między Bogiem, histo rią a laickim piekłem sumienia i samotności — *Wojciech Natanson:* N zasadzie przemożnych skojarzeń — *Wojciech Natanson:* Opowiadani Mariana Turwida — *Stefania Podhorska-Okołów:* Polskie sufrażystki

Na widnokręgu: *Andrzej Kijowski:* Przegląd prasy — *Ryszar Zengel:* Zjazd naukowy polonistów — *Janusz Sławiński:* Lingwistyk i poetyka — *Zdzisław Najder:* Bronisław Malinowski — *Jerzy Lisowski* Gana albo koszmar nieuświadomiony — *Roman Karst:* Lion Feuchtwan ger — *Djordje Saula* — Nad serbochorwackim przekładem „Pana Ta deusza".

Noty

Książki nadesłane

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—.

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 742/c z dnia 4.2.59 r.
Nakład 5044 egz. Druk ukończono w marcu 1959 r. W-70

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Louis Aragon — Wielki Tydzień · Paweł Beylin — O społecznych funkcjach literatury · Jarosław Iwaszkiewicz — Nowe wiersze · Wolfgang Kayser — Narrator w powieści · Wanda Karczewska — Odejście · Wilhelm Mach — Życie duże i małe